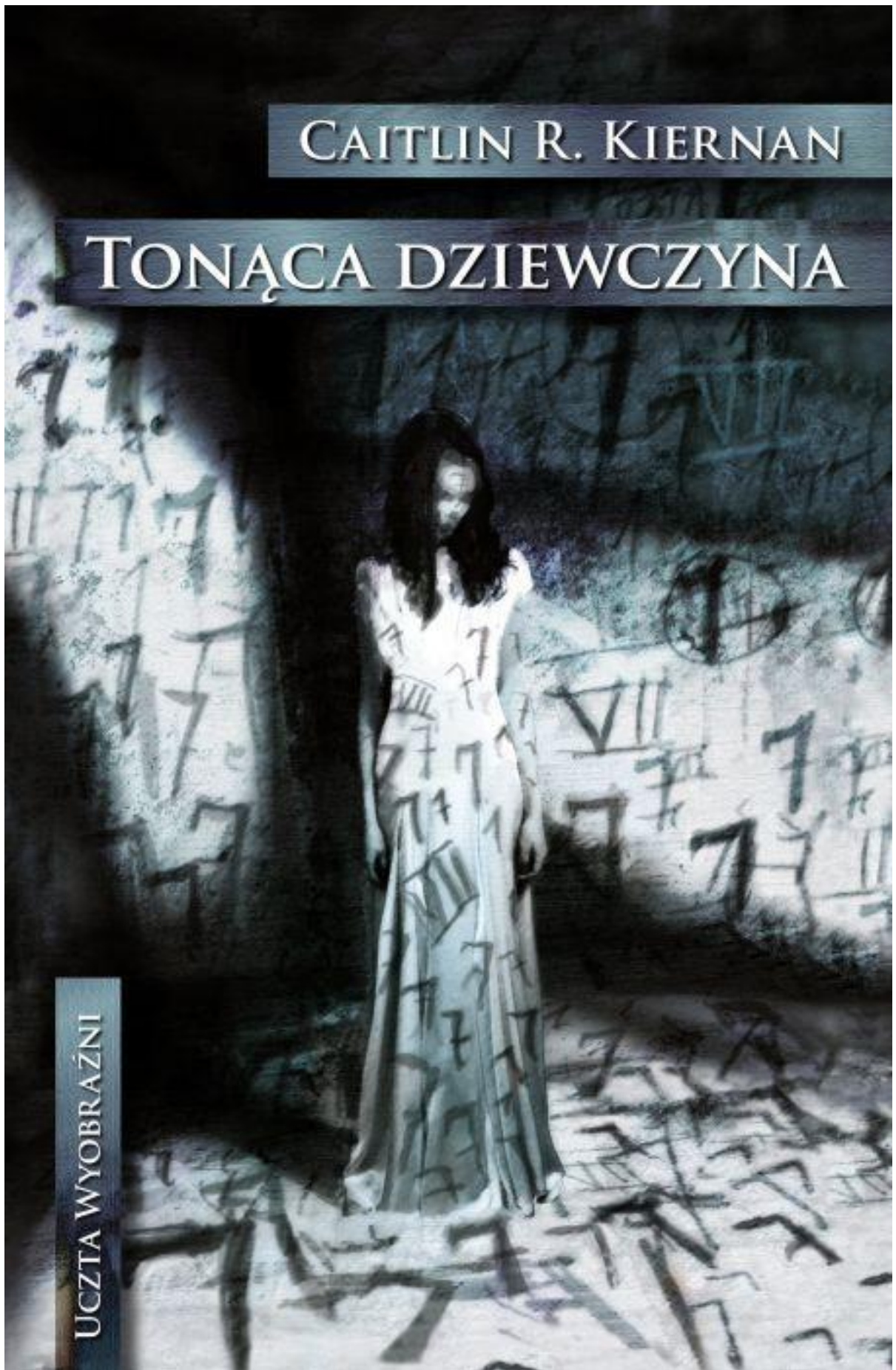


CAITLIN R. KIERNAN

TONĄCA DZIEWCZYNA

UCZTA WYOBRAŹNI



**CAITLÍN R. KIERNAN**

**TONĄCA DZIEWCZYNA**

**PAMIĘTNIK**

**PRZEŁOŻYŁA  
PAULINA BRAITER**

India Morgan Phelps - dla przyjaciół Imp - to schizofreniczka. Nie ufa już własnemu umysłowi, albowiem święcie wierzy, że wspomnienia w jakiś sposób ją zdradziły, zmuszając do zakwestionowania własnej tożsamości.

Zmagając się ze swą percepcją rzeczywistości, Imp musi odkryć prawdę na temat spotkania z bezlitosną syreną albo bezradnym wilkiem, który przybył do niej pod postacią dzikiej dziewczyny - albo może z żadną z tych istot, lecz czymś znacznie, znacznie dziwniejszym...



Pamięci Elizabeth Tillman Aldridge (1970-1995)

Książka ta jest, jaka jest,  
co oznacza, że może nie być książką,  
której się spodziewacie.

CRK

Gdzieś zawsze jest syrena,  
co wabi cię ku zgubie.

„There there (The Boney King of Nowhere)", Radiohead

Potwór robił straszne rzeczy,  
tam się kryje, w tamtych drzewach,  
tu, w tym lesie jest dom jego,  
a to piosnka, którą śpiewa.

„Who Will Love Me Now?", Philip Ridley

Historie zmieniają swe kształty.

„Śliczne potwory", Kelly Link

„To będzie historia o duchach”, napisała.

„Historia o duchach, w której wystąpią syrena i wilk”, napisała dalej. Ja napisałam.

Nazywam się India Morgan Phelps, choć niemal wszyscy znajomi mówią na mnie Imp. Mieszkam w Providence, Rhode Island, a kiedy miałam siedemnaście lat, moja matka zmarła w Szpitalu Butlera, stojącym przy Blackstone Boulevard, tuż obok cmentarza Swan Point, gdzie pochowano wiele znanych osobistości. Kiedyś ośrodek ten nosił nazwę „Szpital Butlera dla Umysłowo Chorych”, ale gdzieś po drodze to „dla umysłowo chorych” zniknęło. Może szkodziło w interesach. Może lekarze, dyrektorzy, członkowie rady nadzorczej czy ktokolwiek tam podejmuje decyzje w takich kwestiach, uznali, że szaleńcy woleliby raczej, by nie umieszczano ich w domu dla wariatów, który śmie otwarcie nazywać się domem wariatów. Prawda w reklamie bywa szkodliwa. Nie wiem, ale moja matka, Rosemary Anne, została umieszczona w Szpitalu Butlera, ponieważ była umysłowo chora, i zmarła tam w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, zamiast umrzeć gdzie indziej, bo była szalona. Nie w tym rzecz, że o tym nie wiedziała, podobnie jak ja, gdyby więc ktoś chciał znać moje zdanie, usunięcie „dla umysłowo chorych” to jak usunięcie

burgera z Burger Kinga, bo hamburgery szkodzą bardziej niż sałatki. Albo skreślenie „donutów” z nazwy Dunkin' Donuts, bo powodują one próchnicę i otyłość.

Moja babcia Caroline - matka matki, która przyszła na świat w 1914 roku i straciła męża w drugiej wojnie światowej - również była szalona, ale umarła we własnym łóżku, w swoim domu w Wakefield. Nikt nie zamknął jej w szpitalu ani nie próbował nawet udawać, że nie jest wariatką. Może, kiedy człowiek zaczyna się starzeć, ludzie przestają zwracać na to uwagę? Caroline odkręciła gaz, pozamykała wszystkie okna i drzwi, i zasnęła; w liście samobójczym podziękowała mojej matce i ciotkom za to, że nie odesłały jej do ośrodka dla psychicznie chorych, gdzie zmuszono by ją do życia, nawet kiedy nie mogła już go dłużej znieść. To znaczy, życia. Albo obłądu. Albo jednego i drugiego.

O ironio, to właśnie moje ciotki doprowadziły do zamknięcia matki w szpitalu. Przypuszczam, że ojciec sam by to zrobił, tyle że odszedł, kiedy skończyłam dziesięć lat, i nikt nie miał pojęcia, gdzie zniknął. Zostawił matkę, bo była szalona, toteż lubię myśleć, że po odejściu od nas nie żył długo. W dzieciństwie często leżałam w łóżku, nie mogąc zasnąć, i wyobrażałam sobie najróżniejsze okropne śmierci, jakie mogły spotkać mojego ojca, sprawiedliwą zapłatę za to, że nas porzucił i uciekł, bo był zbyt wielkim tchórzem, by wytrwać przy mnie i mojej matce. W pewnym momencie sporządziłam nawet listę co nieprzyjemniejszych możliwych zgonów. Schowałam ją w notatniku, a notatnik w starej walizce pod łóżkiem, bo nie chciałam, żeby matka ją znalazła. „Mam nadzieję, że mój ojciec umarł na chorobę weneryczną po tym, jak jego fiut zgnił i odpadł” zaczynało tę listę, a potem następowała cała seria bardziej oczywistych śmierci - wypadki samochodowe, zatrucia, rak - z czasem jednak stałam się bardziej pomysłowa i ostatnią pozycją na liście (numer 316) było: „Mam nadzieję, że ojciec postradał zmysły i skonał samotny i przerażony”. Nadal mam ten notatnik, teraz jednak leży na półce, a nie ukryty w starej walizce.

No i tak. Moja matka, Rosemary Anne, zmarła w Szpitalu Butlera. Popelniła w nim samobójstwo, choć w owym czasie specjalnie jej pilnowano. Leżała w łóżku, skrepowana pasami, a w pokoju umieszczono kamerę wideo. A jednak jej się udało. Zdołała połknąć własny język i zadławić się na śmierć, nim ktokolwiek z sióstr bądź pielęgniarzy zorientował się, co się święci. W akcie zgonu zapisano „śmierć z powodu konwulsji”, ale wiem, że nie to ją spotkało. Zbyt wiele razy powtarzała

mi podczas odwiedzin, że pragnie umrzeć, a ja zwykle mówiłam, że wolałabym, by przeżyła, wydobrzała i wróciła do domu, ale nie będę zła, jeśli naprawdę musi to zrobić, jeśli musi umrzeć. Jeżeli nadejdzie taki dzień bądź noc, gdy po prostu nie będzie mogła już dłużej wytrzymać. Odparła, że jej przykro, ale cieszy się, że rozumiem, jest wdzięczna, że rozumiem. Przynosiłam jej słodczyce, papierosy i książki, i rozmawiałyśmy o Anne Sexton, Diane Arbus i o Virginii Woolf, która napełniła kieszenie kamieniami i weszła do rzeki Ouse. Nigdy nie wspomniałam lekarzom Rosemary o tych rozmowach. Nie opowiedziałam im także, jak miesiąc przed tym, nim zadławiła się własnym językiem, wręczyła mi liścik, w którym parafrazowała list samobójczy Virginii Woolf: „Chcę przez to powiedzieć, że całe szczęście mojego życia zawdzięczam tobie. Byłaś wobec mnie niewiarygodnie cierpliwa i niewiarygodnie dobra. Chcę powiedzieć, że wszyscy to wiedzą. I jeśli ktokolwiek mógł mnie ocalić, to ty. Straciłam już wszystko, prócz pewności twojej dobroci”. Przypięłam ten list pinezką do ściany w pokoju, w którym maluję - można chyba nazwać go moją pracownią, choć zazwyczaj myślę o nim jako o pokoju, w którym maluję.

Dopiero parę lat po śmierci Rosemary zorientowałam się, że ja także jestem szalona i że zawsze taka byłam. To mit, że wariaci nie mają pojęcia o własnym obłądzeniu. Wielu z nas radzi sobie z przebłyskami i introspekcjami równie dobrze jak zwykli ludzie, może nawet lepiej. Przypuszczam, że poświęcamy znacznie więcej czasu niż ludzie zdrowi rozważaniom na temat naszych myśli. Mimo to po prostu nie przyszło mi do głowy, że mój sposób postrzegania świata oznacza, że odziedziczyłam „Klątwę Rodziny Phelpsów” (by zacytować moją ciotkę Elaine, która ma talent do wymyślania dramatycznych określeń). Kiedy w końcu dotarło do mnie, że nie jestem normalna, umówiłam się z terapeutką w szpitalu Rhode Island. Zapłaciłam jej kupę kasy i rozmawiałyśmy (to znaczy, głównie ja mówiłam, a ona słuchała), a w szpitalu przeprowadzili serię badań. Po wszystkim lekarz psychiatra oznajmiła, że cierpię na schizofrenię zdeorganizowaną, zwaną także hebefrenią, od imienia Hebe, greckiej bogini młodości. Tego ostatniego już mi nie powiedziała; sama to sprawdziłam. Hebefrenią nosi imię greckiej bogini młodości, bo zazwyczaj pojawia się w okresie dojrzewania. Nie chciałam nawet mówić, że jeśli sposób, w jaki myślę i postrzegam świat, oznacza, że jestem schizofreniczką, to obłądzenie zaczął się znacznie wcześniej. W każdym razie potem, po kolejnych badaniach, diagnozę zmieniono na schizofrenię paranoidalną, której nie



nazwano imieniem żadnych greckich bogów, ani w ogóle jakichkolwiek znanych mi bóstw.

Doktor psychiatra, kobieta z Bostonu, Magdalenę Ogilvy - które to nazwisko zawsze kojarzy mi się z Edwardem Goreyem albo powieścią P.G. Wodehouse'a - niezwykle zainteresowała się Klątwą Rodziny Phelpsów, bo, jak twierdziła, istnieją dowody świadczące o tym, że schizofrenia może być chorobą dziedziczną, przynajmniej w niektórych przypadkach. Zatem proszę. Jestem wariatką, bo Rosemary była wariatką i miała dziecko, a Rosemary była wariatką, bo moja babcia była wariatką i miała dziecko (no, tak naprawdę kilkoro, ale tylko Rosemary się poszczęściło i odziedziczyła klątwę). Powtórzyłam doktor Ogilvy historie, które opowiadała mi babcia o siostrze swojej matki, także noszącej imię Caroline. Według babci, Caroline przechowywała martwe ptaki i myszy w szczelnie zamykanych szklanych słojach ustawianych na wszystkich parapetach. Na każdym z nich umieszczała etykietę z cytatem z Biblii. Dodałam, że podejrzewałabym, że cioteczna prababcia Caroline była jedynie głęboko zainteresowana historią naturalną, gdyby nie te kawałki z Biblii. Z drugiej strony, możliwe, że próbowała stworzyć coś w rodzaju konkordancji, łącząc poszczególne gatunki z Pismem Świętym. Lecz doktor Ogilvy odparła, że nie, najpewniej ona także była schizofreniczką. Nie spierałam się. Rzadko mam ochotę z kimkolwiek się spierać.

Mam zatem w domu bursztynowe fiołki z pigułkami, farmakopeję, na której zazwyczaj mogę polegać, środki antypsychotyczne i uspokajające, nawet w połowie nie tak ciekawe jak flaszeczki z myszami i wróblami, należące do ciotecznej prababci. Biorę risperdal, depakene i valium, i jak dotąd ani razu nie trafiłam do Szpitala Butlera, i tylko próbowałam się zabić. I to zaledwie raz. Czy może dwa. Może zawdzięczam to lekom, a może swojemu malarstwu, albo może malarstwu i temu, że moja dziewczyna wytrzymuje wszystkie schizy i pilnuje, żebym łykała pigułki, a do tego jest świetna w łóżku. Może matka zabawiłaby na tym świecie trochę dłużej, gdyby od czasu do czasu z kimś się bzyknęła. Z tego, co mi wiadomo, nikt jeszcze nie proponował terapii seksualnej w leczeniu schizofrenii. Ale przynajmniej po pieprzeniu nie mam zapać ani nie trzęsą mi się ręce - dzięki, panie Risperdal - ani nie przybieram na wadze, nie męczę się i nie dostaję trądziku — wielkie dzięki, panie Depakene. O wszystkich moich lekach myślę jak o mężczyznach, którego to faktu nie ujawniłam jeszcze lekarce. Mam przecucie, że przypisałyby mu zbyt wielkie znaczenie, zwłaszcza że wie już o mojej liście „Jak tato powinien zdechnąć”.

Przypadki obłędu w rodzinie następują po sobie kolejno, jak wagony w pociągu: babka, córka, córka córki, i do tego wszystkiego jeszcze cioteczna prababcia. Być może klątwa sięga dalej, ale nie interesuję się genealogią. Nie wiem, jakie sekrety skrywały w sercach i zabrały ze sobą do grobu moje praprababcie i praprababcie, i nie wnikam w to. Właściwie żałuję nawet, że nie potraktowałam tak samo Rosemary Anne i Caroline. Ale stanowią zbyt ważną część mojej historii i by ją opowiedzieć, muszę się do nich odwoływać. Zapewne mogłabym opisać ich wymyślone wersje, fikcyjne awatary, zastępujące prawdziwe kobiety, ale znałam obie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że żadna z nich by tego nie chciała. Nie zdołałabym opowiedzieć mojej historii, a przynajmniej tych jej części, które zamierzam próbować opisać, nie wspominając także o ich życiu. Zbyt mocno na siebie zachodzą, zbyt wiele wydarzeń zostało zapoczątkowanych przez jedną z nich, świadomie bądź nie, i nie ma sensu w ogóle zabierać się do pracy, jeśli miałabym tworzyć tylko kłamstwa.

Co nie oznacza bynajmniej, że każde słowo będzie odpowiadało faktom. Jedyne, że będzie prawdziwe. A przynajmniej tak prawdziwe, jak potrafię.

Oto coś, co nabazgrałam na obu stronach serwetki w barze kawowym parę dni temu: „Żadna historia nie ma początku, żadna historia nie ma końca. Początki i końce można wymyślić, by służyły jakiemuś celowi, chwilowym, ulotnym zamiarom, lecz ze swej fundamentalnej natury są czymś arbitralnym i istnieją wyłącznie jako wygodna konstrukcja ludzkiego umysłu. Życia ludzkie są chaotyczne i kiedy próbujemy je opisać - albo choć część z nich - nie możemy nawet odnaleźć dokładnych i obiektywnych chwil, w których zaczyna się jakiegokolwiek wydarzenie. Wszystkie początki są arbitralne”.

Zanim to napisałam i uznałam, że to prawda, wchodziłam do tego pokoju (innego niż pokój, w którym maluję, zastawionego zbyt wielką liczbą regałów z książkami) i siadałam przed mechaniczną maszyną do pisania, należąca kiedyś do babci Caroline. Ściany tego pokoju są pomalowane na odcień błękitu, tak jasny, że czasem w promieniach słońca wydają się niemal białe. Siadałam tam i wpatrywałam się w błękitno-białe ściany albo wyglądałam przez okno na inne stare domy, stojące w równym rzędzie wzdłuż Willow Street. Wiktoriańskie kamienice, jesienne drzewa i szare chodniki oraz przejeżdżające od czasu do czasu samochody. Siedziałam tam i próbowałam wymyślić, od jakiego miejsca rozpocząć tę historię. Tkwiłam w tym fotelu całymi godzinami i nie napisałam nawet jednego

słowa. Teraz jednak znalazłam swój początek, choć arbitralny, i wydaje mi się najważniejszy ze wszystkich możliwych początków. Uznałam, iż uczciwie będzie od razu załatwić kwestię obłędu, coś jakby ostrzeżenie, żeby każdy, kto będzie kiedyś czytał tę historię, wiedział, że musi do niej podejść z pewnym dystansem.

A teraz, równie arbitralnie, zamierzam opisać pierwszy raz, gdy ujrzałam „Tonącą dziewczynę”.

Na jedenaste urodziny matka zaprowadziła mnie do muzeum w Rhode Island School of Design. Zdradziłam jej, że chcę zostać malarką, toteż w tym roku kupiła mi na urodziny komplet farb akrylowych, pędzle, drewnianą paletę i sztalugi, zabrała mnie też do muzeum. I, jak mówiłam, tego dnia po raz pierwszy ujrzałam obraz. Dziś „Tonąca dziewczyna” wisi znacznie bliżej wejścia od Benefit Street, niż kiedy byłam małą. Płótno oprawiono w misternie rzeźbioną złotą ramę - taką samą, jak inne w tej części muzeum, niewielkiej galerii poświęconej dziewiętnastowiecznemu malarstwu amerykańskiemu. „Tonąca dziewczyna” mierzy dziewiętnaście na dwadzieścia cztery cale. Wisi pomiędzy „Zachodem słońca w Arktyce” Williama Bradforda (1874) a „Od zawietrznej” Winsłowa Homera (1900). Ściany galerii mają jednolitą, ciemno-oliwkowo-zieloną barwę, która według mnie sprawia, że antyczne złote ramy wydają się nieco mniej krzykliwe niż powinny.

„Tonącą dziewczynę” namalował w 1898 artysta z Bostonu, Phillip George Saltonstall. Niemal nikt o nim nie pisał. Zazwyczaj zalicza się go do symbolistów, choć w pewnym artykule nazwano go „późnym amerykańskim uczniem Bractwa Prerafaelitów”. Rzadko sprzedawał, czy nawet wystawiał swoje obrazy, a w ostatnim roku życia w ciągu jednej nocy spalił ich nawet pięćdziesiąt. Większość z nielicznych, które przetrwały, można znaleźć w Nowej Anglii, w prywatnych zbiorach i muzeach sztuki. Jeden wisi też w Muzeum Sztuki Hrabstwa Los Angeles, inny w Atlanta High Museum. Saltonstall cierpiał na ataki padaczkowe, bezsenność i chroniczną depresję; zmarł w 1907 w wieku trzydziestu dziewięciu lat po upadku z konia. Nigdzie nie czytałam, czy na pewno był to wypadek, ale pewnie tak. Mogłabym uznać go za samobójstwo, ale nie jestem obiektywna i byłyby to wyłącznie domysły.

Co do samego obrazu, „Tonąca dziewczyna” została oddana głównie w posępnych odcieniach zieleni i szarości (dzięki czemu idealnie pasuje do owych oliwkowych ścian, na których ją zawieszono), choć z kilkoma kontrastowymi kontrastami - stłumioną żółcią, przebłyskami

brudnej bieli, fragmentami, w których zielenie i szarości znikają w plamach czerni. Przedstawia młodą dziewczynę, zupełnie nagą, na oko tuż po dwudziestce, lecz może młodszą. Dziewczyna stoi zanurzona po kostki w leśnym stawie, niemal tak gładkim jak szkło. Drzewa napierają na brzeg tuż za jej plecami, a ona odwraca od nas głowę, spoglądając przez prawe ramię w głąb lasu, ku cieniom zalegającym pod i pomiędzy drzewami. Jej długie włosy mają niemal ten sam odcień zieleni, co woda, skórę malarz oddał tak, że wydaje się paradoksalnie niemal żółta, promieniująca wewnętrznym blaskiem. Dziewczyna stoi bardzo blisko brzegu, dokoła jej stóp na wodzie rozchodzą się zmarszczki, co według mnie oznacza, że dopiero co weszła do stawu.

Napisałam „stawu”, lecz jak się okazuje, obraz zainspirowały odwiedziny Saltonstalla nad rzeką Blackstone w południowym Massachusetts pod koniec lata 1894. W pobliskim Uxbridge mieszkała jego rodzina, w tym kuzynka ze strony ojca, Mary Farnum, w której podobno się kochał (nie ma dowodów, by uczucie to zostało odwzajemnione). Niektórzy krytycy uważają, że dziewczyną z obrazu miała być Mary, ale jeśli tak, to artysta nigdy nie wspomniał o tym ani słowem, a jeżeli wspomniał, nigdzie tego nie zapisano. Pisał natomiast, że obraz zaczął swe życie jako seria studiów krajobrazowych tamy Rolling (znanej także jako tama Roaring, zbudowana w 1886). Tuż nad tamą rzeka tworzy zbiornik, niegdyś służący młynom z Blackstone Manufacturing Company. Woda jest spokojna i głęboka, stanowiąca ostry kontrast z bystrzynami pod tamą, gdzie rwie między stromymi granitowymi ścianami wąwozu Blackstone, miejscami sięgającymi osiemdziesięciu stóp wysokości.

Tytuł obrazu często wydawał mi się dziwny. Ostatecznie dziewczyna wcale nie tonie, jedynie brodzi w wodzie. Mimo to na obrazie Saltonstalla można wyczuć niewątpliwą atmosferę zagrożenia. Być może sprawia to cienisty las wznoszący się za plecami dziewczyny oraz/albo sugestia, że coś ukrytego między drzewami przyciągnęło jej uwagę. Może był to trzask złamanej gałązki albo szelest liści pod stopami? Albo głos. Czy cokolwiek innego.

Coraz bardziej pojmuję to, w jaki sposób historia Saltonstalla i „Tonącej dziewczyny” stanowi integralną część mojej historii - tak samo jak Rosemary Anne i Caroline - chociaż bynajmniej nie twierdzę, że stała się ona prawdziwym początkiem łańcucha wydarzeń. Nie w sensie obiektywnym. Bo gdyby nawet, od razu nasuwałoby się pytanie: czy początkiem była chwila, gdy po raz pierwszy spojrzałam na obraz w swe jedenaste

urodziny, czy też dzień, w którym Saltonstall stworzył go w 1898 roku? A może lepiej zacząć od budowy tamy w 1886 roku? Odruchowo wciąż szukam tego typu początku, choć dobrze wiem, że to nie ma sensu. Choć świetnie zdaję sobie sprawę, że w ten sposób otrzymam tylko nieskończoną w gruncie rzeczy serię bezużytecznych regresji.

Tego dnia w sierpniu, wiele lat temu, „Tonąca dziewczyna” wisiała w innej galerii, w sali poświęconej miejscowym malarzom i rzeźbiarzom, głównie - choć nie wyłącznie - pochodzącym z Rhode Island. Matkę bolały stopy, siedziałyśmy na ławce pośrodku sali, gdy zauważyłam obraz. Pamiętam to bardzo wyraźnie, choć reszta dnia zamazała się w pamięci. Podczas gdy Rosemary siedziała na ławce, dając odpocząć obolałym nogom, ja stałam zapatrzona w płótno Saltonstalla. Tyle że miałam wrażenie, że spoglądam w głąb płótna, zupełnie jak w małe okno, wychodzące na lekko rozmyty, szarzielony świat. Jestem niemal pewna, że był to pierwszy obraz (czy jakikolwiek dwuwymiarowy wizerunek), który wywarł na mnie podobne wrażenie. Złudzenie głębi okazało się tak silne, że uniosłam prawą rękę i przycisnęłam palce do płótna. Naprawdę spodziewałam się, że przeniknę na drugą stronę, sięgając w dzień i miejsce wizerunku. Wówczas Rosemary zauważyła, że go dotykam, i kazała mi przestać, dodając, że to wbrew przepisom muzealnym, toteż cofnęłam rękę.

— Dlaczego? - spytałam, a ona odparła, że ludzkie dłonie pokrywa cienka warstewka olejów i kwasów, które mogłyby uszkodzić stary obraz, dodała też, że kiedy pracownicy muzeum muszą dotykać płócien, wkładają dla ochrony białe bawełniane rękawiczki. Zerknęłam na własne palce, zastanawiając się, co jeszcze mogłabym uszkodzić dotykiem, a także, czy kwasy i oleje przesiąkające przez skórę pouszkadzały mi bez mej wiedzy najróżniejsze narządy wewnątrz ciała.

- Poza tym, co ty sobie myślałaś? Czemu go dotknęłaś?

Wyjaśniłam, że obraz wydał mi się oknem, a ona roześmiała się i zażądała, bym podała jej tytuł obrazu, nazwisko artysty i rok powstania płótna. Wszystko to wydrukowano na karteczce przyklepionej do ściany obok ramy i odczytałam ją. Rosemary Anne zapisała to na kopercie, którą wyciągnęła z torby. Zawsze nosiła wielkie, bezkształtne torby z materiału, które sama szyła, pękające w szwach od różności, począwszy od książek, poprzez kosmetyki, aż po rachunki i paragony ze sklepu spożywczego (których nigdy nie wyrzucała). Po jej śmierci zatrzymałam parę owych toreb i wciąż ich używam, choć nie wydaje mi się, by znalazła się wśród

nich ta, którą miała przy sobie owego dnia. Uszyła ją z denimu, a ja nie przepadam za tym materiałem. Nawet džinsy noszę bardzo rzadko.

- Po co to zapisujesz?

- Może któregoś dnia zechcesz sobie przypomnieć - odparła. - Kiedy coś wywiera na nas tak silne wrażenie, powinniśmy dołożyć wszelkich starań, by o tym nie zapomnieć. Dobrze zatem sporządzić notatki.

-Ale skąd mam wiedzieć, co mogłabym chcieć zapamiętać, a czego nie będę chciała sobie przypomnieć?

-Ach, to właśnie jest najtrudniejsze. - Rosemary przez moment obgryzała paznokieć kciuka. - To najtrudniejsze ze wszystkiego. Bo oczywiście nie powinniśmy tracić czasu na notowanie wszystkiego, co nas spotyka, prawda?

- Oczywiście, że nie. - Cofnęłam się od obrazu, nie odrywając od niego wzroku. Choć nie okazał się oknem, nie stracił wcale przez to na urodzie i wyjątkowości. - To przecież byłoby strasznie niemądre.

- To byłoby strasznie niemądre, Imp. Marnowalibyśmy tak wiele czasu, starając się nie zapomnieć niczego, że nigdy nie spotykałoby nas nic wartego zapamiętania.

- Trzeba zatem być ostrożnym - mruknęłam.

- Właśnie - zgodziła się.

Nie pamiętam nic więcej z owych urodzin. Tylko prezenty, wycieczkę do RISD, i Rosemary mówiącą, że powinnam zapisywać to, co pewnego dnia może okazać się dla mnie ważne. Po zwiedzeniu muzeum musiałyśmy wrócić do domu. Na pewno był też tort lodowy, bo zawsze taki robiła, aż do tego roku, gdy trafiła do szpitala. Ale nie przyjęcie, bo nigdy nie urządziła mi przyjęć urodzinowych. Nigdy też ich nie chciałam. Wyszłyśmy z muzeum, minął dzień i nadeszła północ, i nie miałam już urodzin aż do dnia, gdy skończyłam dwanaście lat. Wczoraj sprawdziłam w kalendarzu w sieci; poinformował mnie, że następnego dnia, trzeciego sierpnia, przypadała niedziela, ale nie mówi mi to zbyt wiele. Nigdy nie chodziłyśmy na msze, bo matka odeszła z Kościoła rzymskokatolickiego i zawsze powtarzała, że lepiej, bym się trzymała z daleka od katolicyzmu, choćby po to, by oszczędzić mi trudu ostatecznego odejścia.

- Nie wierzymy w Boga? - mogłam ją spytać w pewnym momencie.

- Ja nie wierzę w Boga, Imp. To, w co ty wierzysz, zależy od ciebie. Musisz uważać i sama do tego dojść. Ja tego za ciebie nie zrobię.

O ile, oczywiście, w ogóle doszło do takiej rozmowy. Tak mi się wydaje, jestem niemal pewna, ale wiele z moich wspomnień jest fałszywych,

toteż nigdy nie mam pewności, w taką czy inną stronę. Mnóstwo najciekawszych wspomnień najwyraźniej nigdy nie miało podstaw. Po tym, jak zamknęli Rosemary u Butlera, a ja zamieszkałam z ciotką Elaine w Cranston, i zostałam tam, póki nie skończyłam osiemnastu lat, zaczęłam prowadzić dziennik, ale nawet jemu nie mogę ufać. Na przykład, znalazłam całą serię wpisów dotyczących wyprawy do Nowego Brunswicku, która - jestem niemal pewna - nigdy się nie wydarzyła. Kiedyś wspomnienia owych sytuacji, które nie istniały, mnie przerażały, ale stopniowo do nich przywykłam. I nie dochodzi do nich tak często jak kiedyś.

„To będzie historia o duchach”, napisała, i ją właśnie tworzę. Napisałam już o duchach mojej babki, matki, i siostry prababki, tej, która przechowywała w słojach martwe zwierzęta opisane cytatami z Pisma Świętego. Kobiety te są już teraz jedynie duchami i nawiedzają mnie, tak jak inne duchy, o których dopiero napiszę. Tak jak widmo szpitala Butlera, stojącego obok cmentarza Swan Point. Tak jak zaginiony ojciec. Jednakże przede wszystkim nawiedza mnie „Tonąca dziewczyna” Phillipa George'a Saltonstalla, którą z pewnością bym sobie przypomniała, nawet gdyby matka nie zadała sobie owego dnia trudu i nie zapisała notatki na kopercie.

Duchy to wspomnienia, które są zbyt silne, by dały się zapomnieć na dobre, powracające echem poprzez lata i niedające się rozmyć strumieniowi czasu. Nie przypuszczam, by Saltonstall, kiedy malował „Tonącą dziewczynę” niemal sto lat przed tym, nim ujrzałam ją po raz pierwszy, zastanowił się choć przez chwilę nad wszystkimi ludźmi, których mogłaby nawiedzać. To zresztą kolejna cecha duchów, i to bardzo ważna - trzeba uważać, bo nawiedzenia są zaraźliwe. Nawiedzenia to memy, zgubne zwłaszcza w przypadku zarażenia, społeczne choroby niepotrzebujące nosiciela w postaci bakterii czy wirusa i przekazywane na tysiące różnych sposobów. To może być książka, wiersz, piosenka, bajka na dobranoc, samobójstwo babki, układ tańca, kilka klatek filmu, diagnoza schizofrenii, śmiertelny upadek z konia, wyblakłe zdjęcie, albo historia, którą opowiadamy córce.

Albo obraz wiszący na ścianie.

Jestem niemal pewna, że Saltonstall próbował w istocie jedynie pozbyć się własnych duchów, gdy malował nagą kobietę stojącą w wodzie na tle lasu. Zbyt często ludzie popełniają błąd, próbując posłużyć się swą sztuką, by uchwycić ducha, a zamiast tego jedynie zarażają nim niezliczone osoby. Zatem Saltonstall udał się nad rzekę Blackstone i zobaczył tam

coś - coś, co się tam stało, co nie dawało mu spokoju. Później próbował przegnać to wspomnienie w jedyny znany mu sposób - malując. Prowokując ten mem, nie kierował się złościwością, tylko desperacją. Czasami nawiedzani ludzie osiągają etap, gdy albo uda im się przegnać duchy, albo też duchy ich niszczą. Co jeszcze gorsze, próby wywleczenia duchów i zamknięcia ich gdzieś, gdzie nie mogą nas już ranić, zwykle się nie udają. Myślę, że w ten sposób jedynie je rozpowszechniamy. Tworzymy kopie, przekazujemy mikroskopijną cząstkę zjawy, ale większość z nich pozostaje wkopana w nasz umysł tak głęboko, że nie da się ich usunąć.

Rosemary nigdy nie próbowała nauczyć mnie wierzyć w Boga bądź grzechy, niebo i piekło, a moje własne doświadczenia nie poprowadziły mnie tą drogą. Nie sądzę, bym wierzyła nawet w duszę. Ale to nie ma znaczenia. Bo wierzę w duchy. Naprawdę, naprawdę, naprawdę wierzę w duchy, jak powiedziałby Tchórzliwy Lew. Jasne, jestem wariatką i muszę łykać pigułki, na które mnie nie stać, by uniknąć szpitala, ale nadal wszędzie gdzie spojrzę, kiedy patrzę, widuję duchy, bo gdy raz zacznie się je widzieć, to już przepadło. Najgorsze jest jednak to, że kiedy przypadkiem bądź celowo zaczynamy je dostrzegać, dokonujemy przeskoku myślowego, który pozwala je nam rozpoznawać, a wówczas i one zaczynają nas widzieć. Patrzymy na obraz wiszący na ścianie i nagle on wydaje nam się oknem. Tak bardzo przypomina okno, że jedenastolatka próbuje sięgnąć przez niego na drugą stronę. Ale okna mają pewną niefortunną cechę: większość z nich działa w obie strony. Pozwalają nam wyglądać, ale też pozwalają wszystkiemu, co przechodzi obok, zaglądać do środka.

Trochę się jednak zapędziłam. Co oznacza, że muszę się zatrzymać i cofnąć, odkładając na bok całe to liryczne głędzenie o memach, duchach i oknach, przynajmniej na razie. Muszę wrócić do owej lipcowej nocy, gdy jechałam wzdłuż rzeki Blackstone, niedaleko miejsca, które natchnęło Saltonstalla do namalowania „Tonącej dziewczyny”. Do nocy, kiedy spotkałam syrenę nazywającą się Eva Canning. Ale też do innej nocy, śnieżnej listopadowej nocy w Connecticut, gdy jechałam przez las wąską asfaltową szosą i natknęłam się na dziewczynę, będącą tak naprawdę wilkiem i być może tym samym duchem, co Eva Canning, dziewczynę, która natchnęła innego artystę, innego nieboszczyka, niejakiego Alberta Perrault, by spróbował uchwycić jej podobiznę w swym dziele.

A gdy wcześniej wspomniałam o dziewczynie, która znosi wszystkie moje dziwaczne schizy... To było kłamstwo, bo opuściła mnie niedługo po tym, gdy zjawiała się Eva Canning. Ponieważ w końcu schizy stały się



zbyt odleciane. Nie winię jej za to, że mnie rzuciła, choć za nią tęsknię i bardzo chciałabym, by ze mną była. Właściwie jednak chodzi o to, że to było kłamstwo: tylko udawałam, że wciąż jest ze mną. A jak mówiłam, pisanie tego wszystkiego nie ma najmniejszego sensu, jeśli zdołam pomieścić tu tylko kłamstwa.

Zatem muszę się pilnować.

I starannie dobierać słowa.

W istocie uświadamiam sobie, że bardzo szybko i niespodziewanie odkrywam, że próbuję opowiedzieć samej sobie historię w języku, który muszę po drodze wynajdować. Jeśli będę leniwa i za bardzo się skupię na tym, jak ktoś inny - ktokolwiek inny - by ją opowiedział, efekt okaże się idiotyczny. Na sam widok i dźwięk będę przerażona, zawstydzona. Albo też przerażona i zawstydzona, i wtedy się poddam. Schowam ten maszynopis w nieużywanej walizce pod łóżkiem i nigdy nie dotrę do miejsca, które arbitralnie miałyby okazać się końcem. Nie, nawet nie końcem, lecz ostatnią stroną, którą zapiszę, nim przestanę opowiadać tę historię.

Muszę uważać, tak jak powiedziała Rosemary. Muszę przerwać i cofnąć się o krok.

\*\*\*

W dniu, kiedy poznałam Abalyn, nie padał deszcz, ale niebo zasnuły fioletowe chmury z owego złudnego rodzaju, które kłębią się, przepływają i wciąż wyglądają jakby lada moment miało z nich lunąć. Wiał też wiatr, niosąc wyraźny zapach deszczu. Zatem owego popołudnia, dwa lata i cztery miesiące temu, miałam na sobie kalosze i płaszcz przeciwdeszczowy, zabrałam też parasolkę. Wracałam właśnie po pracy do domu z przystanku autobusowego. Był to jeden z owych ostatnich chłodnych, czerwcowych dni, nim pogoda się zmienia i robi się gorąco i paskudnie. Pod chmurami powietrze było słodkie, a drzewa wydawały się niemal zbyt nierzeczywiście zielone. Nie — nie w kiczowaty, krzykliwy sposób, bynajmniej, nie wyglądały jak sztuczne, lecz raczej jakby osiągnęły poziom zieleni tak bardzo zielonej, tak soczystej, że nie mogła istnieć w naturze. A gdyby nawet istniała, ludzkie oczy nie potrafiłyby jej postrzegać. Wysiadłam z autobusu na Westminster i ruszyłam naprzód Paradę Street, mając po obu stronach owe wielkie, zielone, rozszeptane kasztanowce i dęby. Po mojej lewej rozciągała się pusta przestrzeń Placu Treningowego Dextera, który pomimo nazwy, w tej chwili jest już tylko parkiem. Przede

mną, na południowym skraju placu, niczym bajeczny zamek, wznosiła się Zbrojownia przy Cranstron Street; jej wysokie, zębate, blankowane wieżyczki i żółte klinkierowe cegły odcinały się wyraźnie na tle chmur. Zbrojownia, od której wzięła nazwę moja dzielnica, nie jest już tak naprawdę zbrojownią. Właśnie uświadomiłam sobie, że dotyczy to wielu rzeczy w Providence: nie są już tym, czym były kiedyś, ale nikt nie zwraca sobie głowy nadawaniem im nowych nazw, a stare mogą zwodzić i mylić.

Minęłam swoją ulicę, bo miałam większą ochotę na spacer niż na powrót prosto do domu. Przeszłam kolejne dwie przecznice, po czym skręciłam w prawo, w Wood Street. Większość rosnących drzew zostawiłam za sobą, zastąpiły je wysokie, wąskie kamienice o mansardowych dachach i wykuszowych oknach, piernikowych wykończeniach i maleńkich, zarośniętych frontowych ogródkach. Po krótkiej chwili natknęłam się na nieporządną stertę kartonowych pudeł, zwalonych przy krawężniku. W środku upchnięto płyty DVD, książki, parę winyli i sprzęty kuchenne. Dostrzegłam też ciuchy (głównie podkoszulki, dżinsy i damską bieliznę) powkładane chaotycznie do kolejnych pudeł. Obok stały dwa drewniane kuchenne krzesła, ekspres do kawy, poobijana szafka nocna, lampa podłogowa bez abażura i sporo innych rzeczy. Domyśliłam się, że kogoś wyeksmitowano i wyrzucono na ulicę jego dobytek. To się zdarza, choć w tej części miasta nie tak często jak na College Hill. Zdziwiłam się, nie widząc materaca, bo niemal zawsze do takiego zestawu należy materac i rama ze sprężynami. Oparłam parasolkę o słup telefoniczny i zaczęłam grzebać w pudłach. Dobrze, że nie spadł deszcz, bo wtedy wszystko by się zniszczyło.

Już dawno nauczyłam się, że przeglądanie dobytku ludzi niepłacących czynszu, ludzi, którzy zostawili wszystko i zniknęli, to rzecz opłacalna. Połowę mieszkania umeblowałam znaleźnikami, a kiedyś w szufladzie starej szyfoniery znalazłam pierwsze wydanie „Wielkiego Gatsby'ego” i stos zeszytów „Supermana” z lat czterdziestych. Antykwariat w centrum zapłacił mi za nie tyle, że wystarczyło niemal na miesięczny czynsz. W każdym razie, właśnie zaczęłam przeglądać książki - głównie fantastykę i fantasy -gdy usłyszałam kroki i uniosłam głowę. Przez Wood Street przechodziła wysoka dziewczyna, czarne buciory uderzały głośno o asfalt. Najpierw zauważyłam, że jest bardzo ładna, w androgynicznym stylu Tildy Swinton. Dopiero potem dostrzegłam, że wygląda na bardzo wkurzoną.

- Hej! - zawołała już w połowie jezdni. - Co ty, kurwa, wyprawiasz?

Nim zdołałam wymyślić jakąś odpowiedź, stała już nade mną. Abalyn ma prawie metr osiemdziesiąt, to znaczy ponad dziesięć centymetrów więcej ode mnie.

- Te rzeczy są twoje? - spytałam, zastanawiając się, czy jej krótkie włosy są naturalnie tak czarne, czy też je farbuje.

- Jasne, że, kurwa, moje - odparła i wyrwała mi z rąk książkę. Powiedziałabym, że warknęła, ale zabrzmiałoby to myląco, zupełnie jak Plac Treningowy Dextera i Zbrojownia. - Skąd ten pomysł, że możesz od tak sobie przyjść i zacząć grzebać w cudzych bambetlach?

- Myślałam, że ktoś je wyrzucił.

- Ale tak nie jest.

- Sądziłam, że to tylko śmieci - dodałam.

- Jeśli to tylko śmieci, to po cholere ci one? - zapytała ostro i zorientowałam się, że ma zielone oczy. Nie tak zielone jak drzewa wzdłuż Parady Street, tylko jak płytka morską wodą w zimie, przepływająca po granitowym bruku, jak fale rozkołysanych, bezkształtnych oceanów, zielone jak wypolerowane kawałki plażowego szkła, niegdyś będącego butelkami coca-coli bądź 7Up. Zielone zielenią, która wydaje się niemal, lecz nie do końca, niebieska.

- Skoro to nie śmieci, to czemu leżą tu na kupie przy krawężniku jak sterta odpadków?

- Och, do kurwy nędzy. - Dziewczyna wywróciła oczami. — A niby co cię to w ogóle obchodzi?

Posłała mi gniewne spojrzenie i przez sekundę czy dwie wydawało mi się, że albo walnie mnie w twarz, albo też obróci się na pięcie i odejdzie. Ona jednak wrzuciła książkę do innego pudła niż to, z którego ją wyjęłam, i przeczesała palcami swoje kruczoczarne włosy, które, jak uznałam, musiały być farbowane. Oceniałam też, że jest kilka lat starsza ode mnie.

- Naprawdę nie miałam pojęcia, że to wszystko należy do ciebie. Nie wiedziałam, że w ogóle do kogoś należy. Nie jestem złodziejką. - Wskazałam ręką zachmurzone niebo. - Wiesz, lada moment może zacząć padać, więc chyba powinnaś zabrać to wszystko do środka, zanim zmoknie i się poniszczy.

Znów się skrzywiła, jakby zamierzała jednak mi przywalić.

- Czekam na kogoś - odparła. — Mój kumpel ma ciężarówkę, obiecał mi, że się tu zjawi dwie i pół godziny temu. - Skrzywiła się i zerknęła w dół Wood Street, w stronę parku. - Zamierzam przechować to wszystko w jego garażu.

- No to gdzie się podziewa, jak sądzisz? - zapytałam, choć miała rację, i z pewnością nie była to moja sprawa. Chyba to włosy sprawiły, że się nie zamknęłam. Połączenie włosów i oczu.

- Nie mam, kurwa, pojęcia. Nie odbiera telefonu. Wysłałam mu już z dziesięć SMS-ów. Pewnie znów zgubił komórkę. Ciągle je gubi albo mu je kradną.

- Jeśli zacznie padać - powtórzyłam, myśląc, że może za pierwszym razem odezwałam się za cicho i nie usłyszała, ona jednak zignorowała moje słowa.

Spytałam zatem, dlaczego wyrzuciła wszystkie swoje rzeczy na dwór w pochmurny dzień, skoro nadal chce je zatrzymać. Wskazała ręką na drugą stronę ulicy i jeden z bardziej zapuszczonych domów, z tych, których nikt jeszcze nie odremontował, nie poddał gentryfikacji i nie wynajął ludziom, którzy zaledwie dziesięć lat temu nie zniżyliby się do tego, by zamieszkać w Zbrojowni.

Jego kolor skojarzył mi się z twarożkiem, prócz wykończeń, które przypominały raczej gotowaną kapustę.

- Mieszkałaś tam? - spytałam. - Eksmitowali cię?

- Tak, w pewnym sensie - odparła (i znów, napisałabym, że warknęła, ale...) i westchnęła, wbijając wzrok w książki, płyty i wszystko inne. - Ta suka, moja dziewczyna, mnie wykopała, co w sumie oznacza to samo co eksmisję. Umowa najmu jest na jej nazwisko - ja mam spieprzoną historię kredytową, bo nie spłaciłam kredytu studenckiego.

- Ja nie poszłam na studia - odparłam. - Mieszkam parę przecznic stąd. - Wskazałam ręką w stronę Willow Street. - Tak? No i?

- No i nie mam zbyt dużego mieszkania, ale jest prawie zupełnie puste, bo brakuje mi mebli i z nikim nie mieszkam. Mam natomiast samochód. To mała honda, więc będziemy pewnie musiały obrócić dwa albo trzy razy, ale możemy zabrać twoje rzeczy z ulicy. Chociaż krzesła pewnie się nie zmieszczą.

- Pieprzyć krzesła - odparła i uśmiechnęła się po raz pierwszy. - To śmieci. Szafka nocna i lampa też. Mówisz serio? No wiesz, jeśli zaczekam tu jeszcze kilka godzin, to może mój kumpel się zjawi. Nie chcę ci się narzucać ani zawracać głowy.

- Wcale się nie narzucasz — odparłam, starając się, by zabrzmiało to, jakbym w ogóle nie dbała, czy przyjmie moją propozycję. Tak strasznie chciałam, żeby się zgodziła, że chyba zacisnęłam kciuki. - Zresztą, nie

mam żadnych planów na wieczór, a byłoby marnie, gdyby spadł deszcz i zmoczył wszystkie twoje rzeczy.

- Wcale nie wszystkie - odparła. - Telewizor, komputer i konsole wciąż czekają w holu na parterze. - Znów wskazała ręką dom barwy twarogu i kapusty. - Wściekle się darła, ale nie zamierzałam ich wynosić na ulicę.

- Pójdę po samochód - oznajmiłam. - Ty zaczekasz tutaj, na wypadek gdyby ktoś jeszcze zjawił się i uznał to za zwykłe śmieci.

To rzekłszy, wręczyłam jej parasolkę. Przez chwilę wpatrywała się w nią, jakby nigdy wcześniej nie widziała parasolki i nie miała pojęcia, do czego służy.

- To na wypadek gdyby zaczęło padać - oznajmiłam. - Może przynajmniej zdołasz zasłonić książki.

Przytaknęła, choć nadal sprawiała wrażenie nieco oszołomionej.

- Jesteś absolutnie pewna? - spytała. - Nawet nie wiem, jak się nazywasz.

- India - odparłam - jak kraj albo indyjski tusz, ale niemal wszyscy mówią mi Imp. Więc możesz nazywać mnie India albo Imp. Jak wolisz.

- No dobra, Imp. To strasznie miłe z twojej strony. I obiecuję, że najpóźniej do jutra wieczór zabiorę swoje graty. A na imię mam Abalyn i tak mnie wszyscy nazywają. Tylko nie mów mi Abby. Nie cierpię tego.

- Zgoda, Abalyn. Zaczekaj tutaj. Zaraz wrócę.

Abalyn zerknęła z obawą na zachmurzone, posepne niebo, i otworzyła parasolkę. Pomaszerowałam szybko do domu i uruchomiłam wóz. Musiałyśmy obracać cztery razy z powodu komputera, telewizora i całego sprzętu do gier, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Powiedziała, że podobają jej się moje kalosze, niebieskie w żółte kaczuszki, i gdyby już wcześniej nie załatwiły mnie czarne włosy i zielone oczy, to to przeważałoby szalę.

I tak właśnie wyglądał dzień, kiedy spotkałam Abalyn Armitage.

\*\*\*

„Chyba opowiadam kłamstwa”, pisze Imp.

Nie chodzi o to, że nie spotkałam mojej byłej w nie do końca deszczowy czerwcowy dzień, gdy drzewa okryły się niewiarygodną zielenią. To wszystko prawda, podobnie jak historia o jej dobytku zwalonym na chodnik. I o tym, że niechcący o mało nie ukradłam jej książek. Ale nie mam

pojęcia, co do siebie powiedziałyśmy. Wątpię, by ktokolwiek mógł opisać tę scenę i nie skłamać, wspominając rozmowę, która zdarzyła się dwa i pół roku wcześniej. Mimo wszystko jednak, pisząc o tym, jak spotkałam Abalyn, nie zamierzałam kłamać. Z drugiej strony, nie zamierzałam też nie kłamać. To dość cienka granica, wiem. Może powinnam dać sobie trochę luzu. To, co napisałam o Abalyn, jest prawdą, choć niedokładnie faktem, coś jak film „oparty na” bądź „zainspirowany przez” prawdziwe wydarzenia. Muszę zapełniać wszystkie luki, tak by powstała opowieść, a nie seria reporterskich obrazów, tyle że oddanych słowami. Nigdy nie miałam zbyt dobrej pamięci, co wyjaśnia, czemu nie nauczyłam się tabliczki mnożenia i układu okresowego pierwiastków, wszystkich stolic stanowych i tego, jak grać na saksofonie altowym. A także dlaczego nie poszłam do college'u. Uważałam, że jak na kogoś z kiepską pamięcią i tak miałam szczęście, że zdołałam ukończyć liceum. Poza tym nie byłoby mnie stać na studia, a teraz przynajmniej nie mam długów, jak Abalyn. Owszem, ta część to zarówno prawda, jak i fakt. I nie zmieniłam też żadnych nazwisk, by ochronić niewinne żyjące osoby.

Oczywiście, tak naprawdę nigdy nie spotkałam niewinnej osoby. W końcu każdy kogoś rani, nieważne jak bardzo się stara. Moja matka zraniła mnie, gdy zaciążyła z tym dupkiem, moim ojcem (który nie uczynił jej nawet tej grzeczności, by się z nią ożenić, choć mieszkali razem dziesięć lat). Z całą pewnością jednak nie zamierzała w owym czasie skrzywdzić córki, która wówczas jeszcze nie istniała. Przypuszczam, że można to nazwać zbrodnią z namiętności, albo może po prostu brakiem przewidywania. Babcia Caroline, kiedy zaszła w ciążę, z pewnością nie miała pojęcia, że jej córka odziedziczy obłąd i przekaze go z kolei swojej córce z nieprawego łoża. Kiedy owego dnia o mało nie ukradłam Abalyn książek, książek, których nie próbowałam ukraść, nie zamierzałam jej zranić, rozmawiając z nią, lecz sprawy potoczyły się inaczej: rozmowa doprowadziła do naszego związku i ja ją skrzywdziłam. Zraniłam ją. Nie wierzę w grzech, pierworodny ani żaden inny, ale wierzę, że ludzie mogą ranić innych ludzi i jeśli wyobrażamy sobie, że jest inaczej, to narażamy się tylko na ciągłe zawody. Wierzę, że to prawda, tak samo jak moja niedokładna relacja z owej pierwszej rozmowy z Abalyn, choć nie potrafiłabym podać żadnych faktów ani związków przyczynowo-skutkowych, na których się opieram.

Właściwie jednak uważam, że teraz powinnam podać jakieś fakty. Snując tę historię o duchach, zacznę myśleć o faktach i prawdzie jak

o ceglach i zaprawie, tyle że sama nie wiem, które są którym. Fakty to chyba cegły, a prawda - zaprawa, spajająca je ze sobą. Podoba mi się ta wizja, toteż wstępnie uznaję ją za prawdziwą. A przy okazji, nie mogę przypisać sobie zasług co do rozważań o prawdzie i faktach. Pochodzą one z eseju napisanego w obronie baśni przez Ursulę K. Le Guin, zatytułowanego „Dlaczego Amerykanie boją się smoków?”. Równie dobrze mogłaby spytać: „Dlaczego Amerykanie boją się duchów, wilkołaków i syren?”. Tak czy inaczej, Le Guin pisze: „Bo oczywiście fantasy jest prawdą. Nie jest faktem, ale prawdą. I dlatego właśnie tak wielu z nich [Amerykanów] boi się fantasy”. To kolejny cytat, jaki przypięłam do ściany w pokoju, w którym maluję, tuż obok fragmentu listu samobójczego Virginii Woolf.

Imp przez moment wpatrywała się w to, co napisała, po czym dodała: „Przestań odwlekać, Indio Morgan Phelps. To irytujące”.

W dzieciństwie moją ulubioną bajką była „Mała syrenka”. Najbardziej lubiłam, kiedy czytała mi ją na głos babcia Caroline. Miała sfatygowany, stary egzemplarz „Baśni” Hansa Christiana Andersena, wydrukowany w roku 1911, trzy lata przed jej urodzeniem. Twierdziła, że jej matka kupiła tę książkę w księgarni Brattle w Bostonie, gdy była z nią w ciąży. Zbiór babki ilustruje dwadzieścia osiem pięknych akwarel francuskiego artysty, Edmunda Dulaca, urodzonego w 1882 i zmarłego w 1953 roku. Kiedy Caroline się zabiła, wśród nielicznych rzeczy, pozostawionych mi w spadku, znalazła się ta książka. Jej strony pożółkły i zeszywniały ze starości, ilustracje zaczynały już blaknąć. Wyobrażam sobie, że dziewięćdziesiąt siedem lat temu, gdy prababcia kupiła ten zbiór, by mieć co czytać swojemu dziecku, były znacznie żywsze. Jasne, lubiłam też inne baśnie, zwłaszcza „Królową Śniegu” i „Wiatr opowiada o Waldemarze Daae i jego córkach”. Ale żadną z nich nawet w połowie tak jak „Małą syrenkę”. Prosiłam o nią tyle razy, że Caroline z pewnością nauczyła się jej na pamięć. Ale zawsze udawała, że naprawdę czyta, i przerywała, by pokazać mi ilustracje Edmunda Dulaca. Oglądałam dwie adaptacje filmowe tej historii - „Plusk”, który ukazał się dwa lata przed moim narodzeniem, i animowaną wersję disneyowską, wypuszczoną, gdy miałam trzy lata, toteż obie oglądałam na wideo. Rozzłościło mnie to, jak Disney zmienił zakończenie. Jasne, „Plusk” także, ale przynajmniej nie napchali go nudną, ckliwą muzyką, a Daryl Hannah nie musiała przestać być syreną.

Dla mnie zakończenie filmu Disneya zmieniło prawdę (choć nie fakt) w kłamstwo.

Moją najmniej ulubioną baśnią w dzieciństwie był „Czerwony Kapturek”. Oczywiście nie stanowił części książki, którą prababcia kupiła w Bostonie, bo nie napisał go Hans Christian Andersen, tylko Charles Perrault (którego nie należy mylić z Albertem Perrault). I nie opublikowano go w 1911, tylko w 1697 roku. Wówczas po raz pierwszy ukazał się drukiem, lecz historia ta istniała w różnych formach na długo przedtem, nim Perrault przelał ją na papier. Mam w domu teczkę na temat „Czerwonego Kapturka”, z wersjami sięgającymi nawet jedenastego wieku. Większość ludzi zna tę historię w wariacie zapisanym przez braci Grimm, a dzieciom zwykle opowiada się uładzoną i ugrzecznioną, w której myśliwy ratuje dziewczynkę przed wilkiem. Jednakże Caroline opowiedziała mi ją tak, jak ją wydano w zbiorze «Histoires ou contes du temps passé, avec des moralités: Contes de ma mère re l'oye” w 1697 roku. Wilk pożera zarówno „Czerwonego Kapturka”, jak i babcie, i nikt nie przybywa, by je ocalić; nie ma szczęśliwego zakończenia. Sądzę, że to prawdziwsze wcielenie tej historii, choć nawet jako dorosła, tak czy inaczej, jej nie lubię.

W każdym razie w tamtych czasach przerażała mnie nawet mimo szczęśliwego zakończenia. Po pierwsze, nigdy nie wyobrażałam sobie wilka jako prawdziwego zwierzęcia, lecz jak coś chodzącego na dwóch łapach i bardziej przypominającego człowieka. Chyba po prostu widziałam wilkołaka. Gdy byłam starsza i przeczytałam książkę na temat wilków, a także obejrzałam dokument w National Géographie, pojęłam, że to, jak wyobrażałam go sobie oczyma duszy, dodawało prawdziwości całej opowieści, bo ludzie są znacznie niebezpieczniejsi od wilków. Zwłaszcza gdy jest się wilkiem bądź małą dziewczynką.

Matka nigdy nie czytała mi bajek i nigdy nie opowiadała mi ich z pamięci. Rosemary Ann nie była złą matką, po prostu nie przepadała za baśniami.

„Myślę, że to, co dotąd napisałam, można nazwać prolegomeną, choć nigdy dotąd nie miałam powodu, by użyć tego słowa”, napisała Imp. A potem wstała i poszła do łazienki, bo od kawałka z Daryl Hannah chciało jej się siusiu. Po drodze wzięła też garść herbatników i jabłko, ponieważ znów zapomniała o obiedzie. Potem usiadła przy maszynie i napisała:

„Wielkie znaczenie baśni, a także miłość, jaką darzyła »Małą syrenkę«, oraz awersja do »Czerwonego Kapturka« stanowią sedno pisanej przez nią historii o duchach”.



Co oznacza, że to nie była dygresja.

Parę miesięcy po tym, jak Abalyn wprowadziła się do mnie, poszłyśmy na wystawę w galerii Belle u Browna. To był jej pomysł, nie mój. Wystawa, nosząca tytuł „Podglądacz całkowitego zniszczenia (z perspektywy czasu)” stanowiła retrospektywę dzieł artysty, który parę lat wcześniej zginął w wypadku motocyklowym i który sam nazywał siebie Albertem Perrault (choć nie z takim nazwiskiem się urodził). Słyszałam o nim, ale niezbyt wiele. Abalyn gdzieś w sieci czytała artykuł o Perrault, i poszłam z nią, bo bardzo chciała. Na wystawę składało się kilkanaście olejów, rzeźb i instalacji łączonych; niemal wszystkie zostały, przynajmniej częściowo, zainspirowane baśniami, głównie „Czerwonym Kapturkiem”. Gdybym wiedziała o tym wcześniej, być może puściłabym Abalyn samą. Pewnie bym się uparła. Teraz zaś trzymałam ją za rękę niemal przez cały czas pobytu w galerii.

Wpisałyśmy się do księgi gości przy drzwiach, Abalyn wzięła wydrukowaną na błyszczącym papierze broszurkę na temat wystawy. Pierwszy obraz nosił łaciński tytuł „Fecunda raits”. Płótno pokrywały głównie odcienie szarości, choć tu i tam zdarzyło się kilka plam zieleni i alabastru oraz jedna, uderzająca, szkarłatna smuga blisko środka. Karteczka na ścianie obok obrazu wyjaśniała, że Perrault zapożyczył ów tytuł od książki jedenastowiecznego pedagoga, Egberta z Liège, w której to książce znalazł się między innymi rozdział „De puella a lupellis seruata”, relacja o zaginionej dziewczynce odnalezionej wśród stada wilków. W historii tej miała na sobie czerwoną, wełnianą tunikę, w którą ubrał ją dziadek w dniu chrzcin. Ktoś dostrzegł plamę czerwieni i ją uratował, co chyba oznacza, że mamy do czynienia z moralitetem. Chrzcijcie dzieci, inaczej będą żyły wśród wilków.

Obraz mi się nie spodobał. Nieprzyjemnie mnie poruszył. Nie tylko dlatego, że cofnął mnie wprost w czasy dziecięcych lęków związanych z „Czerwonym Kapturkiem”. Miał w sobie coś okropnego, coś, co sprawiało, że nie mogłam patrzeć na niego dłużej niż kilka sekund. Być może powinno mi to zaimponować - oto artysta, który tak skutecznie zdołał wyrazić w swym dziele poczucie grozy. Moje wrażenia kształtowały się stopniowo, fragmentarycznie. Zerkalam na obraz, po czym odwracałam wzrok. Nie sądzę, by Abalyn to zauważyła; wątpię, by w ogóle miała pojęcie, jak wpływa na mnie ta wystawa, dopóki nie poprosiłam, żebyśmy już wyszły, co zdarzyło się jakieś dwadzieścia minut i kilkanaście obrazów i rzeźb później.

Zanim usiadłam do pisania, wygooglałam „Fecunda ratis” i obejrzałam kilka reprodukcji w sieci, bo nie chciałam polegać wyłącznie na niepewnych wspomnieniach. Obraz nie wstrząsnął mną już tak bardzo, jak owego sierpniowego dnia w galerii Belle. Od tego czasu zbyt wiele się wydarzyło i rzeźby i malunki Alberta Perrault, mimo że upiorne, błędną w porównaniu z owymi zdarzeniami. Ale, jak mówiłam, to głównie szarość i smuga czerwieni blisko środka. Smuga ta tworzy coś w rodzaju nieruchomej osi, nekusa. To dziecięca wełniana tunika do chrztu, jej jedyny strój. Dziewczynka klęczy na czworakach ze zwieszoną głową, tak że nie widzimy jej twarzy. Widać tylko szaleńczo skłębione, potargane włosy i czerwoną tunikę, co w kontekście całości obrazu wydaje mi się okrutne i niestosowne. Dziewczynkę otacza krąg ciemnych, przysadzistych postaci - wilków — a te z kolei siedzą wewnątrz większego pierścienia kamiennych bloków, wyniosłego, megalitycznego kręgu.

Wilki oddano tak niewyraźnie, że gdybym wcześniej nie przeczytała podpisu na ścianie, mogłabym wziąć je za coś innego. Mogłabym spojrzeć na owe wielkie, kudłate stwory przycupnięte lubieżnie na tylnych łapach, wpatrzone głodnym wzrokiem w dziewczynkę, i wziąć je za niedźwiedzie. Niedźwiedzie albo nawet, sama nie wiem, woły? Z obrazu nie da się wywnioskować, czy wilki mają właśnie zamiar pożreć dziewczynkę, czy też ją chronią. Nie da się orzec, czy zastanawiają się, jak niezwykły z niej wilczek, czy też myślą, że nigdy dotąd nie kochały się z ludzką kobietą, i może byłaby to ciekawa odmiana.

Ale najgorszy w tym obrazie był wąski pasek ryżowego papieru, przyklejony do lewego dolnego narożnika płótna. Na papierze wydrukowano słowa: „Nikt nigdy po ciebie nie przyjdzie”.

Kiedy usiadłam do maszyny, z jabłkiem i herbatnikami, zamierzałam opisać szczegółowo wszystkie eksponaty składające się na wystawę „Podglądacz całkowitego zniszczenia (z perspektywy czasu)”, a przynajmniej te, które obejrzałam, nim zrobiło mi się niedobrze i musiałyśmy wyjść z galerii. „Noc w lesie”, bardzo podobną do „Fecunda ratis”, tylko jeszcze mocniejszą. I „1893” i „Nagły lęk w zatłoczonych miejscach”. Serię zardzewiałych, metalowych klatek, noszących wspólny tytuł „Okruchy” -w każdej tkwił jeden jedyny kamień, na którym wyryto tylko jedno słowo. I groteskowe koło umieszczone pośrodku tego wszystkiego, „Fazy 1-5”, serię rzeźb przedstawiających przemianę kobiety w wilka. I to nie tylko zwykłej kobiety, lecz zamordowanego i rozczłonkowanego trupa Elizabeth Short, większości świata znanej jako Czarna Dalia. Tygodniami

nawiedzały mnie koszmary na temat tych rzeźb. Czasami wciąż mnie dręczą. Planowałam opisać to wszystko najlepiej jak umiem. Teraz jednak sądzę, że chyba lepiej będzie, jeśli tego nie zrobię. Może później, w trakcie opowieści, gdy okaże się to nieuniknione, ale nie teraz.

„A zatem”, napisała Imp, „znalazłam swój początek, choć mocno przypadkowy i chaotyczny. Zaczęłam swoją historię o duchach i zamierzam udawać, że nie ma już odwrotu”.

To kłamstwo, ale i tak będę udawać.

W ostatecznym rozrachunku być może wszystko to złoży się w jedną spójną całość. A może i nie. Nie dowiem się, póki nie odnajdę końca.

Ja, Rosemary Ann, Caroline. Trzy szalone kobiety z rzędu. Samobójstwo matki, samobójstwo babki. Usuwanie słów, tak by to co straszne zdawało się mniej straszne, i pozostawianie wyrazów nieznaczących już tego co kiedyś. „Mała syrenka”. Pochmurny dzień, w którym spotkałam Abalyn. Martwe wróble i myszy, uwięzione w zakorkowanych butlach. „Tonąca dziewczyna”, namalowana przez mężczyznę, który spadł z konia i umarł. „Fecunda ratis”, namalowana przez mężczyznę, który spadł z motocykla i umarł. Mężczyzna, który przyjął nazwisko Francuza, któremu często przypisuje się autorstwo pierwszej zapisanej wersji „Czerwonego Kapturka”, po czym stworzył straszliwe dzieła sztuki oparte na tej samej baśni. Która, tak się przypadkiem składa, jest moją najbardziej nielubianą baśnią ze wszystkich. Jacova Angevine i Otwarte Drzwi Nocy, do których dojdę później. Zaraźliwe nawiedzenia i zgubne memy. Krzywdy, które wyrządzamy, choć nie zamierzamy nikogo zranić.

Mroczna wiejska szosa we wschodnim Connecticut. Inna mroczna szosa nad rzeką w Massachusetts. Kobieta nazywająca siebie Evą Canning, która mogła być duchem, albo wilkiem, albo może syreną, albo też, co możliwe i najbardziej prawdopodobne, czymś, co nigdy nie miało nazwy.

Oto suma notatek, które matka kazała mi zapisywać, bym nie zapomniała czegoś, co zrobiło na mnie wyjątkowe wrażenie. To moje przeprosiny adresowane do Abalyn, choć wiem, że nigdy ich nie przeczyta.

Możliwe też, że to moja kieszeń, pełna kamieni.

„Chwilowo wystarczy”, napisała Imp. „Teraz odpocznij. Kiedy wrócisz, wszystko wciąż tu będzie”.

„I po co to zawracanie głowy z rozdziałami?" - napisała Imp. „Skoro nie piszę po to, by ktokolwiek to czytał - a tak z całą pewnością jest - i jeśli to nie książka, nie tak naprawdę, czemu w ogóle zawracam sobie głowę rozdziałami? Po co ktokolwiek zawraca sobie nimi głowę? Czy służą tylko temu, by czytelnik wiedział, gdzie przerwać lekturę i móc się wysikać albo coś przegryźć, kiedy będzie mógł zgasić światło i pójść spać? Czy rozdziały nie przypominają trochę początków i końców? Nie są sztucznymi konstrukcjami, arbitralnymi i wygodnymi?". Mimo to wystukała arabską cyfrę dwa w dokładnie siedemnastej linii na świeżej kartce papieru maszynowego.

Wokół mnie przemyka październik. Już od kilku dni, dni przepelnionych pracą i niczym poza tym, próbuję podjąć decyzję, kiedy i jak kontynuować historię o duchach. I czy w ogóle powinnam ją kontynuować. Oczywiście uznałam, że tak. To także przypomina nawiedzenie: kiedy zaczynamy coś i nie kończymy. Nie pozostawiam niedokończonych obrazów. Jeśli zaczynam czytać książkę, muszę ją skończyć, nawet jeśli strasznie mi się nie podoba. Nie marnuję jedzenia. Kiedy postanawiam pójść na spacer i zaplanuję dokładnie trasę, upieram się, by odpracować

ją do końca, choćby zaczął padać śnieg bądź deszcz. W przeciwnym razie musiałabym znosić dręczące mnie poczucie niedokończenia.

Nim poznałam Abalyn Armitage, nigdy nie grałam w gry wideo. Nie miałam nawet komputera. Niewiele też wiedziałam o transseksualistach. Ale do tego wrócę później. Teraz napiszę o grach, bo był to jeden z pierwszych tematów, na jakie rozmawialiśmy owego wieczoru. Zdołaliśmy zabrać wszystkie jej rzeczy z domu przy Wood Street, w którym już nie mieszkała, bo jej była dziewczyna wyrzuciła ją po zerwaniu, do mojego mieszkania przy Willow Street, nim zaczęło padać. Bo faktycznie zaczęło, co oznacza, że jednak zachowałam się rozsądnie, choć z pewnym wyprzedzeniem, zabierając parasolkę i wkładając kalosze. Wtaszczyłyśmy jej rzeczy do kamienicy, i na piętro. Większość zwałyśmy na stertę we frontowej bawialni, która i tak stała niemal pusta.

- Jesteś pierwszą znaną mi osobą, która nazywa pokój w swoim domu bawialnią — zauważyła Abalyn.

Siedziała na podłodze, przeglądając swoje płyty kompaktowe, jakby chciała się upewnić, że nie zostawiła niczego w starym mieszkaniu.

- Naprawdę?

Przyglądała mi się przez chwilę.

- W przeciwnym razie bym tak nie powiedziała.

- Uznaję argument - odparłam i spytałam, czy nie napiłaby się herbaty.

- Zdecydowanie wolałabym kawę - rzekła, a ja wyjaśniłam, że nie piję kawy, toteż nie mogę jej zaparzyć. Westchnęła i wzruszyła ramionami. -Nie szkodzi - mruknęła, po czym dodała: - Ale będę musiała to naprawić *tout de suite*. Nie potrafię żyć bez kawy. Niemniej, dzięki.

Spędziłam w kuchni najwyżej dziesięć minut, ale kiedy wróciłam, Abalyn zdążyła już podłączyć telewizor i właśnie podpinała do niego jedną z konsol do gier. Usiadłam na kanapie, przyglądając się jej i popijając herbatę. Była słodka, ale bez cytryny, bo zapomniałam je kupić podczas ostatniej wyprawy na targ.

- Kochałaś ją? - spytałam i Abalyn obejrzała się przez ramię, marszcząc brwi.

- To cholernie niedyskretne pytanie.

- Zgadza się, ale... Kochałaś?

Z powrotem skupiła wzrok na kablach i czarnych plastikowych pudełkach. Przez chwilę sądziłam, że mnie zignoruje i będę musiała wymyślić inne pytanie.

— Bardzo chciałam - rzekła w końcu. - Może z początku nawet tak myślałam. Chciałam uważać, że ją kocham.

- A ona, kochała cię?

- Kochała osobę, za którą mnie miała czy też wzięła przy pierwszym spotkaniu. Ale nie, nie przypuszczam, by kiedykolwiek mnie kochała. Nie jestem nawet pewna, czy mnie znała. Wątpię, czy ja znałam ją.

— Tęsknisz za nią?

- Minęło zaledwie kilka godzin.

W głosie Abalyn dosłyszałam irytację, toteż zmieniłam temat. Zamiast tego spytałam o czarne skrzynki i telewizor. Wyjaśniła, że jedna skrzynka to Xbox 360, a druga PS3, potem musiała wyjaśnić, że PS to skrót od PlayStation. Miała także Nintendo Wii, wymawiała to „hi”. Siedziałam i słuchałam, choć nieszczerze mnie to ciekawiło. Zaczynałam żałować, że zadałam jej pytanie o dziewczynę, dopiero z opóźnieniem pojęłam, jak bardzo było osobiste, toteż teraz mogłam przynajmniej jej wysłuchać. Uznałam, że rozmowa pozwoli jej zapomnieć o byłej i o tym, że nagle nie ma już gdzie mieszkać.

— Płacą mi za recenzje gier - oznajmiła, kiedy spytałam, dlaczego poświęca im tak wiele czasu. - Piszę głównie dla portali internetowych. Od czasu do czasu też coś drukuję, zwykle jednak publikuję w sieci.

- Ludzie czytają recenzje gier wideo?

- A myślisz, że gdyby nie czytali, płaciliby mi za nie?

— No tak. Ale... Chyba nigdy się nad tym nie zastanawiałam. — I wyjaśniłam, że nigdy w życiu nie grałam w grę wideo. Chciała wiedzieć, czy żartuję, odparłam, że nie. - Nieszczerze przepadam za grami. Nie dostrzegam w nich sensu. Umiem grać w warcaby, remika, w backgam-mona idzie mi całkiem nieźle. Ale już od lat... - Urwała, a ona znów obejrzała się na mnie przez ramię.

— Zawsze mieszkałaś sama?

- Odkąd skończyłam dziewiętnaście lat. - Podejrzewam, że w tym momencie pomyślała sobie coś w stylu „a zatem dlatego jesteś taka dziwna” . - Ale radzę sobie.

— Nie czujesz się samotna?

— Niespecjalnie - rzekłam, co było kłamstwem, nie chciałam jednak, by uznała mnie za żalostną marudę czy kogoś podobnego. - Mam swoje obrazy i pracę. Dużo czytam i czasami piszę opowiadania.

- Jesteś malarką i pisarką?

Teraz rozplątywała kłęb czarnych kabli, wyciągnięty z jednego z pudeł.

- Nie, tylko malarką. Ale czasami pisuję opowiadania.  
- Publikujesz je gdzieś?  
- Sprzedałam kilka, ale to mnie nie czyni prawdziwą pisarką. No wiesz, nie autorką.

Abalyn spojrzała wściekle na kłębowisko czarnych przewodów. Przez moment wyglądała tak, jakby zamierzała wepchnąć je z powrotem albo cisnąć na drugi koniec bawialni.

- Sprzedałaś kiedyś obraz? — spytała.

- Nie - odparłam. - Nie tak naprawdę. Nie prawdziwy obraz. Tylko te dla letnich ludzi.

Abalyn nie spytała, co miałam na myśli, mówiąc „te dla letnich ludzi”.

- Ale uważasz się za malarkę, nie pisarkę. Wiesz chyba, że to nie ma zbyt wielkiego sensu?

- Pracuję też w sklepie z materiałami dla grafików i za to mi płacą. Nie uważam się jednak za sprzedawczynię ani kasjerkę. Myślę o sobie jako o malarce, bo kocham malowanie, to moja namiętność. Zatem jestem malarką.

- Imp, nie przeszkadza ci chyba, że podłączę to wszystko? Powinnam była spytać wcześniej, ale chciałam się upewnić, że wszystko działa jak trzeba.

W końcu zdołała rozplątać przewody, podpięła konsolę do telewizora, a potem wyciągnęła z jednego z kartonów listwę zasilającą.

- Nie wadzi mi to. - Pociągnęłam łyk herbaty. - W sumie to nawet interesujące.

- Wiem, że powinnam była spytać, nim zaczęłam.

- Nie wadzi mi to - powtórzyłam. Przez chwilę przyglądałam się wielkiemu, płaskiemu telewizorowi. Abalyn oparła go o ścianę. Widywałam je na wystawach i w centrum handlowym, ale nigdy nie miałam własnego. - Nie mam kablówki.

- Och, już się domyśliłam.

A zatem zaczęło padać, a my rozmawialiśmy, i Abalyn z ulgą stwierdziła, że nic się nie zniszczyło. Wyjaśniła mi, że jej dziewczyna - tak w ogóle miała na imię Jodie (i chyba ma nadal) - wystawiła wszystko na korytarz, i to dość bezceremonialnie, gdy wciąż się kłóciły. Abalyn nie próbowała jej powstrzymać. Tak czy inaczej, pokazała mi, jak grać w kilka gier. W jednej było się żołnierzem-kosmitą, walczącym z inwazją obcych, występowała tam też błękitna, holograficzna dziewczyna. W innej grało się

żołnierza, który próbował powstrzymać terrorystów przed użyciem broni jądrowej.

- Czy wszystkie są tak pełne przemocy? - spytałam. - Czy wszyscy główni bohaterowie to mężczyźni? I czy chodzi w nich tylko o wojnę?

- Nie... Nie i nie. Może jutro pokażę ci „Finał Fantasy” albo może „Kingdom Hearts”. Gry tego typu bardziej powinny ci podejść. Choć wciąż trochę się tam walczy. Ale przemoc nie jest tak dosłowna, jeśli wiesz co mam na myśli. Obrazkowa przemoc.

Nie wiedziałam, co ma na myśli, ale nie powiedziałam. W końcu deszcz przestał padać. Zamówiliśmy chińszczyznę i w moim ciasteczku szczęścia znalazłam wróżbę brzmiącą: „Nie zatrzymuj się teraz”. Naprawdę. Nie wyśmiałam tego.

- Dziwny tekst jak na ciasteczko szczęścia - zauważyła Abalyn.

- Mnie się podoba - odparłam. Wciąż mam tę wróżbę, przypiętą do ściany wraz cytatami z Virginii Woolf i Ursuli K. Le Guin. Zawsze zachowuję wróżby z ciasteczek, choć zazwyczaj chowam je do antycznej puszkę na ciastka w kuchni. Pewnie mam ich co najmniej setkę.

„Dokąd to wszystko zmierza?” - napisała Imp, bo opowieść zaczynała wydawać się nieco chaotyczna. Potem odpowiedziała sama sobie, pisząc: „To się wydarzyło naprawdę. To jedna ze spraw, których jestem pewna”.

- Skąd możesz być taka pewna? A Imp napisała:

„Bo wciąż mam wróżbę z tego ciasteczka”, choć nie wydało się to zadowalającą odpowiedzią.

- No dobra - rzekła głośno — bylebyś tylko nie straciła z oczu kierunku, w którym zmierzasz. Nie zapomnij.

I nie zapomniałam.

Czy nie dlatego właśnie to piszę - bo nie zapomniałam, bo w żaden sposób nie udało mi się zapomnieć? Abalyn jest jednym z duchów, tak samo jak moja matka i babka, jak Phillip George Saltonstall i Albert Perrault, tak samo jak Eva Canning. Nikt nie twierdzi, że dopiero po śmierci i pogrzebie można zostać duchem. A jeśli nawet, to się myli. Ludzie, którzy w to wierzą, zapewne nigdy nie przeżyli nawiedzenia. Albo dysponują jedynie bardzo ograniczonym doświadczeniem z duchami, więc się na nich nie znają.

Tej nocy Abalyn spała na kanapie, a ja w swoim łóżku. Bardzo długo leżałam, nie mogąc zasnąć, i myślałam o niej.



Jeśli pozwolę to przeczytać doktor Ogilvy, to zapewne powie, że w sposobie, w jaki piszę swoją historię o duchach, odnajduje oznaki „zachowania unikowego”.

Ale to przecież moja historia, prawda? Owszem, toteż mogę ją opowiedzieć, jak tylko zechcę. Jest moja i mogę zwlekać, podchodzić okrężną drogą do pewnych wydarzeń i robić to wtedy, kiedy sama zechcę. Nie mam nad głową „stałego czytelnika”, którego musiałabym zadowolić, jestem tylko i wyłącznie ja. Mimo wszystko chcę spróbować napisać o drodze. I o nocy, gdy spotkałam Eve Canning. Chwilowo fakt, czy była to droga nr 122, biegnąca wzdłuż rzeki Blackstone tuż za Millville, Massachusetts, czy też Wolf Den Road w południowo-wschodnim Connecticut, nie ma żadnego znaczenia. Co oznacza, że nie ma też znaczenia, czy owo nocne spotkanie na drodze odbyło się odpowiednio w lecie bądź jesienią. Na razie droga to archetypiczna, abstrakcyjna szosa. Mogłaby leżeć gdziekolwiek. Szczegółowy opis nie uczyniłby jej ani odrobinę prawdziwszą, jedynie bliższą faktom.

Muszę to zapisać. Wszystko. Muszę dochować wierności zarówno prawdzie, jak i faktom, ale też zacząć od spojrzenia nie wprost na ową noc (czy też noc). Kącikiem oka. Czy raczej kącikiem pamięci. Kącikiem oka umysłu. W przeciwnym razie ryzykuję, że rzucę się do ucieczki. Ze oślepią odejdę od maszyny i nigdy do niej nie wrócę. Nie muszę wpatrywać się w słońce, by widzieć promieniujące z niego światło. To byłoby strasznie niemądre, prawda? Patrzyć w słońce. Oczywiście, że tak.

A zatem swoją hondą jadę drogą, może w Massachusetts, może w Connecticut, latem bądź w listopadzie. Dzieje się to miesiąc po tym, jak spotkałam Abalyn, albo też niemal cztery miesiące później. Tak czy inaczej, jadę sama, a noc jest bardzo ciemna. Księżyc w nowiu nie daje światła, scenerię oświetlają jedynie reflektory i gwiazdy, które widać tu znacznie wyraźniej niż w mieście i na przedmieściach, ze względu na brak świateł. Świeci także deska rozdzielcza hondy, rzucając wokół łagodny lecz niezdrowy, zielonkawy blask, który kojarzy mi się z filmami science fiction albo absyntem, choć nigdy go nie kosztowałam.

Robię tak czasami, kiedy nie mogę zasnąć, gdy głowę zanadto wypełniają mi myśli, głosy, przeszłość. Wsiadam do hondy i jadę donikąd, po prostu po to, by jechać. Zazwyczaj kieruję się na zachód lub północ, byle dalej od Providence, od miejsc, w których roi się od ludzi. Zmierzam

tam, gdzie mogę być sama z własnymi myślami i uporządkować je dostatecznie, bym, gdy w końcu wrócę do domu, mogła odpocząć (czasami docieram tam już po wschodzie słońca i cały dzień w pracy przysypiam, albo też w wolne dni śpię aż do późnego popołudnia). Próbuję zagubić się w ciemności, ale nie aż tak bardzo, by nie umieć trafić z powrotem do domu.

„Kochanek czeka u podróży kresu”. Kiedyś sądziłam, że to cytat z Shirley Jackson, bo Eleanor powtarza te słowa raz po raz w „Nawiedzonym”. Okazuje się jednak, że pochodzą z „Wieczoru Trzech Króli” Szekspira.

*Kochanek czeka u podróży kresu i wiedzą o tym mędrców cni synowie.*

*Synowie i córki.*

*Śmierć nie mogła stanąć i na mnie zaczekać — ja sama ją podwiozłam\*.*

Gdzież to jesteśmy, Imp? Ach, dokładnie tu, na drodze, w czasie nowiu w listopadzie, chyba że to lipiec. Na poboczu wznoszą się śnieżne pryzmy albo też jest tak gorąco, że opuszczam szyby i mój kiepski samochodzik wypełnia chłodne, nocne powietrze. Pędzę przez mrok (przyznaję, podczas tych nocnych wypraw często jadę bardzo szybko, bo czuję przymus, każący mi wyprzedzić samą siebie). I w jednej chwili jej nie ma, a w drugiej już jest. Właśnie tak. Nie natykam się na nią, raczej po prostu się pojawia. Nieważne. Wiem dokładnie o co mi chodzi. Jeśli to listopad w Connecticut, zwrócona do mnie plecami odchodzi, a las ma po prawej. Jeśli lipiec, stoi bez ruchu na poboczu, patrząc na południe, w ciemność, w której kryje się rzeka. Tak czy inaczej, jest naga. Jak na przymus opisywania nie wprost, dostrzegam tu zaskakującą precyzję i myślę, że zasłużyłam co najmniej na srebrną gwiazdkę przy nazwisku.

Jadę szybko, i biorąc pod uwagę to, jak nagle się pojawiła, ot tak, mijam ją, nim się upewnię, co naprawdę zobaczyłam. Potem jednak zwalniam. Zwalniam, i jeśli to lipiec, zjeżdżam na pobocze. Jeśli listopad, po prostu się zatrzymuję, bo pobocza nie ma, nie ma też żadnego ruchu na wąskiej asfaltowej Wolf Den Road. Poza tym, śnieg piętrzy się tak wysoko, że gdybym spróbowała zjechać, pewnie bym w nim utknęła.

\* Przeł. Stanisław Barańczak.

Patrzę w lusterko wsteczne, światła stopu zmieniły widok za mną w świat czerwieni. Widzę jednak, choć ledwo, ledwo. Stoi naga na poboczu, wydaje się, że mnie nie zauważyła. Co zrobiłaby w takiej sytuacji normalna kobieta? Czy pojechałaby dalej, uznawszy, że lepiej się w to nie mieszać? Czy wezwałaby pomoc? Czy wysiadłaby z wozu, tak jak ja? Wiem tylko, na co ja się zdecydowałam, choć nie pamiętam chwili, bym podejmowała decyzję. Zamiast tego zatem powinnam rzec: „Wiem tylko to, co ja zrobiłam”. Wrzuciłam w hondzie luz, zaciągnęłam hamulec ręczny i otworzyłam drzwi.

Jeśli nawet mnie widzi, to nie obraca się ku mnie. Nie daje po sobie poznać, że mnie zauważyła. Idzie ku mnie albo stoi w idealnym bezruchu.

- Nic pani nie jest?! - wołam. Ze względu na dużą odległość krzyczę, choć, jeśli to listopad, noc jest bardzo cicha. Jeśli lipiec, słychać świerszcze, pasikoniki, może też cykady. - Potrzebuje pani pomocy? Może panią gdzieś podwieźć?

Obraca się ku mnie, zerkając przez prawe ramię, albo też zatrzymuje się i patrzy na mnie.

- Nic pani nie jest? - powtarzam.

Jeśli powiem, że wyglądała nieziemsko, zabrzmiałoby to dziwnie, ale tak było. Co gorsza, to w sumie dość śmiałe założenie, prawda? Zakłada, że znam wszystko co ziemskie i poznaję coś, co takie nie jest. Ale takie właśnie odniosłam pierwsze wrażenie, gdy stałam tam na drodze, nieważne której, w nieważne którą noc, a mój oddech parował w powietrzu albo też wciągałam w płuca woń smoły i dzikich winorośli. To właśnie pierwsze słowo, które przyszło mi do głowy: nieziemska.

Zmrużyła oczy, jakby razily ją zbyt jasne reflektory samochodu. I chyba faktycznie były zbyt jasne w tej ciemności. Jej źrenice zapewne zwęziły się nagle, a oczy zabolaly. Przymknęła je, może osłoniła nawet ręką. Później przekonam się, że oczy ma niebieskie, w odcieniu, który Rosemary Ann nazywała butelkowym błękitem. Tyle że jeśli to listopad, przekonam się, że jej oczy mają osobliwy odcień brązu, tak jasnego, że niemal złotego. Tak czy inaczej, zmrużyła oczy, które błysnęły nagle, i mrugnęła. Pomyślałam „dzika” - to określenie znacznie stosowniejsze i mniej aroganckie niż nieziemska. Uśmiecha się, bardzo, bardzo lekko, tak lekko, że może w ogóle wyobraziłam sobie ten uśmiech. Robi krok ku mnie, a ja po raz trzeci pytam, czy nic jej nie jest.

- Musi pani zamarzać żywcem. Dostanie pani zapalenia płuc. Albo:

- Komary pożrą panią żywcem.

Po jednym kroku zatrzymuje się. Jeśli nawet się uśmiechała, to już przestała.

- Nie możesz trzymać się obu wersji, Imp. Musisz się zdecydować na jedną albo drugą, ale nie obie. - Jej głos jest zupełnie zwyczajny. Nie tak jak oczy. Mógłby należeć do każdej kobiety. - Nigdy nie planowałam, że to się stanie dwa razy.

- Ale ja to tak pamiętam - protestuję. - Tak się to wydarzyło, dwa razy na dwa sposoby.

- Często nie ufasz swoim wspomnieniom. Na przykład, wycieczka do New Brunswicku. Albo to, jak znalazłaś siedemdziesięciopięciodolarowy banknot na Thayer Streer.

- Nie ma czegoś takiego jak siedemdziesięciopięciodolarowe banknoty.

- I dokładnie o to mi chodzi. Ale mimo to pamiętasz, że go znalazłaś, prawda?

- Gdybyś chciała, żebym zapamiętała tylko jedno spotkanie, nie powinnaś pozwolić, by doszło do niego dwukrotnie.

- A nie przyszło ci do głowy, że powinnaś dokonać wyboru? Nie możesz trzymać się obu wersji. Jeśli spróbujesz, stworzysz paradoks.

- Jak dualizm korpuskularno-falowy - odpowiadam i dodaję w duchu: szach i mat. - W zależności od metody badania, materia ma właściwości fal bądź cząsteczek. To Paradoks PR. Mam podręcznik fizyki kwantowej i rozumiem z niego więcej niż sądziłam, kiedy kupiłam go na wyprzedaży garażowej przy Chapin Avenue.

Eva Canning marszczy brwi.

- Imp, wkładasz mi w usta słowa, których nie powiedziałam. Mówisz do siebie. To ty i ty, nie ty i ja.

Fakt.

Poza tym nie kupiłam wcale tej książki na wyprzedaży. Po prostu stałam tam i czytałam ją, póki staruszka, która sprzedawała swoje rzeczy, nie spytała, czy zamierzam ją kupić. Zawstydyłam się i odparłam: „Nie, po prostu przeglądam”, i odłożyłam podręcznik. Postarałam się uśmiechnąć najlepiej jak umiałam. Mimo wszystko tak to pamiętam: że spotkałam Evę Canning dwa razy, raz w lipcu i ponownie w listopadzie, i że za każdym razem było to nasze pierwsze spotkanie. Zamierzam zatem iść dalej, zakładając, że to nie fałszywe wspomnienia, choć z całą pewnością znacznie utrudnią mi opowiadanie mojej historii o duchach. Rzeczywiście to paradoks, i prawdę mówiąc, chwilowo nie widzę, jak go

rozwiązać i stworzyć jedną narrację z dwóch sprzecznych wspomnień. Eva nie mogła u mnie nocować w lipcu i w listopadzie — nie po raz pierwszy - prawda? Bo z tego co pamiętam, Abalyn odeszła tylko raz, z całą pewnością w sierpniu i z całą pewnością z powodu Evy. Dysponuję wieloma potwierdzającymi to dowodami fizycznymi. Szala raczej się przechyla na stronę lipca, szosy nr 122 i syren. Od Alberta Perrault ku Philipowi George'owi Saltonstallowi. Ale... Ogarnia mnie mdlące wrażenie, że kiedy następnym razem usiądę do pisania, w jakiś sposób szala przechyli się w drugą stronę, na rzecz listopada, Connecticut i wilków. Nie jest to tylko zwykłe powiedzonko: mdlące uczucie. Od świadomości, że tak może się stać, robi mi się słabo. Może jeszcze nie blisko wymiotów, ale z całą pewnością niedobrze.

Nastawię teraz wodę na herbatę, może zjem grzanek albo placek z jagodowym dżemem. I muszę się ubrać, bo za godzinę mam być w pracy. Choć powinnam wziąć prysznic, brak mi na niego czasu - siedziałam tu i pisałam od chwili, gdy ocknąłam się ze snu o Abalyn i Evie. Mam nadzieję, że jeśli użyję dezodorantu i włożę czystą bieliznę, nikt się nie zorientuje, że się nie myłam.

\*\*\*

Moja kuchnia to główny powód, dla którego wynajęłam mieszkanie na wschodnim końcu Willow Street. Wpada do niej poranne światło. Ściany pomalowano farbą w pogodnym odcieniu żółci i rankiem kuchnia jest bardzo jasna, a jesienią, w zimie i późną wiosną wydaje się cieplejsza niż w rzeczywistości. To miłe. Kuchnia uspokaja mnie po śnie. Zazwyczaj budzę się zdezorientowana, z poruszonymi nerwami: nawiedzają mnie sny jasne i wyraźne, niczym słońce odbijające się o ósmej rano od kuchennych ścian, lecz rzadko równie pogodne. Kiedyś nie dręczyły mnie tak okropne koszmary - zaczęły się po spotkaniu z Evą. Babcia Caroline zawsze powtarzała, że kuchnia to najważniejsze pomieszczenie w każdym domu (czy mieszkaniu), a jej rady zazwyczaj dobrze mi służyły.

Rankiem po pierwszej nocy spędzonej przez Abalyn u mnie, usiadłyśmy razem przy kuchennym stole. Ja zrobiłam sobie herbatę, do tego banana i omlet grzybek - jak zwykle - ona jadła wafle Nilla z masłem fistaszkowym. Moja herbata była jasna od mleka, jej nie. Abalyn miała na sobie czarną koszulkę i czarne bokserki, ja koszulkę nocną w kratkę, tę białą-niebieską. Przestało już padać i wyszło słońce, toteż żółta kuchnia

stała się jeszcze bardziej żółta. Wyraźnie pamiętam wszystkie te szczegóły - dziwne, bo wiele znacznie ważniejszych rozplynęło się we mgle lub zupełnie zniknęło.

Z moją pamięcią jest trochę tak, jakby Caroline i Rosemary nie umarły. Udaje ich zastępczynię i próbuje mnie chronić. Wybiera i pomija, zachowuje, sortuje i kasuje. Czasami też przytłacza. Oczywiście nie specjalnie.

- Zawsze masz wolne w sobotę? - spytała Abalyn, rozmazując łyżeczką sporą bryłkę masła fistaszkowego na wafli.

- Zazwyczaj - odparłam i wypłam łyk herbaty. - Ale wolałabym mieć więcej godzin. Chętnie pracowałabym w weekendy. Masz jakąś pracę?

- Już mówiłam. Piszę recenzje gier wideo.

- Ale poza tym.

Przeżuła wafle i przez chwilę przyglądała mi się.

- Nie, poza tym nie.

- Płacą ci dość, żebyś nie musiała szukać innej pracy?

- Nie do końca - wymamrotała z ustami pełnymi wafli i masła fistaszkowego.

- To jedna ze spraw, przez które rozleciało nam się z Jodie. Cały czas gderała, żebym znalazła sobie prawdziwą pracę. - Kiedy Abalyn powiedziała „prawdziwą pracę”, nakreśliła w powietrzu palcami sarkastyczny cudzysłów. - A tobie płacą dość w sklepie z artykułami dla plastików, że stać cię na czynsz za to mieszkanie?

- Prawie - rzekłam. - Mam też trochę oszczędności, pieniędzy, które zostawiła mi babcia. Jakoś wiąże koniec z końcem.

- Czyli jesteś tak jakby rentierką. - Zaśmiała się.

- Nie - odparłam i chyba w moim głosie zabrzmiał gniew. - Po prostu mam trochę pieniędzy, które babcia Caroline zapisała mnie i mojej matce. Owszem, to fundusz powierniczy, ale też pracuję. Gdybym nie pracowała, nie przetrwałabym zbyt długo.

- Szczęściara. - Abalyn westchnęła.

- Nigdy tak na to nie patrzyłam.

- Może powinnaś zacząć.

Przez dłuższą chwilę obie milczałyśmy. Nie tylko Abalyn rzucała kąśliwe uwagi na temat mojego spadku (egzekutorką jest ciotka Elaine). Czasami się zdarza i czasami wyjaśniam, że nie zostało z niego zbyt wiele. Że za kilka lat fundusz się wyczerpie i kto wie, jak wtedy sobie poradzę z czynszem, lekami i tak dalej? Ale nie wdawałam się w tę rozmowę z Abalyn, nie tego ranka. Jakiś czas później poruszyliśmy ten temat.

- Przepraszam - powiedziała. - Po prostu w tej chwili jestem trochę drażliwa w kwestii pieniędzy.

- Nie szkodzi. Nie ma sprawy.

Opowiedziała mi o Jodie, o tym, jak często się kłóciły, zazwyczaj o finanse. Jodie miała posadę w biurze od dziewiątej do piątej, Abalyn mówiła, że nie cierpiała faktu, że jej dziewczyna spędza całe dnie w domu, grając w gry wideo. Według Abalyn, zaczynały się kłócić, bo na przykład Jodie znajdowała coś w katalogu IKEI i rzucała od niechcienia, że byłoby je stać na znacznie ładniejsze rzeczy, gdyby Abalyn więcej zarabiała. Opowiedziała mi też, jak się spotkały, na Przyładku, w barze Provincetown.

- Wiem. To straszny banał. Trochę wypła, ale postawiłam jej jeszcze jedno piwo i zaczęłyśmy gadać. Nie zorientowała się, że jestem trans, póki nie poszłyśmy do mnie do hotelu.

„Nie wspominałam wcześniej o tym, że Abalyn była transseksualistką”, napisała Imp. „Nie chciałyby, żebym się nad tym rozwodziła, a dla mnie to nigdy nie miało znaczenia. To dlatego wcześniej nie poruszałam tego tematu”.

„To po prostu część tego, kim była”, napisała Imp.

- Czy się wkurzyła? No wiesz, kiedy się dowiedziała? -1 przypomniała mi się scena z „Gry pozorów”, kiedy Stephen Rea pierwszy raz widzi Dii nagą, ucieka do toalety i rzyga. Nie mówię Abalyn, że właśnie to sobie wyobraziłam.

- Prawdę mówiąc, owszem. I jednak nie poszłyśmy do mnie. Ale dałam jej wizytówkę...

- Masz wizytówki? Abalyn uśmiechnęła się.

- Z początku to miało być coś w rodzaju dowcip. Ale faktycznie się przydają. W każdym razie miała moją wizytówkę, a na niej e-mail, facebooka i w ogóle, i jakiś tydzień później skontaktowała się ze mną. Chciała znów się spotkać.

- I zgodziłaś się? Po tym, jak się zachowała?

- Przekonaś się, że potrafię być bardzo wyrozumiała, zwłaszcza gdy w grę wchodzi ładne kobiety.

I wtedy porozmawialiśmy trochę o jej transseksualizmie. Niezbyt dużo, tylko trochę. Nie wspominałam, że zorientowałam się natychmiast, gdy tylko poprzedniego dnia przyłapała mnie na grzebaniu w jej rzeczach. Pomyślałam, że to by było niegrzeczne. Abalyn opowiedziała

mi o wyjeździe do kliniki w Bangkoku na operację i o facecie, z którym wtedy żyła.

- Zapłacił prawie za wszystko, a zaraz potem zerwaliśmy. Okazało się, że po operacji mu się nie podobałam. Poznałam wielu podobnych gostków. Staje im na przedoperacyjnych, ale tak naprawdę to tylko geje z fetyszem, toteż pooperacyjni ich odrzucają.

- Kochałaś go? — spytałam, choć z perspektywy czasu widzę, że było to niedelikatne pytanie.

Abalyn zjadła kolejne ciastko z masłem fistaszkowym i lekko zmarszczyła czoło, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią, bądź próbowała ująć ją w słowa.

- Tak mi się wydawało. Wtedy. Ale przeszło mi. Byłam mu wdzięczna za to, co dla mnie zrobił, i rozstaliśmy się w przyjaźni. Od czasu do czasu wciąż ze sobą rozmawiamy. On dzwoni do mnie, ja do niego. Mejlujemy. To porządny facet, ale powinien trzymać się chłopów.

„To wszystko jest znacznie ważniejsze, niż może się wydawać na pierwszy rzut oka”, napisała Imp. Klawisze się zacięły i musiała przerwać, by je odblokować; przy okazji poplamiła sobie palce obu dłoni ruszem. Dualizm. Zmienność ciała. Przejście. Konieczność ukrywania swego prawdziwego ja. Maski. Tajemnice. Syreny, wilkołaki, płeć. Nasze reakcje na prawdziwy obraz rzeczy, na czyjaś prawdziwą twarz, na fakty sprzeciwiające się naszym oczekiwaniom i z góry przyjętym założeniom. Wyznania. Metafory. Przemiany. Wszystko to jest bardzo na temat. To nie była zwykła rozmowa przy śniadaniu. Nie opuszczaj niczego co ważne, choćby wydawało się najbardziej przyziemne.

Hemingway kazał pisać o pogodzie.

Imp przerwała, wpatrując się w zapisaną kartkę.

- Jesteś bardzo piękną kobietą - powiedziałam Abalyn, a potem dodałam szybko, bo natychmiast przyszło mi do głowy, że mogłaby to potraktować w niewłaściwy sposób. - Nie chodzi o to, że uroda ma znaczenie. I nie o to, by miała cokolwiek wspólnego z tym, czy...

- W porządku. Wiem, co masz na myśli. - Abalyn uniosła lewą rękę, przerywając mi.

- Wiesz?

- Najprawdopodobniej. W przybliżeniu.

- Czy kiedykolwiek żałowałaś? - spytałam, wiedząc, że nie powinnam, ale słowa wyrwały mi się z ust, nim zdołałam je powstrzymać.



Abalyn westchnęła ciężko i odwróciła głowę, wyglądając przez okno, zamiast patrzeć na mnie.

- Tylko raz czy dwa - rzekła bardzo cicho, niemal szeptem. - Nieczęsto i niezbyt długo. Wątpię, czy kiedykolwiek podjęłam decyzję, której bym nie żałowała, ale należało tak postąpić. To było jedyne wyjście.

Nie chcę więcej o tym pisać. Przynajmniej nie teraz. Pewnie będę musiała wrócić do tego później, choć wolałabym nie. Nie lubię myśleć o Abalyn w ten sposób. Nie lubię wspominać, jaka bywała onieśmielona i czuła się niezręcznie, ani wyrazu jej twarzy, gdy wychodziłyśmy i jakiś dupek rzucał coś wrednego czy nieuprzejmego. Albo zwracał się do niej: „Proszę pana”. Nie lubię wspominać tego, jak ją to raniło. Jak ją rani. Bo z pewnością wciąż tak jest, po prostu mnie nie ma w pobliżu i tego nie widzę, i o tym też wolę nie myśleć. To w końcu normalne. Tęsknimy za ludźmi, których nadal kochamy, i nie chcemy, by cierpieli, gniewali się bądź czuli upokorzeni.

Bardzo bym chciała móc litościwie w ogóle pominąć Abalyn w tej historii. Ale, podobnie jak Rosemary i Caroline, Phillip George Saltonstall i Albert Perrault, stała się jednym z wątków gobelinu i nie mogę opowiedzieć własnej historii, nie zawadzając o nią. Jest jej częścią. Jeśli Abalyn kiedykolwiek napisze własną opowieść o duchach, będę musiała się w niej pojawić i jestem pewna, że Abalyn o tym wie. Nie miałabym jej tego za złe.

Wypiłyśmy herbatę i zjadłyśmy śniadanie, a potem rozmowa zesłała na temat gier wideo i tego, że nigdy nie miałam komputera. Kiedy w kuchni zaczęło się robić za gorąco (nie mam klimatyzacji), przeniosłyśmy się na kanapę. Abalyn wygłosiła wykład na temat MMORPG, a także wad i zalet poszczególnych konsol i plusów i minusów pecetów i maców. Cierpliwie wyjaśniała bugi i bajty i wspominała, jak bardzo żałuje, że w latach osiemdziesiątych była za mała, by doświadczyć Złotego Wieku salonów gier wideo. Trwało to całymi godzinami. Przez większość czasu nawet uważnie słuchałam. I zaczęłam rozumieć, dlaczego Abalyn żyje tak jak żyje, pisze recenzje gier, unika konwencjonalnych miejsc pracy. Czuła się bezpieczna, zamknięta przed monitorem bądź ekranem telewizora, bez wpatrzonych w nią wścibskich, nieproszonych oczu, wyciągających niechciane, tępe wnioski. Nigdy nie pozbawię jej tej prywatności. Przenigdy.

\*\*\*

Wracamy do Phillipa George'a Saltonstalla. I do „Tonącej dziewczyny”.

W mojej opowieści o duchach pełno jest istotnych chwil, których znaczenie odkryłam dopiero z perspektywy czasu. Może zawsze tak to wygląda. Nie potrafię stwierdzić, bo przeżyłam tylko jedno nawiedzenie. Mam jeden punkt odniesienia. Muszę jednak podkreślić, że nie było to proste nawiedzenie, z tych, o których zazwyczaj czyta się bądź słucha opowieści przy ognisku. Nie poczułam nagłego, niewyjaśnionego chłodu w ciemnym pokoju. Nie obudziły mnie jęki czy brzęk łańcuchów. Nie wstrząsnął mną widok przepływającej korytarzem kobiety z ektoplazmy. To tylko żarty, karykatury widm, wymyślone przez ludzi, którzy nigdy nie znosili (albo może nie dostąpili łaski) prawdziwego, faktycznego nawiedzenia. Tego jestem zupełnie pewna.

A zatem mamy tu istotne wydarzenie, którego wagę zrozumiałam z czasem. Z początku jednak była to zwykła anegdota, ciekawa historyjka opowiedziana mi przez babcię.

*L'inconnue de la Seine.*

Nie znam francuskiego. Przez rok uczyłam się go w liceum, ale nie szedł mi zbyt dobrze (podobnie jak wiele innych przedmiotów) i zdążyłam już zapomnieć niemal wszystko, co zdołałam zapamiętać.

Caroline natomiast mówiła po francusku. W młodości wyjechała do Paryża, na Mont Saint Michel, do Orleanu i Marsylii. Przywiozła stamtąd zdjęcia i widokówki. Całe pudło pamiątek. Czasami wyciągała je i mi pokazywała. Znała też wiele historii o Francji. Jedną z nich opowiedziała mi, kiedy miałam dziewięć lat.

Ubóstwiam jej francuskie opowieści, bo bardzo poważnie wątpię, bym sama kiedykolwiek zdołała się tam wybrać. Podróże nie są już tak tanie i łatwe jak kiedyś, a poza tym nie podoba mi się perspektywa lotu samolotem (nigdy nigdzie nie leciałam).

Byłam wtedy w harcerstwie i pracowałam nad pierwszą odznaką. Pewnego dnia nasz zastęp odwiedziła kobieta ze szpitala w Providence i nauczyła nas pierwszej pomocy, posługując się gumową lalką, którą nazywała ReaniAnia. Uczyłyśmy się, jak właściwie uciskać klatkę piersiową, jak przykładąć usta do warg kukły i wdmuchiwać w nią powietrze. Jak mamy oddychać w usta kogoś, komu ustał oddech po ataku serca. Tego dnia Rosemary była zajęta - nie pamiętam czym - i po zbiórce odebrała mnie babcia Caroline.

Jeździła wielkim samochodem, sinoniebieskim pontiakiem Star Chief z 1956 roku. Uwielbiałam jego szeroką tylną kanapę. Samochód ten stanowił całkowite przeciwieństwo mojej mizernej, małej hondy. Szybkościomierz dochodził aż do stu dwudziestu mil na godzinę. Wóz płynął ulicami tak gładko, że niemal nie czuło się wybojów ani dziur. Tuż po samobójstwie babci, Rosemary sprzedała samochód kolekcjonerowi z Wakefield. Często żałowałam, że to zrobiła, że nie przekazała go mnie. Oczywiście, benzyna jest dziś strasznie droga, a Star Chief z pewnością mnóstwo palił, więc pewnie i tak nie byłoby mnie stać na jeżdżenie nim. Nie stać mnie na wyprawę do Paryża ani na jazdę utraconym Star Chiefem Caroline.

Wróciłyśmy do jej domu i kiedy próbowałam cokolwiek zrozumieć z zadania domowego z matematyki, po tym jak wspomniałam jej o ReaniAni, Caroline opowiedziała mi o *l'inconnue de la Seine*.

- Kukła miała bardzo charakterystyczną twarz, prawda? - spytała i przez moment musiałam zastanowić się nad odpowiedzią. - Nie była to zwykła, sztampowa twarz - dodała Caroline. - Nie wymyślona przez kogoś, lecz twarz, która musiała niegdyś należeć do prawdziwej ludzkiej istoty. - Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że ma rację, i powiedziałam jej to.

- Cóż, to dlatego, że to nie była wymyślona twarz - wyjaśniła Caroline, a potem opowiedziała mi historię topielicy znalezionej w Sekwanie w latach osiemdziesiątych albo dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Ciało zauważono niedaleko Quai du Louvre i zawieziono do paryskiej kostnicy.

- Kobieta była bardzo ładna - ciągnęła Caroline. - Wręcz piękna. Mimo długiego czasu spędzonego w rzece, nie straciła urody. Jeden z asystentów pracujących w kostnicy tak bardzo się nią zachwycił, że sporządził jej maskę pośmiertną. A potem zaczął sprzedawać setki kopii twarzy pięknej dziewczyny. Niemal wszyscy w Europie znali jej oblicze, choć nigdy nie dowiedzieli się, kim była. To mógł być każdy. Może uliczna kwiaciarka albo krawcowa czy żebraczka. Jej tożsamość wciąż pozostaje tajemnicą. Nikt nigdy nie zgłosił się po ciało.

Do tego czasu kompletnie zapomniałam o nudnym i męczącym zadaniu domowym i zafascynowana słuchałam słów babci. Caroline oznajmiła, że widziała kopię tej maski, gdy w latach trzydziestych odwiedziła Paryż. Pisano o niej opowiadania, wiersze, a nawet powieść. Nazwano ją *l'inconnue de la Seine* (co przetłumaczyła jako „Nieznana kobieta z Sekwany”, choć Babel Fish twierdzi, że należy to tłumaczyć jako „Nieznany

czynnik z Sekwany". Twierdzi też, że „Nieznana kobieta z Sekwany" po francusku to *Le femme inconnu du Seine*. Może i tak, ale programowi komputerowemu ufam znacznie mniej niż nieżyjącej babci). Twierdziła, że jedną historię napisano z punktu widzenia martwej dziewczyny, spływającej w dół rzeki. W historii tej nie pamięta, kim była za życia. Nie pamięta nawet własnego imienia. Stała się nową istotą, która musi żyć na dnie rzeki bądź w morzu, ale nie chce tak żyć, toteż pozwala, by jej ciało wypłynęło na powierzchnię, gdzie szybko tonie w powietrzu.

Babcia Caroline nie wspomniała tytułu tej historii ani autora, a jeśli wspomniała, to zapomniałam. Znalazłam ją w wiele lat później. Napisał ją poeta, Jules Supervielle, urodzony w 1884 i zmarły w 1960 roku. Wydane w roku 1929 opowiadanie zatytułowano po prostu *L'inconnue de la Seine*. Znalazłam je w bibliotece Uniwersytetu Browna w zbiorze utworów Supervielle'a zatytułowanym „L'Enfant de la Haute Mer". Przyniosłam go do domu, choć, jak mówiłam, nie znam francuskiego. Przepisałam całe opowiadanie ręcznie. Wciąż gdzieś je mam. Znalazłam też inne wiersze i opowiadania na temat utopionej dziewczyny. Vladimir Nabokov napisał o niej wiersz, wiersz, w którym wspomina też o słowiańskich rusałkach. Man Rey zrobił zdjęcia jej twarzy.

Jeśli dowiedziałam się czegoś o prawdziwych historiach o duchach, to tego, że rzadko wiemy, co naprawdę nas spotyka, i dopiero po fakcie odkrywamy, że to nawiedzenie, gdy właściwe wydarzenia dobiegają już końca. Oto najlepszy przykład. Pierwszą kobietą, którą całowałam, była *l'inconnue de la Seine*, podobizna nieznanej samobójczynie urodzonej ponad sto lat przede mną. Tego dnia przyciskałam delikatnie wargi do jej ust, raz po raz wdmuchując ostrożnie powietrze w pozbawione życia płuca. I poczułam osobliwe mrowienie w brzuchu. Teraz, z perspektywy czasu pojmuję, że było to jedno z moich najwcześniejszych doznań seksualnych, choć miało minąć jeszcze kilka lat, nim w końcu przyznałam się sama przed sobą, że pragnę się kochać wyłącznie z kobietami. Moje wargi musnęły owe silikonowe usta i poczułam... Właściwie co? Chyba dreszcz. Przebłysk rozkoszy, który pojawił się i zniknął tak szybko, że ledwie go zarejestrowałam.

Siedzę tak i wpatruję się w zdjęcia pośmiertnej maski. Mam książkę na temat rzeźby, w której zamieszczono dwie czarno-białe fotografie. Nie wydaje się martwa. Nie wygląda nawet jakby spała. Jej usta wyginają się w ciepłym uśmiechu (dzięki któremu czasami nazywają ją „Utopioną Moną Lisą"). Włosy ma rozdzielone pośrodku. Wyraźnie widać jej rzęsy.

Gdy patrzę wstecz, widzę, że wszystko to tworzy idealny krąg. Mándale chwil, które z perspektywy czasu zyskują ogromne znaczenie. Teraz tylko to mówię, podaję fakt, lecz może później, w miarę rozwoju mojej historii o duchach, wszystko stanie się jaśniejsze. Albo nie, i wówczas odniosę klęskę.

Dwa lata później, w jedenaste urodziny, zobaczę obraz Phillipa George'a Saltonstalla „Tonąca dziewczyna” wiszący w RISD. Jedenaście lat później, w pewną lipcową noc wybiorę się na przejażdżkę i spotkam Evę Canning, czekającą na mnie niedaleko brzegu rzeki Blackstone. Piękną, straszliwą, utraconą Evę. Mojego ducha, który był syreną. Chyba że nie był. Pocałuje mnie, a jej wargi nie będą się różnić od ust manekina do reanimacji, ust *l'inconnue de la Seine*. I wtedy zakocham się w niej, choć byłam już bardzo zakochana w Abalyn. Czy pomocnik z kostnicy ucałował owe martwe usta przed tym, lub po tym, jak sporządził maskę?

W mojej głowie wszystko tworzy idealny krąg, elegancki, nieunikniony obwód. Ale gdy widzę to na papierze, zaczynam się gubić. Obawiam się, że nie umiem wyrazić jasno tego, co bym chciała. Tego, co pragnę wyjąć z umysłu i umieścić gdzieś poza mną. Nie znam odpowiednich słów, może dlatego, że nie istnieją właściwe słowa, które mogłyby wyciągnąć nawiedzenie na światło dzienne i uwięzić je w tuszu i papierze.

Na swym obrazie Saltonstall ukrył przed widzami twarz „Tonącej dziewczyny”, każąc jej obejrzeć się przez ramię, w stronę lasu. Lecz obraz powstał w 1898 roku, zgadza się? Zatem... Całkiem możliwe, że widział *l'inconnue de la Seine*. Kochał się w swojej kuzynce i jeśli to właśnie Mary Farnum namalował, zapewne dlatego ukrył jej twarz. Ale może nie. Eva Canning nie nosiła twarzy *l'inconnue de la Seine*, choć przywdziała co najmniej dwie, o których mi wiadomo.

Nigdy nie mogłabym zostać pisarką. Nie taką prawdziwą. Nie wytrzymałabym tego. To straszne uczucie, gdy dręczą cię myśli, które odmawiają ułożenia się w zdania.

Za pół godziny zamykają aptekę, a ja muszę jeszcze zrealizować receptę.

\*\*\*

Czy ja się powtarzam? Ba. Da. Ba-da.

Pytając o to, nie mam na myśli użytecznych powtórek, które podkreślają i uwidaczniają sposoby, na jakie wszystkie te wydarzenia i życia łączą się nierozzerwalnie ze sobą, tworząc historię o duchach, którą przeżyłam,

a obecnie próbuję zapisać. Chodzi mi o to, czy się powtarzam (Ba. Da. Ba-ba.), i chciałam także spytać, czy robię to, by uniknąć ruszenia dalej, ku przerażającej, smutnej prawdzie? Czy zwłóczę, bo jestem wariatką, doskonale zdającą sobie sprawę ze swojego szaleństwa, lecz nie chcącą przypominać sobie, jak bardzo jest szalona, opowiadając dwie historie — obie prawdziwe, choć tylko jedna może być zgodna z faktami? Bo czuję się dokładnie tak, jakbym to robiła. Jakbym odgrywała stary żart Rosemary o człowieku w łodzi, mającym tylko jedno wiosło, który bez końca pływa w kółko i nigdy nie dotrze do brzegu. Jak mam inaczej postąpić, skoro opowieść to spirala, czy raczej spirale tkwiące wewnątrz spiral? Czy wpadam w panikę, bo wydaje mi się, że powinnam wymusić trzeźwą, prostą linię, narrację, która zaczyna się tutaj i zmierza tam konwencjonalną, spójną trasą? Czy jestem zbyt zaprzętnięta wątpliwym w sobie i osłanianiem się własną niepewnością - jak kołdrą, gdy miałam pięć lat i bałam się ciemności, bałam się tego, co może kryć się w mroku, wilków - by przestać zwlekać i po prostu opisać to wszystko?

Czy jestem wariatką, która jedynie przekształca w słowo pisane swoje urojenia i pokreconą świadomość?

Doktor Ogilvy nie lubi słów „wariatka”, a także „szalona”. Zapewne z aprobatą przyjęła zmianę nazwy Szpitala Butlera. Ja jednak jej powtarzam, że to uczciwe słowa. Pieprzyć konotacje polityczne czy negatywne, to uczciwe słowa, a ja ich potrzebuję. Może przeraża mnie myśl, że mogłabym zostać przymusowo zamknięta, wizja antyseptycznych, sterylnych szpitali i tego, jak pozbawiają ludzi godności, ale słów się nie boję. Ani się nie wstydzę. Boję się natomiast myśli, że utknęłam w pętli i nie mogę (albo nie chcę do tego stopnia, że równie dobrze mogę to nazwać niemocą) porozumiewać się w prosty sposób. A wstydziałabym się, gdybym nie zdołała znaleźć w sobie dość odwagi, by opisać prawdę.

„Nic nigdy nie jest proste”, napisała Imp, „choć udając to, tracimy wiele z prawdy”.

Skończ z pytaniami. Po prostu przestań. Strach tylko mnie złości. Nie da się opisać, jak bardzo. Nie zdołam tego dokończyć, jeśli każda próba będzie budzić we mnie wściekłość, a jedyną kwestią, która wkurza mnie bardziej niż strach, są niepowodzenia. Muszę więc to zrobić i sama siebie nie powstrzymam.

\*\*\*

Tak naprawdę nie omawiałyśmy z Abalyn tego, że się wprowadzi. Po prostu to zrobiła. Ja miałam miejsce, a ona musiała gdzieś zamieszkać. Niemal od początku pragnęłam, by znalazła się blisko mnie. Chciałam się w niej zakochać, czy może były to początki miłości. Nie przypominały zwykłego zadurzenia. Nie byłam dziewicą. Mnóstwo razy ktoś mi się podobał, ale to uczucie było inne. Nie tak... jak to nazwać? Uporczywe? Niemniej, chciałam, żeby została i została, a ja się ucieszyłam. Pamiętam dobrze, że pierwsze kilka nocy przespaa na kanapie, wśród swoich gier wideo, potem w końcu przekonałam ją, że to niemądre, skoro mam mnóstwo miejsca w łóżku. Pragnęłam, by znalazła się w moim łóżku. Chciałam mieć ją blisko i ulżyło mi, gdy przyjęła zaproszenie. Kiedy kochałyśmy się po raz pierwszy, pierwszej nocy, gdy nocowała w moim łóżku, poczułam cudowną ulgę.

W czwartek, po naszym spotkaniu, wcześniej wyszłam z pracy i razem pomaszerowałyśmy Willow Street do parku, na Plac Treningowy Dextera, który, jak już wspominałam, mimo nazwy przestał już dawno pełnić wojskową funkcję. W czwartki, co tydzień od początku czerwca aż do października, odbywa się tam targ produktów rolnych. Nawet jeśli niczego nie kupuję, lubię tam chodzić i oglądać czekające na nabywców owoce i warzywa, spiętrzone w kolorowe, świeże sterty, wypełniające plecione, wiklinowe kosze i małe, kartonowe pudełka. Wczesnym latem można tam znaleźć słodki groszek, fasolkę szparagową, ogórki, wiele odmian papryki (ostrą, łagodną, słodką, czerwoną, żółtą i zieloną), jabłka, truskawki, jarmuż, rzepę, kruchą sałatę, pikantne rzodkiewki, tradycyjne odmiany pomidorów i wielkie dzbany cydru. W czerwcu jest jeszcze za wcześnie na porządną kukurydzę, jagody też nie dojrzały. Ale przywożą chleb z miejscowych piekarni. Czasami także świeże kiełbaski i bekon, sprzedawane z przenośnych lodówek przez tych samych ludzi, którzy wyhodowali i zarznęli świnię. A wszystko ułożone na długich, składanych stołach pod koronami kasztanowców.

Tego dnia kupiłam jabłka i pomidory, a potem usiadłyśmy z Abalyn na ławce pod drzewami. Każda z nas zjadła jedno jabłko. Smakowały idealnie, doskonale połączenie kwaskowatości i słodyczy. Następnego dnia z reszty upiekłam szarlotkę.

- Chcesz usłyszeć coś upiornego? - spytałam, skończywszy z jabłkiem i cisnąwszy ogryzek wiewiórkom i ptakom.

-To zależy - odparła. - Czy chcesz mi powiedzieć, że jesteś seryjną morderczynią albo kręcą cię furry, czy coś równie upiornego?

Musiałam ją spytać, czym są furry.

- Nie, to cos', co widziałam jakiś rok temu tu, w parku.

- W takim razie jasne. Opowiedz mi coś upiornego. - Jadła jabłko znacznie wolniej niż ja (bardzo często jadam za szybko) i właśnie odgryzła kolejny kęs.

- Pewnego wieczoru jechałam do domu z pracy. Zazwyczaj jeżdżę autobusem, no wiesz, ale tego dnia wzięłam samochód, bo, sama nie wiem, po prostu miałam ochotę. Tego wieczoru w drodze do domu, mijając park, zobaczyłam cztery osoby spacerujące razem. Były daleko od latarni, pod drzewami, w najciemniejszym miejscu, ale nadal widziałam je całkiem wyraźnie. Gdy dostrzegłam je po raz pierwszy, pomyślałam, że to zakonnice, co samo w sobie jest już dość dziwne. Tu nigdy nie widuje się zakonnice. Ale potem przestały je przypominać.

- Już zakonnice są dostatecznie upiorne - wymamrotała Abalyn z ustami pełnymi jabłka. - Mam zakonnicefobię.

- Zauważyłam, że nie mają na sobie habitów, tylko długie czarne płaszcze z kapturami osłaniającymi głowy. I nagle zwątpiłam, czy to w ogóle kobiety. Z tego, co widziałam, równie dobrze mogli to być mężczyźni. A potem - i tak, wiem, jak to brzmi - wyimaginowałam sobie, że to w ogóle nie ludzie.

- Wyimaginowałaś? Nikt już nie mówi „wymagynować”.

- Język to i tak bardzo kiepskie narzędzie komunikacji - oznajmiłam. - Więc powinniśmy posługiwać się wszystkimi dostępnymi słowami. - Nie była to bynajmniej moja oryginalna myśl, tylko parafraza Spencera Trący'ego z filmu „Kto sieje wiatr”.

Abalyn wzruszyła ramionami.

- Zatem zakonnice, które nie były zakonnicami, mogły w ogóle nie być ludźmi. Mów dalej - rzekła i odgryzła kolejny kawałek jabłka.

- Nie twierdziłam na pewno, że to nie byli ludzie. Jednakże przez moment bardziej przypominali kruki usiłujące z całych sił wyglądać jak ludzie. Może starały się aż za bardzo i z tego powodu dostrzegłam, że to naprawdę kruki.

Abalyn chrupała jabłko, przyglądając mi się. W tym czasie wiedziała już, dlaczego zażywam tak wiele pigułek. Widziała fiołki na mojej nocnej szafce, a ja opowiedziałam jej trochę o sobie. Nie wszystko. Nie o Caroline ani o matce, lecz dość, by zorientowała się w moich problemach ze zdrowiem psychicznym (doktor Ogilvy aprobeuje to określenie). Mimo to owego dnia nie powiedziała, że jestem wariatką. Spodziewałam się tego,



ale nie. Zjadła jedynie jabłko, przyglądając mi się owymi błękitnozielonymi, butelkowymi oczami.

- Jasne, oczywiście wiem, że to nie były kruki. Nie mam pojęcia, czemu tak mi się zdawało. Zapewne widziałam grupkę wiccan. Podejrzewam, że w okolicy mieszka ich trochę. Może zmierzali na jakiś rytuał, sabat czarownic, imprezę składkową, czy czym tam zajmują się wiccianie.

- Szczerze mówiąc, byłoby znacznie ciekawiej, gdybyś faktycznie widziała kruki starające się usilnie udawać istoty ludzkie - oznajmiła Abalyn. - To dużo bardziej upiorna wizja niż zwykli wiccianie. Poznałam kilka czarownic: w odróżnieniu od zakonnic, nie bywają upiorne. Prawdę mówiąc, zazwyczaj są raczej nudne.

Skończyła jabłko i rzuciła ogryzek, który wylądował w trawie obok mojego.

- Czymkolwiek były, skonfundowały mnie.

- Skonfundowały? - powtórzyła z uśmiechem. - Wiesz chyba, że nikt już tak nie mówi.

- Ja mówię - odparłam i pstryknęłam ją lekko, żartobliwie, w lewe ramię, bo siedziałam po lewej stronie. Abalyn udała, że ją zabolalo i zrobiła cierpiętniczą minę. - Skonfundowały mnie, toteż wróciłam do domu, zamknęłam drzwi na klucz i tej nocy spałam przy zapalonych światłach. Ale nic złego mi się nie śniło. Szukałam ich później następnego wieczoru, i kolejnego, ale nigdy więcej ich nie widziałam.

- Czy uczyłaś się w domu? - spytała, co mnie rozdrażniło, bo nie miało nic wspólnego z tym, co widziałam owej nocy w parku.

- Dlaczego?

- Bo jeśli tak, to mogłoby tłumaczyć, czemu używasz takich staroświeckich słów jak imaginować i konfundować.

- Nie uczyłam się w domu - wyjaśniłam. - Chodziłam do szkół publicznych, tu, w Providence i w Cranston. Nie znosiłam ich i byłam kiepską uczennicą. Ledwie przeszłam do trzeciej klasy, to cud, że skończyłam liceum.

- Ja nie cierpiałam liceum - oznajmiła Abalyn - z dość oczywistych powodów, ale byłam niezłą uczennicą. Gdyby nie większość pozostałych uczniów, może polubiłabym szkołę. Ale szło mi dobrze. Miałam świetne wyniki egzaminów, dostałam nawet częściowe stypendium na MIT.

- Studiowałaś na MIT?

- Nie, na uniwersytecie Rhode Island w Kingston.

- Wiem, gdzie jest URI.

- ...Bo to było tylko częściowe stypendium, a moi rodzice nie mieli reszty kasy.

Znów wzruszyła ramionami. Kiedyś ten jej zwyczaj strasznie mnie drażnił. Jakby nie dbała o nic, nic jej nie ruszało, choć wiedziałam doskonale, że tak nie jest. Bardzo chciała pójść na MIT i studiować informatykę i sztuczną inteligencję, zamiast tego wybrała URI i bioinformatykę. Wyjaśniła mi, że to nowa gałąź nauk informatycznych (nazywała je „IT”), zajmująca się wizualną analizą ogromnej liczby danych biologicznych - jako przykład podała sekwencjonowanie i mikromacierze DNA. W szkole nie radziłam sobie dobrze z biologią, ale sprawdziłam to. To znaczy bioinformatykę.

Przez chwilę wbijałam wzrok w ziemię u mych stóp.

-To musi być bardzo opłacalny zawód - rzekłam. - Ale zamiast tego piszesz recenzje gier wideo i płacą ci grosze.

- Robię coś, co kocham, tak jak ty i twoje malarstwo. Nigdy nie kochałam bioinformatyki. To po prostu zajęcie, dzięki któremu mogę mówić, że poszłam na studia. Wiele dla mnie znaczyły, ale jeszcze więcej dla moich rodziców, bo żadne z nich nie studiowało.

Katharine Hepburn powiedziała coś podobnego: „Rób to, co cię interesuje, a uszczęśliwisz przynajmniej jedną osobę”.

W tym momencie zerwał się wietrzyk, ciepły wietrzyk pachnący świeżo skoszonym trawnikiem i rozgrzanym asfaltem. Zaproponowałam, żebyśmy wracały. Abalyn przyłapała mnie na tym, że zerkam w miejsce pod kasztanowcami i dębami, w którym widziałam niezakonnicie-niekruki, pochyliła się i pocałowała mnie w prawą skroń. To mnie oszołomiło, bo pocałunek sprawił, że poczułam się bezpieczniej, ale zanim skupiłam wzrok w miejscu pod drzewami, moim ciałem wstrząsnął dreszcz.

- Hej, Imp - rzuciła Abalyn. - Teraz ja jestem ci winna.

- Co masz na myśli? - Wstałam i poprawiłam spódnicę, wygładzając fałdy. - Co jesteś mi winna?

- Coś za coś. Opowiedziałas mi upiorną historię, teraz ja jestem ci winna taką samą. Nie w tej chwili, ale później. Opowiem ci o tym, jak najaraliśmy się z kumplami i włamaliśmy do starego kolejowego tunelu pod College Hill.

- Nie musisz tego robić. Nic nie jesteś mi winna. To tylko historia, której nikomu wcześniej nie opowiadałam.

- Mimo wszystko - rzekła, a potem wróciłyśmy na Willow Street do mieszkania. O mało nie napisałam „mojego mieszkania”, tyle że szybko

stawalo się naszym. Podczas gdy ja przyrządzałam obiad w przytulnej, maślano-żółtej kuchni, ona grała w coś hałaśliwego z mnóstwem strzałów i wypadków samochodowych.

\*\*\*

Jeśli mają się tu znaleźć rozdziały, ten kończy się tutaj. Zaniedbałam obraz, a w tym tygodniu mam dodatkowe nadgodziny w pracy, toteż przez jakiś czas pewnie nie wrócę do tej historii - historii o duchach, a myśl o niedokończonym rozdziale mnie drażni.

Na chwilę wróćmy do tematu Phillipa George'a Saltonstalla i „Tonącej dziewczyny”, potem znowu do Evy Canning i tamtej może lipcowej nocy. Pisałam już, że po raz pierwszy zobaczyłam ów obraz z okazji jedenastych urodzin; to zarówno prawda, jak i fakt. Urodziłam się w 1986, mam teraz dwadzieścia cztery lata, zatem wówczas był rok 1997. W sierpniu tamtego roku obraz miał dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Co oznacza, że teraz ma sto dwanaście, a miał sto dziesięć, kiedy poznałam Evę Canning. To dziwne, jak liczby zawsze dodają mi otuchy, mimo że jestem strasznie kiepska z matematyki. Zapamiętałam już te stronicę całą gamą liczb (głównie dat): 1914, 1898, 316, 1874, 1900, 1907, 1894, 1886 etc. Być może podświadomie ukryłam w tych liczbach jakąś tajemnicę, ale jeśli tak, straciłam bądź nigdy nie miałam klucza, dzięki któremu mogłabym ją odszyfrować.

Doktor Ogilvy podejrzewa, że moje upodobanie do dat może stanowić objaw arytmomanii. I muszę uczciwie dodać, że kiedy byłam nastolatką, a potem przekroczyłam dwudziestkę, mój obłęd obejmował mnóstwo symptomów przypisywanych zaburzeniom obsesyjno-kompulsywnym. Miałam całe setki skomplikowanych rytuałów liczenia. Nie potrafiłam przeżyć choćby dnia bez starannego obliczania wszystkich kroków, ani

tego, ile razy przeżułam i przełknęłam jedzenie. Często musiałam się ubierać i rozbierać określoną liczbę razy (liczba ta zazwyczaj, choć nie zawsze, wynosiła trzydzieści), zanim wyszłam z domu. Aby wziąć prysznic, musiałam odkręcić i zakręcić wodę siedemnaście razy, wejść i wyjść z wanny bądź kabiny siedemnaście razy, podnieść i odłożyć mydło siedemnaście razy. I tak dalej. Dokładałam wszelkich starań, by utrzymać te rytuały w sekrecie, bo w głębi ducha ogromnie się ich wstydziłam. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego, czemu budziły we mnie wstyd, ale bałam się i żyłam w ciągłym strachu, że ciotka Elaine, bądź ktokolwiek inny, je odkryje. Prawdę mówiąc, gdyby w owym czasie ktoś mnie poprosił, bym wyjaśniła, dlaczego uważam je za konieczne, byłoby mi bardzo trudno odpowiedzieć. Odparłabym jedynie, że żywię głębokie przekonanie, że jeśli nie zrobię tego wszystkiego, wydarzy się coś strasznego.

Zawsze mi się zdawało, że arytmomania to po prostu (no, nie po prostu, ale jednak) zwykła ludzka skłonność do przesądów podniesiona do n-tej potęgi. Zjawisko, które na poziomie towarzyskim może wydawać się jedynie czymś niemądrym bądź zacofanym, na poziomie indywidualnym staje się obłędem. Na przykład japoński lęk przed liczbą cztery. Albo szeroko rozpowszechniona wiara, że trzynastka jest pechowa, złowieszcza, zła. Chrześcijanie, którzy odnajdują szczególne znaczenie w liczbie dwanaście, bo było dwunastu apostołów. I tak dalej.

W moje jedenaste urodziny obraz miał dziewięćdziesiąt dziewięć lat, a ja zaczęłam poważnie się nim interesować dopiero w wieku lat szesnastu, gdy postarzał się do stu czterech (11. 99. 16. 104.). Przez kilka lat, odkąd pierwszy raz ujrzałam „Tonącą dziewczynę”, właściwie o niej nie myślałam. Niemal w ogóle. A gdy znów wkroczyła w moje życie, zdarzyło się to - przynajmniej z pozoru - zwykłym, najzwyklejszym przypadkiem. Tak mi się wówczas wydawało. Teraz nie jestem już taka pewna. Przybycie Evy mogło zmienić przypadek w coś innego. Zaczęłam wyobrażać sobie melodykę tam, gdzie wcześniej słyszałam jedynie losową kakofonię. Szaleni ludzie robią tak nieustannie, chyba że ktoś wierzy, że dysponujemy zdolnością postrzegania porządku i powiązań w sposoby niedostępne umysłom „normalnych” ludzi. A ja nie. To znaczy, nie wierzę. Nie jesteśmy utalentowani. Nie jesteśmy magiczni. Jesteśmy tylko lekko bądź głęboko uszkodzeni. Oczywiście Eva twierdziła inaczej.

Przez całe życie uwielbiałam odwiedzać Ateneum na Benefit Street. Rosemary i Caroline zabierały mnie tam częściej niż do głównej filii biblioteki publicznej w Providence w centrum (Empire Street 150). Ateneum,

podobnie jak większość Providence, trwa poza czasem - konserwacyjno-ści dopilnowali, by schroniło się w cieniu, gdy postęp przeszedł przez miasto jak walec, pozostawiając po sobie lśniąca nowoczesność. Dziś Ateneum wygląda niemal jak w czasach, gdy wśród regałów zalecali się do siebie Edgar Allan Poe i Sarah Helen Whitman. Wzniesiony w stylu greckiego odrodzenia, obecny budynek biblioteki ukończono w 1838 roku (sześćdziesiąt lat przed tym, nim Saltonstall namalował „Tonącą dziewczynę”), choć samo Ateneum założono w 1753. (Zauważcie powtarzalność ósemki - w wieku lat osiemnastu bądź dwudziestu dwóch nie mogłabym uniknąć jej dostrzeżenia —  $1 + 7 = 8$ ;  $5 + 3 = 8$ ;  $8 + 8 = 16$ ;  $2 = 8$ ; pełny krąg). Nie umiem nawet sobie wyobrazić, ile godzin spędziłam na wędrówkach pomiędzy wysokimi regałami i wąskimi przejściami, bądź zagłębiona w jakimś tomie w czytelni na najniższym piętrze. Skryta w ochronnej skorupie z jasnego kamienia, biblioteka wydaje mi się cenna i krucha, jak dziewięćdziesięcioletnia staruszka. Jej zapach to połączone wonie żółknących kartek, kurzu i starego drewna. Dla mnie to zapach bezpieczeństwa i otuchy. Świętości.

W pewien deszczowy dzień ósmego miesiąca 2002 roku, dwudziestego ósmego dnia sierpnia, ściągnęłam z półek Ateneum książkę opublikowaną w 1958, autorstwa historyk sztuki Dolores Evelyn Smithfield - „Krótką historię malarstwa i ilustratorstwa Nowej Anglii” (1958 + ośmiosylabowe imiona i nazwisko + miałam 16 lat =  $2 \times 8$ ). Jakimś cudem wcześniej nigdy nie zauważyłam tej książki. Zaniiosłam ją do jednego z długich stołów i przerzucałam od niechcienia kartki, gdy natknęłam się na osiem akapitów opisujących Saltonstalla oraz czarno-białą reprodukcję „Tonącej dziewczyny”. Bardzo długo siedziałam tam i wpatrywałam się w nią, słuchając bębnienia deszczu o dach i okna, odległych grzmotów, kroków nad głową. Zauważyłam, że obraz zamieszczono na stronie 88. Kiedyś zwykle nosiłam ze sobą notatniki z wpinanymi kartkami oraz cały zestaw długopisów i ołówków w różowym plastikowym pudełku. Tego popołudnia przepisałam wszystko, co Smithfield napisała o „Tonącej dziewczynie”. Nie było tego zbyt wiele. Oto najciekawsza część:

\*\*\*

Choć jeśli w ogóle się o nim pamięta, to głównie dzięki jego krajobrazom; jednym z najlepiej znanych dzieł Saltonstalla jest „Tonąca dziewczyna” (1898), do której natchnieniem być może stała się ludowa

legenda z północno-zachodniej Rhode Island i południowego Massachusetts, z terenów nad rzeką Black Stone [sic!]. Popularna miejscowa historia opowiada o morderstwie córki młynarza, zabitej przez zazdrosnego narzeczonego, który następnie próbował pozbyć się jej ciała, przywiązując do niego kamienie i wrzucając je do wąskiego, granitowego kanału przy starej śluzie Millville. W niektórych wersjach morderca zrzucił martwą dziewczynę z mostu Triad, w miejscu gdzie rzeka jest wyjątkowo głęboka i szeroka. Zgodnie z tradycją, duch dziewczyny nawiedza rzekę od Millville po Uxbridge, a może nawet aż do Woonsocket w Rhode Island. Ludzie słyszą podobno, jak śpiewa na brzegu i w sąsiednich lasach; niektórzy obwiniają ją o serię utonieć.

Możemy być w zasadzie pewni, że artysta doskonale znał ową legendę, wspominał bowiem o niej w liście do Mary Farnum: „Być może któregoś wieczoru, gdy będę pochylał się nad swymi szkicami, ja sam także ją dostrzegę. Niestety, jak dotąd nie natknąłem się na nic bardziej ekscytującego niż sarna i wąż smugowy”. Choć trudno to uznać za nieodparty dowód na to, że ochrzcił swój obraz na pamiątkę owej ponurej historii, wydaje się, że to coś więcej niż zwykły przypadek. Czy zatem możliwe, by Saltonstall zamierzał uchwycić chwilę tuż przed tym, nim nieostrożna pływaczka zetknie się pechowo z duchem „Tonącej dziewczyny”? Można to uznać za dość logiczny wniosek. Osobiście uważam go za rozstrzygający.

\*\*\*

Tego samego dnia (nocy) zdołałam (ku swemu zaskoczeniu!) znaleźć kopertę, na której Rosemary Anne wiele lat wcześniej, w moje jedenaste urodziny, w obecności obrazu, który wydał mi się oknem, zapisała jego tytuł i autora. Następnego dnia wróciłam do Ateneum i zaczęłam przeglądać dziesiątki tomów opisujących ludowe opowieści z Massachusetts i Rhode Island, w nadziei, że natknę się na coś więcej na temat „Tonącej dziewczyny”. W ciągu wielu godzin nie znalazłam niczego i już miałam się poddać, gdy w końcu odkryłam zapis owej legendy w „Skarbnicy folkloru z Nowej Anglii” Benjamin A. Butkina (Nowy Jork: Bonanza Books, 1965). Oto wyjątek z niej i drugi, który znalazłam później w innej książce:

*Znacznie groźniejszy duch nawiedza ponoć rzekę Blackstone nieopodal wioski Milhille. Wystarczy spytać kogokolwiek z miejscowych,*

*a uraczą nas tragiczną historią młodej kobiety obdarzonej porządnym purytańskim imieniem i nazwiskiem: Perishable Shippen. Po tym, jak ojciec zamordował ją i wrzucił do rzeki, niespokojny, mściwy duch Perishable krąży ponoć po jej dnie, często chwytając nieostrożnych pływaków za stopy i nogi i wciągając ich w mroczne, zielone wody na spotkanie śmierci. Inni twierdzą, że w letnie wieczory słychać, jak duch śpiewa do siebie — głos ma piękny, lecz zdarza się, iż na jego dźwięk osoby skłonne do melancholii popełniają samobójstwo, zeskakując z wysokich mostów drogowych i kolejowych, albo nawet rzucając się ze stromych ścian jam nieopodal Milhille. Korzenie tej historii sięgają najwyraźniej lat co najmniej trzydziestych dziewiętnastego wieku, czasów „protoindustrialnych”, kiedy w Milhille mieściły się młyn, słodownia, foluszarnia i tartaki, a także fabryka kos. Po dziś dzień nastoletni chłopcy próbujący wystraszyć swoje dziewczyny często odwiedzają stary, drewniany kolejowy most nad rzeką przy pełni księżyca, w nadziei, że dostrzegą „syrenę z Mihille”.*

Znalazłam też coś takiego:

*Wśród mieszkańców miasteczek nad rzeką Blackstone krąży opowieść, że wiek lat temu coś z morza zostało uwięzione tu rzece. W historii zazwyczaj pojawia się huragan Ulub powódź, choć szczegóły często bardzo różnią się między sobą. Nieliczni zgadzają się co do tego, jaka katastrofa zawiniła i kiedy w przeszłości do niej doszło. W różnych wersjach opowieści pojawia się wielki huragan z 1938 roku, wichura Saxby z 1869, huragan z Norfolk i Long Island z 1821, powódź z lutego 1886 i z 1955- Większość wersji jednak zgodnie z tradycyjną konwencją ludową zgadza się, że doszło do tego wiele lat temu, gdy opowiadający był jeszcze młody albo wręcz się nie urodził, albo za czasów młodości jego pradiadków.*

*Co do tego, co właściwie znalazło się w rzece i pozostało w niej po dziś dzień, relacje można podzielić na prozaiczne i fantastyczne. Pierwsza kategoria obejmuje rekina bądź stado rekinów, żółwia morskiego, fokę, olbrzymią ośmiornicę, wielkiego węgorza i delfina. W tej drugiej pojawiają się syrena, duch kobiety (zazwyczaj samobójczyni), która utonęła w Zatoce Narragansett, wąż morski i w jednym przypadku zbłąkana selkie, której wielorybnik ukradł foczą skórę. Jednakże wszyscy zgadzają się co do dwóch kwestii: ów stwór bądź istota powoduje*



*rany, wypadki i śmierci, i pierwotnie pochodzi z morza. Mężczyzna, który twierdził, że uwięzione zwierzę to węgorz, konger, upierał się, że złapano go i zabito, gdy był jeszcze dzieckiem. Cały czas zamiast konger wymawiał kongo.*

*(Z „Niesamowitego Massachusetts” Willema Lindblada [Worcester: Grey Guli Press, 1986])*

Mam nie tylko teczkę materiałów na temat „Czerwonego Kapturka”, ale też gruby plik dokumentów związanych z duchem nawiedzającym rzekę Blackstone. Trafiło do niej niemal wszystko, czego zdołałam się dowiedzieć w ciągu ostatnich ośmiu lat. Przedtem i po tym, jak poznałam Evę Canning - za obydwojema razem, jeśli w ogóle istniały dwa razy. Teczka pierwotnie nosiła nazwę Perishable Shippen, choć tylko zamieszczona przez Botkina wersja legendy przypisuje zamordowanej kobiecie to miano. Nigdy nie pokazałam tej teczki Abalyn, choć teraz sądzę, że powinnam była. To kolejny popełniony przeze mnie błąd, to, że zachowałam dla siebie tę historię (choć oczywiście Abalyn wierzyła, że odkryła swoją własną „historię” Evy). Mogłabym sporządzić bardzo długi spis owych błędów, rzeczy, przez które tylko się od siebie oddaliśmy. Powiem: „Gdybym tylko zrobiła inaczej to i tamto, może wciąż byłybyśmy razem”. To kolejny, podstępniejszy rodzaj mitu. Kolejne oblicze mojego nawiedzenia — to, że odepchnęłam ją od siebie — kolejny złośliwy aspekt memu.

Wrócę do swojej teczki i jej zawartości po tym, jak zmuszę się, by wyrzucić z siebie jedną wersję prawdy.

\*\*\*

„Kobieta na polu - coś ją pochwyciło”.

To cytat z „Lo!” Charlesa Forta (1931), który od kilku dni tkwi mi w głowie. Stanowił element jednego z obrazów Alberta Perrault. Chciałam go tu zapisać, żebym nie zapomniała. Mimo wszystko to nie jest jego miejsce, nie podczas pierwszej wersji przybycia Evy Canning, lecz dopiero przy drugiej, ale teraz już nie zapomnę.

\*\*\*

Lipiec, dwa lata i trzy miesiące temu oraz kilka drobnych dni (w tę czy tamtą). Owa samotna noc na szosie w Massachusetts, wzdłuż rzeki. Noc,

kiedy samotnie opuściłam Providence, ale wróciłam już nie sama. Może teraz jestem gotowa, by spróbować opisać ją tak, by chociaż przypominała opowieść, wynotować wszystko, co pamiętam z pierwszej wersji spotkania z Evą. Opowieść to z konieczności rodzaj niezbędnej fikcji literackiej, prawda? Gdyby miała być prawdziwa, staje się historią synaptyczną. Czytałam gdzieś tę frazę, ale za żadne skarby nie mogę sobie przypomnieć kiedy ani gdzie. Chodzi mi jednak o to, że „prawdziwą” opowieść, coś, co nazywamy historią, może łączyć tylko słabe podobieństwo z faktami, bo historia jest dalece zbyt skomplikowana, by dało się ją zredukować do czegoś tak prostego, jak tradycyjna narracja. Moja historia, historia miasta bądź kraju, historia planety czy wszechświata. Możemy ją tylko przybliżyć. I teraz dokładnie to zrobię. Opiszę w przybliżeniu ową noc ósmego lipca w najprostszy sposób, jaki tylko zdołam.

Ale będę też pamiętać, że historia to niewolnica redukcjonizmu.

Zapisując tę opowieść, pomniejszam ją. Redukuję. Uśredniam.

Odwzorowuję ją. Tamtą noc. Tę noc.

Zaczynam tutaj:

Pracuję do dziesiątej, toteż zabrałam hondę, bo nie lubię wracać pieszo do domu z przystanku po zmroku. Zbrojownia to znacznie spokojniejsza dzielnica niż kiedyś, ale przezorny zawsze ubezpieczony i tak dalej. Jadę do domu na Willow Street, Abalyn siedzi na kanapie z laptopem i pisze. Idę do kuchni, nalewam sobie szklankę mleka i robię kanapkę z masłem fistaszkowym i pastą z pianek. To zupełnie wystarczająca kolacja. Rzadko jadam więcej. Można powiedzieć, że tylko coś przekąszam. Zabieram mleko i spodeczek z kanapką do bawialni i siadam na kanapie obok Abalyn.

- Jest piękna noc - mówię. - Powinniśmy wybrać się na przejażdżkę. To piękna noc na przejażdżkę.

- Naprawdę? - Abalyn na moment odrywa wzrok od ekranu laptopa. - W ogóle dziś nie wychodziłam.

- A powinnaś - odpowiadam. - Nie możesz tkwić całymi dniami w domu.

Odgryzam kolejny kęs i obserwuję ją, przeżuując. Potem przelżykam, popijam mlekiem i pytam co pisze.

- Recenzję.

Sama bym to zgadła, więc niezbyt zadowala mnie ta odpowiedź. Przez kilka chwil, może minut, jem lepką kanapkę, a ona stuka w klawisze. O mały włos nie wróciłam do tematu przejażdżki, bo w rytmie

tego wieczoru jest coś niezwykle kojącego. W końcu jednak zadaję pytanie i od tego wszystko się zaczyna.

- Nie, Imp - odpowiada Abalyn, znów na mnie patrząc. - Przepraszam, ale mam termin. Muszę skończyć ten tekst w ciągu paru godzin. Powinna była to zrobić wczoraj. - Podaje mi tytuł gry i choć patrzyłam, jak w nią gra, kompletnie zapomniałam o co chodziło. - Przepraszam — powtarza.

- Nic nie szkodzi. Nie ma sprawy.

Staram się, by w moim głosie nie zabrzmiała nuta zawodu, ale nigdy nie umiałam ukryć rozczarowania. Niemal zawsze widać je po mnie, zakładam zatem, że dostrzegła to owej nocy.

- Wiesz co? - mówi. - Może po prostu pojedź sama? Nie ma powodu, żebyś tu tkwiła tylko dlatego, że muszę pracować. Może beze mnie spodoba ci się jeszcze bardziej. Będzie spokojnie i w ogóle. Może beze mnie będzie jeszcze fajniej.

- Nie będzie fajniej bez ciebie.

Kończę kanapkę i mleko, odstawiam spodeczek i szklankę na podłogę obok kanapy.

- Nadal uważam, że fakt, że muszę tu zostać, nie powinien cię powstrzymać. Przez resztę tygodnia ma padać.

- Na pewno? No wiesz, nie przeszkadza ci, że pojedę bez ciebie?

- Jasne, że nie. Kiedy wrócisz, pewnie wciąż będę tu siedzieć. Strasznie nie idzie mi to cholerstwo.

Mówię jej, że wrócę najwyżej za parę godzin, a ona odpowiada:

- W takim razie z całą pewnością nie będę jeszcze spała.

Mimo to o mało nie rezygnuję. Ogarnia mnie obawa, wręcz groza. Jakieś złe przeczucie. Nie różni się zbyt wiele od tego, co czułam w samym szczycie arytmomanii albo tej nocy, gdy zobaczyłam w parku kruko-zakonnice, czy przy niezliczonych innych okazjach, kiedy szaleństwo wrzuca drugi bieg. Doktor Ogilvy powtarzała wielokrotnie, że kiedy tak się dzieje, powinnam dołożyć wszelkich starań, by nie ustawać, zrobić to, co zamierzałam i czego nagle się wystraszyłam. Mówiła, że nie powinnam pozwolić, by omamy, myślenie magiczne i neurozy uniemożliwiały mi prowadzenie normalnego życia, oczywiście w granicach rozsądku. Co oznacza życie poza szpitalem.

Normalność, gorzka pigułka, przeciwko której się buntujemy.

Imp nie jest pewna, co to znaczy. Po prostu przyszło jej to do głowy i nie chciała tego stracić.

Nie lubię tego języka, obojętnego żargonu psychiatrii i psychologii. Słowa takie jak norma i kodependencja, frazy typu myślenie magiczne drażnią mnie znacznie bardziej niż wariatka czy szalona. Niech zatem wystarczy, jeśli napiszę: ogarnia mnie obawa, wręcz groza.

Mimo wszystko niemal rezygnuję z samotnej przejażdżki. Już mam sięgnąć po zaczętą książkę, albo pójść do studia popracować nad obrazem, który próbuję skończyć.

- Uważam, że to ci dobrze zrobi - mówi Abalyn, nie odrywając wzroku od ekranu, palcami nadal tłukąc w klawisze. - Nie chcę stać się dla ciebie łańcuchem i kulą u nogi.

I słowa te przywodzą mi na myśl kolejne ostrzeżenie doktor Ogilvy, że jeśli kiedyś znajdę się w związku, nie mogę pozwolić, by moja choroba zamieniła go we współzależnienie. Nie mogę ryzykować utraty samowystarczalności.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie pewna, Imp. No już. Uciekaj. To rozkaz. - Śmieje się. - Jeśli nie wrócisz do domu zbyt późno, obejrzymy film.

- Jutro idę do pracy - przypominam. - Nie mogę siedzieć aż tak długo.

- Idź - powtarza i przestaje pisać, by machnąć ręką w przeganiającym gościu.

- Kiedy wrócisz do domu, wciąż tu będę.

Zabieram zatem klucze i lekki sweterek, na wypadek gdyby noc okazała się chłodniejsza niż kiedy wracałam z pracy. Całuję ją i obiecuję, że niedługo wrócę.

- Tylko uważaj - mówi. - Nie jedź za szybko. Którejś z tych nocy dostaniesz mandat. Albo przejedziesz sarnę.

Odpowiadam, że zawsze jestem ostrożna, brzmi to bardziej defensywnie niż miało, lecz Abalyn najwyraźniej nie zauważa.

- Masz ze sobą telefon? — pyta.

Kiedy w końcu wychodzę z domu, jest prawie wpół do dwunastej, ale następnego dnia zaczynam pracę dopiero o jedenastej. Wjeżdżam w Willow, potem skręcam w Paradę Street, następnie w prawo, w Westminster. Praktycznie nie zastanawiam się nad tym, dokąd zmierzam. Nigdy tego nie robię podczas podobnych przejażdżek. Jakikolwiek namysł bądź planowanie mija się z celem. Terapeutyczna wartość tych przejażdżek kryje się w ich spontaniczności, w tym, że trasa i cel zawsze pozostają przypadkowe. Z Westminster przecinam autostradę międzystanową i jadę przez centrum, pełne jasnych świateł i ciemnych alejek. Skręcam w lewo, na północ, w North Main Street i mijam stary Cmentarz Północny.

Nie włączam radia. Nigdy nie włączam radia podczas nocnych przejażdżek.

A zatem mijam Cmentarz Północny i jadę dalej przez Pawtucket. North Main staje się drogą numer 122. Ruch jest większy niżbym chciała, ale tak jest zawsze. Gdy docieram do Woonsocket, z jego rozpadającymi się, pustymi młynami i ryczącą kakofonią wodospadu Thunder Mist, jest już dobrze po północy. To tu rzeka Blackstone przelewa się przez jazy tamy Woonsocket Falls. Zatrzymuję się na parkingu po wschodniej stronie tamy. Kiedy wysiadam z samochodu, zerkam w górę i widzę, że księżyc okala mglisty pierścień. Przypominam sobie, że Abalyn ostrzegła przed nadciągającym deszczem. Ale deszcz spadnie jutro, nie dzisiaj. Dziś niebo jest czyste i nakrapiane gwiazdami. Zamykam drzwiczki hondy, przechodzę przez pusty parking i stoję przy poręczy; bardzo staram się skupić jedynie na gwałtownym szumie wody, spadającej na poszarpaną granitową wysepkę w dole.

„Czy nie byłoby ciekawie”, napisała Imp, „gdyby istniała trzecia wersja prawdy, w której poznałaś Evę przy tej tamie. To byłoby bardzo poetyckie, prawda?”.

Nie. Piękne dzięki, cała ta opowieść i tak jest już dostatecznie skomplikowana. Nie pogarszajmy jej jeszcze oczywistymi kłamstwami, choćby najpiękniejszymi.

Stoję tam i pragnę jedynie słyszeć dziki szum rzeki uderzającej o oszlifowane przez wodę i czas dewońskie skały. Mimo to głowę wypełniają mi niepotrzebne błahostki na temat historii tamy, drobne skupiska faktów, które narzucają mi się i nieproszone wciskają w świadomość. Budowę obecnej tamy ukończono w 1960 roku, po straszliwych powodziach z 1955. Wcześniej jednak były tu inne tamy, a już w 1660 - na długo przed powstaniem jakiegokolwiek z nich - wyłącznie nad wodospadem postawiono w tym miejscu młyn. Wytrącona z nastroju, odwracam się od tamy, wodospadu i ryku wody, przechodzę przez ulicę i wracam na parking i do samochodu.

Jadę na północ, pozostawiając za sobą Rhode Island i przekraczając granicę Massachusetts. Przeprowadzam się przez rzekę na Bridge Street, na wschód od zardzewiałego mostu kolejowego, z którego, jeśli wierzyć opowieściom, być może zrzucano pozbawione życia ciało Perishable Shippen. Zwalniam w Millville, przypominając sobie słowa Abalyn o mandatach. Nigdy jeszcze nie dostałam mandatu, nawet za złe parkowanie. Millville to mała miejscowość, myśle o niej bardziej jak o wiosce czy osadzie niż

miasteczku, nadal jednak tak pełnym latarni sodowych bądź rtęciowych, że przesłaniają blask gwiazd. Komu potrzeba tyle światła? Czego oni się boją? Co za sens ma jazda nocą, pod nocnym niebem, skoro nie widać gwiazd? Ale Millville jest małe, wkrótce docieram na drugi koniec, zmierzając na północny zachód drogą 122. Wkrótce znów dostrzegam kilka migoczących gwiazd.

Imp, zdenerwowana, płochliwa, zafrasowana Imp - napisała: „Jesteś pewna, że chcesz to zrobić? Wiesz chyba, że wciąż jeszcze możesz przestać? Możesz przestać w tej chwili albo napisać, że zawróciłaś i skierowałaś się do domu, na Willow Street. Albo, skoro się upierasz, że pojechałaś dalej, do Uxbridge czy gdzie tam ci pasuje, ale że tej nocy ani żadnej innej nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Ani w lipcu, ani z całą pewnością w listopadzie”.

I mogłabym też nigdy więcej nie używać słowa szalona oraz udawać, że Rosemary Anne zmarła na atak, że nie popełniła samobójstwa. Mogłabym przeżyć resztę życia, odrzucając prawdę, zawsze unikając tego, co mnie niepokoi, z obawy, że przywołałoby drażniące, niewygodne, odstręczające myśli. Mogłabym to zrobić, prawda? Zawsze mogłabym nazwać coś jakimś imieniem, choć w istocie jest dokładnym przeciwieństwem. Mnóstwo ludzi to robi i najwyraźniej w ich przypadku to się sprawdza, więc czemu, do diabła, nie u mnie? „Ale obie wiemy lepiej, prawda?” -wystukała z wahaniem Imp. W uporczywym klekocie klawiszy na papierze nawiniętym na wałek dźwięczała nieznośna rezygnacja.

Ale słuszna uwaga.

Bo wiem lepiej.

Stop.

\*\*\*

Wczoraj naprawdę próbowałam załatwić to za jednym zamachem. Chciałam wyrzucić to z siebie i mieć z głowy. Zostawić za sobą tę pierwszą wersję nocy na drodze. Chciałam posłuchać rady doktor Ogilvy i kontynuować, mimo podenerwowania. Ale potem zaczęłam mówić do siebie, upominać się, kwestionować, podważać oszczerstwami własne zdecydowanie i odlewając te oszczerstwa w zimnym, twardym, fabrycznym, czarno-białym courierre maszyny do pisania. A choć natychmiast przywołałam się do porządku, to wystarczyło. Musiałam cofnąć się o krok. Dziś stwierdzam, że nadal nie jestem gotowa, by powrócić

do wydarzeń owej nocy, tego, co się stało, gdy wyjechałam z parkingu w Wbonsocket i zostawiłam za sobą Millville. Ale wciąż muszę pisać, toteż piszę to. Wczorajszej nocy, przed snem znów myślałam o owej chwili, gdy ujrzałam kruko-zakonnice i jak opowiedziałam tę historię Abalyn. Wtedy przypomniałam sobie, co Caroline powiedziała mi na temat znaczenia wron i ptaków blisko z nimi spokrewnionych.

Miałam wtedy jakieś sześć, może siedem lat, nie jestem pewna. Rosemary zostawiła mnie u babci i poszła na zakupy (często tak robiła, bo żywiłam osobliwą awersję do sklepów spożywczych). Caroline szyła, a ja patrzyłam, jak szyje. Miała antyczną maszynę „Singer”, z tych, które napędza się pedałem. Uwielbiałam jej rytm. Odgłos szycia babci uspokajał mnie, był kojący. Siedziałyśmy w jej pokoju, bo tam przechowywała maszynę. Szyła właśnie koszulę z perkalu drukowanego w barwny kwiatowy wzór.

To, co się wówczas stało, może wydawać się dziwne, jeśli nie jest się mną albo Caroline, albo Rosemary. Albo kimś bądź czymś takim jak Eva Canning. Mnie nigdy nie wydawało się dziwaczne, ale też jestem boleśnie świadoma tego, że moja percepcja często kłóci się z tym, jak odbiera coś większość znanych mi ludzi. Może im nie wydałoby się dziwaczne, tylko ekscentryczne bądź niemądre. Mówiąc „ekscentryczne”, nie mam na myśli uroczego dziwactwa, lecz po prostu coś dziwnego.

Siedziałam w łóżku Caroline pachnącym świeżym praniem, herbacianymi różami i bardzo lekko maścią tygrysią, którą smarowała się, gdy bolało ją ramię. Miłe domowe zapachy, idealnie harmonizujące z odgłosem czuga-czuga-czuga starego singera. Opowiadałam o tym, jak Rosemary tydzień wcześniej zabrała mnie na plażę w Scarborough. Była jesień, toteż na plaży panowały pustki, nie spotkałyśmy turystów, letnich ludzi. Spacerowałyśmy po niej parę godzin, napełniając plastikowe wiaderko muszelkami i kilkoma kamykami o niezwykłych kształtach. I siedząc tak na łóżku i opowiadając babci o owym dniu nad zatoką, rzekłam:

- A potem Rosemary spojrzała ponad wodą i powiedziała „och, skarbie, popatrz. Widzisz to?”. Była okropnie podekscytowana i wskazywała ręką wodę. Bardzo starałam się ujrzeć to, co widziała, ale niczego nie dostrzegłam, nie z początku. „Nie widzisz, bo słońce odbija się od wody”, oznajmiła Rosemary i kazała mi osłonić oczy dłonią i znów spróbować.

- Czy to pomogło? - Caroline przerwała szycie i zaczęła majstrować przy szpulce maszyny. - Czy zobaczyłaś, co pokazuje?

— Tak - odparłam.

— I co takiego ujrzałaś?

A ja, sądząc, że opowiedziałam to wszystko bardzo przebiegle i że wierzy w każde moje słowo, oznajmiłam:

- Zobaczyłam wielkiego węża morskiego, który wił się wśród fal. Miał barwę wodorostów, wydawał się gładki i gumisty, jak wodorost. Pomyślałam, że gdybym zdołała go dotknąć, byłby też jak wodorost.

- A jesteś pewna, że to nie był wodorost? - spytała Caroline. - Czasami w zatoce pojawiają się ich wielkie kłębowiska. Sama je widziałam. Z daleka wyglądają jak wszystko, tylko nie wodorosty.

- Och, jestem absolutnie pewna - odparłam. - Wodorosty nie mają głowy jak wąż ani czerwonych oczu czy języka, który wysuwa się i porusza jak węzowy język. Wodorosty nie obracają się i nie patrzą na ciebie, nie otwierają paszczy, pokazując, jak wiele tkwi w niej zębów, byś wiedziała, że gdyby chciały, mogłyby cię zjeść, wystarczy, by postanowiły podpłynąć ku tobie, a ty nie byłabyś dość szybka, by im uciec. Wodorosty nie uderzają o wodę ogonami jak wieloryby, prawda?

- Z tego, co mi wiadomo, nie. - Wróciła do szycia, naciskając pedał singera i podsuwając kolorowy perkal pod igłę. - Z opisu nie przypomina wodorostów.

- Wąż musiał być co najmniej tak długi jak szkolny autobus, choć nie wiem ile to stóp. Matka się bała, ale powiedziałam, że nie zrobi nam krzywdy. Powiedziałam, że czytałam o wężu morskim, który pojawił się na wybrzeżu Gloucester w tysiąc osiemset siedemnastym...

- Zapamiętałaś datę? - zdziwiła się Caroline.

- Z całą pewnością, i niegrzecznie jest przerywać. - Przeprosiła, a ja podjęłam: - Powiedziałam Rosemary, że mnóstwo ludzi widziało węża morskiego w tysiąc dziewięćset siedemnastym, a on nikogo nie zaatakował.

- Wcześniej mówiłaś, że to się działo w tysiąc osiemset siedemnastym, pamiętasz?

- A czy to jakaś różnica? Tak czy inaczej, nikogo nie zaatakował, i to właśnie powiedziałam matce. Stałyśmy tam i patrzyłyśmy, jak wąż morski pływa w kółko, a on obserwował nas, zobaczyłyśmy nawet, jak wyciąga długą szyję i próbuje schwytać przelatującą w powietrzu mewę.

Gdy tylko wspomniałam o mewie, w oknie sypialni pojawiła się wielka wrona. Przysiadła tam, patrząc na nas czarnymi oczami jak koraliki. Caroline przestała szyc, a ja przerwałam swoją opowieść o wężu morskim przy plaży Scarborough. Wrona raz jeden dziobnęła siatkę w oknie, za-krała, po czym odleciała. Moja babcia przez chwilę wbijała wzrok w okno, potem odwróciła głowę i spojrzała na mnie.



- Imp, teraz wiem, że wymyśliłaś sobie tę historię o wężu morskim.

- Skąd? - spytałam, wciąż wpatrując się w okno, jakbym oczekiwała, że wrona powróci.

- To coś, co potrafią wrony - wyjaśniła. - Umieją stwierdzić, kiedy ktoś kłamie. Jeśli słuchasz czyjejs historii i, ot tak, pojawia się wrona, możemy się założyć, że opowiadający to sobie wymyślił.

- Nigdy wcześniej o tym nie słyszałam! - zaprotestowałam, choć chyba w tym momencie postanowiłam, że mądrzej będzie nie upierać się przy prawdziwości mojego bajecznego węża morskiego.

- Imp, o mnóstwie spraw nigdy nie słyszałaś. Jesteś jeszcze dzieckiem i musisz się wiele nauczyć. Poza tym, to nie tylko wrony. To samo dotyczy kruków, a także gawronów, srok i wszystkich innych corvidów, nawet modrosójek i orzechówek. To diabelnie sprytne stworzenia i mają wyjątkowy talent: potrafią natychmiast rozpoznać kłamcę. A że z natury są skłonne do psot, przejawiają irytującą tendencję do pojawiania się i przypominania komuś, gdy zanadto oddala się od faktów.

- Nie wymyśliłaś sobie tego? Caroline skinęła głową w stronę okna.

- Widziałaś przed chwilą wronę? - spytała.

- A co to w ogóle jest corvid? - chciałam wiedzieć, bo nigdy wcześniej nie słyszałam tego słowa.

- Rodzina *cowidae*, czyli krukowatych. Ornitologowie zaliczają do niej kruki, wrony i ich bliskich krewniaków.

- Czytałaś o tym w książce?

- Zdecydowanie tak. — Znów zaczęła szyc.

- I czytałaś w niej też o tym, jak kosy zjawiają się, gdy ludzie coś sobie wymyślą?

- Dokładniej mówiąc, Imp, kosy nie należą do corvidów, choć większość krukowatych przypomina je z wyglądu, bo są czarne.

Do tej pory zdołała już zupełnie namącić mi w głowie. Caroline miała zwyczaj mówić w sposób okrężny, jej rozmowy zataczały koła, może to po niej odziedziczyłam tę skłonność. Jej koła niemal zawsze miały sens i dlatego właśnie były tak frustrujące, zwłaszcza dla sześć- czy siedmiolatki, która nie posiadała jeszcze umiejętności mówienia w sensownie okrężny sposób, tworzenia konwersacyjnych mandal, które opierają się analizie i obalaniu.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie, Caroline. Czy przeczytałaś w książce o tym, jak corvidy zjawiają się, kiedy ludzie kłamią?

- Nie pamiętam, Imp, ale to niczego nie zmienia. Mnóstwo rzeczy jest prawdą, choć nikt nigdy nie zadał sobie trudu, by zapisać je w książkach. Nasze życia wypełniają prawdziwe zdarzenia, a mało które z nich pojawia się w książkach. Czy gazetach. Czy gdziekolwiek. Może to matka opowiadała mi o wronach i krukach, ale możliwe też, że gdzieś to przeczytałam.

-Ja naprawdę czytałam o wężu morskim z Gloucester - oznajmiłam, jak przypuszczam, nieco nadąsana.

- Nie wydaje mi się, by to przeciw niemu protestowała wrona, Indio Morgan. Babcia Caroline bardzo rzadko nazywała mnie moimi prawdziwymi imionami i kiedy to robiła, naprawdę jej słuchałam. A potem rzekła:

- „Umknąłem w ciele kruka o proroczej mowie”. To akurat przeczytałam. Cytat z walijskiego poety, Taliesina. Powinnaś go poszukać, kiedy znów będziesz w bibliotece.

Po czym wyrecytowała dość dramatycznie:

*Wrona, wrona, wroni bóg,*

*Ślę Ci stukot naszych włók.*

*Chwilę temu byłam wroną,*

*Lecz zaraz znów się stanę niewiastą przemienioną.*

*Wrona, wrona, wroni bóg,*

*Ślę Ci stukot naszych włók.*

Następnie roześmiała się i znów zagrzechotała szpulką.

- To znów Taliesin? - spytałam.

- Nie. To akurat wyczytałam w książce. To zaklęcie, którym posługiwały się szkockie czarownice, kiedy chciały zamienić się z powrotem w kobiety, po tym, jak wcześniej przybrały postać wron.

Spytałam co oznacza „włoka”, bo nigdy wcześniej nie słyszałam tego słowa.

- „Włoka” - odparła - to narzędzie rolnicze, króre wygładza ziemię. Jeśli się nie mylę, słowo pochodzi z dialektu. - Wciąż nie rozumiałam, co oznaczało w kontekście zaklęcia, ale nie wspomniałam o tym. Już i tak czułam się strasznie głupio z powodu węża morskiego.

- Och - dodała Caroline - masz jeszcze jeden cytat z Szekspira, z Cymbelina.

- O nim przynajmniej słyszałam.

- Mam taką nadzieję. - Skrzywiła się i wyrecytowała:

*A więc się śpieszcie, śpieszcie, smoki nocy*

*Niechaj świt kruka źrenice otworzy!*

*Strach mnie ogarnia. Piekło tu jest dla mnie\*.*

- To znowu wiersz? A ona na to:

- Nie, sztuka.

A zatem, babciu Caroline, w ową noc, gdy jechałam do domu z pracy i zobaczyłam cztery kruko-zakonnice wędrujące pod drzewami, jakież to kłamstwo opowiedziałam tego dnia? O jakiej prawdzie próbowały przypomnieć mi owego wieczoru?

W dzień przed nocą, gdy znalazłam Evę, nie widziałam - o ile pamiętam - żadnych kruków, wron ani nawet sójek. Ani w dzień po tym. Nigdy też nie widziałam wrony ani kruka nocą, to chyba oczywiste. Tylko sowy i kilka lelków, ale to przecież nic nadzwyczajnego.

Wczoraj, gdy opisywałam historię owej lipcowej nocy, na moim oknie nie pojawiła się żadna wrona ani kruk. Gdyby się zjawiły, ulżyłoby mi i może zdołałabym skończyć.

\*\*\*

Dziś miałam wizytę u doktor Ogilvy. Nie wspomniałam jej, że zapisałam to wszystko, choć kilka razy rozmawiałyśmy o Evie Canning, zarówno tej lipcowej, jak i listopadowej, tak jak rozmawiałyśmy o Phillipie George'u Saltonstallu i „Tonącej dziewczynie” (obrazie i legendach), a także „Małej syrence”. I o Albercie Perrault i „Podglądaczu całkowitego zniszczenia” (z perspektywy czasu) oraz „Czerwonym Kapturku”. Nie mam pojęcia, czy zdradzę jej, że piszę tę historię o duchach. Może poprosić, bym dała jej przeczytać, a ja musiałabym odmówić. Może spytać, czy mówiąc „historia o duchach”, mam na myśli dosłowną historię z duchami, czy też to tylko przenośnia, a ja musiałabym odpowiedzieć, że jestem bardzo dosłowna. To by ją zmartwiło; myślę, że znam ją dość dobrze, by móc tak założyć. Ze by ją zmartwiło. Jak na kogoś, kto nie lubi konsternować innych ludzi, robiłam to aż nazbyt często.

\* Przeł. Leon Ulrich.

Nie ma sensu przebywać nocą pod otwartym niebem, jeśli nie widać gwiazd. Ale Millville jest małe, jak mówiłam, i wkrótce docieram na jego drugi koniec, zmierzając na południowy zachód drogą 122. Wkrótce dostrzegam już przez szybę kilka migoczących gwiazd. Otwieram okno od strony kierowcy, świeże powietrze pachnie roślinnością. Wyczuwam też słabą piżmową, mulistą woń rzeki, która płynie najwyżej pięćdziesiąt stóp po mojej lewej (czy też na tym krótkim odcinku drogi na południowym zachodzie). Często myślałam sobie, że rzeki, jeziora i ocean pachną seksem. Zatem owa letnia noc ma w sobie całkiem przyjemny bukiet seksu. Właśnie sprawdziłam szybkościomierz i przekonałam się, że jadę najwyżej sześćdziesiąt, siedemdziesiąt na godzinę; Abalyn nie uznałaby, że to zbyt duża prędkość. Choć nie wiem, jakie jest tu ograniczenie - bez wątplenia przy drodze stoją znaki, ale nigdy ich nie zauważyłam. A jeśli nawet, to zapomniałam.

Nie mam żadnych złych przeczuc, lęk, który czułam przed wyjazdem z Providence, zniknął bez śladu. Wszystko minęło. Przejazdzka zadziałała odprężająco. Cieszę się, że nie zostałam w domu.

Myślę, że może pojedę aż do Worcester, nim zawrócę. A potem... Już to opisałam. Właśnie przerwałam, przerzuciłam z powrotem kartki i znalazłam. I w jednej chwili jej nie ma, a w drugiej już jest. Właśnie tak. Nie natykam się na nią, raczej po prostu się pojawia.

Tak. Właśnie tak. A może tylko mrugnęłam w niewłaściwej chwili i tak mi się to wydało? Czy to ma jakieś znaczenie? Nie, zupełnie nie.

Naga kobieta stojąca na poboczu i patrząca w mrok, w stronę rzeki Blackstone, pochwycona w promieniach reflektorów hondy. Później Abalyn spyta, dlaczego się zatrzymałam. Eva także zapyta mnie o to. A ja odpowiem: „Co innego mogłabym zrobić? Co ty byś zrobiła?” i dodam: „Nie wiem, dlaczego się zatrzymałam”.

Śmierć nie mogła stanąć i na mnie zaczekać - ja sama ją podwiozłam.

Nie „hamuję gwałtownie”, ale zwalniam całkiem szybko. Przejazdzam nie więcej niż sto metrów, nim się zatrzymuję. Siedzę tam, słuchając silnika hondy, wbijając wzrok w lusterko wsteczne. Zwłóczę tak w wozie najwyżej parę minut. Kiedy w końcu wyłączam silnik, noc staje się natychmiast niewiarygodnie, głęboko, przytłaczająco cicha - lecz tylko na czas kilku uderzeń serca, garstki oddechów - a potem rozbrzmiewa cykanie i brzęczenie owadów i gardłowe pieśni żab. Nie gasząc świateł, wysiadam

z hondy. Po prawej stronie północnego pasa wznosi się wysoki, granitowy mur, skalna rana wyrębana w ziemi, gdy w dawnych czasach zbudowano drogę. Dawno, dawno temu zadrzewione zbocze opadało łagodnie ku rzece, lecz ludzie i ich żelatyna wybuchowa szybko się z tym rozprawili, wywożąc kamienie, ziemię i drzewa; teraz została tylko granitowa ściana.

Odwracam się od niej i spoglądam w obie strony, zanim przejdę przez drogę. Moje buty chrzęszczą na żwirze, gdy wędruję ostrożnie ku kobiecie. Oczywiście nie od razu ją dostrzegam. Zajechałam za daleko i światła stopu tu nie sięgają. Uznaję nawet, że mogłam ją sobie wymyślić. Przez lata wyobraziłam sobie mnóstwo rzeczy, możliwe też, że i kobieta jest halucynacją. Albo może, bez odwołania się do mojego obłądzenia, mogła stanowić jedynie niepokojące złudzenie optyczne, którego doświadczyłby każdy kierowca. Nie biegnę, nie maszeruję nawet szybkim krokiem. Żałuję, że księżyc nie jest w pełni albo choć w pierwszej kwadrze, bo wówczas dawałby sporo światła. Potem jednak moje oczy zaczynają przywykać i widzę ją (odrobina odbitego czerwonego blasku świateł stopu trochę pomaga). Jeśli nawet mnie zauważyła, nie daje tego po sobie poznać.

- Nic pani nie jest?! - wołam. Nie odpowiada ani nie daje żadnych oznak, że mnie usłyszała. Zatrzymuję się i krzyczę po raz drugi. - Potrzebuje pani pomocy? Czy coś się stało? Miała pani wypadek? Zepsuł się pani samochód?

Teraz widzę, że dwa ostatnie pytania powinny wydać mi się niezwykle absurdalne, ale jednak. Bo właściwie, który fragment nie wydaje mi się absurdalny?

Widzę już dość wyraźnie i dostrzegam, że ma mokre włosy. Zerkam w stronę rzeki ukrytej w ciemności, lecz pachnącej znacznie mocniej niż wtedy, gdy jedynie przejeżdżałam obok. Znowu skupiam wzrok na kobiecie i zauważam, że stoi niedaleko końca ścieżki wiodącej w dół, ku wodzie. Rybacy wydeptali tę ścieżkę, myślę, rybacy i ludzie z kajakami i kanoe.

- Pływała pani? — spytałam, a ona w końcu obraca głowę w moją stronę. To, co się potem wydarzyło, opisałam już na stronie trzydziestej ósmej

i po co miałabym to powtarzać, przetwarzać, pomnażać? Oto, co mniej więcej napisałam wiele dni temu.

- Nic pani nie jest? - powtarzam.

Jeśli powiem, że wyglądała nieziemsko, zabrzmiałoby to dziwnie, ale tak było. Co gorsza, to raczej dość śmiałe założenie, prawda? Zakłada, że znam wszystko co ziemskie i poznaję coś, co takie nie jest. Ale to oczywiście

nieprawda. Nie odróżniam ziemskiego od nieziemskiego i vice versa. Lecz takie właśnie odniosłam wrażenie, stojąc przy drodze 122. To pierwsze słowo, które przyszło mi do głowy: nieziemska.

Zmrużyła oczy, jakby raziły ją słabe, czerwone światła samochodu. I chyba faktycznie były zbyt jasne w tej ciemności. Jej źrenice zapewne zwęziły się nagle, a oczy zabolowały. Później przekonam się, że oczy ma niebieskie, w odcieniu, który Rosemary Anne nazywała butelkowym błękitem. (Jeśli to listopad, a nie lipiec, przekonałabym się, że jej oczy mają osobliwy odcień brązu, tak jasnego, że niemal złotego). Tak czy inaczej, mruży oczy, które błyskają nagle, i mruga do mnie. Myślę sobie „dzika” - to określenie znacznie stosowniejsze i mniej aroganckie niż nieziemska. Uśmiecha się, bardzo, bardzo lekko, tak lekko, że może w ogóle się pomyliłam. Możliwe, że się nie uśmiecha. Robi krok ku mnie, a ja po raz trzeci pytam, czy nic jej nie jest. (Przerobiłam to bardziej niż przypuszczałam).

- Chce pani, żebym wezwała pomoc? - dodaję.

Jej zlepione, mokre włosy opadają na ramiona, przywierając do skóry ciemnymi pasemkami. Oblizuje wąskie wargi, a jej skóra lśni. Przelotnie kojarzy mi się ze skórą płaza, żaby bądź salamandry, to przez ten połysk. I nawiedza mnie równie przelotne wrażenie, że kiedy jej dotknę (a wiem, że jej dotknę), skórę będzie miała oślizgłą.

Zbliża się do mnie o kolejny krok, teraz dzieli nas najwyżej dziesięć stóp.

- Imp? - pyta i powinno mnie to zaskoczyć, ale nie. Zupełnie nie zaskakuje.

- Czy ja panią znam? - pytam, a ona marszczy brwi, wyraźnie oszołomiona.

- Nie - mówi niemal szeptem. - Jeszcze nie.

W tym momencie obok przejeżdża w pędzie półciężarówka, mija nas z rykiem, jadąc znacznie szybciej niż siedemdziesiąt na godzinę. Zmierza w stronę Millville, toteż przejeżdża tak blisko, że gdybym wyciągnęła lewą rękę, mogłaby mnie uderzyć. Mogłaby oderwać mi dłoń, złamać kość, coś takiego. Zalewa nas blask reflektorów. Kierowca nawet nie zwalnia; zawsze będę się zastanawiać, czy w ogóle cokolwiek zauważył.

Przez kilka minut stoję tam oślepią i przeklinam, mrugając szybko, by przegnać powidoki.

- Niebezpiecznie jest tu stać - oznajmiam z irytacją. - To cud, że ta ciężarówka nas nie rozjechała. Zdaje sobie pani chyba sprawę? Gdzie

pani ubranie? Zostawiła je pani nad wodą? - Wskazuję ręką mrok skrywający rzekę Blackstone.

Ciszę po przejeździe ciężarówki zakłócają jedynie świerszcze, cykady, żaby i sowa.

- Znów to wyśniłam - mówi. Nie mam cienia wątpliwości, że to właśnie powiedziała. I to także: - Póki twe rozspiewane palce i twe oczy.

- Tu nie jest bezpiecznie - powtarzam - a komary muszą pożerać panią żywcem.

A ona pyta:

- A kogóż z tych, co umierają na morzu, składa się na marach?

Pyta, jakbym w ogóle się nie odezwała, jakby czuła się absolutnie bezpiecznie, stojąc nago na poboczu drogi 122 w środku nocy, obok pędzących ciężarówek.

Jestem równie pewna, że to powiedziała, jak tego, że nie miała niczego na sobie. To cytat z „Wachty wielorybiej”, sto siedemnastego rozdziału „Moby Dicka”. Oczywiście, wtedy tego jeszcze nie wiedziałam. Nawet nie czytałam „Moby Dicka”, nie przed ową letnią nocą.

Uznaję, że już dość długo stoję i zadaję pytania, toteż podchodzę do niej i mówię „chodź”, wyciągając rękę. Ujmuje ją. Z ulgą odkrywam, że wcale nie ma oślizgłej skóry, tylko zimną po zamoczeniu w wodzie.

- Skoro nie mogę pani zmusić, żeby mówiła pani z sensem, przynajmniej zabiorę panią w bezpieczne miejsce. - A ona nie stawia oporu, ani nie odzywa się ani słowem, gdy prowadzę ją z powrotem przez szosę do hondy.

Daję jej lekki bawełniany sweter, który ze sobą zabrałam, ona jednak stoi tylko, trzymając go w rękach, toteż sama go na nią wkładam. Zapinam guziki, zasłaniając drobne piersi i płaski brzuch. Na tylnym siedzeniu leży flanelowy pled, pamiątka z wycieczki na plażę. Okręcam ją nim w pasie.

- To niewiele - mówię - ale lepiej niż nic.

Kiedy proponuję, by wsiadła do hondy, waha się tylko chwilę. Podczas jazdy do Providence, na Willow Street, nie odzywa się nawet słowem. Ja powtarzam pytania, na które już wcześniej nie raczyła odpowiedzieć. Zadaję też nowe, takie jak: „Gdzie pani mieszka?” i „Czy zawieźć panią do szpitala?” i „Czy chciałaby pani, żebym kogoś zawiadomiła?”. Na te pytania także nie odpowiada i zaczynam się zastanawiać, czy nie jest głucha. Włącza radio, ale najwyraźniej nie odpowiada jej żadna ze stacji, bo niespokojnie kręci gałką w górę i dół skali. Nie każę jej przestać. Domyślam

się, że to jej daje jakieś zajęcie, podczas gdy ja rozmyślam, co powinnam z nią począć. A potem jestem pod domem i skręcam na podjazd, zastanawiając się, czemu nie mogę sobie przypomnieć niemal nic z jazdy powrotnej do Massachusetts i dlaczego przywiozłam ze sobą tę kobietę, a także wreszcie, co powie Abalyn.

I tak właśnie wygląda noc, kiedy spotkałam Evę Canning. To znaczy, pierwsza noc, gdy spotkałam ją po raz pierwszy.

Opisałam to tak prawdziwie, jak tylko potrafiłam. Niemal całkowicie trzymając się faktów.

\*\*\*

Byłam w kuchni, jedząc kanapkę z ogórkiem i serkiem topionym z czarnym pieprzem, gdy nagle przyszło mi do głowy, że gdybym faktycznie pisała powieść, lub nawet opowiadanie, nowelę czy nowelkę - gdybym pisała coś z tych rzeczy, to zaniechałabym niemal zupełnie osobę Abalyn. A także nasz związek pod koniec czerwca i na początku lipca, krótki czas, który spędziłyśmy razem, nim odeszła. Krytyk mógłby słusznie zauważyć, że zapomniałam o dostatecznej charakterystyce postaci. Gdyby była to historia pióra Beatrix Potter albo A.A. Milne'a, albo Lewisa Carrolla, mogłabym teraz przerwać i rzec coś w stylu: „Ojejku jejku!”, a potem przeprosić i natychmiast naprawić swoje zaniechanie.

Ale cokolwiek piszę, nie jest żadną z owych rzeczy, a ja wiem, kim była i jest Abalyn Armitage, przynajmniej w stopniu, w jakim mogłam ją poznać. Przychodzi mi też do głowy, że może jak dotąd nie powiedziałam więcej o niej ani o nas, bo w tej pierwszej wersji mojej historii o duchach nie byliśmy razem zbyt długo, nim zjawiała się Eva, a Abalyn odeszła. Toteż w tym wariacie historii nie miałam zbyt wielkiej szansy, by lepiej ją poznać i niewiele mogłabym o nas powiedzieć. Zatem może zrobię to w drugiej wersji, tej z listopadem i wilkiem, kiedy byliśmy razem znacznie dłużej niż kilka tygodni. Możliwe, że po prostu czekam, póki nie opowiem wszystkiego w tamten sposób; wówczas bardziej szczegółowo opiszę Abalyn. Na razie jednak to tylko przypuszczenia i niewiele więcej, rozważanie, dlaczego mogłam postąpić w ten, a nie w inny sposób i jak to zrobić dalej.

Obawiam się, że popełniłaś okropny, głupi błąd, Indio Morgan Phelps, postanawiając zrelacjonować historię o duchach tak, jak ją pamiętasz, jako dwie odrębne narracje, cząsteczkę i falę, między Scyllą a Charybdą,



zamiast połączyć wszystko w jedną narrację pozbawioną paradoksów i sprzeczności. Bardzo się boję, że frustracja wkrótce zwycięży i poddasz się, nigdy tego nie dokończysz. Dostatecznie trudno przechowywać obie wersje w mojej głowie, bo obie wydają mi się równie prawdziwe (choć, jak mówiłam, fakty z pierwszej potwierdza więcej dowodów), a co dopiero mówić o przełożeniu konkurujących ze sobą, równoległych historii na język prozy.

Żyj i ucz się, a przynajmniej tak mawiają ludzie. Słyszałam tę frazę całe życie. Nawet Caroline i Rosemary mówiły: „Żyj i ucz się”. Dlaczego ja potrafię tylko to pierwsze?

\*\*\*

Kiedy wróciłam na Willow Street, niecałe dwie godziny po wyjeździe, Abalyn jeszcze nie spała. Zapowiedziała, że tak będzie, więc nie powinnam czuć się zaskoczona, a jednak. Skończyła pisać artykuł i oglądała film w swoim telewizorze. Podczas pobytu u mnie, Abalyn oglądała mnóstwo filmów, ja jednak bardzo rzadko jej towarzyszyłam. Nie lubię filmów ani trochę bardziej niż gier.

Poprowadziłam kobietę schodami do moich frontowych drzwi. Wciąż nie wiedziałam, że nazywa się Eva Canning, bo nie powiedziała do mnie nic po tym, jak spytała: „A kogóż z tych, co umierają na morzu, składa się na marach?”. Przekręciłam klucz w zamku i zaprosiłam ją do środka. Zawahała się, nie od razu przyjęła zaproszenie. Stała tam, na korytarzu, włosy niemal już jej wyschły. Przyjrzała mi się, mrużąc błękitne oczy, po czym zerknęła przez ramię, na schody wiodące w dół, do holu.

- O co chodzi? - chciałam wiedzieć.

Zaczęła stawiać krok naprzód, po czym znów się zawahała.

- Jesteś pewna? - spytała.

- Tak, jestem pewna. Wejdz. Nie możesz stać całą noc na korytarzu. Przekroczyła próg, a Abalyn zerknęła zza moich pleców.

- Kto to jest, Imp?

Nie poznała zbyt wielu moich przyjaciół, częściowo dlatego, że nie miałam ich zbyt wielu. Przedstawiłam jej Jonathana, który kiedyś pracował jako barista w White Electric Coffe na Westminster, i jestem niemal pewna, że także Ellen, która pracowała w centrum w Cellar Stories, ale później wyprowadziła się i zamieszkała ze swoim chłopakiem.

- Mamy gościa - odparłam, starając się, by to zabrzmiało lekko.

Powoli zaczynało do mnie docierać, co właściwie zrobiłam, przyprawdzając Evę do domu. I co mogła o tym pomyśleć Abalyn, która, jak na kogoś zarabiającego na życie pisaniem recenzji z gier wideo, jest osobą zaskakująco praktyczną.

Zamknęłam drzwi, Abalyn wstała z kanapy. W ręce trzymała pilota, wcisnęła pauzę, zatrzymując DVD. Stała tam, uśmiechając się niepewnie do Evy Canning, która rzuciła:

- Cześć, Abalyn.

Nie podałam jej imienia mojej dziewczyny (ani w ogóle nie poinformowałam, że mam dziewczynę). Lecz fakt, że wiedziała, kim jest Abalyn, wydawał mi się zupełnie naturalny - w końcu, czyż nie znała także sama z siebie mojego imienia?

- Hej - odparła Abalyn, zerkając na mnie pytająco.

- Abalyn, to jest... - Urwałam, dopiero w tym momencie orientując się, że choć kobieta wie, jak się nazywamy, ja nie znam jej imienia.

- Nazywam się Eva - oznajmiła; przemawiała tak cicho, że z trudem rozumiałam jej słowa. - Eva Canning.

- Imp, dlaczego ona jest tak ubrana? - chciała wiedzieć Abalyn. Pomyślałam, że to niegrzeczne, zwracać uwagę, że Eva ma na sobie

jedynie mój sweter i pled owinięty wokół pasa, ale nie powiedziałam tego głośno. Zaczynałam czuć się zagubiona i rozedrgana. Próbowałam sobie przypomnieć, czy nie zapomniałam zażyć leków o ósmej.

- Imp, przeszkadzałyby ci, gdybym wzięła gorący prysznic? - spytała Eva Canning. - Nie chciałabym się narzucać.

Nie narzucała się, i tak też odparłam, bo jej prośba wydawała mi się całkiem rozsądna. Uprzedziłam, by uważała, bo żeliwna wanna bywa dość śliska, a prysznic zamontowano nieco za nisko, toteż ktoś tak wysoki, jak Eva czy Abalyn, musi się pod nim schylać. Odparła, że na pewno sobie poradzi, a ja, że poszukam jej czegoś wygodniejszego do ubrania. Podziękowała mi, pokazałam jej drzwi łazienki. A potem zniknęła i zostałyśmy z Abalyn same w bawialni.

- Kim ona jest? - spytała Abalyn. Nie, ściślej byłoby rzec, że ostro zażądała odpowiedzi.

- Nie tak głośno - upomniałam - może cię usłyszeć. Abalyn zmarszczyła brwi i, niżając głos, powtórzyła pytanie.

- Nie wiem - przyznałam; opowiedziałam jej, jak jechałam drogą 122 i znalazłam Evę Canning nagą nad rzeką. Wyjaśniłam, że sprawiała wrażenie zdezorientowanej, a ja nie miałam pojęcia, co zrobić, że Eva

nie chciała jechać do szpitala ani na policję, ani nie podała mi swojego adresu.

Z twarzy Abalyn zniknęła podejrzliwość, zastąpiona wyrazem niedowierzania.

- I sprowadziłaś ją ze sobą do domu?

- Nie wiedziałam, co innego mogłabym zrobić.

- Imp. - Abalyn obróciła głowę w stronę łazienki i Evy Canning po drugiej stronie drzwi, które wcześniej otworzyły się i znów zamknęły. Przyglądała długimi palcami swoje czarne włosy i przygryzała dolną wargę. - Czy masz w zwyczaju sprowadzać do domu nieznajomych znalezionych na poboczu drogi?

- Czy nie tak znalazłam ciebie? - odparowałam z rosnącym oburzeniem, - Nieprawda?

Abalyn znów zerknęła na mnie z jeszcze większym niedowierzaniem. Chyba niemal odebrało jej głos, ale tylko niemal.

- Naprawdę sądzisz, że to porównywalne sytuacje?

- Nie - przyznałam. - Nie do końca. Ale nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym zrobić. Nie mogłam jej tak zostawić.

- Stojącej nago na poboczu - dodała Abalyn, jakby sprawdzała, czy dobrze mnie usłyszała. - Jezu, Imp. Pewnie się czymś naćpała. Nie da się stwierdzić, co jest z nią nie tak.

- Ty mogłaś być seryjną morderczynią - odparłam zaczepnie, wiedząc, że pogarszam sytuację, ale nie mogłam się powstrzymać. - Nie wiedziałam przecież, że nią nie jesteś, prawda? Nie wiedziałam, że nie jesteś ćpunką. W ogóle nic o tobie nie wiedziałam, ale przyprowadziłam cię ze sobą do domu.

Abalyn pokręciła głową i zaśmiała się - sucho, głucho, z irytacją.

- Muszę zająć - oznajmiła. - Pójdę się przejść.

Po naszym poznaniu Abalyn prawie przestała palić i kiedy miała ochotę na papierosa, zawsze wychodziła na dwór. Nigdy jej o to nie prosiłam; Caroline, Rosemary, a nawet moja ciotka Elaine paliły i nieszczególnie mi to przeszkadzało.

- Długo cię nie będzie? - spytałam.

- Nie wiem - odparła, po czym machnęła kciukiem w stronę drzwi łazienki. Dobiegał zza nich szum prysznic. - Czy ona zostanie?

- Szczerze mówiąc, w ogóle się nad tym nie zastanawiałam. Nie wiem, czy ma dokąd pójść.

- Do kurwy nędzy, Imp. W ogóle niczego ci nie powiedziała? Coś przecież musiała.

- Niewiele. Powiedziała: „A kogóż z tych, co umierają na morzu, składa się na marach?” - wyjaśniłam Abalyn. - To chyba z „Rymów o Sędziwym Marynarzu”, prawda?

Abalyn podeszła do wieszaka, sięgnęła do kieszeni po papierosy i zapalniczkę.

- Nie, Imp. Bynajmniej. To „Moby Dick”.

- Poważnie?

- Idę się przejść - powtórzyła. - Chyba że wolisz, żebym została. - Znów zerknęła na drzwi łazienki.

- Nie, w porządku. Wolę, żebyś się nie gniewała. Po prostu nie wiedziałam, co innego zrobić.

- Nie gniewam się - odparła Abalyn, ale widziałam, że kłamie. Kiedy kłamała, drżały jej kąciki ust. - Po prostu muszę zapalić, ro wszystko.

- Uważaj na siebie - rzuciłam, a ona znów się roześmiała, tym samym śmiechem pozbawionym wszelkiego rozbawienia.

Nie trzasnęła drzwiami, lecz jej kroki na schodach brzmiały głośniejsz niż zwykle. I tak zostałam sama w mieszkaniu z tajemniczą kobietą, która twierdziła, że nazywa się Eva Canning, i dopiero w tym momencie zaczęło do mnie docierać, jak dziwna jest cała sytuacja. Usiadłam na kanapie, wpatrując się w obraz na ekranie telewizora. To był wielki japoński potwór, zastygnięty w chwili, gdy rozdeptywał maleńką armię. Staralam się znaleźć pilota, ale go nie widziałam; zastanawiałam się, czy może Abalyn zabrała go ze sobą, a jeśli tak, czy zrobiła to celowo. Kiedy usłyszałam, jak Eva zakręca prysznic, znów wstałam i zgasłam telewizor. Poszłam do siebie i wzięłam dla niej koszulkę, bieliznę i parę spodni, trochę na mnie za dużych. A także skarpetki. Eva była wyższa ode mnie. Nie tak wysoka jak Abalyn, ale wyższa. Uznałam, że ubranie powinno na nią pasować.

Nie wiedziałam, co zrobić z butami.

Kiedy wróciłam z sypialni, siedziała naga na podłodze pod oknem, wycierając ręcznikiem długie włosy. Do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak bardzo była blada. Jej skóra barwą przypominała niemal mleko. Zapewne zabrzmiałoby to jakbym przesadzała, może i tak, możliwe, że przesadnie zapamiętałam jej bladość, tak jak wiele innych rzeczy. Byłabym zapewne bliższa faktom, pisząc, że cała Eva Canning miała w sobie osobliwą, fascynującą bladość. To mogłaby być bladość duszy, gdybym

wierzyła w dusze. Tak czy inaczej, może to właśnie chciałam powiedzieć, ale ponieważ łatwiej jest zapamiętać odcień czyjejś skóry niż duszy, nie mogę wykluczyć, że podświadomie to skórze przypisałam mleczny kolor.

- Mam dla ciebie ubranie - oznajmiłam, a ona mi podziękowała. Wówczas po raz pierwszy zauważyłam, jak melodyjny ma głos. Nie chcę przez to powiedzieć, że brzmiał śpiewnie, ani nic takiego, czy... Nieważne. Później znajdę odpowiednie słowo. Mam nadzieję, bo to ważne. Poza tym, wcześniej nad rzeką głos brzmiał sennie, niemal bełkotliwie - oszołomiony głos lunatyczki, którą właśnie wyrwano ze snu. Teraz przemawiała ze spokojną, czujną pewnością siebie.

- To bardzo miłe z twojej strony - rzekła. - Nie chciałam cię wykorzystywać.

- Prześpisz się tu dziś, zgoda? Rano coś wymyślimy. Przez kilka sekund przyglądała mi się w milczeniu.

- Nie, mam niedaleko przyjaciół. Ucieszą się z mojej wizyty. I tak już zbyt wiele zrobiłaś.

Dziesięć minut później już jej nie było. Wyszła na bosaka: zostawiła mi skarpetki. A ja stałam przy oknie, spoglądając w dół na Willow Street zbryzganą żółtymi kałużami słabego światła ulicznych latarni. Nie mogę jednak powiedzieć, że czułam się, jakby nic z tego się nie wydarzyło, choć ludzie w historiach o duchach ciągle coś takiego powtarzają. Bo z całą pewnością miałam wrażenie, że się wydarzyło, wszystko, każdy szczegół tej nocy, choć im dłużej odtwarzałam w głowie wydarzenia, tym mniejszy sens dostrzegałam w długiej przejażdżce, znalezieniu Evy i sprowadzeniu jej do domu.

Stałam przy oknie, usiłując uporządkować to wszystko, póki nie zobaczyłam Abalyn. Ręce wepchnęła do kieszeni džinsów, szła ze spuszczoną głową, jakby chodnik był znacznie ciekawszy niż wedle wszelkich reguł powinien. Poszłam do kuchni, nalałam do rondla mleka i postawiłam na gazie, w nadziei że Abalyn będzie miała ochotę na kubek gorącego kakao. W nadziei że się nie gniewa.

Tej samej nocy zaczęły się sny.

Przypuszczam, że przed Evą, i przed Evą, koszmarne sny nie nawiedzały mnie szczególnie często. Rzadko też zapamiętywałam jakiegokolwiek sny. Jeśli nawet, zazwyczaj wydawały mi się niemądre i nieistotne. Czasami miałam wręcz wrażenie, że sprawiam zawód temu czy innemu terapeutcie albo doktor Ogilvy, nie dając jej w tych kwestiach więcej materiału do analiz. Nie dysponowałam gotowym, wygodnym okienkiem wprost do mojej podświadomości. Nic z tych rzeczy. Czasami z braku snów terapeuci skupiali się na mojej sztuce. Ale owszem, Eva Canning wszystko zmieniła. Sprowadziła na mnie złe sny. Nauczyła mnie bezsenności. Albo może jedno i drugie to objawy nieokreślonej choroby, pozbawionej konwencjonalnych nosicieli. Co doprowadza mnie z powrotem do memów i nawiedzeń. Za chwilę, po jeszcze kilku wersach, powrócę do obu.

Zeszłej nocy leżałam w łóżku, rozmyślając o tym co piszę, o tym, że kryje się w tym historia, lecz zupełnie nie starałam się stworzyć jednej spójnej narracji. A także o tym, że jeśli wspólna narracja w ogóle istnieje, to może gubi się pośród innych rzeczy: ekspozycji, wspomnień, rozważań, dygresji, i tym podobnych. Rzecz nie w tym, że miałyby liczyć się mniej od niej, i nie to, że nie pozostawały kluczowymi składnikami tego, co próbuję z siebie wyrzucić. Bo pozostają. Bardziej chodzi mi o to, że za

dziesięć czy dwadzieścia lat być może zerknę z powrotem na te stronicę, wykopię je z miejsca, w którym je ukryłam, i z rozczarowaniem odkryję, że nie postarałam się bardziej, przedstawiając historię Ewy, Abalyn i mnie samej. Bo wówczas, gdy będę już miała czterdzieści czy pięćdziesiąt lat, pewnie w mojej pamięci pozostanie znacznie mniej szczegółów. I zobaczę, że straciłam swoją szansę. Będę miała wrażenie, że dzisiejsza ja oszukała mnie ówczesną.

Zeszłej nocy nie potrafiłam pozbyć się wrażenia, że u stóp łóżka stoi Abalyn. Oczywiście nie stała. Trudno to nawet nazwać właściwą halucynacją. Większość ludzi nie rozumie chyba, jak niewielka różnica dzieli wyobraźnię i halucynacje. W moim przypadku czasami różnią się tylko o włos. Ale jednak słuchałam i łatwiej było słuchać, wiedząc, że Abalyn zapewne smacznie śpi w swoim mieszkaniu w Olneyville. Albo może siedzi i gra w jakąś grę czy pisze recenzję. Tak czy inaczej, nie stała u stóp mojego łóżka i nie mówiła do mnie.

Głównie zadawała pytania, na przykład:

— Jeśli kiedykolwiek to komuś pokażesz albo umrzesz i to znajdą, czy automatycznie nie staniesz w jednym rzędzie z innymi, którzy tworzyli nawiedzenia? Ten maszynopis - czyż to nie zakażony dokument, czekający tylko, by móc rozsiać dokoła swą zarazę?

Nie odpowiedziałam, bo wiedziałam, że to nie ona. Ale leżałam tam, nie śpiąc, i nie mogłam przestać myśleć o jej pytaniach - i nagle coś mi się przypomniało. Żałuję, że nie napisałam o tym w pierwszym „rozdziale”, bo to doskonały przykład tego, co miałam na myśli. Nawiedzenia to memy, szczególnie zgubne, gdy stają się zakaźne: zakaźne społecznie, bez potrzeby nosiciela, wirusowego bądź bakteryjnego, i przekazywane na tysiące różnych sposobów. Książka...

Las Samobójców. Mam tu na stole obok mnie teczkę z kilkunastoma artykułami na temat japońskiego Lasu Samobójców. U podnóża Fudzi-jamy na wybrzeżach jeziora Sai leży liczący trzy tysiące hektarów las, zwany Aokigahara Jukai, znany także jako Morze Drzew. Las ten uważa się za skarb narodowy, to popularny cel odwiedzin turystów i wielbicieli pieszych wędrówek, żyje w nim dwieście gatunków ptaków i czterdzieści gatunków ssaków. Drzewa to głównie japońskie czerwone sosny, japońskie dęby, świerki tygrysie, bukszpany, buki, bambusy i himeshara (*Stewarda monadelphæ*: drzewo liściaste średnich rozmiarów, o lśniącej, czerwonej korze, szerokich liściach i pięknych białych kwiatach). Las jest bardzo gęsty i ciemny. W istocie drzewa rosną tak blisko, że nie

przepuszczają wiatrów pędzących po zboczach wulkanu i pod ich nieobecność w lesie panuje ponoć niesamowita cisza. Jest tam też ponad dwieście jaskiń. Niektórzy twierdzą, że gleba i kamień pod Aokigaharą są tak bogate w żelazo, że uniemożliwiają korzystanie z kompasów, toteż łatwo zabłądzić w owym drzewnym labiryncie. Może to prawda, a może nie. Nie wiem, ale tu akurat raczej nie ma to znaczenia.

Znaczenie ma natomiast fakt, że Morze Drzew zwane jest także Lasem Samobójców. Ludzie udają się tam, by się zabić. Mnóstwo ludzi. Mam tu artykuł z siódmego lutego 2003 z „Japan Times” (japońskiej gazety wydawanej po angielsku). Według niego, tylko w 2002 roku policja wywiozła z Aokigahary zwłoki siedemdziesięciu ośmiu „ewidentnych” samobójców i powstrzymała kolejne osiemdziesiąt trzy osoby zamierzające odebrać sobie życie, odnalezione w lesie i umieszczone w „areszcie ochronnym”. W 1978 roku 73 mężczyzn i kobiet (głównie mężczyzn) popełniło samobójstwo w mroku Aokigahary. W 2003 - sto osób. Każdy rok zbiera własne ponure żniwo i tylko most Golden Gate stanowi popularniejsze miejsce samobójstw. W lesie rozstawiono znaki, na których prosi się ludzi, którzy przybyli tu, by się zabić, żeby tego nie robili, by jeszcze raz rozważyli swą decyzję. Buddyjscy mnisi opowiadają, że las ściąga samobójców w swój wieczny mrok, że ich przyzywa. Podobno nawiedzają go duchy zwane yurei, samotne dusze samobójców, zawodzące w nocy.

Las jest podobno nawiedzony. To najważniejszy element tej historii. Przynajmniej najważniejszy dla mnie. Znaczenie zawsze jest warunkowe, względne, zmienne w zależności od osoby. Lecz (przynajmniej dla mnie) od opowieści o yurei ważniejszy jest fakt, że wszystkie te problemy w Morzu Drzew zaczęły się dopiero, gdy Seicho Matsumoto, japoński autor powieści detektywistycznych i kryminalnych, wydał książkę „Kuroi Ju-kai” (Czarny Las, 1963). W książce Matsumoto para kochanków wybiera Aokigaharę na najlepsze miejsce do popełnienia samobójstwa. Ludzie przeczytali tę książkę. I zaczęli przyjeżdżać do lasu, by się zabić.

Nie czytałam „Kuroi Jukai”. Nie wiem nawet, czy została przełożona na angielski.

Książka. Zgubny mem, który stworzył nawiedzenie, punkt skupienia dla ludzi niechcących dłużej żyć. Podobnie jak z Phillipem Georgem Saltonstalem i „Tonącą dziewczyną”, trudno mi uwierzyć, by Matsumoto chciał z rozmysłem kogokolwiek skrzywdzić. Wątpię, by świadomie zapoczątkował nawiedzenie Morza Drzew. Ale czy jego intencje w ogóle mają tu jakiegokolwiek znaczenie? Podobnie intencje Saltonstalla czy



Alberta Perrault. Czy wszyscy oni są niewinni, czy też obciążamy ich odpowiedzialnością?

- Co cię od nich odróżnia? - spytała zeszłej nocy wyobrażona sobie przeze mnie Abalyn ze stóp mojego łóżka.

Gdybym odpowiedziała, może rzekłabym: „Nic”. Może odparłabym: „Nadal próbuję to ustalić”. Możliwe też, że zauważyłabym, że dzieła tych trzech, pisarza i dwóch malarzy, były przeznaczone dla szerszej publiczności, podczas gdy moje jest tylko dla mnie.

- Napisz o Evie - powiedziała Abalyn. - O tym, co sprowadziłaś do domu owej nocy. Napisz, co się z nami stało z powodu tego, co wówczas sprowadziłaś.

Chciałam odrzec: „Nadal cię kocham, Abalyn. Nigdy nie przestanę cię kochać”. Ale tego nie zrobiłam, bo w ogóle się nie odzywałam. Gdybym jednak odpowiedziała własnej wyobraźni, przypuszczam, że Abalyn odwróciłaby się ode mnie, wściekła, zgorzkniała, samotna, jak każdy yutei, choć wcale by nie zawodziła. Zdecydowana nie pokazywać mi swojej słabości.

Idąc przez las, natknęłam się na...

„Musisz się ubrać i iść do pracy”, napisała Imp.

Wiem. Właśnie spojrzałam na zegar. Ale najpierw musiałam to z siebie wyrzucić. Gdybym tego nie zrobiła, może zapomniałabym, że miałam taki zamiar, bo zapominam tak wiele.

Muszę opowiedzieć tę historię, bo tak wiele zapominam.

\*\*\*

Następnego ranka - w dzień po tym, jak znalazłam Evę Canning nad rzeką Blackstone - obudziłam się i odkryłam, że Abalyn już wstała. Nieco mnie to zaskoczyło, bo zazwyczaj chodziła spać znacznie później ode mnie i później wstawała. Czasami sypiała aż do drugiej, trzeciej po południu, po tym jak siedziała do rana. Jednakże nie tego ranka. Tego ranka włożyłam szlafrok, umyłam zęby i, udawszy się do bawialni, odkryłam, że przegląda moją kolekcję płyt.

- Dzień dobry - powiedziałam, a ona zapewne też odparła „dzień dobry”. Albo coś w tym guście.

- Wcześniej wstałaś - zauważyłam. Abalyn wzruszyła ramionami.

- Nie masz niczego nagranego po tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym? - Zmarszczyła czoło. - I słyszałaś chyba o płytach CD?

- To płyty Rosemary.
- Rosemary? Byłej?
- Nie, nie. Rosemary, mojej matki.
- No to gdzie jest twoja muzyka? - chciała wiedzieć.

Wciąż ani razu na mnie nie spojrzała, jedynie przeglądała płyty. Wyciągnęła egzemplarz „Rumours” i wbiła wzrok w Micka Fleetwooda i Stevie Nicks na okładce.

- To moje płyty, Abalyn. Jedyne jakie mam.
- Nabijasz się ze mnie! - Wybuchnęła śmiechem.
- Nie, nie nabijam się. Rzadko słucham muzyki, a kiedy już to robię, słucham płyt Rosemary. Wychowałam się na nich, dzięki nim czuję się bezpiecznie.

I wtedy spojrzała na mnie przez ramię. Zrobiła tę minę, jak wtedy, gdy próbowała mnie rozgryźć. Albo gdy miała jakiś problem z jedną ze swoich gier wideo. W obu przypadkach wyraz jej twarzy wyglądał identycznie.

- No dobra - powiedziała - to chyba ma sens.

Odwróciła się z powrotem do regału (na którym trzymam wszystkie płyty Rosemary, będące teraz moimi płytami). Wsunęła „Rumours” na miejsce i wyciągnęła „Late for the Sky” Jacksona Browne’a.

- Tę lubię wyjątkowo - poinformowałam ją.
- Masz gramofon?
- Tak. Też należał do matki.
- Jodie ma gramofon. Zbiera winyle. Ja zostanę przy CD. Winyłowe płyty łatwo podrapać i upierdliwie się je przewozi podczas przeprowadzek.

Ziewnęłam, myśląc o gorącej herbacie, pieczonych placuszkach i dzemie truskawkowym.

- Nieszczególnie znam się na muzyce - przyznałam. - To znaczy, na tej nowszej. Znam tylko płyty Rosemary.

- Musimy to nadrobić, Imp. Potrzebny ci szybki kurs.

Spytałam ją, co lubi, ale nie zrozumiałam odpowiedzi. EMB, synth-pop, trance, shoegaze, japanoise, acid house.

- Nigdy nie słyszałam o żadnym z tych zespołów - przyznałam, a ona się roześmiała. Ale nie był to wredny śmiech. Nie pamiętam, by Abalyn kiedykolwiek się ze mnie nabijała albo śmiała tak jak z kogoś, z kogo się drwi.

- To nie są zespoły, Imp. To gatunki.
- Och - mruknęłam. - Nie wiedziałam tego.

- Poważnie, musimy jak najszybciej zająć się edukacją muzyczną Indii Phelps.

Później faktycznie, grała mi sporo swojej muzyki, a ja słuchałam, starając się robić to z otwartym umysłem, ale tak naprawdę nic mi się nie spodobało. No, oprócz paru piosenek angielskiego zespołu Radiohead. W jednej z nich śpiewali coś o syrenie i wrakach statków. Ale w większości utworów, które mi puszczała, teksty - jeśli w ogóle miały jakieś teksty — nie wydawały się zbyt istotne.

Przyglądała się tylnej okładce „Late for the Sky”, a ja spytałam czy jadła już śniadanie. Odparła, że tak i że zaparzyła kawę. Przypomniałam jej, że nie pijam kawy. I naprawdę wiem, że próbuję wrócić do historii i może nie wydaje się to częścią opowieści o Evie Canning, ale nią jest. A zresztą mam ochotę napisać coś o Abalyn. Dzisiejszego wieczoru brak mi jej bardziej niż zwykle. Zastanawiałam się nawet, czy do niej nie zadzwonić, ale stchórzyłam. Powiadam wam, mięczak ze mnie. Brak mi kręgosłupa.

Wskazałam ręką okładkę trzymanej przez nią płyty.

- Naprawdę ją uwielbiam. Zawsze uważałam, że Jackson Brown jest strasznie odlotowy.

- Imp, Jackson Brown nie ma w sobie ani krztyny odlotowości. Nawet jednego mitochondrium. Oto, jak bardzo jest nieodlotowy.

Zabrzmiało to obraźliwie - to znaczy, jakby mnie obrażała - ale wiedziałam, że nie miała takiego zamiaru. Niewątpliwie obrażała Jacksona Browne'a.

- Słuchałaś kiedyś tej płyty? - spytałam.

- Nie - przyznała. - I wolę, by tak zostało.

- W takim razie, skąd możesz wiedzieć?

Nie odpowiedziała mi na to pytanie. Zamiast tego zadała własne.

- Masz dziś wieczorną zmianę, prawda? - A ja odpowiedziałam, że owszem, że idę do pracy dopiero na czwartą. - W takim razie ubierz się. Zapraszam cię na lunch.

- Jeszcze nie jadłam śniadania.

- Dobra. To zapraszam cię na śniadanie, brunch, cokolwiek zechcesz. Ale będziesz musiała prowadzić.

Ubrałam się zatem i pojechałyśmy na Wayland Square, do kafejki, którą lubiła, a której nigdy wcześniej nie odwiedziłam, nazwanej „Nerw”, bo jak przypuszczam od kawy ludzie robią się nerwowi. Stały w niej duże drewniane stoły i krzesła z różnych kompletów, mnóstwo ludzi czytało gazety i pracowało na laptopach. Domyślałam się, że większość z nich to

studenci Browna. Zastanawiałam się nad kanapką i w końcu zamówiłam coś, co nazywali ciastkiem kowboja, i filiżankę wrzącej darjeeling. Abalyn wzięła sandwicza z jajkiem i serem i dużą latte. Herbatę i kawę podano w wielkich ceramicznych zielonych kubkach, malowanych w czerwone ziarna kawy. Powiedziałam Abalyn, że przypominają biedronki.

Usiadłyśmy przy stole z tyłu i w rogu, przez kilka minut żadna z nas się nie odzywała. Jadłyśmy i popijałyśmy nasze napoje. Obserwowałam ludzi z ich laptopami i iphone'ami.

Nie widziałam, by zbyt wielu z nich rozmawiało czy nawet czytało książkę albo gazetę. Niemal wszyscy byli zbyt zaprzątnięci swoimi gadżetami, by wdawać się w konwersacje. Zastanawiałam się, czy w ogóle zauważają cokolwiek z tego, co dzieje się dookoła. Pomyślałam o tym, jak dziwne musi być takie życie. No, może nie dziwniejsze niż u kogoś, kto zawsze tkwi z nosem w książce, ale mnie wydawało się inne. Chłodniejsze, bardziej zdystansowane. Nie, sama nie wiem dlaczego tak uważam.

W końcu Abalyn odłożyła kanapkę, przeżuła kęs, przełknęła i zwróciła się do mnie.

— Nie chcę, żebyś pomyślała, że jestem wkurzona, czy coś. Bo nie jestem. Ale co do tego, co się stało zeszłej nocy, Imp... Może powinniśmy o tym porozmawiać.

— Zeszłej nocy wydawałaś się zła - odparłam, nie patrząc jej w oczy i mieszając łyżeczką herbatę.

— Zeszłej nocy, no cóż... - Na moment urwała, oglądając się przez ramię; pomyślałam, że może sprawdza czy ktoś nas nie podsłuchuje. Ale nie. Wszyscy byli zbyt zajęci swymi gadżetami. - Zeszłej nocy przyznaję, że trochę mi odbiło. Sprowadziłaś do domu obcą osobę, kobietę, którą znalazłaś nagą i przemoczoną przy drodze na pustkowiu.

— Ale wyszła - przypomniałam i pożałowałam, bo zabrzmiało to bardzo defensywnie. - Pewnie już nigdy jej nie zobaczę.

— Nie w tym rzecz. To było niebezpieczne.

— Ona nie zrobiła mi krzywdy, Abalyn. Tylko bawiła się radiem. Abalyn zmarszczyła brwi i skubnęła kanapkę.

— Lubię cię - powiedziała - i to bardzo.

— Ja też bardzo cię lubię - rzekłam.

— Nie możesz robić takich rzeczy, Imp. Wcześniej czy później, kiedy wciąż będziesz podwozić ludzi i wyczyniać podobne głupstwa, stanie się coś złego. Ktoś nie okaże się nieszkodliwy. Wcześniej czy później ktoś cię skrzywdzi.

- Nigdy dotąd tego nie robiłam. Nie mam takiego zwyczaju ani nic. - Jesteś zbyt ufna. - Abalyn westchnęła. - Nie masz pojęcia o ludziach i o tym, do czego są zdolni.

Pociągnęłam łyk herbaty i nadgryzłam ciastko. Okazało się, że ciastko kowboja to ciasteczko owsiane z czekoladą, cynamonem i pekanami. Czasami nadal tam wracam i je kupuję. Zawsze mam nadzieję, że zobaczę Abalyn, ale nigdy jej nie spotkałam, więc może nie bywa już w „Nerwie”.

- Była bezbronna - oznajmiłam.

- Nie wiesz tego. Nigdy nie wolno ci tego zakładać.

- Nie chcę się o nią sprzeczać.

- Nie sprzecząmy się, Imp. Po prostu rozmawiamy. To wszystko. -Ale brzmiała jak ludzie, którzy się sprzecząją. Nie powiedziałam jej tego. Chciałam tylko wrócić do domu, do własnej kuchni i zjeść przyrządzone przez siebie śniadanie.

- Mogła być ranna.

- W takim razie trzeba było zadzwonić na policję i powiedzieć im o niej. W końcu po to są.

- Proszę, nie mów tak do mnie. To protekcyjne. Nie mów do mnie jak do dziecka. Nie jestem dzieckiem.

Abalyn znów obejrzała się przez ramię i popatrzyła na mnie. Jakaś część mnie wiedziała, że ma rację, ale nie chciałam tego przyznać.

- Nie, nie jesteś dzieckiem. Po prostu wszystko to mnie wystraszyło, jasne? Bo było strasznie dziwnie. Imp, ona była strasznie dziwna.

- Mnóstwo ludzi mówi tak o mnie - przypominałam. - Mnóstwo ludzi mogłoby to powiedzieć o tobie.

Mam wrażenie, że chyba ją podpuszczałam, a wiem, że nie powinnam. Piekła mnie twarz. Ale ona zachowała spokój i nie chwyciła przynęty.

- Po prostu mi obiecaj, że więcej czegoś takiego nie zrobisz.

- Mogła być ranna - powtórzyłam po raz drugi. - Mogła mieć kłopoty.

- No dalej, Indio. Proszę.

Odgryzłam rozek ciastka kowboja. A potem obiecałam jej, że zgoda, nigdy więcej czegoś takiego nie zrobię. I mówiłam szczerze. Ale miałam zrobić. W listopadzie, kiedy po raz drugi spotkałam Evę Canning, miałam zrobić dokładnie to samo.

Po kafejce poszliśmy do antykwariatu książkowego za rogiem. Żadna z nas niczego nie kupiła.

\*\*\*

„Pisz tylko to, co widziałaś”, wystukała Imp. „Nie interpretuj. Jedynie opisuj”.

To właśnie chciałabym robić, ale już widzę jasno, że mi się nie uda. Już widzę, że przyciągnę uwagę do paralel, których istnienia nawet nie podejrzewałam na długo po owym lipcowym dniu, gdy zjadłyśmy z Abalyn brunch przy Wayland Square. Jestem zbyt niecierpliwa, by pozwolić na rozwijanie się wydarzeń w prawdziwie linearny sposób. Teraźniejszość owego popołudnia stała się przeszłością mojej obecnej teraźniejszości, szczytu, z którego przyglądam się pokręconemu krajobrazowi wszystkich chwil prowadzących mnie do dnia dzisiejszego.

Po antykwariacie zastanawialiśmy się, czy nie zajrzeć do niewielkiego sklepiku w suterenie obok. Nazywa się „Jaki radość”, jak w „Jaki radość, netop?”. Netop to ponoć słowo z języka Indian Narragansett, oznaczające przyjaciela, a całość to podobno powitanie, jakie Indianie wykrzyknęli na widok Rogera Williamsa (który założył Rhode Island) i jego kompanów, gdy przeprawili się przez rzekę Seekonk w tysiąc siedemset trzydziestym którymś i tak dalej, i tak dalej. „Jaki radość” to w Rhode Island magiczne słowa — co za ironia, gdy zastanowić się, jak wiele złego zwiastowały w niedługim czasie Narragansettom, którzy powitali białych na swoich ziemiach. Nie, nie myślałam o tym, gdy stałyśmy na rozgrzanym chodniku, próbując zdecydować, czy chcemy zejść po schodach do sklepiku z gratami. Mają tam stare pocztówki, ciuchy vintage i wielkie, antyczne szafki apteczne. Szuflady pękają od niezliczonych, przypadkowych, nic nieznaczących skarbów - od gałek do drzwi po figury szachowe i znaczki z minionych kampanii wyborczych. A przy okazji, „Jaki radość” sprzedaje też mnóstwo winyli.

Wciąż czasem odwiedzam ten sklep, choć nigdy nie kupuję w nim płyt. Ani prawie niczego innego. Zwykle lubię tylko w nich grzebać i próbować wymyślić, dlaczego Rosemary kupiła akurat te albumy, a nie inne. Tak naprawdę nigdy nie rozmawialiśmy o muzyce, choć bardzo często puszczała mi swe płyty. Uwielbiam zapach panujący w „Jaki radość”, woń kurzu i starego papieru.

Ale tego dnia tam nie zeszłyśmy. Abalyn musiała wracać do mieszkania, bo do wieczora miała napisać recenzję, której jeszcze nawet nie zaczęła. A ja zapomniałam zabrać ze sobą lekarstwa z pierwszej po południu. W pracy musiałam się zjawić dopiero za parę godzin. Pamiętam, że dzień

był wyjątkowo upalny, ponad trzydzieści stopni, i stałyśmy razem w cieniu zielonej markizy, osłonięte przed słońcem, lecz i tak złane potem.

Abalyn ruszyła do hondy - i wtedy ją ujrzałam. Obserwowała nas z drugiej strony Angeli Street. To znaczy, Eva Canning. Potrzebowałam kilku sekund, by ją rozpoznać, z początku wyglądała jak jakaś obca blondynka. (Czy wspomniałam, że Eva miała jasne włosy, kiedy zjawiała się po raz pierwszy? No to miała, choć wcześniej o tym nie mówiłam). Nie była ubrana w ciuchy ode mnie, tylko w długą czerwoną sukienkę na ramiączkach, okulary przeciwsłoneczne i słomkowy kapelusz, chroniący ją przed słońcem, tak jak parasol chroni przed deszczem. Był to jeden z tych stożkowych azjatyckich kapeluszy, wiązany pod brodą błękitną jedwabną wstążką. W Wietnamie nazywają je Nón lá, a w Japonii suge-gasa. W tym „rozdziale” już trzykrotnie pojawiła się Japonia i może to coś znaczy, a może to tylko moja arytmomania znów podnosi paskudną głowę. Babcia nazywała je kapeluszami kulisów, ale mówiła też, żebym tak na nie nie mówiła, bo to rasistowska nazwa.

A zatem Eva w czerwonej sukience, okularach przeciwsłonecznych, słomkowym kapeluszu z błękitną jedwabną wstążką. I była na bosaka. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć i nagle pojęłam, że to ona. To była ona i przyglądała się nam. Nie wiem, jak długo tam stała, ale gdy zorientowałam się kim jest, w tym samym momencie, gdy ją rozpoznałam, uśmiechnęła się. Sięgnęłam, żeby chwycić Abalyn za rękę, powiedzieć jej. Zaczęłam też machać do Evy Canning. Ale nie dokończyłam żadnego z tych gestów. Abalyn szła już do samochodu, a Eva odwróciła się do mnie plecami. Gdy tylko ją rozpoznałam, pomyślałam, że może tak naprawdę to nie ona. Kimkolwiek była ta osoba, straciłam ją z oczu i podążyłam w ślad za Abalyn do hondy. W samochodzie (czarna tapicerka) było tak gorąco, że musiałyśmy chwilę stać przy otwartych drzwiach, nim wsiadłyśmy do środka.

Szkoda, że nie jestem pisarką, prawdziwą pisarką, bo gdybym nią była, pewnie nie wprowadziłabym takiego straszego chaosu w tę historię. Gadam bez ładu i składu, potykam się o własne nogi. Żałuję, że nie jestem dość normalna, by umieć zawsze odróżnić fakt od fantazji, lecz, jak mawiała Caroline, gdyby życzenia były końmi, żebracy nie chodziliby pieszo. Rosemary mawiała do babci...

„Skończ z tymi bzdetami i opowiedz historię, Imp”, napisała Imp. Ja napisałam. „Opowiedz ją albo nie, ale przestań zwlekać. Przestań grać na czas. To irytujące”.

Owszem. Wiem, że to irytujące.

Ja to wiem.

Wiem.

W lipcowe popołudnie, po nocy, gdy znalazłam Eve Canning po raz pierwszy i sprowadziłam do swego mieszkania, widziałam, jak nas obserwuje przy Wayland Square. Nie pomachała, nie zawołała do mnie, nie próbowała w żaden sposób zwrócić na siebie uwagi. Zobaczyła mnie, a gdy się upewniła, że ją rozpoznałam, odwróciła się do mnie plecami. Nigdy nie wspomniałam o tym Abalyn.

W liście, który Phillip George Saltonstall napisał do Mary Farnum w grudniu 1896 roku, wspomina „niezwykle osobliwy i absurdalny sen”. Opisuje, jak ocknął się późną nocą, albo przynajmniej sądził, że się ocknął. W końcu uznał, że jedynie przeskoczył z jednego koszmaru w drugi, a złudzenie przebudzenia posłużyło jako coś w rodzaju „sennego przejścia”. Przeszedł przez sypialnię i stanął przy oknie, spoglądając w dół na Prince Street. Działo się to rzecz jasna w Bostonie, bo tam mieszkał. Wyjrzał przez okno i przekonał się, że pada gęsty śnieg i „na ulicy w dole stoi wysoka kobieta w czerwonym płaszczu i czerwonym czepku. Nie miała na nogach butów. Pomyślałem, że musi jej być strasznie zimno, i zastanawiałem się, po co marnuje czas pod moim oknem w podobnej śnieżycy. I wtedy zerknęła na mnie, w górę, i ujrzałem jej oczy. Nawet teraz, moja droga Mary, gdy piszę do Ciebie w pogodnym świetle jasnego, zimowego dnia, na wspomnienie jej twarzy czuję przejmujący dreszcz. Nie potrafię określić, dlaczego twarz wydała mi się tak demoniczna, była bowiem bardzo ładna. Wręcz piękna, ale jej piękno przepęłniało mnie wyjątkową grozą. Swą bladością niemal dorównywała świeżemu śniegowi i uśmiechnęła się do mnie, a potem odwróciła i powoli odeszła. Nie pozostawiła po sobie śladów stóp i uznałem, że to z pewnością widmo”.

Moje baśnie zaczynają zlewać się ze sobą. O, tak, widzę to. Czerwona sukienka Evy, bosa kobieta w czerwonym płaszczu i czepku, *Le Petit Chaperon Rouge*. Ale nigdy nie twierdziłam, że się nie nakładają, choć może zapomniałam o tym wspomnieć. Bo nakładały się. I nakładają. To może być jedno z tych miejsc, w którym powinnam przypomnieć o różnicy między prawdziwością mojej opowieści a faktami. Sama nie wiem. Eva będąca syreną i Eva będąca wilkiem zlewają się w jedną całość, choć zdecydowanie wolałabym, by wszystko zachowało swą odrębność.

Nie sądzę, by nawiedzenia przejmowały się choć trochę moją potrzebą uporządkowania wydarzeń. Przypuszczam, że gardzą etykietami.



W wywiadzie, który zachowałam w brązowej teczce z podpisem Albert Perrault, mówił on o śnie, który nawiedził go niedługo po tym, jak zaczął malować „Fecunda iratis”. Ohydny obraz przedstawiający dziecko otoczone pierścieniem wilków, a wilki otoczone pierścieniem starożytnych kamiennych bloków. Podkreśliłam jego słowa żółtym markerem. „O, nie, nie. Nigdy nie zakładajcie, że istnieje tylko jedno źródło natchnienia. Równie dobrze mógłbym twierdzić, że miałem matkę, ale nie ojca, albo ojca bez matki. To prawda, wymyśliłem już sam obraz, istotnie, po tym jak odwiedziłem krąg kamienny Castletigg pod Keswick. Ale sen także odegrał znaczącą rolę. Mieszkałem wtedy z przyjaciółką w Irlandii, w Shannon, i pewnej nocy przyśniło mi się, że wróciłem do Kalifornii. Stałem na plaży w Santa Monica, widziałem molo, a na piasku dostrzegłem młodą kobietę w szkarłatnej pelerynie i kapelusiku. Wokół niej wędrowały wkoło czarne psy, dotykające nosami ogonów poprzedników. Mówię: psy, ale może powinienem powiedzieć: bestie. Wtedy wydawały mi się psami. Kobieta spoglądała w morze i jakby nie dostrzegała bestii, psów. Nie wiem, co ujrzała w wodzie, albo co próbowała zobaczyć.

Jasne, jasne. Możesz uznać, że sprawiła to moja obsesja na punkcie obrazu, którego jeszcze nie zacząłem, lecz który krystalizował się w oczach mojego umysłu, i to ona zainspirowała ów sen. Możesz wyciągnąć taki wniosek. Ale ja uważam inaczej”.

Wilki bądź bestie w kręgu, stykające się nosami i ogonami. Ale śnieg to skryształizowana woda, prawda? A kobieta w kapelusiku wpatrywała się w ocean.

Zatem wszystko to zlewa się ze sobą. Co za bałagan.

Próbuję zmusić te historie, by pozostały odrębne, ale i tak powstaje wśród nich chaos. Jestem pewna, że historii nie obchodzi to, czego po nich oczekuję. Historie mi nie służą. Nawet moje własne.

Gdybym miała laptopa, gdyby było mnie na niego stać, kupiłabym go. Wówczas usiadłabym w kafejce bądź bibliotece i pisała swoją historię o duchach w bezpiecznym otoczeniu innych ludzi. Zbyt łatwo wystraszyć samą siebie w tym pokoju o błękitno-białych ścianach. Zwłaszcza kiedy piszę po zmroku, tak jak teraz. Gdybym mogła zadzwonić do Abalyn i pożyczyć jeden z jej laptopów, zrobiłabym to. Nie sądzę, by opowieści o duchach należało pisać w samotności.

Dziś w nocy w domu jest okropnie cicho.

Nigdy nie lubiłam cichych domów. Zawsze wydaje się, że na coś czekają.

\*\*\*

Las stał się syreną. Matsumoto napisał swoją książkę, i kiedy to zrobił, Aokigahara na wybrzeżach jeziora Sai zamienił się w Las Samobójców. Marsumoto odegrał pierwszą nutę pieśni, która nadal rozbrzmiewa w uszach ludzi, wciąż sprawia, że złamani, zranieni odbierają sobie życie w Morzu Drzew. A świat jest pełen syren. Zawsze jest jakaś syrena, próbująca śpiewem sprawić, byśmy rozbili swój statek. Niektórzy z nas są zapewne bardziej podatni niż inni, ale zawsze istnieje jakaś syrena. Być może towarzyszy nam całe życie albo znajdujemy ją, czy ona nas, dopiero po wielu latach czy dziesięcioleciach. Kiedy jednak nas znajduje, jeśli mamy szczęście, jesteśmy jak Odys, przywiązany do masztu okrętu, wyraźnie słyszący pieśń, lecz wieziony w bezpieczne miejsce przez załogę, która ma uszy zatkane woskiem. Jeżeli nie mamy szczęścia, stajemy się kolejnym marynarzem zeskakującym z pokładu, by utonąć w morzu. Albo dziewczyną brodzącą coraz głębiej w nurcie rzeki Blackstone.

Doktor Ogilvy i przepisywane przez nią pigułki to mój wosk i liny przytrzymujące mnie mocno przy maszcie, tak jak obłąd zawsze był moją syreną. A także wcześniej syreną Caroline i Rosemary Anne. Caroline posłuchała i zdecydowała się utopić. Rosemary utonęła, choć ludzie dokoła próbowali zatkać jej uszy i ją przywiązali.

Nie uważam, by postać przybrana przez syrenę miała zbyt wielkie znaczenie. Nie, wierzę, że w ogóle go nie ma. Równie dobrze to może być kobieta o ptasich skrzydłach i szponach, morska syrena z ogonem, rusałka w swej rzece, kelpie unosząca się w zarośniętym sitowiem stawie. Same cierpliwe, wygłodniałe istoty. Syreny mogą być równie pospolite jak chciwość, rozpacz, żądza czy namiętność. Obraz wiszący na ścianie. Kobieta stojąca nago na poboczu ciemnej drogi, która zna twoje imię, nim je zdradzisz.

Gdy pierwszy raz poszłam na wizytę u doktor Ogilvy, ta poprosiła, bym opisała jej jeden objaw, który sprawia mi największe problemy, który leży u podstaw wszystkiego, co mnie blokuje i utrudnia życie. Przyznała, że to nie takie proste, że mogę mieć mnóstwo podobnych objawów, ale przynajmniej to jakiś początek. Poprosiła, żebym jej powiedziała, co to, i opisała jak najbardziej szczegółowo. I żebym się nie śpieszyła. Usiadłam zatem na sofie w jej gabinecie, zamknęłam oczy i nie otworzyłam ich ani nie odezwałam się przez jakieś dziesięć minut. Nie dlatego, że nie wiedziałam od początku, jak brzmi odpowiedź, lecz dlatego, że nie miałam pojęcia, jak jej to opisać.

- Czy teraz możesz mi powiedzieć, Indio? - spytała, kiedy uniosłam powieki.

- Może - odparłam.

- Nic nie szkodzi, jeśli z początku ci nie wyjdzie. Chcę tylko, żebyś spróbowała, zgoda?

Zawsze doskonale sobie radziłam z przerośniami i porównaniami. Przez całe życie przerośnie i porównania przychodziły mi bardzo łatwo. Tego dnia posłużyłam się porównaniem, próbując wyjaśnić doktor Ogilvy czym jest najgorsza rzecz w mojej głowie - albo jedna z najgorszych. Nie zamierzałam się popisywać. Nigdy nie uważałam się za przesadnie bystrą.

Wyjaśniłam, że:

-To jakbym założyła słuchawki i z początku nie przenika przez nie żaden dźwięk. Żadna muzyka. Głos. Nic.

(Faktycznie, mam w domu słuchawki. Odziedziczyłam je wraz z gramofonem i płytami Rosemary. Są wielkie, wyściełane i zupełnie nie przypominają małych, białych, wkładanych do uszu, których Abalyn używa ze swym błyszczącym różowym iPodem. Rzadko z nich korzystam. Wolę pokój pełen muzyki niż ciszę dokoła i muzykę dzwęczącą tylko w moich uszach).

- Ale potem - ciągnęłam - gdzieś daleko w tle, tak cicho, że z początku wydaje się tylko, że go słyszeć, pojawia się szum. Biały szum. Albo czyjś szept. I powoli dźwięk staje się coraz głośniejszy i głośniejszy. Z początku łatwo go zignorować. Prawie go nie ma. Wreszcie jednak staje się tak głośny, że nie słyszeć już nic innego. W końcu dźwięk pochłania cały świat. Nawet jeśli zdejmie się słuchawki, hałas pozostanie.

Doktor Ogilvy skinęła głową, uśmiechnęła się i oznajmiła, że bardzo barwnie opisałam coś, co lekarze nazywają „natrętnymi myślami”. To niechciane, nieproszone myśli, których nie da się wyłączyć, choćbyśmy nie wiem jak się starali. Później spędziłyśmy mnóstwo czasu, rozmawiając o tym, jakie dokładnie natrętne myśli mnie dręczą. Tego dnia oznajmiła tylko, że jestem bardzo inteligentna, bo tak świetnie to opisałam; powiedziała, że mój opis jest niezwykle trafny. Ale, jak mówiłam, nigdy nie uważałam się za przesadnie inteligentną. Potraktowałam to jako komplement, choć tak się składa, że według mnie był on niezasłużony.

Syreny to natrętne myśli, które pojawiają się w głowach nawet normalnych kobiet i mężczyzn. Można je nazwać syrenami albo nawiedzeniami, to nie ma znaczenia. Gdy Odyseusz już raz usłyszał syreny, wątpię, by

kiedykolwiek zapomniał ich pieśń. Jej widmo dręczyło go do końca życia. Nawet po pełnej trudów dwudziestoletniej podróży, po konkursie łuczniczym i po tym, jak odzyskał Penelopę i historia dobiegła szczęśliwego „zakończenia”, pieśń syren nadal musiała nawiedzać go w snach i na jawie. Za każdym razem, kiedy ujrzał morze albo niebo.

Potem, po południu spędzonym na Wayland Square, wróciłyśmy z Abalyn do domu. I przez parę dni wydawało się, że wszystko jest w porządku. Jednakże przez cały ten czas biały szum w słuchawkach stawał się coraz głośniejszy i głośniejszy i w końcu słyszałam już tylko jego. W końcu widziałam już tylko Evę, bosą, w czerwonej sukience i słomkowym kapeluszu, obserwującą nas z drugiej strony ulicy.

I nie jest tak, że mogłam powiedzieć Abalyn. Za bardzo zdumiewał mnie fakt, że była ze mną, i zbyt bałam się, że odejdzie. Miałam mnóstwo powodów, by sądzić, że to tylko mój obłąd - mała wariatka Imp, córka wariatki Rosemary Anne, wnuczka wariatki Caroline, lak właśnie zakładałam i nie zamierzałam ryzykować, że Abalyn odejdzie i nigdy już nie wróci z powodu odrobiny białego szumu, który wcześniej czy później znudzi się szumieniem, trzaskami, sykami, stukotami w moich uszach i umilknie. Zawsze milknie. Doktor Ogilvy nauczyła mnie, jak go wyciszać. I mam też pigułki, mój wosk.

Nie jestem mądra. Mądre kobiety nie podwożą w środku nocy nagich nieznanym. Mądre kobiety są szczerze wobec samych siebie i swych kochanków. I robią coś, nim jest za późno, by cokolwiek zmienić.

\*\*\*

Nie byłam dziewicą. Dziewictwo straciłam w liceum, nim jeszcze nie zmieniałam zdania co do sypiania z chłopakami. Zanim zaczęłam słuchać swojego libido, odrzuciłam na bok obawy i przestałam się przejmować oczekiwaniami rówieśników. W każdym razie, choć nie byłam dziewicą, za każdym razem, kiedy kochałam się z Abalyn, ona tak właśnie mnie traktowała. Jakby miała do czynienia z porcelanową lalką, która mogłaby pęknąć i zbić się, jeśli w każdym momencie nie będzie się pamiętała o jej kruchości, wyobrażonej delikatności. Miałam wrażenie, że sądzi, że ze świruską trzeba się pieprzyć w białych rękawczkach. Ale nie myślcie, że potraktowałam to jako obrazę. Raczej mnie to rozbawiło i pochlebiło. W naszym łóżku (przez krótki czas, gdy było to nasze łóżko), gdy leżałam w jej ramionach bądź ściszałam zagłówek, a jej długie ręce obejmowały

mnie w pasie, a język delikatnie zgłębiał najbardziej sekretne szczeliny ciała, trudno mi było wyobrazić sobie, że ta piękna kobieta była kiedykolwiek chłopcem. To znaczy, że kiedykolwiek była uwięziona w ciele chłopca bądź mężczyzny. Nie jestem seksistką. Jasne, mężczyźni bywają czułymi, łatwymi kochankami. Z pewnością byłabym szowinistką, gdybym pozwoliła, by mniej lub bardziej niefortunne i nieciekawe doświadczenia doprowadziły mnie do przeciwnych wniosków. Próbuję natomiast powiedzieć, że ze sposobu, w jaki się ze mną kochała, wyraźnie wynikało, że Abalyn rozumie moje ciało i jego potrzeby. Dostrzegała wszelkie niuansy i zaspokajała nawet najdrobniejsze pragnienia. Powiedziałabym, że grała na mnie jak na instrumencie muzycznym, ale zapewne trafniej byłoby rzec, że rozgrywała mnie niczym grę wideo. Moją łechtaczkę i srom, usta i sutki, umysł i tyłek, kark, miejsce między łopatkami, całe półtora metra kwadratowego skóry - być może gdybym spytała, odparłaby, że ciało to sterownik, za pomocą którego manipulowała grą mego jestestwa.

Mam nadzieję, że nie brzmi to jak w jednym ze śmieciowych romansideł, które widuje się na półkach w kioskach i tanich księgarniach. Bo jeśli tak, to nie oddaję Abalyn sprawiedliwości. Nie chodzi o to, że nigdy wcześniej nie pisałam o seksie - czasem wzmianki o nim pojawiały się w owych osobliwych kawałkach prozy, które pisuję, gdy nawiedza mnie przymus. Ale to coś innego, choć nie mam chwilowo ochoty poświęcać czasu na wyjaśnienia, w jakim sensie innego.

Rankiem, niemal tydzień po tym, jak wydało mi się, że widzę Evę Canning obserwującą mnie przy Wayland Square, leżałyśmy z Abalyn w wilgotnej pościeli, lepiącej się od potu po dymaniu. Zazwyczaj najlepiej uprawiało nam się seks rano, jak gdyby stanowił naturalny pomost łączący sen i jawę. Leżałyśmy razem, słońce wpadające przez okno sypialni rozlewało się plamami po naszych piersiach i brzuchach. Miałam akurat wolne i udawałyśmy, że cały dzień zostaniemy w łóżku. Obie wiedziałyśmy, że tak nie będzie, że w końcu się znudzimy i zajmiemy innymi sprawami, ale miło było stąpać po scenie, jak mawiała Caroline, gdy chciała powiedzieć, że ktoś gra.

- Czy jestem lepsza od niej? — spytałam, wplatając palce w czarne jak węgiel włosy. Przy głowie pojawiały się już jasne odrosty, ale ze wszystkich sił starałam się ich nie dostrzegać, nie chcąc zepsuć efektu.

- Lepsza od kogo? - nie zrozumiała Abalyn.

- No wiesz. Lepsza od niej. Od Jodie.

- A to jakieś zawody?

- Nie, to nie zawody. Po prostu jestem ciekawa czy jej dorównuję, to wszystko.

Obróciła głowę i spojrzała na mnie, krzywiąc się lekko, tak że pożałowałam, że zapytałam. To było głupie, niepewne pytanie i pragnęłam ukraść je z powrotem. Wymazać z przestrzeni pomiędzy nami.

- Jodie to Jodie - oznajmiła Abalyn. - A ty to ty. Nie muszę lubić pomarańczy bardziej niż jabłek, prawda?

- Nie - wyszeptałam i pocałowałam ją w czoło.

- Jodie lubi różnego rodzaju perwersje. To fajne, ale czasami bywa męczące.

- Masz na myśli klapsy i wiązania?

- Coś w tym guście. - Abalyn westchnęła. - Jestem głodna. Zrobię sobie kanapkę z masłem fistaszkowym i dżemem. Chcesz też?

- Nie - odparłam. - Powinnam wziąć prysznic. Chcę dziś cały dzień malować. Zaniedbałam to.

- Skąd ten pośpiech? - zdziwiła się. - Masz jakieś terminy?

- W pewnym sensie. To znaczy, mam swoje obrazy, te, które naprawdę kocham, na których mi zależy, przeznaczone tylko dla mnie. Przy tych mogę bawić się tak długo jak trzeba, wiesz? Ale są też moje obrazy z serii mistycznych i newporckich.

Spytała, co mam na myśli, wyjaśniłam więc, że maluję morskie pejzaże i sprzedaję je letnim ludziom, turystom. Czasami siadam na rozgrzanym chodniku i sprzedaję je sama, czasem oddaję w komis do galerii, ale wówczas potracają sobie prowizję. Moje obrazy dla letnich ludzi są dość kiczowate, traktuję je jak chałturę. Ale zarabiam na nich dosyć, by pokryć koszt farby, pędzli, płócien i wszystkiego przez resztę roku. Rzadko sprzedaję obrazy przeznaczone tylko dla mnie, co oznacza, że mam ich mnóstwo, rozwieszonych na ścianach i ustawionych pod nimi w całym mieszkaniu.

A zatem Abalyn poszła zrobić sobie kanapkę, ja wzięłam prysznic, potem napiłam się herbaty i zjadłam miskę płatków owsianych z syropem klonowym i pokrojonym w plasterki bananem. Abalyn zaparkowała na sofie, zdążyła już otworzyć laptopa i zalogowała się do jednej ze swoich MMORPG (bardzo szybko opanowałam żargon), tej z orkami, dwoma gatunkami elfów i kosmicznymi kozłami, mówiącymi z rosyjskim akcentem.

Tego dnia na sztalugach czekało na mnie płótno, nad którym pracowałam już od jakiegoś miesiąca. Obrazy przeznaczone tylko dla mnie

zabierają mi mnóstwo czasu. Niemal zawsze kształtują się bez pośpiechu, tak jak mówiła Abalyn, we własnym tempie. Jak dotąd ten stanowił jedynie zbieraninę plam hebanowej czerni i czerwieni tak ciemnej, że niemal koloru czarnej porzeczki. Nie byłam nawet jeszcze pewna, co ma przedstawiać. Włożyłam kitel i usiadłam wpatrzona w płótno. Siedziałam tak, wciągając w płuca dodające otuchy wonie oleju lnianego i farb, terpentyny i kredy. Zapachy te zawsze wypełniają pokój, w którym maluję i wyobrażam sobie, że pozostaną tam na długo potem, jak wyprowadzę się gdzie indziej (zakładając, że kiedykolwiek wyprowadzę się gdzie indziej). Siedziałam tak i patrzyłam, słuchając stłumionych dźwięków dobiegających z bawialni, Abalyn zabijającej pikselowe potwory. Podczas gry Abalyn zazwyczaj strasznie przeklina, toteż słyszałam stłumione odgłosy gry i jej przekleństw.

W pewnym momencie wzięłam notatnik i zaczęłam szkicować węglem. Z początku zapewne szkice te miały być studiami do obrazu. Jestem niemal pewna, że taki miałam zamiar. Z ulicy dobiegała muzyka z samochodu, meksykański pop ryczący w głośnikach. Często słyszy się go w Zbrojowni. Nie drażni mnie już tak, jak wtedy, gdy się tu wprowadziłam. Siedziałam, słuchałam Abalyn i muzyki i zapełniałam kolejne kartki po kartkach pośpieszonymi szkicami. Na ulicy jacyś mężczyźni krzyczeli po hiszpańsku. Oblizałam wargi i poczułam smak potu. Pomyślałam, że powinnam wstać i otworzyć okno, włączyć stary skrzynkowy wentylator na podłodze.

Szkicowałam, póki Abalyn nie zastukała do drzwi i nie oznajmiła, że wychodzi zapalić.

-Tak - odparłam. - Dobra - dodałam, mówiąc tak cicho, że dziwię się, że mnie usłyszała. A może i nie usłyszała.

— Niedługo wrócę - dodała. - Może skoczę do sklepiku na rogu. Potrzebujesz czegoś?

- Nie - rzekłam. - Dzięki, ale niczego nie potrzebuję.

A potem odeszła, a ja siedziałam, wpatrując się w leżący na kolanach otwarty szkicownik. Po skończeniu wydzieriałam każdą kolejną kartkę i podłogę wokół stołka zaścielały papiery. Skojarzył mi się z liśćmi opadłymi z drzew. I wtedy zobaczyłam, co szkicowałam, co szkicowałam raz po raz od niemal dwóch godzin. Twarz Evy Canning. Nie dało się jej pomylić z kimkolwiek innym. Długi czas siedziałam tak, wpatrując się w owe rysunki. To była Eva, ale także cierpko uśmiechnięte oblicze *L'inconnue de la Seine*. Na każdym rysunku oczy miała zamknięte.

I każdy z nich przypominał pozostałe tak bardzo, że równie dobrze mogły być kserokopiami. Już za pierwszym razem doskonale uchwyciłam jej twarz, a potem powtórzyłam to dwadzieścia czy dwadzieścia pięć razy.

„Czy to właśnie ujrzałaś na owych kartkach, Imp? Jesteś absolutnie pewna, że to zobaczyłaś?”

Jestem. Później Abalyn też je obejrzała.

Na niektórych szkicach dostrzegłam mokre plamy, pozostałość potu skapującego z mojej twarzy na papier. Widziałam też smugi pozostawione przez moje palce i kant prawej dłoni.

„Próbowałaś je ukryć przed Abalyn”.

Nie, nie. Nieprawda. Ale zebrałam je wszystkie, nim wróciła, zwinęłam w ciasny rulon i okręciłam gumką, a potem położyłam na najwyższej półce. W głowie miałam watę, w żołądku kwas, ale być może sprawił to upał. Pozwoliłam, by w pokoju zrobiło się gorąco, by wypełniło go popołudniowe słońce, i nawet nie otworzyłam okna.

Kiedy już schowałam szkice, zdjęłam kitel i przy kuchennym zlewie zmyłam z rąk węgiel. Niczego przed nikim nie chowałam, a przynajmniej nie zdawałam sobie z tego sprawy. Ale i tak czułam się winna, bardziej niż kiedykolwiek, jak wtedy, gdy ciotka Elaine weszła do łazienki, kiedy właśnie masturbowałam się, oglądając zdjęcia z „Penthouse'a”. Dokładnie tak. Wciąż myłam ręce (choćby były czyste), kiedy Abalyn wróciła ze sklepu.

Pięćdziesiąt dziewięć stron temu powiedziałam, że sny zaczęły się w noc, kiedy sprowadziłam ze sobą na Willow Street Evę Canning. Ale od tego czasu nie wspomniałam o nich ani słowem. Nie, chwileczkę, widzę, że na stronie osiemdziesiątej pierwszej napisałam: „Przypuszczam, że przed Evą, i przed Evą, koszarne sny nie nawiedzały mnie szczególnie często. Rzadko też zapamiętywałam jakiegokolwiek sny”, a także „Eva Canning wszystko zmieniła. Sprowadziła na mnie złe sny. Nauczyła mnie bezsenności”. Czyli proszę. Nie zaniedbałam tego tematu tak bardzo, jak się obawiałam. To znaczy, tematu moich snów. Mówiłam o snach Saltonstalla i Alberta Perrault, ale nie marnowałam czasu na opisywanie własnych. Kolejny unik i skłamałabym, gdybym rzekła, że nie zrobiłam tego co najmniej półświadomie.



Nigdy nie lubiłam opisywać swoich snów. Wydawało mi się, że równie dobrze mogłabym rozmawiać z ludźmi o ruchach robaczkowych jelit. No dobrze, przyznaję, to dziwaczne porównanie. Nie mogę się powstrzymać przed ciekawością, co powiedziałyby o nim doktor Ogilvy. Zapewne zrobiłaby z tej igły widły, zwłaszcza że słowo „analogia” z łatwością można podzielić na analjogia.

Owej pierwszej nocy i każdej pomiędzy tą pierwszą i dniem, gdy raz po raz szkicowałam jej twarz, nadeszły sny. Pojawiły się niczym błyski fleszy, a kiedy budziłam się, każdego ranka pozostawały po nich powidoki, których przez cały dzień próbowałam się pozbyć. Z nikim o nich nie rozmawiałam, choć lista możliwych rozmówców ograniczała się wyłącznie do Abalyn. Przez cały ten tydzień nie widziałam się z nikim znajomym, z nikim z mojej nielicznej grupki przyjaciół. Ani z Jonathanem z kafejki przy Westminster, ani z Elen z Cellar Stories (choć w czwartek rozmawiałam przez telefon z Johnnym). Wiedziałam, że podczas następnej wizyty u doktor Ogilvy nie wspomnę jej o nich. Wydawały mi się czymś niezwykle osobistym, wiadomościami przeznaczonymi wyłącznie dla mnie i gdybym ośmieliła się podzielić nimi z innymi ludźmi, w ten sposób bym je pomniejszyła. No i jest jeszcze moje ciągle i uporczywe - co? — moje ciągle i uporczywe przekonanie, że, aby przekazać komuś nawiedzenie, wystarczy wypowiedzieć głośno pewne słowa, nawet gdy pragniemy tylko się ich pozbyć. Ale teraz jestem sama. Nikt nie słucha. Nikt nie czyta mi przez ramię.

Sny różniły się między sobą, toteż chyba nie mogłabym ich nazwać powtarzającymi się koszmarami. Nie w sensie, w jakim ludzie zazwyczaj rozumieją słowo „powtarzające się”. Ale było w nich coś identycznego. Wszystkie sny miały te same matki: Evę i mnie. Połączenie jej dotyku i mojego obłądu. Zupełnie jak mówił Poe. No, mniej więcej. Namiętności ze wspólnego źródła, jeśli sny można nazwać namiętnościami. Nie widzę powodu, by ich tak nie określić. Z pewnością sny, które sprowadziła na mnie Eva, były równie gorące jak namiętności, równie intensywne. Budziłam się z każdego zdyszana, czasami zlnana potem, zdezorientowana, zawsze przerażona, że obudzę też Abalyn (ale nigdy jej nie obudziłam, bo ma bardzo twardy sen).

We wtorkową noc i wczesny środy poranek - po przejeździe nad rzekę Blackstone — zaczęłam po raz pierwszy w życiu zapisywać swoje sny. Myślałam o tym, co powiedziała mi Rosemary w moje jedenaste urodziny: „Może któregoś dnia zechcesz sobie przypomnieć. Kiedy coś

wywiera na nas tak silne wrażenie, powinniśmy dołożyć wszelkich starań, by o tym nie zapomnieć. Dobrze zatem jest sporządzić notatki".

Oto nawiedzenie wewnątrz nawiedzenia: rada matki samobójczyni, powracająca do mnie po trzynastu latach.

Martwi ludzie, martwe myśli, i pozornie martwe chwile nigdy tak do końca nie umierają i kształtują każdą sekundę naszego życia. Lekceważymy je i na tym zasadza się ich potęga.

Oto mój rejestr snów, który zapisałam długopisem na kilkunastu pustych kartkach powieści, którą czytałam: „Mansfield Park” Jane Austen (zawsze lubiłam Jane Austen i po wielokroć czytałam każdą z jej książek). Teraz po raz pierwszy przepisałam je i po raz pierwszy od niemal dwóch lat je przeczytałam.

Środa (9 lipca): Śniło mi się, że kłóciłyśmy się z Abalyn o „Moby Dicka”. Mówiła mi, że Wisznu po raz pierwszy objawił się ludzkości pod postacią gigantycznej ryby, która ocaliła całe Stworzenie przed powodzią, jak Noe i jego arka. Powiedziała, że to jego wcielenie Matsja. To właśnie powiedziała. Na zewnątrz padał deszcz, bardzo mocno. Lało jak z cebra. A ona wskazywała [sic!] ręką okno. To nie było okno w moim mieszkaniu. Nie wiem, gdzie byliśmy. A potem zorientowałam się, że to nie ulewa, tylko Eva Canning biorąca prysznic. Powtarzałam Abalyn raz po raz, że nie chcę o tym rozmawiać i że nie czytałam „Moby Dicka”, ale ona nie odpuszczała. Wciąż mi mówiła, jaka jestem głupia, że zbieram z poboczy bezpańskie psy, koty i kobiety. I wszystko to było niezwykle wyraźne. Tak wyraźne, że niemal boli mnie głowa.

Dopisek: Nie wiem zbyt wiele na temat hinduizmu. Nie wiedziałam ani wtedy, ani teraz. Ale oto cytaty z Wikipedii dotyczący Matsji: „...król przedstarożytnej Drawidy i wyznawca Wisznu, Satyavrata, później znany jako Manu, mył ręce w rzece, gdy w dłonie wpłynęła mu mała rybka, prosząc, by ocalił jej życie. Umieścił ją w słoju, z którego wkrótce wyrosła. Potem przeniósł ją do zbiornika, rzeki i w końcu do oceanu. Ale na próżno”. Dalej wyda się to niemal jasnowiedzeniem. Nie, nie wierzę w jasnowiedzenia, wróżby, telepatię, prekognicję i tak dalej. To tylko wyda się jasnowiedzeniem.

Czwartek (10 lipca): Kolejny barwny sen. Muszę niemal mrużyć oczy, kiedy o nim myślę. Nie mogę przypomnieć sobie wszystkiego, ale trochę pamiętam. Wspinałam się na schody, wiodące spod frontowych drzwi do mojego mieszkania. Na podest. Ale schody ciągnęły się dalej i dalej, coraz wyżej i wyżej, od czasu do czasu musiałam przystawać, by odpocząć.



Evo, śpiewałaś mi „Przyżegluj do mnie”. Byłam boso, pod stopami miałam martwe stworzenia, śliskie, oślizgłe, ich ości kaleczyły mi podeszwy. To najgorszy z tej trójki, gorszy niż sen o schodach.

Sobota (12 lipca): Niewiele spałam. To nie bezsenność, po prostu nie chciałam zasnąć, bo wiedziałam, że pojawią się koszmary. Niechęć przed zaśnięciem, nie niemożność. Czy tylko pogarszam sytuację, zapisując [sic!] to wszystko? Abalyn już wstała, a przez okno wpada zbyt wiele słońca. Pocę się. Ale wróćmy do koszmaru, niemal identycznego jak zeszłej nocy. Tańczyliśmy w kręgu na plaży, jak „Koło wokół róży”, wokół rosły nawet plażowe róże. Psie róże. Tym razem nie było ze mną Caroline i Rosemary. Trzymałam prawą dłoń Abalyn, po mojej lewej stał mężczyzna. Nie wiem, kto to był. Wszyscy śpiewaliśmy razem z Evą, na słowa „Kadryla z homarami”. Tańczyliśmy chyba w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, wzbijając wokół chmury piasku, pod stopami mieliśmy zdechłe ryby. Smród. Słońce wysoko na niebie, białe, gorące. Może to dlatego, że w sypialni jest gorąco. A potem wszyscy przestali tańczyć, Eva wycelowała we mnie smyczkiem i powiedziała: „Znam staruszkę, która połknęła muchę”, lecz nie dokończyła rymowanki. Tylko tyle. Powiedziałam Abalyn, że chcę wracać do domu. Powiedziałam jej, że zostawiłam włączony piekarnik. Odparła, że wkrótce wrócimy, ale nie wróciłyśmy.

Dopiski: Popioły w morze, Rzucasz ty, Wszyscy skaczymy, Raz dwa trzy (albo) Ona jest w morzu, Bądź i ty. (albo) cichutko, cichutko, wszyscy razem bum. Patrz „Indeks pieśni ludowych Rounda”, 7925 (Round I.D. S263898), a także strona Angielskiego Towarzystwa Tańców i Pieśni Ludowych: „To był sen”, „Ojciec zostań tu”, „Trzy piękne anioły”, „Dookoła łóżka”. (10 lipca, 1908, Round I.D. S135469). Ukryte znaczenie: Wielka zaraza londyńska, 1665 (Koło wokół róży, bratków bukiet służy, apsiku, apsiku, wszyscy razem bum; Iona i Peter Opie, „The Singing Game”, Oxford, 1985, str. 220-227) - ale ta interpretacja jest kontrowersyjna, nie została powszechnie przyjęta. Wiążą się z nią problemy. A także: katastrofa „Scandii” i „North Cape” przy plaży Moonstone, 1996.

Niedziela (13 lipca): Ten nie jest lepszy niż pierdzielona kreskówka. Durny jak kreskówka. Abalyn robi śniadanie, śpiewa w kuchni (lubię jej śpiew. To znaczy, Abalyn), a ja zamierzam opisać ten durny kreskówko-wy sen, który wcale mnie nie zdenerwował i nie zdenerwuje, bo nie jest lepszy niż slapstickowa komedia. Nie będę miała wrażenia, że przylgnął do mnie na cały dzień albo przemoczył mnie i potrzebuję całego dnia, by wyschnąć. W każdym razie, tym razem znów jechałam drogą, ale droga

była rzeką, po obu stronach wznosiły się ściany wąwozu rzeki Blackstone, stromy granit czarniejszy niż noc. Droga była wzburzoną białą wodą pędzącą przez wąwóz, samochód kołysał się, podskakiwał i huśtał w tę i w tę. Bałam się, że się wywróci.

Eva Canning siedziała w wozie ze mną i majstrowała przy radiu, szukając kanału, który chyba nie istnieje. Zadawałam jej pytania, ona nie odpowiadała, a potem droga stała się zwykłą drogą, a ja pędziłam w stronę miasta. Ze skraju szosy przyglądały mi się zwierzęta, ich oczy błyskały czerwienią i oślepiającym zielonkawym błękitem, tak jak mogły błysnąć oczy Evy (ale nie mogły, nie tak naprawdę, po prostu mi odbija). Widziałam króliki, lisy, skunksy, łasice, psy, koty, sobole, owce, kojoty, niedźwiedzia. Inne stworzenia, których nie pamiętam. Kiedy zerknęłam we wsteczne lustro, ujrzałam podążające za nami wielkie czarne ptaki. Miały oczy jak choinkowe lampki. Potem sen się urwał i obudziłam się. Bolała mnie pierś, jakbym we śnie wstrzymywała oddech. Wciąż trochę boli. Durny, pieprzony sen.

Poniedziałek (14 lipca): W łazience patrzyłam, jak Eva Canning bierze prysznic. Wewnątrz pachniało rzeźną wodą, szamponem, mułem, żółtymi, mydłem. Jest taka piękna. Nikt nie powinien być taki piękny. Zakręca wodę i wychodzi, krzywiąc się, gdy jej stopa dotyka kafelków. „Stąpam po igłach”, mówi. „Stąpam po ostrych nożach. Czarownica, morska wiedźma powiedziała mi przecież, że tak się stanie. Ale czy ja posłuchałam?”

Podaję jej tętnik i zauważam, że pozostawia na białych kafelkach czerwone, krwawe ślady stóp. Staje przed lustrem nad umywalką i ściera z niego parę. Eva nie rzuca odbicia. „Co miałam zrobić? Utopił mnie w zielonej wodzie pod mostem. Z mojego mostka zrobili skrzypce. Z palców zrobili kołki. Zimą leżałam pod lodem, a niebo było srebrne i szklane”. Próbuję zapisać dokładnie to, co powiedziała. Blisko, ale nie do końca. Ten był najgorszy. Zadzwoń do doktor Ogilvy?

Dopiski: Patrz: Hans Christian Andersen „Baśnie”, tłumaczenie pani Henrykowej H.B. Pauli (Londyn: Varne & Co, 1875). Patrz także „Dwój-siostry”, w „Popularnych balladach angielskich i szkockich” Francisa Jamesa Childsa (Odn. 10; 1 10A.7-8), 5 tomów, 1882-1898.

Wtorek (15 lipca): Z powrotem na schodach, tylko że tym razem szłam w dół. Nie w górę. A z góry cały czas płynęła woda. Kilka razy o mało nie zbiła mnie z nóg. U stóp schodów stała Abalyn i nawoływała mnie, ale, co dziwne, schody nie miały końca. To był niekończący się schodowy

wodospad. Katarakta. To musi się skończyć. Chcę opowiedzieć Abalyn o snach, ale kategorycznie wiem, że tego nie zrobię. Nie chcę jej powiedzieć; chcę, żeby minęły.

Proszę. Oto ostatni. Sny nie skończyły się po wtorku, po prostu przestałam je zapisywać. Na końcu „Mansfield Park” nie zostało już ani kawałka wolnego miejsca, a poza tym miałam potąd ich zapisywania. Zaczynałam odnosić wrażenie, że grzebię we własnych rzygowinach, żeby sprawdzić co zjadłam. Od snów robiło mi się niedobrze, ale zawsze świetnie sobie radziłam z ukrywaniem swoich schiz. We wtorek rano pieprzyłyśmy się z Abalyn jak przed koszmarami, a potem spróbowałam popracować nad obrazem. I zamiast tego narysowałam Evę Canning.

\*\*\*

„Kłamczucha z ciebie”, napisała Imp. „Paskudna, wredna, mała kłamczucha i doskonale o tym wiesz, prawda?”. Tak, jestem kłamczuchą. Jestem paskudną, wredną, małą kłamczuchą. I wiem to cholernie dobrze.

\*\*\*

Lipiec się starzał jak wszystkie miesiące, zawsze i nieodmiennie, i pewnego dnia pod koniec, tuż przed tym, nim umarł i narodził się sierpień, prawie pokłóciłyśmy się z Abalyn. Prawie, ale nie do końca. Przez cały czas, który spędziłyśmy razem, chyba tak naprawdę nie posprzeczałyśmy się ani razu. Kłótnie nie leżą w naszej naturze i spoglądając wstecz, jestem przynajmniej za to wdzięczna. Przynajmniej nie wyklócałyśmy się, nie atakowałyśmy, nie raniłyśmy się paskudnymi słowami, których żałowałybyśmy do końca życia, ale nie mogłybyśmy już cofnąć.

A zatem jest popołudnie, późne popołudnie, wczesny wieczór, niemal pod koniec lipca. Co oznacza, że odkąd Abalyn zamieszkała u mnie, minęło jakieś sześć tygodni. Dzień był niezwykle upalny, w takie dni naprawdę żałuję, że w moim mieszkaniu nie ma klimatyzacji, choć kosztowałyby za drogo, drożej niż mnie na to stać i choć zwykle przez większość lata jej nie potrzebuję.

Ale tego dnia owszem. To znaczy potrzebowałam klimatyzacji. Otworzyłam oba okna w pokoju, w którym maluję, w jednym włączyłam

wentylator, ale nic to nie dało. Powietrze było jak zupa, a zapachy terpentyny, oleju lnianego i farb - które zazwyczaj dodają mi otuchy - sprawiały jedynie, że stało się jeszcze cięższe. Musiałam zdjąć kitel. Na czole miałam przepaskę, by pot nie ściekał mi do oczu, ale to go nie powstrzymało, wciąż skapywał mi z końca nosa na paletę. Mój pot mieszał się z farbą, co wydało mi się jakby wredne (znów to słowo) i jakby niebezpieczne. Wmalowywałam siebie w płótno, maleńkie drobinki mnie uwięzione w zamkniętych kulkach napięcia powierzchniowego, kroplach potu. Zamykałam swą fizyczną jaźń wewnątrz obrazów. Siedziałam tam złana potem, próbując zmieszać pewien szczególnie odcień żółci, który widziałam wyraźnie w głowie, ale wciąż mi umykał. Staralam się pracować i nie myśleć o pocie w farbie, nie myśleć o voodoo i magii, i o tym, jak artysta może związać się z tym, co tworzy. Jak może zatracić w tym swoją duszę. Mogło być koło wpół do ósmej, gdy Abalyn zastukała cicho do drzwi. Słońce zniżało się nad horyzontem, ale w pokoju wcale nie robiło się chłodniej. Spytała, czy może wejść. Czy będzie mi przeszkadzać, jeśli wejdzie i ze mną pomówi, gdy będę pracować. Chciałam odpowiedzieć „nie”, pewnie powinnam była, ale tego nie zrobiłam. Od kilku godzin tkwiłam samotnie w tym pokoju, mieszając żółcie i pocąc się wprost w nową farbę, nie przelałam jednak na płótno niczego nowego. Nie mogłam przestać pracować, ale nie chciałam być dłużej sama.

Abalyn weszła i zamknęła cicho za sobą drzwi, uważając, by nimi nie trzasnąć. Usiadła na podłodze niedaleko mojego stołka, zwrócona plecami do ściany. Przez moment wyglądała w milczeniu przez najbliższe okno, na dachy, drzewa i ptaki.

- Nie zgłodniałaś? - spytała po jakiejś minucie. - Bo pomyślałam, że może przygotuję coś zimnego na obiad. Może dużą sałatkę albo coś w tym stylu.

- Nie jestem głodna - odparłam, wyciskając najmniejszą drobinę smoczej krwi. Patrzyłam, jak nieodpowiednia żółć zamienia się w całkowicie nieodpowiedni oranż. — Jest za gorąco. Nie mogę jeść przy takim upale.

- No to później - rzuciła. - Nie idzie ci dobrze?

- W ogóle mi nie idzie. Nie mogę właściwie dopasować koloru. Wciąż to chrzanię i marnuję farbę.

- W takim razie może powinnaś na razie przestać.

- Nie chcę przestawać - odparłam i usłyszałam, jak zabrzmiał mój głos, niemal jak warknięcie. Przeprosiłam i dodałam, że przez ten upał robię się rozdrażniona.

Abalyn wetknęła za lewe ucho papierosa, jak mechanik czy robot ze starego filmu. Mnie wydało się to sexy, ale jej tego nie powiedziałam. Cały czas mieszałam farby na palcu, dodając kolejne, a odcień stawał się coraz gorszy i gorszy.

- Hej, Imp - rzuciła Abalyn. - Dobrze się czujesz?

- Nie - odparłam, nie podnosząc wzroku. - Jest mi gorąco. Jest mi gorąco i marnuję farbę.

- Nie to miałam na myśli. Bardziej chodziło mi, czy ogólnie dobrze się czujesz.

Nie odpowiedziałam od razu. Nie pamiętam, czy nie chciałam odpowiedzieć, czy też po prostu byłam zbyt rozkojarzona, zanadto skupiona na odnalezieniu właściwej żółci.

- Nie wiem - powiedziałam w końcu. - Chyba tak. Chyba lepiej czuć się nie będę.

- A gdybyś źle się czuła, powiedziałaś mi?

Wtedy na nią spojrzałam. Może zmrużyłam oczy. Może zmarszczyłam brwi. Wyraz jej twarzy się zmienił, jakby coś, co dostrzegła na mojej, zaskoczyło ją albo zaniepokoiło.

- Nie okłamałabym cię, Abalyn. Nie miałabym przecież powodów cię okłamywać.

Abalyn odetchnęła głęboko i powoli, ostrożnie wypuściła powietrze. Jej wydech skojarzył mi się z pływaniem. Kiedyś dużo pływałam, ale już nie, nie od czasu Evy. Abalyn wciągnęła i wypuściła powietrze, a potem znów zerknęła na otwarte okno.

- Wiem, że byś mnie nie okłamała, Imp. Nie o to mi chodziło. Ale czasami coś się dzieje i łatwiej jest o tym nie mówić.

- To byłoby zamilczenie, też rodzaj kłamstwa - rzekłam.

- Nie oskarżałam cię o to, że kłamiesz - odparła i mam wrażenie, że na moment wstrzymała oddech. Znów skojarzyło mi się to z pływaniem. -Może powinnam zostawić cię samą. - Spojrzenie jej butelkowo-zielonych oczu powędrowało od okna ku podłodze. Czasami moja matka nazywała butelkowe, plażowe szkło „łzami syren”.

- Nie - powiedziałam. Pewnie rzekłam to za szybko, zbyt nagle. -Nie, proszę. Zostań. Wszystko w porządku, naprawdę. Po prostu rozdrażnił mnie ten upał. Nie chciałam cię urazić.

- Tak, jest tu gorąco jak w Hadesie. Jaki kolor żółtego próbujesz uzyskać? Widziałam wyraźnie, że tylko udaje zainteresowanie. Jej słowa zabrzmiały niezręcznie, lecz pewnie sądziła, że cisza byłaby bardziej krępująca.



Zupełnie jakby musiała coś powiedzieć, by powstrzymać powrót ciszy, więc wybrała to.

- Chodzi ci chyba o odcień żółtego? - podsunęłam.

Byłam zaprzętnięta próbą rozcieńczenia niefortunnych skutków użycia smoczey krwi i nie przyszło mi nawet do głowy, że mogłaby potraktować to jako pytanie czepialskie, wręcz niegrzeczne, póki głośno nie zabrzmiało.

- Jasne. Chyba tak.

- No cóż, jasną - odparłam zagryzając dolną wargę i mieszając farby na palcu. - Coś jak odcień kanarka bądź nawłoci. Ale niezbyt jaskrawy, rozumiesz? Bardziej tytanowy niż złocisty.

- Nie mam pojęcia, jakie to kolory.

- Nie szkodzi. Nie jesteś malarką. Nie musisz tego wiedzieć. Ale ja muszę. Powinam potrafić to zrobić. Jeśli nie mogę, nie mogę malować.

- Martwię się o ciebie - oznajmiła. Chciałabym rzec „wypaliła”, ale tego nie powiem.

Zaśmiałam się i odparłam, że to śmieszne.

- Wcześniej czy później do tego dojdę. Niemal zawsze mi się udaje. Czasami po prostu potrzebuję więcej czasu, a upał mi w tym nie pomaga.

- Imp, ja nie mówię o malowaniu.

Przestałam mieszać plamę farb i wbiłam wzrok w płótno.

- No dobra. W takim razie co miałaś na myśli?

- Mówisz przez sen - oznajmiła.

Teraz, gdy na to patrzę, przypuszczam, że wcześniej wymyśliła dokładnie, co zamierza powiedzieć, i że nie od tego planowała zacząć. Ale było gorąco i zapewne nic nie zabrzmiało jak trzeba. Zerknęłam na nią i szybko powróciłam wzrokiem do obrazu. Jak dotąd nadal był tylko mieszaniną plam czerni i czerwieni, bez nawet odrobiny żółci. Abalyn wyglądała przez okno, na zmierzch pochłaniający Willow Street.

- Abalyn, mnóstwo ludzi mówi przez sen. Tobie też pewnie się to zdarza.

- Chodzi o to, co mówiłaś przez sen.

- Leżysz nocą i słuchasz co mówię?

- Nie — zaprotestowała. — Zazwyczaj mnie to budzi.

- Przepraszam - rzekłam bez cienia szczerości. Byłam zbyt zirytowana. Upał mnie drażnił, a teraz Abalyn rozzłościła. - Przepraszam, że mówię przez sen i cię budzę. Postaram się więcej tego nie robić.

- Mówisz o niej - podjęła Abalyn. - Zawsze mówisz o niej.

- O jakiej niej? - spytałam, choć wiedziałam dokładnie jak zabrzmieć odpowiedź.

- O tej Evie - odparła. - Budzisz mnie, bo mówisz o Evie Canning. Zwracasz się do Evy Canning. Parę razy nawet tak jakby śpiewałaś...

- Z całą pewnością nie śpiewam przez sen. - Roześmiałam się. - Nikt nie śpiewa przez sen.

Nie miałam pojęcia, czy ludzie to robią, czy nie, ale po jej słowach poczułam ciężki, śliski ucisk głęboko w żołądku.

Rosemary Anne, czy śpiewałaś przez sen? Kiedy przywiązali cię do łóżka w twoim pokoju w Szpitalu Butlera przy Blackstone Boulevard 345, czy śpiewałaś przez sen?

Babciu Caroline, czy kiedykolwiek śniłaś o piosenkach i śpiewałaś je w pustych pokojach, gdzie nikt cię nie słyszał?

- Dlaczego odbierasz telefon, chociaż nie zadzwoni?

- Chociaż nie dzwoni - poprawiłam.

- Czemu to robisz? Nie widziałam tego wcześniej, dopóki nie przypro-wadziłaś jej do domu.

- Od jak dawna mnie znasz, Abalyn? Najwyżej tydzień, nie dłużej. Pewnie robiłam to całe życie. Po prostu o tym nie wiesz.

- Nie, pewnie nie. - Mówiąc, westchnęła na jednym niechętnym oddechu. Widziałam, że chce zakończyć już tę rozmowę, ale skoro raz zaczęła, nie zamierzała. To znaczy, kończyć.

Caroline, czy kiedykolwiek zdarzyło ci się odebrać telefon, który nie dzwonił?

Proszę, nie pytaj mnie o nic więcej, Abalyn, błagałam w duchu. Nie potrafię zmieszać właściwej żółci, pocę się jak świnia, i proszę, nie zadawaj mi pytań, na które nie mogę odpowiedzieć.

- Znalazłam coś - oznajmiła bardzo cicho. Nie odwróciłam się, by sprawdzić, czy nadal wygląda przez okno. - To był przypadek. Nie węszyłam ani nic. Na kuchennym stole leżała teczka i przypadkiem ją straciłam.

Oczywiście to była brązowa teczka, której zawartość zaczęłam zbierać wiele lat wcześniej, ta podpisana „Perishable Shippen”. Wszystko, czego dowiedziałam się na temat „Syreny z Milville” i „Tonącej dziewczyny”. Jakiś dzień wcześniej dodałam do etykiety Evę Canning. Zapisałam jej nazwisko zielonym tuszem.

- Ledwie trąciłam ją ręką.

Wciąż nie odrywałam wzroku od palety: farba na niej zmieniła kolor na bardzo jasny, mdlący oranż.

- Cała zawartość rozsypała się po podłodze - ciągnęła. - Pozbierałam ją, żeby schować z powrotem do teczki, Imp. Przysięgam, to wszystko, co zrobiłam.

- Przeczytałaś to? - spytałam, zagryzając wargę dość mocno, by poczuć lekki smak krwi, żelazo w wodzie.

Nie odpowiedziała.

Odłożyłam paletę między porozrzucane tubki z farbą i pędzle.

- To rzeczy osobiste — oznajmiłam i mój głos nie zabrzmiał donośniej niż jej.

- To był wypadek - powtórzyła. — Nie chciałam zrzucić teczki ze stołu. Sprzątałam wczoraj naczynia po lunchu.

- Ale ich przeczytanie to już nie przypadek. Nikt nie czyta przypadkiem.

W moim głosie nie dźwięczała już złość i pojęłam, że jej nie czuję. Gniew pojawił się i przeminął szybko jak błyskawica, teraz zastąpiło go zmęczenie i znużenie kolorem żółtym.

- Martwię się o ciebie, to wszystko. Nie wspomniałabym o tym, tyle że się o ciebie martwię. Masz obsesję na punkcie tej kobiety.

Odwróciłam się do Abalyn, a gdy to zrobiłam, stołek zakołysał się i sięgnęłam ku sztaludze, by się przytrzymać. Nie wyglądała już przez okno; wpatrywała się we mnie. Sprawiała wrażenie zatroskanej, niemal przerażonej. A ja chciałam tylko powiedzieć, że nie musi się martwić, że czasami coś utkwi mi w głowie, ale w końcu to mija. Tak jak zawsze znajduję potrzebne kolory, rzeczy, które tkwią mi w głowie, w końcu się odczepiają, wcześniej czy później. Ale nie powiedziałam niczego z tego. To, co rzekłam, miało jedynie powstrzymać Abalyn przed dalszą rozmową, sprawić, by dała mi spokój, a nie dodać jej otuchy.

- Płacę lekarce, żeby się o mnie martwiła. Szczerze mówiąc, to dość aroganckie, że urządzasz mi przesłuchanie trzeciego stopnia, choć prawie w ogóle mnie nie znasz. To naprawdę nie twoja sprawa. Nie jesteś moją opiekunką. Ledwie zaczynasz być moją dziewczyną.

Przez chwilę siedziała tam, obserwując mnie, w końcu skinęła głową i wstała. Otrzepała siedzenie džinsów.

-Jeśli zabrzmiało to ostro, to niezamierzenie. Ale nie chcę o tym z tobą dyskutować.

Znów przytaknęłam.

- Powiedz mi, kiedy zgłodniejesz, a coś tam przygotuję. Albo kupię na wynos. Nieważne.

Wyszła, zamykając ostrożnie za sobą drzwi, tak samo jak kiedy się zjawiała. Ja podeszłam do okna i zostałam tam do zmroku.

\*\*\*

Już niemal skończyłam. Z tym pseudoczwartym rozdziałem. Wiem, że wkrótce odejdę od niego, a kiedy (jeśli) wrócę do tego maszynopisu, wystukam 5 w siedemnastej linijce od góry na nowej kartce. Bez szczególnych powodów. Wydarzenia owego lata są nieskazitelne w swej ciągłości, kobieta bardziej uczciwa nie dzieliłaby ich na odcinki. Nie byłoby tu przerw między paragrafami, gwiazdek i liczb oznaczających kolejne rozdziały. Gdybym opowiadała swą historię o duchach jak należy, być może nie byłoby nawet znaków przestankowych. Ani spacji pomiędzy kolejnymi słowami. W głowie nie słyszę znaków przestankowych. Moje myśli zlewają się ze sobą, a ja rozkrajam je i przygważdżam tu, każde na swoim miejscu. Równie dobrze mogłabym być kolekcjonerką owadów, starannie przyszpilającą martwe motyle i ćmy do piankowych tablic. Te słowa to tylko trupy, trupy ciem i motyli. Wróble w zakorkowanych słojach.

Przypadkiem, sprząając po sobie, Abalyn strąciła z kuchennego stołu teczkę. Nie powinnam jej była tam zostawiać, ale nie przywykłam do obecności drugiej osoby. Nie przywykłam do ukrywania swoich fiksacji. To nie jej wina. Grawitacja zwyciężyła i kartki rozsypały się dokoła, a ona przeczytała ich zawartość. Coś mogło ją zainteresować, a my, ludzie, ludzkie istoty, jesteśmy ciekawskimi zwierzętami. W teczce zebrałam serię kserokopii z gazet, magazynów i książek bibliotecznych, niektórych mających nawet sto lat.

Gdyby poprosiła, mogłabym jej je pokazać.

Albo nie. Nie poprosiła, więc nie wiem.

Nigdy się nie dowiedziałam, które strony przeczytała, a których nie. Nie spytałam, a Abalyn sama nie podała mi tej informacji. Może przeczytała je wszystkie, może tylko kilka. Te kartki to tylko motyle uwięzione w słoju z trucizną. Tylko pióra potrzaskanych, martwych ptaków. Zastanawiałam się jednak, które przeczytała. Siedząc tak w moim błękitnym pokoju, wciąż się zastanawiam. Ale to w końcu naturalne, prawda? To normalne, zastanawiać się, choć wiedza nic nie znaczy i niczego nie zmienia.

Tego wieczoru przy kolacji żadna z nas prawie się nie odzywała. Porem Abalyn poszła do bawialni na sofę i do laptopa, do swych cyfrowych,

pikselowych światów. Swego przesunięcia w czasie. Ja wróciłam do sypialni, gdzie usiadłam, czytając moje „wycinki” (tak właśnie o nich myślę, choć bynajmniej nimi nie są). Przebiegałam wzrokiem nagłówek i zapiski nabazgrane na marginesach. Pamiętam zwłaszcza dwa skserowane artykuły z gazet, które przeczytałam owego wieczoru. To znaczy, od początku do końca.

Jeden nosi nagłówek „Poszukiwania ciała tajemniczej kobiety wstrzymane, podejrzewane oszustwo”, i pochodzi z „The Evening Call” (Woonsocket, piątek, dwunastego czerwca, 1914). Opisuje, jak dwaj piętnastoletni chłopcy wiosłowali kanoe po rzece Blackstone niedaleko Millville, w stanie Massachusetts, gdy natknęli się na zwłoki kobiety pływające twarzą w dół w mulistej wodzie. Trącili ją wiosłem, by się upewnić, że nie żyje, ale nie próbowali wyciągnąć z rzeki. Natychmiast udali się do miejscowego konstabla. Tego samego popołudnia i kolejnego dnia mężczyźni z Millville sondowali rzekę tyczkami i przeczesali sieciami obszar, na którym, jak twierdzili chłopcy, natknęli się na trupa. Ale żadnego nie znaleźli. W końcu wszyscy zrezygnowali i uznali, że martwej kobiety nigdy nie było, że tego letniego dnia chłopcy się nudzili i sfabrykowali całą historię, by wszystkich poruszyć.

A drugi artykuł, który niemal na pewno czytałam tamtej nocy, pochodzi z „Worcester Telegram & Gazette” („Pływaczka twierdzi, że została zaatakowana i zraniona przez niewidoczne zwierzę”, wtorek, czwarty września, 1951). Trzy dziewczyny (wieku nie podano) pływały nad tamą Rolling w Blackstone, niedaleko Millville, gdy jedna krzyknęła i zaczęła miotać się i wzywać pomocy. Nazywała się Millicent Hartnett (*Millicent z Af/7/ville*); imion jej przyjaciółek nie podano. Kiedy dziewczyny dotarły na brzeg, z przerażeniem ujrzały głęboką ranę na prawej nodze Millicent tuż nad kolanem. Była dość poważna, by wymagać dwudziestu szwów. Władze podejrzewały, że zadał ją żółw kajmanowy (*Chelydra serpentina*). Albo że dziewczyna zaczepiła nogą o leżący na dnie konar. Millicent twierdziła co innego. Oznajmiła, że widziała, co ją ugryzło, i że nie był to żółw ani konar. Odmówiła jednak wyjaśnienia, co to było. „Widziałam to z bliska, ale nikt mi nie uwierzy”, oświadczyła. „Nie chcę, by ludzie myśleli, że kłamię albo zwariowałam”. Matka Millicent poinformowała reporterów, że jej córka to dobra studentka, osoba praktyczna i godna zaufania. Nie należała do dziewcząt powtarzających niestworzone historie. Pływakom polecono unikanie okolic tamy, a wydarzenie ponoć tak

bardzo wstrząsnęło całą trójką, że dziewczyny postanowiły nigdy więcej nie pływać w rzece.

Obaj chłopcy zostali żołnierzami i polegli we Francji cztery lata później. Millicent Hartnett dorosła, wyszła za mąż i mieszka z najstarszym synem w Uxbridge. Nietrudno było się tego dowiedzieć. Często zastanawiałam się, czy nie zadzwonić do Millicent, która miałaby teraz siedemdziesiąt sześć lat, i nie spróbować jej namówić, żeby opisała mi to, co owego dnia zobaczyła w rzece. Wątpię jednak, by zechciała ze mną porozmawiać. Możliwe, że nie pamięta, choć z pewnością nadal została jej blizna na kostce.

Jeśli Abalyn nie czytała żadnego z tych artykułów, są tam też inne, równie osobliwe. Około jedenastej zamknęłam teczkę i wsunęłam pod łóżko od swojej strony. Zgasiałam lampę i leżałam w ciemności, nasłuchując hałasów dopływających z ulicy oraz z mieszkań nad i pode mną. Tej nocy Abalyn spała na kanapie, rano nie rozmawialiśmy o teczce. Przede wszystkim czułam wstyd, mocniejszy niż cokolwiek, toteż cieszyłam się, że rano musiałam pójść do pracy. Kiedy wróciłam, nie zastałam jej, ale zostawiła liścik z informacją, że wyszła spotkać się z przyjaciółmi. Obiecywała w nim, że wróci wcześniej, i rzeczywiście. Nie powiedziałam jej, jak bardzo się przeraziłam, gdy wróciłam i jej nie zastałam, jak pomyślałam, że może odeszła na dobre. Jak sprawdziłam, czy jej rzeczy wciąż są na miejscu. Kiedy wróciła do domu, była nieco podpita. Pachniała piwem i płynem po goleniu „Old Spice” oraz dymem papierosowym. Powiedziała, że mnie kocha, pieprzyłyśmy się, a potem długi czas leżałam w łóżku, patrząc, jak śpi.

„Następnego dnia”, napisała Imp, „przeprosiłam”.

Nie jestem pewna czy naprawdę. To znaczy, przeprosiłam. Ale chciałabym wierzyć, że tak. Mimo wszystko to z pewnością właśnie tego dnia spytałam, czy chciałaby przeczytać opowiadanie, które napisałam i wydałam parę lat wcześniej w „The Massachusetts Review”. Jeśli nawet nie przeprosiłam jej wprost, to pokazanie tego opowiadania stanowiło inny, bardziej osobisty rodzaj przeprosin. Nie mam już egzemplarza tego pisma, ale załączam maszynopis, bo wiem, że to część mojej historii o duchach. Część, którą już wcześniej przelałam na papier, zanim spotkałam Evę Canning, po raz pierwszy i drugi, w lipcu i listopadzie. I historia ta to nie fakty, ale jest prawdziwa. Przypinam ją do tej kartki zszywaczem, bo nie mogę znaleźć spinacza.

## SYRENA Z BETONOWEGO OCEANU

### AUTORSTWA INDII MORGAN PHELPS

Winda w budynku jest zepsuta, muszę więc zawlec swój tyłek przez dwanaście półpięter. Jej mieszkanie jest mniejsze i bardziej tandetne niż sądziłem, ale sam nie potrafię do końca stwierdzić, co właściwie spodziewałem się zastać na szczycie tych wszystkich schodów. Niezbyt dobrze znam tę część Manhattanu, ten wyjątkowo brzydki klin budynków, stojący przecnicę od South Street i Roosevelt Drive oraz terminalu promowego. Właścicielka kilka razy przypomina mi, że gdybym wyjrzał przez okno (jest tylko jedno), zobaczyłbym Most Brooklyński. Najwyraźniej wielką dumą napawa ją fakt, że ma widok na most i Wschodnią Rzekę. W mieszkaniu jest zbyt gorąco, wypełnia je wilgotny upał, wylewający się z kaloryferów, i tak wiele nieprzyjemnych woni konkuruje o moją uwagę, że trudno by mi przyszło przypisać jednej pierwszeństwo. Pleśń. Kurz. Stary dym papierosowy. Lepiej będzie, jeśli po prostu powiem, że w mieszkaniu śmierdzi zamknięciem, i zostawię ten temat. Od ściany do ściany wypełniają je sfatygowane, przykurzone antyki, postrzępione odpady dawno minionych wiktoriańskich i edwardiańskich czasów. Trudno mi sobie wyobrazić, w jaki sposób manewruje wśród całej tej gracjiarni w swoim fotelu na kółkach, który także stanowi właściwie antyk. Komplementuję jej lampy „Tiffany”, które nie wyglądają na reprodukcje i są w zdecydowanie lepszym stanie niż reszta umeblowania. Ona uśmiecha się, ukazując protezy poplamione nikotyną i zaniedbaniem. Przynajmniej zakładam, że to protezy. Zapala jedną z lamp stołowych, której abażur okrąża pierścień witrażowych ważek, i mówi, że to gwiazdkowy prezent od dramaturga. Teraz już nie żyje, dodaje. Wymienia jego nazwisko, ale nigdy go nie słyszałem i przyznaję się do tego. Jej żółtobrązowy uśmiech nawet nie słabnie.

— Nikt go nie pamięta. Był bardzo awangardowy - mówi. - Nikt nie rozumiał, co próbował wyrazić. Ale on ogromnie sobie cenił brak sławy. Niezwykle go bolało, że tak niewielu rozumiało tę cechę jego prac.

Kiwam głową raz, dwa, może trzy; nie wiem i raczej nie ma to znaczenia. Jej szczupłe palce gładzą abażur, pozostawiając rowki w nawarstwionym kurzu. Teraz widzę, że ważki mają bursztynowe skrzydła, a ich

brzuchy i odwłoki zrobiono z ciemno-kobaltowego szkła. Ich oczy przypominają trujące szkarłatne jagody. Prosi, bym usiadł, i przeprosza, że nie zaproponowała wcześniej. Wskazuje ręką fotel obok lampy, a także szezlong kilka stóp dalej. Oba obito tym samym wyblakłym kwiecistym brokatem. Wybieram fotel i nie dziwię się, odkrywając, że już dawno stracił wszystkie sprężyny. Zapadam się w niego kilkanaście cali, kolana wystrzelują w górę ku poplamionemu wodą gipsowemu sufitowi.

- Będzie pani przeszkadzać, jeśli nagram naszą rozmowę? - pytam, otwierając teczkę, a ona przygląda mi się chwilę, jakby nie do końca zrozumiała pytanie. Zamiast wyjaśnienia wyjmuję maleńki dyktafon „Olympus” i demonstruję jej. - To nie magnetofon, ale też nagrywa.

- Nie wadzi mi to - odpowiada. - Tak musi być znacznie łatwiej, niż zapisywać wszystko, co pan słyszy, wszystko co powie rozmówca.

- Znacznie łatwiej - przyznaję i włączam dyktafon. - Oczywiście, możemy go wyłączyć kiedy tylko pani zechce. Wystarczy jedno słowo.

Kładę go na stole obok podstawy lampy z ważkami.

- To bardzo uprzejme z pańskiej strony. Bardzo miłe.

I wtedy uświadamiam sobie, jak bardzo ta kobieta, tak samo jak mieszkanie, różni się od moich wcześniejszych oczekiwań. To nie „Bulwar Zachodzącego Słońca”, Norma Desmond i jej karciany krąg „woskowych” znajomych. Nie ma w niej nic groteskowego ani gotyckiego - nawet w sensie hollywoodzkim. Mimo szkód i zniszczeń poczynionych przez dziewięćdziesiąt cztery lata życia, zielone oczy nadal błyszczą jasno. Nie drżą jej ręce ani głos i tylko stary fotel inwalidzki sugeruje jakąkolwiek niesprawność. Siedzi bardzo prosto, a gdy mówi, ma tendencje do poruszania rękami, jakby kipiało w niej więcej energii i podniecenia, niż można wyrazić jedynie słowami. Jest tylko lekko umalowana: jasna szminka i cień różu i jej wydatnych kościach policzkowych, długie siwe włosy splotła w warkocz. Promieniuje niewymuszonym wdziękiem. Gdy obserwuję ją w świetle ważkowej lampy i tym wpadającym przez pojedyncze okno, przychodzi mi na myśl, że ukazuje mi swoją twarz, a nie maskę sztucznej, udawanej młodości. Jedynie poplamione zęby (czy może proteza) zdradzają cień rozkładu, którego spodziewałem się i nastawiłem na niego. W istocie, gdyby nie smród panujący w mieszkaniu i morderczy upał, wizyta ta nie miałaby w sobie niczego nieprzyjemnego.

Wyciągam z teczki notatnik stenograficzny, po czym zamykam ją i stawiam na podłodze obok stopy. Mówię, że nie zapisałem zbyt wielu pytań,



wolę, by wywiad rozwijał się bardziej organicznie, jak zwykła rozmowa, i to wyraźnie ją cieszy.

- Nie przepadam za typowymi przesłuchaniami - dodaje. - Są za bardzo wymuszone, za bardzo obciążone z góry przyjętymi założeniami dziennikarza.

- Zatem uważa się pan za dziennikarza? - pyta i odpowiadam, że owszem, zazwyczaj.

- Cóż, od bardzo, bardzo dawna tego nie robiłam - oznajmia, wygładzając spódnicę. - Mam nadzieję, że wybaczy mi pan, jeśli trochę zardzewiałam. Nieczęsto rozmawiam o tamtych czasach czy o obrazach. To było bardzo dawno temu.

- Mimo to - mówię - musi mieć pani miłe wspomnienia.

- Muszę? - powtarza i nim zdążę wymyślić odpowiedź, dodaje: - To tylko wspomnienia, młody człowieku, i owszem, większość z nich nie jest taka zła, niektóre nawet całkiem przyjemne. Ale istnieje wiele rzeczy, które próbowałam zapomnieć. Chyba każde życie tak wygląda, nie sądzisz?

- W pewnym stopniu - przyznaję.

Wzdycha, jakbym niczego nie zrozumiał, i jej wzrok wędruje ku obrazowi wiszącemu na ścianie za mną. Kiedy usiadłem, ledwie go zauważyłem, teraz jednak obracam głowę, by przyjrzeć się lepiej.

Kiedy pytam: „Czy to jeden z oryginałów?”, przytakuje, a jej uśmiech rozszerza się niemal niepostrzeżenie. Wskazuje ręką namalowaną syrenę.

- Tak - mówi. - Jedyne jakie mam. Och, mam też kilka litografii oraz odbitki bądź zdjęcia wszystkich innych, ale to jedyny autentyczny obraz, jaki posiadam.

- Piękny - mówię i nie jest to czcze pochlebstwo.

To właśnie obrazy z syrenami stanowią powód, dla którego przybyłem do Nowego Jorku i odnalazłem ją w tej tandetnej norze nad rzeką. Nie pierwszy raz widziałem z bliska oryginał, ale po raz pierwszy zdarzyło się to poza galerią muzealną. Jeden wisi w Newport w National Museum of American Illustration. Widziałem go, a także ten w Instytucie Sztuki w Chicago, i kolejną syrenę w stałych zbiorach Stowarzyszenia Ilustratorów, tu, na Manhattanie. Udokumentowano jednak istnienie ponad trzydziestu, większość z nich oglądałem jedynie w formie reprodukcji w książkach i albumach. Szczerze mówiąc, zastanawiam się, czy w ogóle wiadomo o istnieniu tego obrazu i od jak dawna ktokolwiek poza modelką, siedzącą tu w fotelu na kółkach, mógł go podziwiać. Czytałem wszystkie zachowane dzienniki i korespondencję malarza (w rym listy do

jego modelki) i wiem, że pozostało co najmniej dziesięć obrazów z syrenami, o których losach niczego nie wiadomo. Zakładam, że musi to być jeden z nich.

- Rany — mrużę niezdolny oderwać wzroku. - To znaczy, jest niesamowity.

- To ostatni, jaki namalował, wie pan. Chciał, żebym go zatrzymała. Nie rozstałabym się z nim nawet gdyby ktoś zaproponował mi milion dolarów.

Zerkam na nią i z powrotem na obraz.

- Bardziej prawdopodobne, że zaproponowałiby dziesięć milionów -mówię, a ona wybucha śmiechem. Z łatwością można by go uznać za śmiech znacznie młodszej kobiety.

- Dla mnie to żadna różnica - mówi. - Podarował mi go i nigdy się z nim nie rozstanę. Nigdy. Zatytułował go „Spoglądając na brzeg z Wielorybiej Rify”, i to był mój pomysł, ten tytuł. Często prosił, żebym je nazwała. Wymyśliłam co najmniej połowę tytułów. - Ale ja już to wiem, pisał o tym w listach.

Obraz zajmuje duże, wąskie płótno, liczące sobie na oko cztery stopy wysokości i dwie szerokości - nieco za duże jak na tę ścianę - rozpięte w ozdobnej, rzeźbionej ramie. Ramę pomalowano na ciemny kolor, tak że udaje mahoń, choć nie wątpię, że to coś znacznie tańszego. Tu i tam, w miejscach gdzie werniks odpadł bądź się zdrapał, widać prześwitujące jasne drewno. Ale nie wątpię, że obraz to autentyk, mimo licznych odstępstw kompozycyjnych, natychmiast ewidentnych dla kogoś, kto zna całą syrenią serię. Na przykład, wbrew zwyczajowi artysty, syrenę umieścił na pierwszym planie i odrobinę po prawej. Oraz, co ważniejsze, jest odwrócona od widza. Unosząca się na wzburzonych falach, rozkłada ręce na boki, jakby chciała powiedzieć „niechaj cię przygarnę”. Jej długie włosy pływają dookoła niczym gęsty kłęb wodorostów. Syrena spogląda ku lądowi i bielonej latarni morskiej, przycupniętej na granitowym cyplu. Skaliste wybrzeże wygląda znajomo - dziki zakątek, który malarz znalazł w Massachusetts, Maine lub Rhode Island. Widz może się nabrać, sądząc, że to tylko obraz kobiety pływającej w morzu, bo ponad wodą widać jedynie niewielką część jej ciała. Można by ją uznać za samobójczynię, po raz ostatni spoglądającą na skalisty ląd, nim zatonie pod powierzchnią. Jeśli przyjrzeć się trochę uważniej, widać jednak charakterystyczne plamy czerwono-pomarańczowych łusek, pokrywające ramiona, oraz żywe stworzenia zaplątane w gąszcz czarnych włosów: maleńkie kraby i kruche rozgwiazdy,

poskręcane sylwetki niezwyklej oceanicznych robaków i chwytającą rozpaczliwie powietrze wielkooką rybę, duszącą się nad wodą.

— To ostatni, jaki namalował — powtarza.

Trudno mi oderwać wzrok od obrazu i już zastanawiam się, czy pozwoli mi przed wyjściem zrobić mu parę zdjęć.

- Nie ma go w żadnym katalogu - mówię. - Żadnej wzmianki w jego papierach ani literaturze.

- Zapewne nie. To był nasz sektet - odpowiada. - Po wszystkich latach wspólnej pracy chciał dać mi coś wyjątkowego, więc namalował ostatni obraz i nigdy nie pokazał go nikomu innemu. Po powrocie z Europy w czterdziestym szóstym, po wojnie, kazałam go oprawić. Przez lata pozostawał w kartonowej tubie, zwinięty i opatulony w muślin, na górnej półce w szafie przyjaciółki. Wspólnej przyjaciółki, która niezwykle go podziwiała, choć nigdy nie pokazałam jej tego obrazu.

W końcu udaje mi się oderwać wzrok od płótna i odwrócić się z powrotem ku kobiecie, siedzącej prosto w fotelu na kółkach. Moje zaskoczenie wyraźnie ją cieszy, toteż zadaję jej pierwsze pytanie, jakie przychodzi mi na myśl.

— Czy ktokolwiek jeszcze go widział? To znaczy, poza wami dwojgiem i poza mną?

- Oczywiście - odpowiada. - Wisi tu od dwudziestu lat, a wciąż zdarza mi się miewać gości. Od czasu do czasu. Nie jestem zupełną pustelnicą. Jeszcze nie.

— Przepraszam. Nie chciałem tego sugerować.

A ona nadal spogląda na obraz i odnoszę wrażenie, że od bardzo dawna tak naprawdę mu się nie przyglądała. Zupełnie jakby nagle go zauważyła i nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy zdarzyło się to ostatnio. Jasne, to przecież element jej codziennego krajobrazu, kolejny składnik zatłoczonego relikwiarza mieszkania. Podejrzewam jednak, że podobnie jak ma się rzecz z ważkową lampą „Tiffany”, podarowaną przez zapomnianego dramaturga, rzadko znajduje chwilę, by mu się przyjrzeć.

Kiedy tak patrzę, jak w skupieniu wpatruje się w wiszący za moimi plecami i za wyświeconym brokatowym fotelem obraz, znów uderza mnie głębia jej zielonych oczu. Tym samymi zielonymi oczami malarz obdarzył wszystkie wcielenia swojej syreny i wydają mi się jeszcze jaśniejsze niż poprzednio, ani trochę nieprzyćmione wiekiem. Są jak subtelny mariaż szmaragdu, nefrytu i płytkiej, słonej wody, ożywiony nieznaną alchemią. Pozwalają mi lepiej docenić kunszt malarza, to, że tak doskonale je oddał,

zręcznie przekazując złożoność tęczówki i białka, rogówki, siatkówki i źrenicy. Fakt, że ktokolwiek mógł mieć dość talentu, by oddać te precyzyjne, złożone odcienie za pomocą zwykłych olejów i akryli.

- Jak to się zaczęło? - pytam, dość przewidywalnie.

Oczywiście, malarz często pisał o genezie syren. Znalazłem nawet dysertację z 1967 na ten temat, ukrytą w magazynie na Harvardzie. Ale jestem niemal pewien, że nikt nigdy nie zadał sobie trudu, by spytać modelkę. Stopniowo i chyba niechętnie jej zielone oczy odwracają się od płótna i skupiają na mnie.

- To nie był sekret - odpowiada. - Zdaje się, że opowiedział o tych snach nawet paru reporterom. Jednemu z pisma z Paryża i chyba jakiemuś stąd, z Nowego Jorku. Często rozmawiał ze mną o swoich snach. Zawsze były tak wyraźne, a on je zapisywał. Malował je, kiedy tylko mógł. Tak jak malował syreny.

Zerkam na leżący na stole dyktafon i żałuję, że nie odczekałem chwili i nie zadałem jej tego szczególnego pytania nieco później. Powinno się pojawić gdzieś pod koniec, nie na samym początku. Zdecydowanie mi dziś nie idzie, i to nie tylko kwestia rozpalonych kaloryferów, od których się pocę. „Spoglądając na brzeg z Wielorybiej Rafy”, a potem wejrzenie głęboko w jej oczy rozbroiły mnie i wytrąciły z równowagi. Odchrząkuję. Ona pyta, czy chciałbym szklankę wody albo może napoju waniliowego. Dziękuję jej i kręcę głową.

- Nic mi nie jest - mówię. - Ale dzięki.

- Czasami robi się tu bardzo duszno. - Zerka na wyliniały perski dywan, pokrywający niemal całą podłogę. Po raz pierwszy, odkąd otworzyła przede mną drzwi, widzę, jak marszczy czoło.

- Naprawdę nie jest tak źle - upieram się, choć nie udaje mi się zabrzmieć choćby odrobinę przekonująco.

- Zdarzają się dni, kiedy czuję się jak w saunie. Albo w cholernej tropikalnej dżungli, gdzieś na Tahiti, w Brazylii, czy podobnym miejscu. To cud, że nie słyszę papug i małp. Ale gorąco pomaga mi na bóle, zazwyczaj bardziej niż pigułki.

To jeden z tematów, które absolutnie zabroniła mi poruszać: uraz z dzieciństwa, który ją okaleczył. Upредиła, że od zawsze nie znosi autorów i krytyków próbujących kreślić paralele pomiędzy syrenami i jej paralizem.

- Proszę nawet o tym nie wspominać - upредиła przez telefon niecały tydzień temu, a ja zapewniłem, że tego nie zrobię.

Tyle że teraz ona o nim wspomniała. Siedzę nieruchomo w połamanym fotelu, pod ostatnim obrazem, czekając, co powie dalej. Staram się ze wszystkich sił oczyścić umysł i skupić, zdecydować, które pytanie z krótkiej listy nabazgranej w notatniku skieruje rozmowę na właściwe tory.

- Było coś więcej niż tylko jego sny - przyznaje niemal minutę później. Słowa te mają w sobie lekko zawstydzony ton wyznania. A ja nie mam pojęcia jak zareagować, więc nie robię nic. Ona mruga i znów patrzy na mnie, na jej wargi powraca błady cień wcześniejszego uśmiechu. - Czy będzie panu przeszkadzało, jeśli zapalę?

- Nie — odpowiadam. - Ależ nie. Proszę. Chcę, żeby czuła się pani jak najswobodniej.

- W dzisiejszych czasach to przeszkadza tak wielu ludziom. Zupełnie jakby papież dopisał palenie do listy grzechów powszednich. Czasami paskudnie na mnie patrzę, więc pomyślałam, że lepiej zapytam.

- To pani dom - przypominam, a ona kiwa głową i sięga do kieszeni spódnicy, wyciągając paczkę czerwonych marlboro i jednorazową zapalniczkę. - Dla niektórych to najwyraźniej nie ma znaczenia. Pewna kobieta zjawia się tu dwa razy w tygodniu, żeby zetrzeć kurz, wyrzucić śmieci i tak dalej. To Kubanka i jeśli palę w jej obecności, zawsze narzeka i próbuje otworzyć okno, choć powtarzałam jej wiele razy, że wieki temu zamalowano je na stałe. No i przecież jej płacę.

Biorąc pod uwagę grubą, nietkniętą warstwę kurzu i smród, zastanawiam się, czy sobie to wymyśliła, czy może Kubanka nie przestała przychodzić dawno temu.

- Kiedy mi powiedział, obiecałam mu, że nigdy nikomu o tym nie wspomnę. - Urywa, by zapalić papierosa, potem chowa paczkę i zapalniczkę do ich kryjówki w kieszeni spódnicy. Wydmuchuje obłok szarego dymu, starając się, by nie poleciał w moją stronę. - Nawet żywej duszy. To było coś w rodzaju paktu między nami, rozumie pan. Ale ostatnio zaczął mi ciążyć. Czasami budzę się nocą i czuję, jakbym miała kamień wokół szyi. Chyba nie chcę zabrać tego ze sobą do grobu. Powiedział mi to w dniu, gdy zaczęliśmy pracę nad drugim obrazem.

-To znaczy, w maju tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego, tak? Znów się śmieje i kręci głową.

- Niech mnie diabli, jeśli wiem. Pan może zapisał to sobie gdzieś w swoim notatniku, ale ja nie pamiętam daty. Już nie. Ale... Wiem, że było to w tym samym roku, w którym tu, w Nowym Jorku, otwarto Wystawę Światową, i po tym, jak zniknęła Amelia Earhart. On ją znał, to

znaczy Amelię Earhart. Znal tak wielu fascynujących ludzi. Ale zbaczam z tematu, prawda?

- Nic mnie nie goni. Proszę się nie śpieszyć.

Ona jednak znów marszczy czoło i przez moment wbija wzrok w rozżarzony koniuszek papierosa.

- Lubię sądzić, mój panie, że jestem kobietą praktyczną - oznajmia, patrząc wprost na mnie i zadzierając wysoko podbródek. - Zawsze chciałam móc się uważać za kobietę praktyczną. A teraz jestem bardzo stara. Bardzo, bardzo stara, o tak. I praktyczna kobieta musi przyjąć do wiadomości fakt, iż osoba w tym wieku długo już nie pożyje. Wiem, że wkrótce umrę, a prawda o syrenach nie jest czymś, co chciałabym zabrać ze sobą do grobu. Zatem powiem panu i zdradzę jego zaufanie. Rzecz jasna, jeśli zechce pan posłuchać.

- Oczywiście - odpowiadam, z trudem starając się nie okazać podniecenia, ale i tak czuję się jak sęp. - Jeśli pani woli, mogę wyłączyć dyktafon.

- Nie, nie... Chcę, żeby pan to umieścił w artykule. Chcę, żeby wydrukowali to w magazynie, do którego pan pisze, bo według mnie ludzie powinni wiedzieć. Jeśli po tak wielu latach wciąż są zauroczeni syrenami, nie wydaje się słuszne, by nie wiedzieli. Praktycznie nieprzyzwoite.

Nie przypominam jej, że jestem freelancerem i że artykuł powstaje bez zamówienia, toteż nie ma gwarancji, czy ktokolwiek go kupi, czy kiedykolwiek trafi do druku i do czytelników. I to także wydaje mi się nieprzyzwoite, trzymam jednak język za zębami i słucham, a ona opowiada. Będę miał jeszcze czas, by pielęgnować wyrzuty sumienia.

- Latem, nim jeszcze go poznałam, nim rozpoczęliśmy współpracę - zaczyna, po czym urywa, by znów zaciągnąć się papierosem. Jej wzrok powraca do obrazu za moimi plecami. - To musiało być lato tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego. Kryzys wciąż trwał, lecz jego rodzina na Long Island zniosła go lepiej niż większość. Miał pieniądze. Czasami przyjmował zlecenia od magazynów, jeśli przyzwoicie płacili. „The New Yorker” był jednym z tych, dla których pracował, a także „Harpers”, „Bazaar” i „Colliers”, ale pewnie już pan to wie, bo dokładnie zbadał pan jego życie.

Popiół na jej marlboro robi się niebezpiecznie długi, choć ona najwyraźniej tego nie zauważa. Rozglądam się i znajduję popielniczkę, ciężkie ołowiowe szkło przycupnięte na skraju pobliskiego stolika. Wygląda, jakby nie opróżniano jej od kilku dni bądź tygodni, kolejny argument

przeciwko istnieniu mitycznej kubańskiej sprzątaczkii. Mój fotel skrzypi i trzeszczy gniewnie, gdy pochylam się, by ją zabrać. Podsuwam jej popielniczkę, a ona odrywa wzrok od obrazu dostatecznie długo, by ją przyjąć i mi podziękować.

— Tak czy inaczej - ciągnie - zazwyczaj mógł malować co tylko zechciał. Nigdy jednak nie traktował tej swobody jako czegoś oczywistego. Tego lata mieszkał w Atlantic City, bo mówił, że lubi oglądać ludzi na moło. Czasami siedział i szkicował ich godzinami węglem i pastelami. Pokazał mi całkiem sporo owych szkiców z moła i mam wrażenie, że zawsze zamierzał wykorzystać je do obrazów, lecz, o ile mi wiadomo, nigdy tego nie zrobił. Tego lata mieszkał w Traymore - nigdy go nie widziałam, ale twierdził, że jest cudowny. Wielu jego przyjaciół i znajomych wyjeżdżało na lato do Atlantic City, toteż jeśli pragnął towarzystwa, nigdy mu go nie brakowało. Mówił, że urządzali precudowne przyjęcia. Czasami wieczorami schodził samotnie na plażę, to znaczy na piasek, bo mówił, że fale, mewy i zapach morza dodają mu otuchy. W swym studio, tym przy Upper West Side, trzymał wielki słój po majonezie pełen muszelek, skorupiek małży i tym podobnych. Zbierał je przez lata w Atlantic City. Niektóre posłużyły za rekwizyty w obrazach. Miał też szafkę pełną muszli z Florydy, Nassau i przylądka, i nie wiem skąd jeszcze. Pamiętam, że pokazywał mi konchy i rozgwiadzy z Morza Śródziemnego i Japonii. Muszle z całego świata. Uwielbiał je, a także wyrzucane przez morze drewno.

Stuka papierosem o krawędź popielniczki i wpatruje się w obraz przedstawiający syrenę i latarnię morską, a ja odnoszę osobliwe wrażenie, że czerpie z niego odwagę, odwagę niezbędną, by złamać obietnicę, której dotrzymywała przez siedemdziesiąt lat. Obietnicę złożoną trzydzieści lat przed moimi narodzinami. I teraz wiem, jakim słowem podsumować zapach jej mieszkania. To zapach czasu.

- Był koniec lipca, zachodziło słońce - mówi bardzo wolno, jakby z wielką, staranną ostrożnością dobierała każde słowo. -1 powiedział mi, że miał tego wieczoru paskudny humor, bo poprzedniej nocy kiepsko mu poszło w rozgrywce w pokera. Grywał w karty. Twierdził, że to jedna z jego nielicznych słabości.

Tak czy inaczej, zszedł na plażę, mówił, że był na bosaka. Pamiętam, jak wspominał, że nie włożył butów.

W tym momencie przychodzi mi do głowy, że być może nic z tego, co słyszę, nie jest prawdą, że snuje przede mną wymyśloną historię, żebym nie poczuł się zawiedziony, kłamie dla mnie, albo może dlatego, że jej dni

wypełnia monotonna nuda i zależy jej nade wszystko, by zabawić nietypowego gościa. Odrzucam jednak te myśli. W jej głosie nie słyszę ani śladu oszustwa. Zajmując się sztuką, nie zyskałem sławy ani bogactwa, ale całkiem nieźle nauczyłem się rozpoznawać, kiedy ktoś kłamie.

- Powiedział mi „Piasek był taki zimny pod moimi stopami”, jakiś czas spacerował, a potem, tuż przed zmrokiem, natknął się na grupkę małych chłopców, ośmio-, dziewięciolatków. Zebrali się w krąg wokół czegoś, co morze wyrzuciło na plażę. Zaczynał się odpływ, który zostawił po sobie znalezisko chłopców. Pomyślałem, że dziwne, że mimo późnej pory są jeszcze na dworze, a nie na kolacji z rodzicami. Na moło zapalały się latarnie.

Nagle odwraca wzrok od obrazu na ścianie mieszkania, „Spoglądając na brzeg z Wielorybiej Rafy”, zupełnie jakby zaczerpnęła już z niego wszystko, czego potrzebuje, i nie miał jej nic więcej do zaoferowania. Rozgniata papierosa w popielniczce, nie patrzy na mnie. Zagryza dolną wargę, zlizując trochę szminki. Stara kobieta w fotelu na kółkach nie sprawia wrażenia smutnej ani pełnej żalu. Mam wrażenie, że jej twarz wyraża gniew, i chcę spytać, dlaczego tak się złości. Zamiast tego pytam, co takiego chłopcy znaleźli na plaży, co tego wieczoru zobaczył malarz.

Nie odpowiada natychmiast. Zamyka oczy i oddycha głęboko, powoli, głośno wypuszczając powietrze.

- Przepraszam - mówię. - Nie chciałem naciskać. Jeśli wolałaby pani przerwać...

- Nie chcę przerywać — ucina, unosząc powieki. - Nie po to dotarłam tak daleko i powiedziałam tak wiele, by teraz przerwać. To była kobieta, bardzo młoda kobieta. Mówił, że mogła mieć najwyżej dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Jeden z chłopców trącał ją patykiem, on odebrał mu go i przepędził dzieci.

- Utonęła? - spytałem.

- Może. Może najpierw utonęła. Ale została przegryziona na pół. Z jej ciała poniżej żeber nie zostało nic. Tylko kości, mięso i wielka, pusta dziura w miejscu, gdzie powinny tkwić narządy, brzuch, płuca, wszystko. Mimo to nie dostrzegłem wokół ani śladu krwi. Zupełnie jakby nigdy nie miała jej w sobie. Powiedział: „Nigdy nie oglądałem niczego choć w połowie tak straszego”. A wie pan, działo się to niedługo po tym, jak wrócił do Stanów z wojny w Hiszpanii, gdzie walczył z faszystami, z frankoistami. Uczestniczył w oblężeniu Madrytu, oglądał tam naprawdę straszliwe rzeczy. Powiedział mi: „Widziałem okropieństwa, ale to było gorsze...”



W tym momencie urywa i zerka na leżącą na kolanach popielniczkę, z niedopałka wznosi się leniwie smużka dymu.

— Nie musi pani kontynuować - mówię niemal szeptem. - Zrozumiem.

- Och, do diabła. - Wzrusza kruchymi ramionami. - Nie zostało już zbyt wiele do opowiedzenia. Domyślił się, że zrobił to rekin, może jeden wielki albo kilka mniejszych. Chwycił ją za ręce i podciągnął to, co z niej zostało, na suchy piasek, w stronę mola, by morze z powrotem jej nie porwało. Usiadł obok ciała, bo z początku nie wiedział, co robić, a twierdził, że nie chciał zostawić jej samej. Była martwa, ale nie chciał zostawić jej samej. Nie wiem, jak długo tam siedział, powiedział jednak, że zrobiło się całkiem ciemno, gdy w końcu poszedł poszukać policjanta. Gdy wrócili, ciało wciąż tam leżało. Nikt go nie poruszył. Chłopcy nie wrócili. Ale mówił, że całą sprawę wyciszono, bo izba handlowa obawiała się, że wieści o rekinie wypłoszą turystów i zrujnują resztę sezonu. Zdarzało się tak już wcześniej. Mówił, że on wrócił wprost do Traymore, spakował swoje bagaże, kupił bilet na następny pociąg na Manhattan. I nigdy już nie odwiedził Atlantic City, ale w następnym roku, tuż po tym, jak mnie znalazł, zaczął malować syreny. Czasami - dodaje - myślę, że powinnam była potraktować to jak zniewagę. Ale tak nie myślałam i wciąż tak nie myślę.

A potem milknie, tak jak gawędziarz, gdy zakończy swą opowieść. Znów oddycha głęboko, odsuwa swój fotel jakąś stopę dalej, póki nie zderza się mocno z końcem szezlonga. Śmieje się nerwowo i zapala następnego papierosa. A ja zadaję jej inne pytania, nie mają jednak nic wspólnego z Atlantic City ani martwą dziewczyną. Rozmawiamy o innych malarzach, których знаła, muzykach jazzowych i pisarzach, opowiada też, jak bardzo zmienił się Nowy Jork, jak zmienił się wokół niej cały świat. A kiedy mówi, odnoszę osobliwe, niepokojące wrażenie, że w jakiś sposób przekazała mi ciężar owego siedemdziesięcioletniego sekretu, i nawet jeśli artykuł się sprzeda (a teraz nie wątpię, że się sprzeda) i przeczyta go milion ludzi, sto milionów ludzi, brzemie nie zmaleje.

Oto, jak to jest być nawiedzonym, myślę i natychmiast próbuję odrzucić tę myśl jako melodramatyczną, absurdalną bądź dziecinną. Jednakże jej jadeitowo-morskie, zielone oczy, oczy syreny, zapewniają mnie, że jest inaczej.

Kiedy kończymy, zaczyna zmierzchać. Prosi, bym został na obiad, ja jednak tłumaczę, że muszę wrócić do Bostonu. Obiecuję przysłać jej egzemplarz artykułu, kiedy skończę, a ona mówi, że już nie może się

doczekać. Dodaje, że rzadko dostaje pocztę, jedynie kilka rachunków i reklam, lecz nic, co chciałaby przeczytać.

- Jest mi niezmiernie miło, że się pan ze mną skontaktował - oznajmia, a ja wsuwam do teczki dyktafon i notatnik i zatrzymuję ją.

- To niezmiernie uprzejmie z pani strony, że zechciała pani tak szczerze ze mną pomówić - odpowiadam, a ona się uśmiecha.

Tuż przed wyjściem raz jeszcze zerkam na obraz. Wcześniej myślałam, że mógłbym zadzwonić do kogoś znajomego, mojego eks, który kieruje galerią w East Village. Jestem mu winien przysługę i ta informacja z pewnością wyrównałaby rachunki. Jednak, kiedy tu stoję i patrzę na bladą, pokrytą łuskami postać kobiety, kołyszącą się na spienionych falach, na jej mokre czarne włosy, w których szamocą się zaplątane kraby i ryby, i jedynie sugestię cienia widocznego pod wieńcem pływających włosów, widząc go, jak nigdy wcześniej którąkolwiek z syren, wiem, że nie zadzwonię. Może wspomnę o obrazie w artykule, który napiszę, a może nie.

Odprowadza mnie do drzwi, żegnamy się. Kiedy podaje mi dłoń, całuję ją. Nie sądzę, bym do tej chwili kiedykolwiek pocałował w rękę jakąś kobietę. Zamyka za mną drzwi na dwie zasuwki i łańcuch, a potem stoję w korytarzu. Jest znacznie chłodniej niż w jej mieszkaniu, tu, pośród cieni, które zebrały się mimo okien na obu końcach. Gdzieś w budynku pode mną jacyś ludzie kłócą się głośno i szczeka pies. Kiedy docieram na dół i wychodzę na chodnik, powoli zapalają się latarnie.

KONIEC

Kiedy Abalyn czytała „Syrenę z betonowego oceanu”, ja wyszłam na spacer. Choć pewnie nie zdołam wyjaśnić dokładnie dlaczego, po prostu wydawało mi się, że nie powinnam zostać w mieszkaniu, gdy ona czytała to opowiadanie. Obawiałam się, że poczuje się niekomfortowo. Nie chciałam, by miała wrażenie, że podczytuję jej przez ramię, czekając niecierpliwie na reakcję. Pokazując jej ten tekst, nie koncentrowałam się na tym, czy jej się spodoba, czy uzna, że jest dobrze napisany. Wątpię, czy przejmowałam się nawet tym, czy go zrozumie, czy też nie. Może po prostu przekręciłam się na grzbiet, odsłaniając wrażliwe miejsce w akcie pokuty za to, co jej powiedziałam poprzedniego dnia w pokoju, w którym maluję. Abalyn jedynie martwiła się o mnie, a ja o mało na nią nie naskoczyłam. Nie pokłóciłyśmy się, ale padł na nas cień. Być może miałam nadzieję, że pozwalając jej przeczytać „Syrenę z betonowego oceanu”, naprawię wszelkie szkody, jakie wyrządziłam łączącemu nas zaufaniu. Wiem, że wspomniałam już wcześniej, że nie kłóciłyśmy się i nie sprzeczałyśmy z Abalyn, nie atakowałyśmy się nawzajem paskudnymi słowami, że kiedy się rozstałyśmy, nie zadałyśmy sobie ran, których mogłybyśmy żałować przez resztę życia.

Często mówię rzeczy, które tylko chciałabym, by były prawdziwe, jakby wypuszczenie tych słów na szeroki świat mogło sprawić, że się spełnią.

Pobożne życzenia. Myślenie magiczne, nieodłączna cecha mojego niezdrowego umysłu. Mówię coś, co jest nieprawdziwe, bo desperacko pragnę, by było prawdziwe. Tak właśnie postępują kłamcy i ludzie niemądrzy. Jak to niemal powiedziała Anne Sexton: wiara to nie do końca potrzeba. Wiem, co mam na myśli.

W każdym razie z Willow Street skierowałam się do parku na Placu Treningowym Dextera, gdzie nikt już niczego nie trenuje. Wędrowałam bez celu pod drzewami, zbierając żołądź, kasztany i zardzewiałe kapsle i wkładając do kieszeni. Przyłapałam się na tym, że liczę swoje kroki, i próbowałam sobie przypomnieć, czy nie opuściłam dawki leków. Przeszłam na drugą stronę Dexter Street i dotarłam na wschód aż do skrzyżowania z Powhattan, po czym zawróciłam do domu. Po drodze liczyłam okna wszystkich mijanych domów. Bardzo uważałam, by unikać wzroku nielicznych napotkanych osób.

Już w domu zastałam Abalyn w kuchni, parzyła kawę. Cały dzień pije kawę, nigdy nie spotkałam nikogo, kto piłby tyle kawy co ona. Ale wcale nie robi się po niej nerwowa i normalnie sypia. Oznajmiłam, że już wróciłam, choć oczywiście usłyszała jak wchodzę. Usiadłam na kanapie, gdzie zostawiła numer „The Massachusetts Review” z moim opowiadaniem.

- Chcesz o tym porozmawiać? — spytała Abalyn z kuchni.

- To znaczy, o opowiadaniu?

- Tak. Nie musimy, jeśli nie chcesz.

Zapatrzyłam się na okładkę pisma, zdjęcie zrobione wewnątrz opuszczonej, niszczonej szkolnej klasy. Wszędzie wałały się odwrócone ławki i krzesła, na ścianie wisiała tablica, na której napisano „Tu jestem. Tu jestem”. W ścianach i dachu ziały dziury, odsłaniające gips i listewki.

- Nie mam nic przeciwko - odparłam. A potem spytałam, czy jej się podobało, choć obiecałam sobie, że tego nie zrobię.

Abalyn okrążyła blat oddzielający kuchnię od bawialni, w dłoni niosła wielki kubek z kawą, który przywiozła ze sobą. Usiadła ze mną na sofie, między nami leżał egzemplarz „The Massachusetts Review”.

- Uważam, że jest smutne i strasznie ponure. Nie w stylu tekstów, które zazwyczaj czytuję z własnej woli, ale to nie ma nic do rzeczy, bo kiedy je czytałam, zastanawiałam się głównie, dlaczego więcej nie pisujesz. Gdybym potrafiła tak świetnie pisać, Imp, robiłabym to.

- Przecież piszesz. Piszesz recenzje.

- Nie myślisz chyba serio, że to to samo? - Pociągnęła łyk parującej czarnej kawy. Kiedy nie odpowiedziałam, dodała: - Ja dostarczam treść.

Kiedy mi płacą, to za to, że zapełniam przestrzeń i tyle. Mówię geekom i nerdom, co myślę o grach wideo, a oni zazwyczaj mnie ignorują albo jeszcze gorzej.

- Nawet nie czytałam tego tekstu, odkąd go skończyłam. Najczęściej zdecydowanie wolę malować. Historie przychodzą mi do głowy i od czasu do czasu siadam i zmuszam się, by je zapisać. Głównie dlatego, że Rosemary lubiła mnie czytać. Ale za to dostałam tylko pięćdziesiąt dolarów. Łatwiej zarobić malowaniem. Obrazy sprzedają się znacznie drożej. To znaczy, te spod sztancy, te, które kupują letni ludzie.

- Te obrazy dla letnich ludzi są jak moje recenzje gier - oznajmiła Abalyn. - Zwykła treść, którą produkujesz regularnie, by zarobić na chleb. Wiesz, że nie kryje się w tym sztuka, i wcale tego nie udajesz. Sama mi to mówiłaś.

- Owszem - przytaknęłam - wiem.

Nagle odkryłam, że nie mam ochoty rozmawiać z nią o „Syrenie z betonowego oceanu” i niemal żałuję, że pozwoliłam jej ją przeczytać. Że jej ją pokazałam. Nagle wydało mi się, że mój akt pokuty był nieproporcjonalny do wyobrażonej winy z poprzedniego dnia.

Miałam właśnie spróbować zmienić temat, może opowiedzieć o spacerze, może pokazać kasztany i kapsle, gdy Abalyn się odezwała.

- Przez nie chcę ci zadać jedno pytanie.

- Przez co?

- Twoje opowiadanie. - Westchnęła i wywróciła lekko błękitnozielonymi oczami, po czym znów pociągnęła łyk kawy.

- Czy nie smakuje lepiej z mlekiem i cukrem? - Wskazałam ręką kubek.

- Owszem, kiedy mam ochotę na mleko i cukier — odparła. — Kiedy chcę się napić czarnej, lepiej smakuje czarna.

Słyszając ton jej głosu, przestraszyłam się, że zaraz znów wywróci oczami. Nie cierpię, kiedy ludzie to robią. Ale nie. To znaczy, nie wywróciła.

- Nie spytam cię, jeśli nie zechcesz. Nie będę naciskać.

-Jeżeli nie spytasz, zawsze będę się zastanawiać, jak brzmiało twoje pytanie. Kiedy ktoś mówi komuś, że ma pytanie, to tak jakby musi je zadać. Inaczej to by było nieprzyzwoite.

Abalyn uznała, że „nieprzyzwoite” to dziwny dobór słowa, ale tego nie wyjaśniła. Chyba jednak wiem: stanowiło ono echo z opowiadania. A potem zadała swoje pytanie, a ja siedziałam, wbijając tępo wzrok w okładkę „The Massachusetts Review”(tom 47, nr 4, zima 2006), w podłogę i w swoje buty. Z kuchni dobiegało mnie głośne tykanie zegara, jakbym

znalazła się w teleturnieju i lada moment miał rozleć się dzwonek albo brzęczyk informujący, że skończył mi się czas.

- Naprawdę nie musisz odpowiadać - przypomniała.

Ale musiałam. I zrobiłam to najlepiej jak potrafiłam. Wolę chyba nie zapisywać tu jej pytania. Ani mojej odpowiedzi. Nie teraz. Może później, ale nie teraz.

\*\*\*

Nie wiem, jaki był następny dzień tygodnia czy miesiąca, ale następnego dnia wzięłam wolne z powodu choroby. Czułam się dobrze, ale i tak to zrobiłam. Wstałyśmy z Abalyn wcześniej i pojechałyśmy pociągiem do Bostonu, do Cambridge. Zjadłyśmy makaron i zupę miso, a potem odwiedziłyśmy sklep z komiksami, który lubiła. Znała kogoś, kto tam pracował, wysokiego, chudego faceta imieniem Jip. Nie przypuszczam, by to było jego prawdziwe imię, ale innego nie poznałam. Jip i Abalyn spotykali się przez krótki czas i zawsze dawał jej zniżkę dla pracowników. Kupiłyśmy sobie lody i przyglądałyśmy się punkom, gothom i skejtom; po południu szarpnęłam się i puściłam osiemnaście dolarów, żebyśmy mogły odwiedzić Harvardzkie Muzeum Historii Naturalnej przy Oxford Street. Pierwszy raz byłam w tym muzeum z Rosemary i Caroline. Chyba miałam wtedy jakieś dziesięć lat. Od tego czasu właściwie się nie zmieniło. Zapewne niewiele się zmieniło od dnia, gdy w 1859 założył je szwajcarski zoolog, Louis Agassiz. Luu-ii Agasii. Zwłaszcza olbrzymia Sala Ssaków, pełna wysokich, szklanych witryn i skrzypiących, wąskich balkonów (czy może pomostów) oraz kutych, metalowych krat. Pachnie w niej kurzem i czasem. Można usiąść na ławce w otoczeniu wypchanych żyraf i zebra, czaszki nosorożca, okazów naczelnych ustawionych tak, by zilustrować ewolucję człowieka, i olbrzymiego szkieletu wieloryba zawieszzonego z sufitu wysoko w górze. Można po prostu tam siedzieć, podziwiać i chłonąć spokój. Kilka razy pomyślałam, że moja cioteczna prababka Caroline, ta, która przechowywała martwe wróble w zakorkowanych butelkach, uwielbiałaby to muzeum. Ale wątpię, by kiedykolwiek je odwiedziła. Jest tu nawet skamieniały jeżowiec, znaleziony przez Karola Darwina w 1834.

Abalyn chciała najpierw obejrzeć dinozaury, więc do nich poszłyśmy. Porem wędrowałyśmy wąskimi salami pełnymi setek nadjedzonych przez mole ptaków, ryb i gadów, ustawionych tak, by udawały istoty żywe.

Abalyn oznajmiła, że nigdy nie przepadała za muzeami, choć odwiedziła dwa czy trzy w Nowym Jorku i Filadelfii, kiedy była mała. Opowiedziała mi o Muzeum Mittera - mówiła, że to jedno z najdziwniejszych miejsc na Ziemi. Nigdy tam nie byłam, ale sądząc z jej opisu, chyba się zgodzę. To muzeum medyczne, pełne kawałków zrogowaciałego ciała pochodzących od bardzo sławnych ludzi, zdeformowanych płodów w słojach (nauczyła mnie słowa teratologia) i antycznych, woskowych modeli anatomicznych. Siedziałyśmy razem pod kośćmi wieloryba biskajskiego południowego (*Balaena australis*), i Abalyn opowiedziała mi o czaszce kobiety, z której czoła wyrastał róg.

Kiedy nikt nie patrzył, całowałyśmy się, czując na sobie spojrzenia ślepych, szklanych oczu. Smakowałam jej usta w rym cichym relikwiarzu.

To chyba był jeden z najlepszych dni, jakie razem spędziłyśmy. Gdybym wiedziała, jak uchwycić i zachować w ten sposób wspomnienia, ścisnęłabym go między nawoskowanymi stronicami, niczym pączek róży bądź czterolistną koniczynę. Ale nie wiem. To znaczy, jak. A wspomnienia blakną. Nie mam zdjęć z tamtego dnia, tylko dziwną małą plastikową kartę, którą kazali mi założyć na dowód, że zapłaciłam za wejście. Schowałam ją w jakimś pudełku. Po tym, jak Abalyn odeszła, i po Evie (za pierwszym i drugim razem) czasami ją zakładałam.

W drodze powrotnej do Providence zdrzemnąłam się. Zawsze lubiłam sypiać w pociągach. Rytmiczny stukot stalowych kół o szyny mnie usypia. Oparta o Abalyn drzemałam, a ona obudziła mnie, gdy wjeżdżałyśmy na stację.

Chciałam napisać coś o tym dniu, bo choć nie wiem, który to dzień tygodnia, wtedy po raz ostatni tego lata wszystko dobrze się układało. Po raz ostatni sądziłam, że może uda nam się z Abalyn. Cisza przed burzą. Czasami mówimy banałami, bo nie znajdujemy lepszych słów. W każdym razie, jeśli zdołam opowiedzieć historię listopadowej wilczej Evy, w tej wersji przeżyłyśmy znacznie więcej dobrych dni, niż w pierwszej wersji mojej historii o duchach.

Na obiad Abalyn przyrządziła spaghetti z sosem marinara, razem oglądałyśmy kreskówki.

Trochę po północy zrobiłam się senna i opowiadałam jej historie z dzieciństwa, o mojej matce, babce i ojcu dupku. Obiecałam jej pokazać moją listę „jak tata powinien umrzeć” (nigdy tego nie zrobiłam). Sam pomysł strasznie rozśmieszył Abalyn. Spytałam dlaczego, bo mnie nigdy nie wydawał się zabawny, i to też jej powiedziałam.

- Przepraszam - rzuciła. - Mam własne opowieści o Koszmarnym Ojcu. W pewnym momencie musiałam spróbować przestać się nimi zadrećzać i zacząć śmiać się z tego, jakie były okropne i idiotyczne. I są. No wiesz. To znaczy, on wciąż żyje.

- Mój być może też - odparłam. - Nie mam pojęcia. Nie chcę wiedzieć.

- I słusznie - rzuciła i wyłączyła telewizor w połowie odcinka „Rena i Stimpiego”. (Abalyn twierdziła, że od połowy lat dziewięćdziesiątych nie nakręcono żadnej dobrej kreskówki, i nie chciała nawet rozmawiać o „SpongeBobie”. Nie oglądałam zbyt wielu kreskówek, więc się nie sprzeczałam). Odłożyła pilota i splotła nogi w coś w rodzaju niezgrabnej pozycji lotosu. Siedziałyśmy na podłodze, bo twierdziła, że kiedy ogląda się kreskówki, zawsze należy siedzieć na podłodze. Jadłyśmy płatki „Trix”, suche, prosto z pudełka, bo według Abalyn stanowiło to kolejny ważny element rytuału oglądania filmów rysunkowych.

Opowiedziała mi o swym ojcu, którego nazywała Świętym Graalem Fiutów. Mówiła, jak uderzył ją pięścią w twarz, kiedy się wytatuowała, i pokazała mi bliznę nad lewą brwią.

- To ślad po jego szkolnym sygnecie. Mama powiedziała tylko, że żałuje, że nie umarłam albo że w ogóle się urodziłam. Albo przynajmniej, że nie jestem wyłącznie gejem. Miałam szesnaście lat. Tego dnia opuściłam dom.

- Dokąd poszłaś?

- Tu i tam, surfowałam po kanapach. Parę razy byłam bezdomna; w sumie nie jest to tak okropne, jak mogłabyś sądzić. W każdym razie lepsze niż życie pod jednym dachem ze Świętym Graalem Fiutów i moją matką. Na Federal Hill stoi stary magazyn. Sypiałam tam z innymi dziećmi. Zebraliśmy, grzebaliśmy w śmietnikach, dawaliśmy dupy i tak dalej. Wszystko po to, żeby przeżyć kolejny dzień. Później, kiedy zaczęłam się spotykać z jednym gościem i poprosił, żebym się do niego wprowadziła, było już znacznie lepiej.

Spytałam, czy to ten sam facet, który zapłacił za jej operację zmiany płci.

- Nie, nie on. To był inny gość. Phil z Pawtucket.

- Mieszkałaś w Pawtucket?

- Nie, ale Phil owszem, zanim się spotkaliśmy. Zawsze przedstawiał się ludziom jako Phil z Pawtucket. Był lekkim oblechem, ale lepsze to niż życie na ulicy. No i miał super sprzęt grający.

- Przykro mi, że musiałaś przez to przechodzić.



- Hej, znałam wiele dzieciaków, które miały gorzej.

- Ale żeby twoja matka żałowała, że się urodziłaś? - Prawdę mówiąc, wstrząsnęło mną to znacznie bardziej niż uderzenie pięścią ojca. - Jak ktoś może tak po prostu przestać kochać swoje dziecko?

- Nie mam, kutwa, pojęcia. Może od początku mnie nie kochała. Zawsze uważałam, że to chyba najlogiczniejsza odpowiedź. A zresztą, od tego czasu minęło wiele lat. Nie rozwodzę się nad tym. Przeszłość to przeszłość. Zostawmy ją.

Przeprosiłam, jeśli to ja przywołałam te wspomnienia, kwestie trans-seksualizmu, dzieciństwo, rodziców. Sama nie wiedziałam, czy to ona, czy ja. Abalyn zjadła garść płatków i odparła, żebym się nie przejmowała, po czym dodała:

- Jak mówiłam, śmieję się z tego, kiedy tylko mogę. Śmieję się, by nie dopuścić do siebie wilków.

*Śmieje się, by nie dopuścić do siebie wilków.*

Czy pan się śmiał, panie Saltonstall? A pan, panie Perrault, żeby odegnąć swoje wilki? Czy tak robiliście, a potem obaj zapomnieliście jak? A może wilki zanadto urosły? Stały się zbyt wielkie, zbyt groźne, więc dmuchały i chuchały i, rany, jakie masz wielkie oczy, aż w końcu jeden z was spadł z tego konia, drugi rozbił ten motocykl. Matko, słyszałaś wilki? Caroline, a ty?

„Przestań”, napisała Imp, uderzając w klawisze nieco zbyt mocno, tak że „o” pozostawiło w papierze okrągłe dziurki. „To nie jest historia o wilczym duchu. To historia o syrenim duchu, nie mieszaj ich ze sobą”.

Nie mieszaj ich.

Zupełnie jakbym próbowała oddzielić dzień od nocy bez łączącego je zmierzchu i świtu. Równie dobrze mogłabym spróbować to zrobić. I równie dobrze by mi się powiodło.

Doskonale zdaję sobie sprawę, że Abalyn wcześniej twierdziła, że skończyła liceum, a potem wstąpiła na URI, by studiować bioinformatykę, i że słowa te nie pasują do historii o tym, jak w wieku lat szesnastu odeszła z domu i zamieszkała na ulicy. Ale mnie nigdy nie obchodziło, czy obie te historie są prawdziwe, czy też jedna to bujda, a Abalyn kiepsko kłamie, mieszając wersje swego życiorysu. Albo może po prostu nie obchodziło jej, co pomyślą ludzie, może zmieniała swą biografię równie często jak ubranie. To nie moja sprawa.

W każdym razie.

- Jak mówiłam, śmieję się.

- Nie powinnam była poruszać tego tematu. Możemy go zmienić, jeśli wolałabyś o tym nie rozmawiać. Nie będę miała pretensji.

Uśmiechnęła się do mnie bardzo słabo i zjadła kolejną garść płatków.

- W porządku - odparła. - To się zdarzyło. To, co cię spotyka, czyni cię osobą, którą dziś jesteś, na dobre bądź na złe. Poza tym, ty pozwoliłaś mi przeczytać swoje opowiadanie. Więc to jakby rewanż.

- Wcale nie. To znacznie bardziej osobiste niż moje opowiadanie.

- Jestem transem, Imp. Zazwyczaj nie próbuję nawet udawać nikogo innego. Bo jeśli to robię, kiedy to robiłam, jedynie pogarszałam sytuację. To ja. Żyję z tym.

- No... Mam nadzieję, że to nie zabrzmie zbyt wariacko, ale myślę, że to w sumie fajne. To znaczy, ile ludzi kiedykolwiek doświadczyło przemiany fizycznej na takim poziomie? Zaczynałaś jako jedno, by stać się czymś innym. Sama dokonałaś wyboru. Jesteś odważna.

Przez chwilę Abalyn wpatrywała się we mnie.

- Zawsze byłam kobietą, Imp - rzekła wreszcie. - Hormony i operacja nie zmieniły mnie w kogoś innego. Dlatego właśnie nie znoszę określenia „zmiana płci”. Jest mylące. Nikt nie zmienił mojej płci. Po prostu dopasowali ciało do umysłu. Płeć fizyczną do mentalnej. Nie jestem też pewna, czy w ogóle miałam jakikolwiek wybór. Gdybym tego nie zrobiła, chyba już bym nie żyła. Gdybym nie mogła tego zrobić. - Nie wydawała się zła ani zirytowana na mnie. Przemawiała cierpliwie, choć w jej głosie usłyszałam nutę znużenia i zastanawiałam się, jak wiele razy Abalyn to wyjaśniała i jak wielu różnym ludziom. - Nie sądzę, by oznaczało to, że jestem odważna.

Poczułam się głupio i zaczęłam przeproszać, ale nie dokończyłam. Czasami przeprosiny nie pomagają.

Kiedy Rosemary się zabiła, szpital mnie przeprosił. Kiedy Caroline się zabiła, Rosemary nie przeproszała, i tak było lepiej.

-Wciąż uważam, że to fajne - powtórzyłam niezgrabnie. - Nawet jeśli musiałaś, jeśli tak naprawdę to nie była kwestia wyboru, jeśli tak naprawdę nie zmienili ci płci.

Prawdę mówiąc, jednak nie rozumiałam, ale miałam zrozumieć. W nadchodzących tygodniach i miesiącach, po tym, jak przeżyłam Evę i Evę, dowiedziałam się znacznie więcej - zbyt wiele - na temat bycia czymś innym wewnątrz i innym na zewnątrz. O byciu więźniem własnego ciała i pragnieniu, by się uwolnić, tak silnym, że w końcu śmierć wydaje się rozsądnym wyjściem, tak jak stała się nim dla mojej matki i babci.

Uwięzienie w ciele, uwięzienie w umyśle. Nie sędzę, by jedno zbytnio różniło się od drugiego. Nie, absolutnie nie sugeruję, że transpłciowość Abalyn to samo, co szaleństwo Caroline, Rosemary i moje. Wszędzie, gdzie patrzę, czają się pułapki. Czytałam historie o kojotach, które odgryzały sobie łapy, by uwolnić się z sideł. Kojoty, rysie, szopy i wilki. I wilki. I wilki. Stalowe szczęki zatraskują się, bezlitosne, bezwzględne. I cierpisz, póki nie zrobisz tego co konieczne, żeby przetrwać. Albo opuścić ten świat. I właśnie dlatego nawet teraz nie potrafię nienawidzić Ewy Canning. Ani żadnego innego ducha.

— Może — odparła Abalyn. - Nie czuję się obrażona wrażeniem, jakie odniosłaś. Kiedyś ludzie przestaną to uważać za dziwne. Przynajmniej taką mam nadzieję. Lubię wierzyć, że kiedyś wszyscy zrozumieją, że tak po prostu bywa. Jedni to geje, inni hetero. Transpłciowi. Czarni. Biali. Niebieskoocy. Zielonoocy. Ryby. Akwaria. I co tam, kurde, jeszcze.

— Szaleni albo normalni - dopowiedziałam.

— Jasne, to też. - Znów się uśmiechnęła, tym razem z mniejszą rezerwą, i ucieszyło mnie to. Poczulałam się mniej niezręcznie.

— Poczęstuj się jeszcze trixami. - Podsunęła mi pudełko. - No wiesz, dla dzieci.

— Niemądry króliczek - odparłam, skubiąc żółte cytrynowe płatki. Abalyn znów zaczęła mówić, a ja zgmiotłam w palcach garść płatków

i słuchałam. Nie znosiła swojego głosu, ale ja czasami tęsknię za nim tak bardzo, że nie chcę słuchać nikogo innego.

— Kiedy byłam mała, miewałam taki sen. Zanim jeszcze zorientowałam się, co się dzieje. Musiałam mieć go ze sto razy, nim w końcu do mnie dotarło. Opowiem ci, jeśli naprawdę chcesz posłuchać.

Skinęłam głową, bo nie lubię mówić z pełnymi ustami.

— No dobrze. Ale to co najmniej tak osobiste jak twoje opowiadanie, i nie próbuj twierdzić inaczej.

Przełknęłam i obiecałam, że nie spróbuję.

— No dobrze, kiedy byłam mała, zanim jeszcze zrozumiałam, że nie jestem chłopcem, miewałam taki sen. Nie nazwę go koszmarem. Był straszny, ale nigdy nie wydawał mi się koszmarny. - Abalyn sięgnęła po paczkę papierosów, wyjęła jednego, ale nie zapaliła. Nigdy nie paliła w mieszkaniu. — Znasz historię o Fyllis i Demofoncie?

Znałam, bo od zawsze uwielbiałam mity greckie i rzymskie, ale skłamałam i powiedziałam, że nie. Uznałam, że gdyby dowiedziała się, że słyszałam o Fyllis i Demofoncie, w jakiś sposób zepsułoby to jej opowieść.

- Demofont był ateńskim królem, poślubił Fyllis, córkę króla Tracji. Tuż po ich ślubie musiał wyruszyć na wojnę trojańską. Fyllis czekała na niego i czekała, stała na morskim brzegu i czekała, ale mijały lata, a on nie wracał. W końcu się powiesiła, sądząc, że zginął w bitwie. Bogini Atena pożałowała jej i przywróciła ją do życia jako drzewo migdałowe. Jednak Demofont nie zniknął, a kiedy wrócił, objął drzewo, które zakwitło.

- Nie taką wersję słyszałam - powiedziałam, a ona urwała, patrząc na mnie gniewnie.

- Imp, właśnie mówiłaś, że nie znasz tej historii.

Zezłościłam się na siebie, że wygadałam prawdę, ale odparłam, że po prostu zapomniałam.

- Kiedy to opowiedziałaś, przypomniałam sobie.

- No dobra. W każdym razie mam wrażenie, że uczyliśmy się tego w szkole. „Mitologia” Bulfincha czy coś takiego. Może stąd się to wzięło.

- Śniłaś o nich? - spytałam, żałując, że nie potrafię przestać się wtrącać, ale i tak jej przerywając.

- Nie, nie śniłam. I może nawet nie jest to dobry początek historii o tych snach. Po prostu pierwsze, co przyszło mi do głowy. Ale śniło mi się, że jestem drzewem. Wędrowałam wąskimi ulicami miasta, budynki stały tak blisko, że kiedy uniosłam głowę, ledwo widziałam niebo. Trudno było nawet stwierdzić czy to noc, czy dzień. Myślę, że zazwyczaj dzień. Miasto było brzydkie, pełne szcurków i śmieci, powietrze tak brudne, że piekł mnie od niego nos. Na chodnikach tłoczyły się setki, tysiące ludzi, wszyscy szli w jedną stronę, a ja próbowałam iść w przeciwną. Okropnie się bałam, że upadnę, a oni mnie rozdepczą. Wiedziałam, że się nie zatrzymają i nie pomogą mi wstać, ani nawet mnie nie ominą czy przekroczą. Po prostu mnie stratują. Dotarłam do alejki jeszcze węższej niż ulica i zdołałam wydostać się z tłumu i tam ukryć.

- Ale mówiłaś, że byłaś drzewem, prawda?

- To było później. Na chodniku i w alejce wciąż pozostawałam sobą.

- Byłaś chłopcem?

Zmarszczyła brwi i odparła, że wyglądała jak chłopiec.

- Nie mogłam oddychać, nie po tym, jak napierały na mnie wszystkie te ciała. Wszyscy gapili się na mnie naprawdę wrogo, jakby mój widok doprowadzał ich do wściekłości. Kiedy dotarłam do alejki, zobaczyłam, że to ślepy zaułek. Na końcu wznosił się ceglany mur, pod nim ujrzałam kubły na śmieci. Stałam tam i myślałam, że resztę życia przeżyję w alejce, bo z całą, kurwa, pewnością nie zamierzałam z powrotem wbić się

w tłum. Ale potem zauważyłam schody przeciwpożarowe. Ktoś opuścił najniższą część. Podeszłam do niej i zaczęłam się wspinać; chciałam tylko znów zobaczyć niebo. Wspinałam się bardzo długo, budynek był taki wysoki. A kiedy mijałam okna, widziałam ludzi, którzy gapili się na mnie. We wszystkich oknach założono żelazne kraty. Pewnie dla ochrony przed złodziejami. Ale przez to ludzie wewnątrz wyglądali jakby siedzieli w więzieniu. Oczy mieli białe i wiedziałam, że mi zazdroszczą, choć nie miałam pojęcia czego. Niektórzy przyciskali dłonie do szyb. Usilnie starałam się na nich nie patrzeć, wspinając się najszybciej, jak się odważyłam. Kurczowo trzymałam się poręczy i nie patrzyłam w dół przez kratę. Nigdy więcej nie chciałam oglądać tej alejki. Nie dbałam o to, dokąd prowadzą schody przeciwpożarowe - z determinacją uznałam, że nigdy już po nich nie zejść. W końcu dotarłam na szczyt, ale nie był to dach budynku, tylko zielone pole. Tak bardzo zmęczyło mnie przepychanie się przez tłum, a potem wspinaczka po schodach, że padłam w trawę. Chciałam się rozplakać, ale nie pozwoliłam sobie na to. Leżałam tam strasznie długo, w nosie miałam zapach mleczy, próbowałam odzyskać oddech. A kiedy znów spojrzałam w górę, zobaczyłam stojącą nade mną kobietę o białych włosach, tak białych, że może srebrnych. Jej czoło zdobił wyrysowany czerwienią astrologiczny symbol Marsa. Czasami nakreślony tuszem, czasami krwią. Czasem wytatuowany na skórze. Cerę miała białą jak mleko.

— To także symbol męskości - wtrąciłam. - Astrologiczny symbol Marsa. Kółko ze strzałką. Symbol kobiecy jest związany z Wenus, to kółko z krzyżykiem u dołu.

— Jezu. - Abalyn westchnęła i znów posłała mi gniewne spojrzenie. - Wiem o tym, Imp. Nawet ja to wiedziałam. - Odebrała mi pudełko płatków. - Chcesz usłyszeć resztę czy nie?

— Chcę - odparłam. - Naprawdę chcę. Odstawiła pudełko obok pilota.

— A zatem stanęła nade mną, blada srebrnowłosa kobieta. I zapytała: „Córko, co wybierzesz? Drogę Igieł czy Drogę Szpilek?”. Powiedziałam jej, że przepraszam, ale nie rozumiem. Chociaż rozumiałam, ale we śnie o tym nie pamiętałam. A ona...

— Łatwiej spać rzeczy szpilkami — wyszeptałam, przerywając jej po raz czwarty, piąty lub szósty. Abalyn nie sprawiała wrażenia poirytowanej, raczej zaskoczonej. - Droga Igieł jest znacznie trudniejsza, bo znacznie ciężiej jest spać coś razem igłami. Czy to właśnie ci powiedziała?

- Tak - przyznała Abalyn, nie szeptem, ale bardzo cicho. Z tego co pamiętam, lekko pobladła, lecz zapewne ubarwiłam sobie tylko to wspomnienie. Pewnie w istocie tak nie było. - Prawie dokładnie się zgadza. Wiesz, co to znaczy?

— To z jednej ze starych francuskich ludowych wersji „Czerwonego Kapturka”. Z czasów zanim jeszcze go zapisano. Wilk daje taki wybór dziewczynce, gdy spotykają się w lesie. W innych wersjach drogi nazywają Drogą Kamyków i Drogą Cierni. A w Tyrolu Drogą Korzeni i Drogą Kamieni. Tak się składa, że sporo wiem o „Czerwonym Kapturku”.

- Najwyraźniej - mruknęła Abalyn wciąż nie do końca szeptem.

— Nie znoszę tej bajki - wyznałam, a potem spytałam: - I co wybrałaś?

— Nic. Odmówiłam wyborowi. I wtedy srebrnowłosa kobieta zamieniła mnie w drzewo.

- Jak Fyllis.

- Właśnie.

Minutę czy dwie milczała. Miałam wrażenie, że ta krępująca cisza trwa bez końca, lecz mogły minąć najwyżej ze dwie minuty. Zaczynałam już sądzić, że Abalyn nie dokończy mi historii swojego snu, gdy się odezwała:

- Byłam drzewem przez wiele lat. Tak przynajmniej czułam. Widziałam, jak zielone pole brązowieje, a potem nadeszła zima i pokryła je śniegiem. Potem nastąpiła wiosna i znów zrobiło się zielono. Wiele razy oglądałam przemiany pór roku. Moje liście żółkły, stawały się złote, opadały na ziemię. Z nagich gałęzi wyrastały pączki, pękały i pojawiały się młode listki. Nie było to nieprzyjemne, zwłaszcza po błędzeniu w mieście. Niemal pragnęłam pozostać drzewem na zawsze, lecz wiedziałam, że srebrnowłosa kobieta na to nie pozwoli, że wcześniej czy później wróci, by powtórzyć swoje pytanie.

— Jakim drzewem? - spytałam.

— Nie wiem. Zupełnie się nie znam na drzewach.

— I wróciła?

- O, tak. I tak jak przypuszczałam, znów zadała mi pytanie o Drogę Szpilek bądź Drogę Igieł. Wybrałam Drogę Igieł, bo podejrzewałam, że gdybym zdecydowała się na łatwiejszą, uznałaby mnie za lenia bądź tchórza. Byłam jej wdzięczna, że pozwoliła mi pobycć drzewem, i nie chciałam jej zawieść, nie chciałam, żeby się rozczarowała.

Czerwony Czepeczek wybrał Drogę Igieł.

I pożarł ją wilk.

...by nie dopuścić do siebie wilków.

- Tak naprawdę nigdy nie śniło mi się, jak wędruję Drogą Igieł, nie dosłownie - ciągnęła Abalyn. - Metaforycznie owszem. W końcu wszystko to była jedna wielka metafora. - Spuściła wzrok na niezapalonego papierosa, tkwiącego między palcami, i o mało nie powiedziałam jej, żeby nie przejmowała się i zapaliła. Wtedy jednak znów zaczęła mówić. - Czy wspomniałam, że na czole nie nosiła już symbolu Marsa? Tylko Wenus.

- Domyśliłam się - przyznałam. Skinęła głową.

- Potem sen zrobił się strasznie głupi. No wiesz, dziecinny.

- Przecież byłaś dzieckiem.

- No tak. Ale mimo wszystko.

- To co było takiego głupiego? Co się stało dalej?

- Powiedziała, że nauczyłam się cierpliwości. Nauczyłam się, że nie mogę dostać wszystkiego, czego pragnę, od razu i że prawie nigdy nie bywa to łatwe. Nauczyłam się, że być może nigdy tego nie dostanę. I tak kręci się ten świat, dodała, a ja nie mam na nim żadnych specjalnych forów. Potem jednak dotknęła znaku na swym czole, a ja zamieniłam się w dziewczynkę. Tylko na moment, bo wtedy zawsze się budziłam. Później leżałam, z całych sił próbując znów zasnąć, odnaleźć drogę powrotną do tego snu i nigdy już się nie obudzić.

- Wcale nie uważam, żeby to było dziecinne. Wzruszyła ramionami.

- Nieważne - wymamrotała. - Mój psycholog uważał, że nigdy nie miałam tego snu, że była to tylko dodająca otuchy historyjka, którą sobie wymyśliłam, żeby nie tracić nadziei, czy podobny syf. Ale ja go miałam. Nie wiem, jak wiele razy. Wciąż mnie nawiedza, ale nieczęsto. Nie jak w tamtych czasach.

- Przecież nie ma znaczenia, czy to był sen, czy historia - wtrąciłam, a ona odparła, że nie podobało jej się, gdy oskarżano ją o kłamstwa akurat wtedy, kiedy w istocie wcale nie kłamała. - Ale pomógł ci?

Te słowa wywołały kolejne wzruszenie ramion.

- Nie mam pojęcia. Nie widzę, jak bez niego moje życie mogło potoczyć się inaczej. Kiedy teraz się nad tym zastanawiam, decyzja wydaje mi się nieunikniona.

- Nigdy nie wspomniałaś rodzicom o tym śnie. - To nie było pytanie, bo nie wątpiłam, jaką usłyszę odpowiedź.

- Do diabła, pewnie, że nie. Gdybym powiedziała matce, mogłaby zamordować swe diabelskie dziecko we śnie. Ojciec mógłby rzucić się na mnie z rozżarzoną pogrzebaczem.

Roześmiała się i spytałam, co miała na myśli, mówiąc o pogrzebaczu. Abalyn znów się zaśmiała i schowała papierosa do paczki „Marlboro”.

- Tak zachowywali się ludzie, gdy podejrzewali, że elfy ukradły im dziecko i pozostawiły odmieńca. Elfy nie znoszą żelaza, więc...

- Ale jeśli się mylili...

- No właśnie - odparła.

Wtedy przypomniałam sobie o odmieńcach, rozżarzonych pogrzebaczach, rzucaniu dzieci, które mogły być podrzutkami, na rozżarzone węgle bądź pozostawianiu na dworze w mroźną noc. (Patrz: „Dziwne i tajemne ludy: elfy, wróżki i wiktoriańska świadomość”, autorstwa Carole G. Silver [Oxford University Press, 1999], rozdział 2). Ale nie przyznałam się Abalyn, że sobie przypomniałam. Nie wiem dlaczego. Chociaż nie, wiem. Uznałam, że to nie ma znaczenia. To co wiedziałam, a czego nie, nie miało nic wspólnego z ową historią o duchach, która należała do Abalyn, nie do mnie. Zupełnie nie do mnie. Oprócz tego kawałka o odmieńcach, z powodu tego, co już się zdarzyło i co dopiero miało się wydarzyć. Wszystkie złudzenia umieszczono tam, by mnie oszukać bądź ochronić, lecz tak czy inaczej, ukrywające prawdę (albo tylko fakty). Szpital Butlera, zmieniający nazwę. Eva, i Eva, lipiec i listopad. „Tonąca dziewczyna” i wszystkie koszarne obrazy i rzeźby Perault. Z dzisiejszej perspektywy, jak powiedziała Abalyn, wszystko to można określić mianem odmieńców, prawda?

„Evę i Evę, może”, napisała Imp. „Co do reszty, nie jesteś wcale pewna”.

Nie, nie jestem. Ale Eva Canning. To, co wsiadło do mojego samochodu, co znalazłam w głuszy i sprowadziłam do domu, co odeszło, czekając na właściwą chwilę, po czym w obu wersjach do mnie wróciło.

- Czy takie właśnie rozmowy prowadzą normalne pary? - spytałam Abalyn, a ona uśmiechnęła się na te słowa.

- Znalazłaś sobie niewłaściwą kobietę, by pytać o to, co normalne - odparła. - A poza tym, czy tym właśnie jesteśmy? Parą?

- A nie? — Słyszac to słowo, przestraszyłam się nagle, że popełniłam błąd, że się pomyliłam, że wszystko spieprzyłam.

- Jasne, Imp. Jeśli chcesz przypisać temu nazwę.

- Chcę, ale tylko jeżeli ci to nie przeszkadza. Więc jeśli nie mam racji, jeśli nie jesteśmy parą... to nic nie szkodzi. To znaczy...



I wtedy mnie pocałowała. Chyba zrobiła to, żebym się zamknęła. Uciszyłam się, bo słysząc własne słowa, też bardzo chciałam się zamknąć. Zdarza się, że słowa wypadają mi z ust niczym kamienie toczące się w dół zbocza. Od czasu do czasu ktoś musi mnie uciszyć. To był długi pocałunek.

Kiedy się skończył, spytałam, czy mogłabym puścić jej kilka płyt Rosemary, tych moich ulubionych.

- Spróbuję uniknąć co bardziej ckliwych. I, no wiesz, nie musisz udawać, że coś ci się podoba.

- Nie będę - zapewniła mnie i przyłożyła dłoń do serca - choć czy to nie ja miałam cię wyedukować muzycznie, a nie na odwrót?

- Najpierw powinnaś wiedzieć, z czym przyjdzie ci się zmierzyć.

I tak przez następne trzy godziny leżałyśmy na poduchach ze sklepu z używanymi rzeczami, przed gramofonem Rosemary, i słuchałyśmy jej płyt. Puszczalam piosenki z „Mad Man Across the Water” Eltona Johna, „Dream boat Annie” Heart (oznajmiła, że jej się podoba), „Aqualung” Jethro Tuli i „Agents of Fortune” Blue Óyster Cult. Nie pozwoliła mi puścić sobie niczego Doobie Brothers ani Bruce'a Springsteena. Parę razy wstała, udając, że gra na gitarze. Słuchałyśmy syków i trzasków podrapanego winylu, całowałyśmy się i nie rozmawiałyśmy o złych snach, dzieciństwie ani odmieńcach. Do łóżka poszłyśmy dopiero po czwartej i tak zakończył się ów długi, długi dzień. Nasz ostatni dobry dzień (w lipcowej opowieści o duchach). Nasz ostatni dzień przed galerią, rzeką, wanną i tym, jak Abalyn mnie zostawiła.

Palce bołą mnie od pisania na maszynie, a to równie dobre miejsce do przerwania, jak jakiegokolwiek inne. Chwilowego przerwania.

\*\*\*

Nie jestem pewna, ile dni minęło między naszym ostatnim dobrym dniem i tym, gdy po raz pierwszy od poznania Abalyn odwiedziłam muzeum RISD. Może zaledwie jeden czy dwa. Z pewnością nie więcej niż trzy. Wiem natomiast, że był to czwartkowy wieczór, co oznaczałoby trzeci czwartek lipca (w trzeci czwartek każdego miesiąca po piątej po południu wstęp do muzeum jest wolny; staram się nigdy za niego nie płacić). Przyznaję jednak, że w tej chronologii coś zgrzyta. Najpierw popołudnie, gdy o mało nie pokłóciłyśmy się z Abalyn, potem nasz ostatni dobry dzień i... Nie pamiętam, by ten drugi nastąpił tak szybko po pierwszym. Oto kolejny element, przez który wątpię we własne wspomnienia.

Gdyby rzeczywiście był to trzeci czwartek lipca 2008 (czyli siedemnasty), Abalyn mogłaby odejść dopiero na początku sierpnia, a byłam niemal pewna, że stało się to pod koniec lipca. Czas się zniekształca. Zaczynam mieć wrażenie, że moja percepcja czasu zapada się w sobie, ścieśniając wydarzenia i wspomnienia.

\*\*\*

Jadę z częściowo opuszczoną szybą. Miasto spowija całun długiego letniego zmierzchu, po fioletowo-niebieskim niebie nie wędruje nawet najmniejsza chmurka, a ja przejeżdżam przez most przy Point Street. Po rzece pływają dwa łąbędzie, na starym, spróchniałym słupie przysiadł kormoran. Słup sterczy z rzeki niczym złamany ząb, kormoran rozpościera skrzydła, susząc pióra. Ruch jest całkiem spory, powietrze cuchnie spalinami i moim własnym potem. Tuż przed skrzętem w South Main dochodzi zapach przypalonego ciasta z pizzerii. Nie jadłam obiadu, zapomniałam też o lunchu; woń spalonego chleba przypomina mi, że jestem głodna.

Powiedziałam Abalyn, że wybieram się do biblioteki. Nie spytała, do której, choć, gdyby to zrobiła, wyjaśniłabym, że publicznej w centrum. Centralna filia biblioteki publicznej w poniedziałki i czwartki jest otwarta do wpół do dziewiątej. Abalyn miała robotę i nie wyraziła chęci, by mi towarzyszyć.

- Uważaj na siebie - rzuciła, nie odrywając wzroku od laptopa.

- Będę uważać - odparłam, a gdy spytała, czy mam ze sobą komórkę, oznajmiłam, że tak. Przypomniałam jej też, że w lodówce zostały resztki chińskiego jedzenia.

Poprzedniej nocy śniła mi się „Tonąca dziewczyna” i następnego dnia -tego dnia - nie mogłam przestać myśleć o obrazie. W pracy kompletnie się zdekoncentrowałam i popełniałam głupie pomyłki, podliczając zakupy klientów albo próbując im pokazać, gdzie szukać danego towaru. Potem, po drodze do domu, skręciłam w złą ulicę i zabłądziłam. Prawie nie odzywałam się do Abalyn, póki nie oświadczyłam, że wychodzę. Wbiłam sobie do głowy, że jeśli zobaczę obraz, jeśli stawię mu czoło, może ta obsesja się skończy.

Wzdłuż South Main rosną drzewa, wiatr wpadający przez otwarte okno hondy nie pachnie już tak bardzo samochodami. Parkuję naprzeciwko muzealnego sklepu z pamiątkami, przez moment stoję przy samochodzie,

myśląc, że przyjazd tutaj to mógł być błąd. Żałuję, że nie poprosiłam Abalyn, by pojechała ze mną. Mogłabym wsiąść z powrotem do hondy i skierować się wprost do domu. Potem mówię sobie, że zachowuję się jak tchórz, wpycham klucze do kieszeni, przecinam ulicę i wchodzę do środka, gdzie jest chłodno, a powietrze pachnie czystością.

Mają tu czasową wystawę poświęconą modelom artystów przedstawionym przez artystów i kotzystam z niej jako z wygodnej wymówki, by przez kolejne dwadzieścia minut uniknąć konfrontacji z „Tonącą dziewczyną”. Na wystawie zgromadzono dzieła Picassa, Klimta, Matisse'a, Angeliki Kauffmann, obrazy, szkice węglem, i zdjęcia, a nawet rysunek z „New Yorkera”. Przystaję, by przyjrzeć się każdemu z bliska, ale nie potrafię się na nich skupić. Nie mogę się skoncentrować na tych obrazach, nieważne jak wspaniałe są wykonane, jak nieskromne bądź osobiste. Nie dlatego tu przyszedłam.

Załatw to, myślę. Ale nie własnym głosem. To głos, o którym śniłam wczoraj, głos, który śnił mi się bezustannie i który po raz pierwszy usłyszałam tamtej nocy nad rzeką Blackstone. Wyjmuję komórkę i o mało nie dzwonię do Abalyn. Zauważam, że jeden ze strażników przygląda mi się bacznie, chowam więc telefon do torby i odchodzę. Wędruję przez kolejne galerie, aż w końcu docieram do tej niewielkiej, ośmiobocznej sali, do oliwkowozielonych ścian i misternie rzeźbionych złotych ram. Wisi tu jednaście olejnych obrazów autorstwa malarzy z Nowej Anglii, lecz, wchodząc od strony południowej, jako pierwszego widzimy właśnie Saltonstalla. Szybko spuszczam wzrok i odwracam się do niego plecami. Powoli przesuwam się po pomieszczeniu z lewej w prawą, przystając przed każdym płótnem i przechodząc do następnego. Każdy obraz doprowadza mnie kilka kroków bliżej „Tonącej dziewczyny”, i wciąż przypominam sobie w duchu, że nie jest jeszcze za późno: nadal mogę wyjść z muzeum, nie muszę nawet zerknąć na to coś.

*(To coś. Napisałam te słowa i wydały mi się odrażające. Jakby przepełniała je nieokreślona groza. Mają zbyt wiele możliwych znaczeń, żadne z nich nie jest dość wyraźne, by po prostu je skreślić. Jednakże owego wieczoru zamieniłam „Tonącą dziewczynę” w „to coś”. Prawdopodobnie przygotowywałam tę przemianę, odkąd Rosemary przyprowadziła mnie tu z okazji jedenastych urodzin, niemal jednaście lat wcześniej).*

W tej sali także stoi strażnik, obserwuje mnie. Czyżbym wyglądała podejrzanie? Czy na mojej twarzy widać zdenerwowanie? A może tylko się nudzi, a ja jestem czymś nowym, na czym może skupić spojrzenie?

Nie zwracam na niego uwagi i bardzo staram się udawać zainteresowaną innymi kompozycjami - dwoma krajobrazami Thomasa Cole'a (1828 i 1847), „Brazylijskim lasem” (1864) i „Słonymi bagnami Newburyport, Massachusetts” (1875-1878) Martina Johnsona Heade'a oraz ostatnim przed Saltonstalem, „Zachód słońca w Arktyce” Williama Bradforda (1874). To w sumie pięć. Gdybym była katoliczką, przed czym ostrzegęła mnie matka, umiałabym nieco logiczniej wytłumaczyć, dlaczego nagle przyszło mi do głowy, że wszystko to przypomina ponurą, groteskową procesję Drogi Krzyżowej, przystającą przed każdym obrazem. Ale nie jestem katoliczką i skojarzenie to wydaje mi się bardzo dziwne. Ta stacja, piąta, „Zachód słońca w Arktyce” byłaby sceną, w której Szymon Cyrenejczyk niesie krzyż za Chrystusa, a następna - Weroniką ocierającą jego czoło. To zupełnie obce porównanie, kolejne coś, co pojawia się, by mnie nawiedzić, i odpycham je szybko.

Odpychani je i z ustami suchymi jak popiół i proch odwracam się, by stawić czoło temu czemuś, co mnie tu sprowadziło. I tak się staje, lecz to coś okazuje się nie obrazem Phillipa George'a Saltonstalla, przedstawiającym kobietę w rzece. Gdy się odwracam, przede mną stoi Eva Canning. Właśnie tak, idiotycznie, jak w scenie z horroru, scenie, która miała być niespodziewana, miała zaskoczyć, sprawić, że podskoczymy w fotelu. Po wszystkim śmiejemy się nerwowo i czujemy niemądrze. Ja nie podskakuję. Nie śmieję się. Nawet nie oddycham. Po prostu tam stoję, gapiąc się na nią. Ma na sobie tę samą czerwoną sukienkę, jak być może owego dnia, gdy zdawało mi się, że zobaczyłam ją na Wayland Square. Te same przeciwsłoneczne okulary o okrągłych szklach w drucianej oprawie, które kojarzą mi się z Johnem Lennonem. Uśmiecha się i proste, jasne włosy lśnią lekko w blasku lamp. Tym razem nie jest na bosaka. Ma na nogach bardzo proste skórzane sandały.

- India. Co za przemiła niespodzianka - mówi. - Jesteś absolutnie ostatnią osobą, jaką spodziewałam się dziś zobaczyć. - Jej głos brzmi ciepło i niezwykle serdecznie, jakbyśmy nie były niczym wyjątkowym, jedynie parą starych przyjaciółek, które spotkały się przypadkiem. Ot, szczęśliwe zrządzenie losu i tyle.

A ja w odpowiedzi mówię pierwsze, co ślina przynosi mi na język.

- Byłaś w mojej głowie. Parę minut temu. Powiedziałaś „załatw to”. -Mój głos drży. Stanowi kontrapunkt do głosu Ewy, podobnie jak moje słowa, sugerujące, że owo zrządzenie losu bynajmniej nie jest szczęśliwe. A może nawet nie jest zrządzeniem losu.

Jej uśmiech nie słabnie.

- Czyżby? - pyta mnie, a ja kiwam głową. - No cóż, zwłóczyłaś. Zaczynałaś tchórzyc, prawda?

Nie odpowiadam „tak” ani „nie”. Nie muszę. Ona już zna odpowiedź. Stojąc tu przede mną w tak przyziemnym otoczeniu, wydaje mi się czymś obcym, wyjętym z kontekstu. Widok Evy nagiej na poboczu drogi miał dla mnie więcej sensu niż jej obecność tu, w galerii, i właściwie wydaje mi się bardziej naga niż wtedy, gdy ujrzałam ją po raz pierwszy. Dokładnie naprzeciw „Tonącej dziewczyny” stoi drewniana ławka. Eva siada i gestem pokazuje, bym zrobiła to samo. Zerkam na strażnika - wciąż mi się przygląda. Nie, teraz przygląda się nam. Siadam obok niej.

- Przyszłaś zobaczyć mój obraz — mówi. (Jestem pewna, że właśnie to powiedziała. „Mój obraz”. Nie: „ten obraz”). - Gdzie Abalyn?

- W domu - odpowiadam. Mój głos powoli przestaje się trząść. - Nie przepada za muzeami.

- Zamierzałam zadzwonić do was i podziękować. Nie mam pojęcia, co by się ze mną stało, gdybyś się nie zjawiała. To bardzo niegrzeczne z mojej strony, że się nie odezwałam. Och, i wciąż mam ubranie, które mi pożyczyłaś. Muszę ci je zwrócić.

- To nie był przypadek, prawda? Tamta noc?

- Nie - mówi. - Nie, Imp, to nie był przypadek. Ale nie musiałaś się zatrzymać. To akurat zależało od ciebie.

Nie okłamuje mnie. Nie dostrzegam ani śladu mijania się z prawdą. Niczemu nie zaprzecza, choć wołałabym, by zaprzeczyła. Wołałabym, by choć spróbowała uczynić to wszystko mniej rzeczywistym. Dołożyła starań, żeby te wydarzenia wydały się zupełnie zwyczajne. Siedzę zapatrzona w „Tonącą dziewczynę” i wyczuwam otaczający Evę znajomy, dodający otuchy zapach morza. Wcale nie wydaje mi się dziwne, że pachnie morzem. Wręcz przeciwnie, to akurat jest stosowne, konsekwentne, nieuniknione.

- Był raczej smutnym człowiekiem - mówi, wskazując ręką obraz. -Melancholijny. Wielka szkoda, że zmarł tak młodo, lecz trudno to nazwać nieoczekiwanym.

- Zatem nie wierzysz, że spadł z konia przypadkiem?

- Już drugi raz użyłaś tego słowa. Wyraźnie zaprzatają cię kwestie przyczynowości i okoliczności. Ale nie, poważnie wątpię, by to był przypadek. Saltonstall świetnie sobie radził w siodle.

- Tego nie wiedziałam - przyznaję, nie odrywając wzroku od obrazu. O ironio, sprawia wrażenie najbezpieczniejszego miejsca w całej galerii, na jakim mogę skupić spojrzenie, mimo że mroczny las za plecami kąpiącej się dziewczyny wydaje się bardziej złowieszczy niż kiedykolwiek wcześniej.

- Nie musiałam się zatrzymywać - mówię. - To chcesz powiedzieć. Naprawdę miałam wybór?

- Miałaś, Imp. Mogłaś jechać dalej i nie oglądać się za siebie. Nikt nigdy nie musiał się przy mnie zatrzymywać. Ani nawet mnie usłyszeć. Ale jednak to zrobiłaś i obawiam się, że czas wyborów dla nas obu już minął.

Słowa te mogą mieć tak wiele różnych znaczeń i nie chcę dowiedzieć się dokładnie, jakie im przypisuje. Nie proszę zatem, by wyjaśniła. Wkrótce się dowiem, myślę.

- Czy to dlatego, że jestem wariatką? - pytam. - Czy dlatego cię usłyszałam?

- Zbyt surowo się oceniasz - mówi i znów nie wiem, co ma na myśli.

- Mogę spytać, co będzie dalej?

Uśmiecha się, ale nie w ten sam sposób, co wcześniej. Ten uśmiech sprawia, że wydaje się znużona, jest w niej smutek, który kojarzy mi się z tym, co powiedziała na temat Philipa George'a Saltonstalla.

- Nie ma jednego scenariusza. - Poprawia okulary. — Ani z góry zaplanowanego zakończenia. Obie zatem będziemy musiały poczekać i przekonać się, co się stanie dalej. Nie tylko ty, ale i ja.

- Nie chcę zranić Abalyn.

- Nie należysz do ludzi, którzy źle życzą innym, prawda, Imp? No, oprócz twojego ojca, ale trudno cię za to winić.

Nie pytam, skąd wie o moim ojcu. Pojęłam już dostatecznie dużo, by rozumieć, że to nie ma znaczenia. Siedząc tu z nią, czuję nagle natychmiastowe, wszechogarniające wrażenie déjà vu, silniejsze niż kiedykolwiek w życiu. Kręci mi się w głowie. O mało nie wymiotuję.

- Powinnam już wracać do domu - mówię i zamykam oczy.

- Tak, powinnaś. Ona na ciebie czeka. Martwi się, gdy wychodzisz sama.

A potem Eva pochyla się ku mnie i szepcze do mojego prawego ucha. Oddech ma ciepły, lecz gdy jej twarz znajduje się tak blisko, odór morza staje się przytłaczający. Wypuszcza powietrze, a ja myślę o błotnych rozlewiskach podczas odpływu. Myślę o mule, trzcinach i krabach. Małżach

czekających, by je wykopano z ciasnych norek. Rybach wyrzuconych na brzeg na łaskę słońca i mew. Jej słowa są kroplami mętnej wody z ujścia rzeki, wciekają we mnie, a ja zagryzam wargę i zaciskam powieki najmocniej jak umiem.

— Czemu bledniesz, mój ślimaku? - szepcze. - Pójdź i zatańcz razem z nimi! Czy chcesz tańczyć, czy też nie chcesz, pójdź i zatańcz razem z nimi! Czekam, by cię objąć\*.

Jej wargi muskają moje ucho i wzdrygam się. I chcę ją pocałować. Wyobrażam sobie te usta, badające każdy cal mojego ciała. Słowa ściekają, i zastanawiam się ile jeszcze wody zmieści się w moim uchu, w mojej czaszce, jak wiele trzeba, by przelała się do mych ust, w głąb gardła i bym utonęła w łagodnej rzece słów Evy Canning.

— Za daleko? A to czemu? - ostrołuski druch wnet rzekł. - Przecież morze ma dwa brzegi; czeka na nas drugi brzeg.

A potem nic już nie mówi, a ja nie czuję dłużej woni mulistych łąch, jedynie czyste, muzealne powietrze. Wiem, że odeszła, ale wciąż nie otwieram oczu, póki strażnik nie podchodzi i nie pyta, czy dobrze się czuję, czy nic mi nie jest. Unoszę powieki i widzę, że Eva nie siedzi już obok mnie.

— Dokąd ona poszła? - pytam. — Widział pan, jak wychodziła?

— O czym pani mówi? - Mężczyzna wygląda na zaskoczonego. Jego twarz ma ów pytający wyraz, który pojawia się u ludzi zaczynających rozumieć, że ze mną jest coś nie tak.

Nawet nie powtarzam pytania.

\*\*\*

Myślałam o tym, co napisałam wcześniej na temat słów *to coś i tego*, jak *to coś*, niedookreślone, jedynie częściowo dostrzeżone, ma potencjał stać się znacznie bardziej przerażające niż wyraźnie widziane zagrożenie.

Potrzebowałam półtora dnia, by ułożyć to zdanie. Musiałam zapisać ze dwadzieścia pięć albo trzydzieści wersji na skrawkach papieru, nim w końcu pozwoliłam sobie usiąść do maszyny. Zazwyczaj nie jestem staranną autorką, a pisząc ten tekst, wyjątkowo bujam w obłokach (to kolejna fraza, z której żartowała Abalyn: „Imp, nikt już nie mówi »bujac

\* Ten i następne cytaty z „Przygód Alicji w Krainie Czarów” Lewisa Carrolla i według przekładu Macieja Słomczyńskiego.

w obłokach«"). Zupełnie nie starałam się poskromić swojego nieuporządkowanego umysłu. Jednak, dopóki przedstawiam tu wydarzenia najlepiej jak potrafię, nie ma raczej znaczenia, czy maszynopis będzie uporządkowany, czy nie.

Ale... same słowa. *To coś*. Mętne pojęcie *czegoś* kontra twardy obraz *danego czegoś*. Zaczynam myśleć o filmie „Szczęki”. Wspominałam już wcześniej, że nieszczerze interesuje mnie kino i nie oglądałam zbyt wielu filmów. Zwłaszcza w porównaniu do większości ludzi. A już na pewno do Abalyn, często wplatającej w rozmowy fragmenty dialogów z filmów, których nigdy nie widziałam, a które ona wyraźnie znała na pamięć. W każdym razie „Szczęki” oglądałam. Widziałam je jeszcze przed Abalyn i przed Evą Canning. Nadal nie wiem, czy mi się podobały, lecz nie ma to większego znaczenia. Z pewnością stanowiły jedną z rzeczy, które natchnęły mnie do napisania „Syreny z betonowego oceanu”.

Film zaczyna się od śmierci młodej kobiety. W odróżnieniu od późniejszych ofiar, jej nie zabija rekin. Nie, ją zabija i pożera coś, czego nigdy nie widzimy. Opuszcza przyjaciół i bezpieczne ognisko, porzuca ich i przystań brzegu, wkraczając w zimne morze. Słońce wschodzi, gdy zdejmuje z siebie ubranie i zanurza się w falach. Woda jest czarna, wszystko pod jej powierzchnią kryje się przed naszym wzrokiem. Coś pod wodą chwyta kobietę, rzucając ją gwałtownie z boku na bok. Kobieta wrzeszczy, rozpaczliwie chwyta się pływającej boi, jakby mogła ją ocalić. Słyszymy, jak krzyczy: „Tb boli”. *To*. Słowo równie straszne i pozbawione szczegółów, jak *coś*. Atak nie trwa długo. Niecałą minutę. A potem dziewczyna znika, wciągnięta w czarną otchłań przy brzegu wyspy Amity, i możemy tylko zgadywać, co takiego ją porwało. Morze to wspólnik napastnika, ukrywa go, choć ta niewidzialna siła musi kryć się zaledwie kilka cali pod powierzchnią.

Później, gdy natrafiłam na historię o Millicent Hartnett, ugryzionej przez coś w rzece Blackstone przy tamie, coś, czego jej przyjaciółki nigdy nie widziały, natychmiast przypomniałam sobie ową scenę. Pomyślałam, jak wiele szczęścia miała tamtego letniego dnia w 1951 roku Millicent Hartnett. Mogła przecież stać się dziewczyną wciągniętą pod wodę w „Szczękach”.

Reszta filmu mnie nie przestraszyła. Opowiada on tylko o bardzo dużym rekinie, którego oglądamy raz po raz, i znowu. Gdy pokazują nam rekina, nic więcej nie pozostawiają wyobraźni. Rekin może tylko zabić kobietę. I rekina można zrozumieć, można sobie z nim poradzić. To tylko



ryba, trzech mężczyźni w małej cieknącej łodzi mogą odnaleźć ją i zniszczyć. To nie nawet po części tak niepokojącego jak ~~czarny charakter~~ ze sceny otwierającej film.

Nie powinnam była napisać czarny charakter, więc to przekreśliłam. Ostatecznie, cokolwiek poszarpało i wciągnęło pechową dziewczynę w głąb, ku śmierci, zachowywało się tak jak powinno, w zgodzie ze sobą. To ona była intruzem. Ona przyszła do *tego*, wtargnęła w jego świat, a nie na odwrót.

Na obrazie Phillipa George'a Saltonstalla zagrożenie pozostaje całkowicie ukryte. To coś, co jedynie zasugerował. Naga kobieta stoi w mulistej rzecznej wodzie, tej samej rzece, w której pięćdziesiąt trzy lata po ukończeniu obrazu Millicent Hartnett miała zostać ugryziona przez coś, czego nikt nie widział. W tej samej ciemnej wodzie, którą ponoć nawiedza „Syrena z Millville”. Kobieta na obrazie ogląda się przez ramię w stronę brzegu i mrocznego lasu sugerującego zagrożenie. Odwraca się od spokojnej wody na pierwszym planie, a przecież może być ona równie pełna niebezpieczeństw jak drzewa. Drzewa mogą stanowić jedynie zmyłkę, sztukę prestidigitatora wymyśloną tak, by odwrócić uwagę kobiety od zagrożenia, które nie czai się pod drzewami, lecz pod myląco spokojną taflą.

Stoi pomiędzy Scyllą a Charybdą, w swej naiwności wkroczywszy do zaimprovizowanego, nowoangielskiego odpowiednika Cieśniny Messyńskiej.

Nie to widzimy na obrazie. Sami mamy to sobie wyobrazić. Oto geniusz „Tonącej dziewczyny” i tak wielu odrażających dzieł Alberta Perrault. Mówią nam, że masywne sylwetki otaczające klęczącą dziewczynkę na „Fecunda ratis” to wilki, ale nie wyglądają dokładnie jak one. Mogą być czymkolwiek innym. To odwrócona sztuczka ze „Szczęk” i obrazu Saltonstalla, służąca jednak temu samemu. Przywołaniu nieznanego.

To nie tego co znane boimy się najbardziej. Znane, nieważne jak straszliwe, zagrażające życiu i zdrowiu, to coś, co potrafimy ogarnąć swym umysłem. Zawsze możemy na nie zareagować. Możemy przygotować plan walki. Poznać jego słabości i pokonać je. Możemy dojść do siebie po atakach. Czasem wystarczy coś tak prostego jak kula z pistoletu. A nieznanie prześlizguje się nam między palcami, niematerialne jak mgła.

H.P Lovecraft (1890-1937), pisarz samotnik, który mieszkał tu, w Providence (i z którym jestem daleko spokrewniona), napisał: „Najstarszym i najsilniejszym uczuciem ludzkości jest strach, zaś najgorszym jego

rodzajem jest lęk przed Nieznanym"\*. Nigdy nie przepadałam za Lovecraftem. Jego proza jest zbyt kwiecista, a historie wydają mi się głupawe. Ale Abalyn była jego wielbicielką. Tak czy inaczej, nie mylił się co do strachu przed nieznanym. Trafił prosto w sedno.

„Do czego ty zmierzasz?” - napisała Imp. „Bo mnie zgubiłaś. Siedziałaś na łasze ławce w muzeum z Evą Canning, najpierw tam była, a potem już nie. Najpierw strażnik ją zobaczył, potem nie. A wcale się nie ukrywała. Widziałaś ją wyraźnie, jasno jak w dzień. Błądą blondynkę w czerwonej sukience i skórzanych sandałach. Błądą kobietę o jaskrawo-błękitnych oczach, która siedziała obok ciebie, pochyliła się i dotknęła cię. Niczego nie ukrywała”.

Nie. Nie.

To kłamstwo. To, co pozwoliła mi zobaczyć, było czymś trochę jak namacalne, zwyczajne, wrażliwe na ciosy ciało rekina, którego w końcu widzimy w „Szczękach”. Pokazała mi to, by ukryć scenę na początku filmu, zamaskować nieznaną pływającą pod jej powierzchnią. Tego wieczoru po raz trzeci zbliżyła się do mnie odziana w skórę kobiety, bo chyba wiedziała, że nie jestem jeszcze gotowa, by ujrzeć jej prawdziwą postać. Prawdziwą postać, która i wtedy, i zawsze pozostanie nieznaną. Wkrótce pokaże mi rzeczy, które tylko częściowo zrozumie, ale żadnej tajemnicy, jaką mogłabym przeniknąć. Nieznane jest odporne na sztuczki ludzkiego umysłu. Jeśli w ogóle Eva Canning nauczyła mnie czegokolwiek, to właśnie tego.

*Czemu wleczesz się tak? — rzekła do ślimaka białoryba. Ten morświn, który nas dognał, na ogon mi wdepcnie chyba.*

Imp pisze: „Tego wieczoru w muzeum, nawet jeśli skrywała swą prawdziwą twarz, nie okłamała cię. Odpowiedziała na wszystkie twoje pytania. Ostrzegła przed tym, co miało nadejść, choć ostrzeżenie to było zawoalowane. To w najlepszym razie paradoks”.

Imp pisze. Ja piszę. „Ja też to widzę”.

*Czy chcesz tańczyć, czy też nie chcesz, czy chcesz tańczyć razem z nimi?*

\* Przełożył Andrzej Ledwożyw.

Może powinnam podrzeć te kilka ostatnich stron. Może nie mam pojęcia, co naprawdę próbuję tu powiedzieć. A może powinnam była spędzić znacznie więcej dni, pracując nad każdym zdaniem na niezliczonych skrawkach papieru, nie śmiąc złożyć ich w jedną całość, póki nie dokonałam bezbłędnego wyboru każdego słowa.

Nie jestem nawet do końca przekonana, czy słyszę jeszcze swój własny głos. Wkrótce, jak opowiem to w mojej historii o duchach, to właśnie powiem Abalyn - że nie jestem już nawet pewna, czy słyszę swój własny głos.

Czy ty zatańczyłaś z nimi, Rosemary Anne? Tej ostatniej nocy w szpitalu, czy przyszła do ciebie syrena i powiedziała ci, jak cudownie będzie, kiedy złapią nas i cisną w morze wraz z homarami? A ty, czy słuchałaś?

\*\*\*

„Zatem Saltonstall udał się nad rzekę Blackstone i zobaczył tam coś, coś, co się tam stało, co nie dawało mu spokoju”. Napisałam to zdanie wiele stron temu, kiedy byłam niemal pewna, że nigdy nie dotrę aż tak daleko w mojej historii o duchach. Muszę powrócić do tego, co ujrzał Saltonstall, nim przejdę dalej, do najgorszego. To znaczy, najgorszego z tego pierwszego wcielenia mojego nawiedzenia.

Oderwany skrawek mojego umysłu, odgrywający rolę Czytelnika, nie może się już doczekać, by usłyszeć, co się zdarzyło dalej, choć powinien przecież pojąć, że rozwijam tę narrację w swoim własnym tempie, w miarę jak odnajduję potrzebną odwagę. Nie zebrałam się do tego, by zadowolić wymagania Tyranii Fabuły. Życia nie układają się w uporządkowane wątki, i to najgorszy z możliwych sztucznych zabiegów: upierać się, by opowiadane przez nas historie - nam samym i innym - musiały poddawać się wątkowej, linearnej narracji od A do Z, w trzech aktach, według zasad arystotelesowskich, zawiązanie akcji, punkt kulminacyjny, rozwiązanie akcji, i przede wszystkim sztuczności rozstrzygnięcia. Na tym świecie rzadko widuję rozstrzygnięcia: rodzimy się, żyjemy i umieramy, a pod koniec zostawiamy za sobą jedynie paskudny splot niedokończonych spraw.

Nie było żadnego rozstrzygnięcia dla mnie i dla Abalyn, a co do Evy Canning, to wciąż próbuję zamknąć ten rozdział. Co za idiotyczne słowo, idiotyczna koncepcja — zamknięcie.

Saltonstall zginął, wciąż go szukając. Albert Perrault zginął, nim jeszcze dotarł tak daleko.

Zupełnym przypadkiem dowiedziałam się dokładnie, co takiego według samego Saltonstalla zobaczył przy tamie Rolling, co natchnęło go do stworzenia „Tonącej dziewczyny”. To kolejna informacja ukryta w jego korespondencji z Mary Farnum, w listach, które zapewne nigdy nie zostaną zindeksowane ani opublikowane i przechowuje się je rozproszone między trzema różnymi instytucjami. Owego sierpniowego popołudnia w 2002, w dniu, gdy znalazłam wzmiankę o Saltonstallu i widmie, jakie ponoć nawiedzało rzekę Blackstone w „Krótkiej historii malarstwa i ilustratorstwa Nowej Anglii” Smithfield, bibliotekarka w Ateneum, która widziała, że próbuję dokopać się wszystkiego na temat Saltonstalla, wspomniała, iż część jego listów trafiła do Biblioteki Johnna Haya na Uniwersytecie Browna. Miała tam znajomego i sama zaproponowała, że zadzwoni i umówi mnie, bym mogła je obejrzeć. Tydzień później pojechałam do Haya i oto, co znalazłam (w liście do Mary, datowanym 7 marca, 1897):

*Moja najdroższa, ukochana Mary,*

*mam nadzieję, że zastałem Ciebie i Twą matkę w dobrym zdrowiu i że Twój ojciec czuje się lepiej niż podczas ostatniej mej wizyty. Za trzy krótkie dni wyruszam do Baltimore i uznałem, że powinienem napisać raz jeszcze przed wyprawą na południe. Jeżeli bardzo mi się poszczęści, podróż okaże się sukcesem i powrócę, zabezpieczywszy do pewnego stopnia swój byt finansowy na następny rok! Jakżebym chciał, żebyś pojechała ze mną, jestem bowiem pewien, że spodobałoby Ci się to miasto i wszystkie jego rozkosze.*

*W swym ostatnim liście pytałaś o to, co przeraziło mnie zeszłego lata przy tamie, i przyznaję, że nie zamierzałem rozwdzić się dłużej na temat owego osobliwego dnia. W istocie obecnie żałuję, że w ogóle Ci o nim wspomniałem. Wolałbym, żebyś nie spędzała wieczorów na rozważaniu podobnie upiornych, niesamowitych spraw, które bardziej pasowałyby do opowieści Poego bądź Le Fanu, niż do naszej wymiany korespondencji. Tak bardzo jednak nalegałaś, a wiesz, że wciąż nie potrafię znaleźć w sobie dość sił, by odmówić Ci tego, co leży w mojej mocy. Ustępuję zatem, wiedz jednak, że czynię to nader niechętnie.*

*Tego szczególnego popołudnia postanowiłem oddalić się nieco bardziej od tamy (od strony Milhille). Pewien człek z miasteczka okazał się dość miły, by poinformować mnie o równej, kamienistej ścieżce na brzegu, lubianej wielce przez miejscowych rybaków i chłopców pragnących*

zażyć kąpieli. Okazała się ona niezwykle zacnym punktem, z którego roztaczał się wyraźny, rozległy widok na ostatni zakręt rzeki, tuż za błotnistym bagnem. Powiedziałbym, że miejsce to miało w sobie coś niesamowitego, lecz na moją opinię niewątpliwie wpłynęło wydarzenie, które zaraz zrelacjonuję. Wszelako, znalazłszy się w tym miejscu, poczułem niepokój, mimo wspaniałego krajobrazu, i zastanawiałem się wręcz, dlaczego cieszy się ono tak wielką popularnością.

Było dość późno i starałem się uchwycić ostatnie dobre światło i ukończyć jeszcze jeden szkic, nim spakuję sztalugi i węgiel. Moją uwagę przyciągnął las, rosnący dokładnie naprzeciwko miejsca, w którym stałem. W tym miejscu rzeka ma pięćdziesiąt stóp szerokości, niewiele więcej niż tama. Zatem to, co widziałem, widziałem wyraźnie. Z przeciwległego brzegu dobiegł szelest wśród poszycia, z początku sądziłem, że to jeleni schodzący do wodopoju. Zamiast tego jednak spomiędzy pni klonów (rosnących tam niezwykle gęsto, dodam) wyłoniła się młoda kobieta. Strój miała bardzo prosty i wziąłem ją za niewiastę z Milluille czy może Blackstone. Spojrzała w moją stronę, a przynajmniej tak mi się wydało, pomachałem więc do niej, ona jednak w żaden sposób nie dała po sobie poznać, że mnie zauważyła. Zawołałem, lecz nadal nie zdołałem zwrócić na siebie jej uwagi, chyba że celowo mnie ignorowała. Uznawszy, że to, co czyni, nie moją jest sprawą, szybko dodałem ją do szkicu. Oderwałem od niej wzrok na nie więcej niż pół minuty, lecz kiedy znów spojrzałem, zdążyła się rozebrać i wejść do wody dość daleko, by sięgnęła jej do kolan. Nie chcę, byś wzięła mnie za człeka wyuzdanego i niemoralnego (choć wiem, że ludzie powszechnie myślą tak o wszystkich artystach), ale nie od razu odwróciłem wzrok. Kilka razy obejrzała się na drzewa i wtedy uświadomiłem sobie, jak głębokie są zalegające pod klonami cienie. Wydawały się niemal namacalne, jakby były czymś więcej niż tylko nieobecnością światła pod konarami przesłaniającymi słońce. Powracając na moment do wcześniejszej wzmianki o jeleniu, uderzyło mnie, że kobieta miała w sobie czujność łani, która, słysząc zbliżające się kroki, na moment unosi głowę, nim umknie w bezpieczne miejsce.

A teraz, Mary, nie poczuję się urażony, jeśli zlekceważysz resztę tej historii, przypisując ją zbyt wielkim upałom, porażeniu słonecznemu i ogólnemu wyczerpaniu. W istocie wolałbym, byś tak uczyniła. Nagle bowiem zaledwie jard od kobiety coś zaczęło poruszać się w wodzie,

*jakby tuż pod powierzchnią trzepotała wielka ryba. Bez wątpienia znasz dobrze ten widok, gdy olbrzymi karp bądź łosoś wyskakuje nad wodę, ścigając pechową ważkę. Jednakże to poruszenie trwało znacznie dłużej, niż można by oczekiwać po wygłodniałej rybie. Pierwotne rozbryzgi zamieniły się w pianę. Nie potrafię odnaleźć stosowniejszego słowa na to, co widziałem. A po kilku sekundach pozbawiona przyodziewku kobieta odwróciła się ku wzburzonej rzece. Wstałem zaniepokojony, uznawszy, że z pewnością się wycofa, powróci na brzeg w obawie, że ów ruch może okazać się groźny. Nie uczyniła tego jednak. Zamiast tego wpatrywała się w to miejsce w niezwykle skupieniu.*

*I wtedy z rzeki wystrzelił smolisty kształt. Wiem, że to dość ogólnikowy opis, ale nie potrafię wyrazić tego lepiej. Ujrzałem go tylko przez mgnienie oka, nigdy nie nabrał wyraźniejszych zarysów. Mimo to pozostawił mi niepokojące wrażenie, że nie oglądałem żadnego gatunku ryby, lecz być może wielkiego węża grubości słupa telegraficznego i rozmiarów większych niż jakikolwiek gad żyjący poza tropikami Afryki i Amazonii. Nie był to prawdziwy wąż, ale nie umiem znaleźć niczego bliższego, co mógłbym przywołać, gdybym próbował odnaleźć w nim coś bardziej konkretnego niż cienie pod klonami. Miałem właśnie krzyknąć do kobiety, by uciekała, lecz tymczasem kształt zniknął, podobnie ona sama, a woda była tak spokojna, że ledwie mogłem uwierzyć, że w ogóle cokolwiek widziałem. Natychmiast zacząłem pakować swe manatki; szczerze poruszony, pragnąłem nade wszystko w największym pośpiechu oddalić się od rzeki.*

*Proszę, oto moja historia, Mary. Cały ów makabryczny epizod nad rzeką, i tuszę, że zaspokoilem tym samym Twoją ciekawość, proszę zatem, byś zapomniała o całej tej sprawie. Jest wielce absurdalna, nie sądzę też, by moje zmysły tego dnia wiernie oddały rzeczywistość. W drodze powrotnej przez Milhille wspomniałem przypadkiem o tym, co, jak mi się zdawało, widziałem, pewnemu mężczyźnie u kupca, który wyraźnie uznał mnie za szaleńca i uprzejmie odmówił rozmowy na ów temat. Stanowczo nie życzę sobie, by ludzie patrzyli na Ciebie z równym powątpiewaniem!*

*Kończę już, bądź jednak pewna, że podczas pobytu w Bak. przyślę Ci co najmniej widokówkę. Bądź zdrowa!*

*Z ciepłymi pozdrowieniami*

*PG*

Czy Saltonstall znał opowieści o duchu Perishable Shippen? W jego listach nie znalazłam niczego, co by to sugerowało. Gdyby je znał, chyba wspomniałby tu o owej legendzie?

Pieką mnie oczy i bolą opuszki palców. Klawisze zacinają się, trzeba je naoliwić. A zresztą nie mam serca ani odwagi, by pisać dziś o rzeczach, które zdarzyły się po spotkaniu z Evą w muzeum. Jeszcze nie dziś. Może jutro. Może jutro.

„Imp, jutro wcale nie będzie łatwiej niż dzisiaj. Nie oszukuj się i nie wmawiaj sobie tego”.

Nie powiedziałam, że będzie łatwiej. Powiedziałam, że w tej chwili nie mam na to siły. Chcę mieć to z głowy. Chcę wyrzucić to z siebie, żeby nie musieć się już bać wyrzucania z siebie. To jak cholerna gula w gardle. Boli, i proszę, bardzo chcę ją wykrztusić.

**(SZTUKA W PIĘCIU AKTACH)****ZAWIĄZANIE AKCJI (i)****AKT PIERWSZY: WŁOSIENNICA**

Nie pojechałyśmy z Abalyn nad rzekę Blackstone dzień po tym, jak Eva Canning podeszła do mnie w muzeum. Zazwyczaj tak mi się wydaje, ale kiedy się nad tym zastanawiam, przypominam sobie, że wydarzenia te dzieliło kilka dni. Zmieściłam między nimi wizytę u doktor Ogilvy. Nie usłyszałam recepcjonistki, kiedy powiedziała, że mogę wejść. Byłam zbyt zajęta bazgraniem na marginesach kartek zeszłorocznego numeru „Redbook”. W końcu doktor Ogilvy przyszła sprawdzić, czy nic się nie stało, i zobaczyła jak piszę w magazynie. Zapisywałam fragmenty „Kadryla z homarami”, raz po raz i znowu, znowu, bez ustalonego porządku. Spytała, czy dobrze się czuję.

- Imp, czy coś się stało?

Kiedy nie odpowiedziałam (próbowałam, ale głowę zbyt wypełniał mi Lewis Carroll), zapytała, czy może zobaczyć co piszę. Zamrugałam kilka razy, po czym oddałam jej „Redbooka”.



Przez chwilę wpatrywała się w moje krzywe pismo, potem chciała wiedzieć, co to znaczy. Nie, co to jest, lecz co znaczy.

- Nie wiem. - Postukałam długopisem o nogę i sięgnęłam po kolejne pismo (chyba „Cosmopolitan”). - Ale nie mogę pozbyć się tego z głowy.

Oznajmiła, że łatwiej nam będzie porozmawiać w gabinecie i że jeśli potrzebuję zabrać ze sobą pismo, to bardzo proszę. Do tej pory minął już kwadrans z mojej godziny.

Gabinet doktor Ogilvy jest mały, ozdobiony motylami, chrząszczami i innymi barwnymi owadami przyszpilonymi w szklanych ramkach. Kiedyś wyjaśniła mi, że w college'u o mało co nie zaczęła studiować entomologii.

- Indio, kiedy mówisz, że nie możesz się tego pozbyć z głowy, zakładam, że myśli te są niezamierzone i niechciane?

- Gdyby były chciane, nie pragnęłabym przecież się ich pozbyć, prawda? - I napisałam

*Zbiegły się na skraju plaży... Czy chcesz tańczyć razem z nimi?*

na marginesie artykułu traktującego o ubarwianiu życia seksualnego poprzez poznanie skrywanych męskich fantazji.

- Od jak dawna to trwa?

- Nie jestem pewna - skłamałam.

Oczywiście zaczęło się, kiedy Eva szepnęła mi do ucha. Ale dobrze wiedziałam, że nie należy zaczynać rozmowy z doktor Ogilvy na temat Evy Canning.

- Dłużej niż dzień? - Tak.

- Dłużej niż dwa dni?

- Może.

- Mówiłaś komukolwiek? - spytała, a ja odparłam, że wczoraj moja dziewczyna przyłapała mnie, jak zapisywałam wiersz na serwetce. We-szliśmy na hamburgera. - Co jej powiedziałaś?

- Ze to nic takiego i wyrzuciłam serwetkę. Nabazgrałam

*Pod wodami morza mrowie Tłum homarów co się zowie.*

*Na ogonach i na głowie Mkną w tan, Łososiu!*

na stronie „Cosmopolitana”.

- Od bardzo dawna nie było tak źle - wyznałam. - Wczoraj nie mogłam pójść do pracy. Mój kierownik nie jest zadowolony. Boję się, że mnie wyrzuci, a nie stać mnie na utratę tej posady.

- Opuściłaś sporo dni.

- Kilka - przyznałam. - Kiedy dzwonię, powtarzam mu, że jestem chora, ale on już mi nie wierzy. Zawsze byłam dobrą pracownicą. Można by sądzić, że przymknie trochę oko.

- Indio, czy chciałabyś, żebym zadzwoniła do niego i wyjaśniła?

- Nie - odparłam. Powtórzyłam „nie” siedem razy i nie podnosiłam wzroku, bo nie chciałam widzieć miny doktor Ogilvy. Wiedziałam, jak wygląda, nawet bez patrzenia. Napisałam

*Łosoś górą! Łosoś dołem!*

*Ogon w zęby, kołem, kołem!*

*Z wszystkich w morzu ryb pospołem*

*Nie majak Łosoś!*

a ona spytała czy przestałam brać leki. Odparłam, że nie, że nie opuściłam ani jednej dawki. To była prawda. Potem spytała, czy zechcę jej oddać pismo. Zacisnęłam na nim mocno dłoń, tak mocno, że wydarłam stronę, na której pisałam, ale potem jej oddałam. Przeprosiłam, że je zniszczyłam, i zaproponowałam, że odkupię, tak samo jak „Redbooka”.

- Nie martw się o nie. Nie są ważne. — Przez chwilę wpatrywała się w kartkę, po czym spytała: - Wiesz chyba, co to jest?

- Piosenka Żółwiciela. Z dziesiątego rozdziału „Przygód Alicji w Krainie Czarów”, po raz pierwszy wydanych w Londynie w tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym przez wydawnictwo Macmillan & Company.

Bardzo mocno stuknęłam długopisem w kolano, siedem razy, potem siedem, i znów siedem.

- Będziemy musiały zwiększyć dawki leków. — Doktor Ogilvy oddała mi pismo. - Zgadzasz się na to?

Zaczęła bazgrać nieczytelnie na bloczku recept, a ja niemal równie nieczytelnie na „Cosmopolitanie”.

*Czy chcesz tańczyć, czy też nie chcesz, czy chcesz tańczyć razem z nimi?*

- Kiedy nauczyłaś się tego wiersza na pamięć? - spytała doktor Ogilvy i nim zastanowiłam się co robię, ponieważ byłam zbyt zajęta pisaniem, odparłam:

- Nigdy. Nigdy nie nauczyłam się na pamięć tego wiersza ani żadnego innego.

Wyrwała z bloczka dwie kartki, lecz nie od razu mi je wręczyła. -Jeśli odeślę cię dziś do domu, nic ci nie będzie? Możesz prowadzić? Wyjaśniłam, że przyjechałam z Willow Street autobusem, a ona odparła, że to najlepsze wyjście.

- Nic ci nie będzie? Będziesz bezpieczna? - powtórzyła.

- Bezpieczna jak w norce - odparłam. Kiedy zerknęłam na nią, wpatrywała się we mnie z powątpiewaniem.

- Dziewczyna wie o twojej chorobie?

- Tak. Powiedziała jej tuż po tym jak się poznałyśmy. — I napisałam

*Gdy odpływ spłynął z plaży, rażny jak skowronek O rekinach ze wzdardą mówił cały dzionek, Lecz gdy wracają wody, a rekiny z nimi, Odnacza się głos jego nutkami drżącymi.*

Podawała mi recepty i poprosiła żebym bardzo uważała i spróbowała pójść do pracy, a gdyby mój stan się pogorszył albo nie polepszył po paru dniach, koniecznie do niej zadzwoniła. Widziałam wyraźnie, że wolałaby mnie nie wypuszczać, że myśli o szpitalu. Wie, i wtedy też wiedziała, że musiałaby zmusić mnie siłą do spędzenia tam choćby jednej nocy. Wiedziała niemal wszystko o Rosemary Anne. I że mój stan musiałby znacznie się pogorszyć, wykraczając daleko poza obsesyjne przepisywanie Lewisa Carrola na serwetkach i w starych pismach, nim bym się zgodziła, a nawet wtedy wrywałabym się i protestowała.

- Święty Ignacy Loyola miał obsesję — powiedziałam. - To znaczy, natrętne myśli. Okropnie bał się nadepnąć na źdźbła słomy tworzące krzyż, bo sądził, że w ten sposób okazałby brak szacunku dla Chrystusa. Nie wiem, gdzie o tym czytałam, ale musiałam gdzieś przeczytać. Myślę, że mnóstwo ludzi, którzy w końcu zostali obwołani świętymi, tak naprawdę było jedynie szaleńcami.

Nacisnęłam zbyt mocno i rozdarłam kartkę. Doktor Ogilvy milczała długą chwilę.

- Wie pani, że nie jestem religijna - dodałam. - Wie pani, że nigdy nie wierzyłam w Boga ani w nic takiego.

- Czy mogłabyś posiedzieć parę godzin w poczekalni? - poprosiła. - Możesz wyjść w każdej chwili, ale myślę, że dobrze by było, gdybyś jakiś czas zaczekała, na wszelki wypadek.

- Nie - odparłam i zamknęłam pismo. Zwinęłam je w rulon i ścisnęłam. - Muszę wracać do domu. Przysięgam, nic mi nie będzie. Gdyby coś się pogorszyło, zadzwonię.

- I na pewno nie wiesz, co wywołało ten epizod?

- Na pewno. - Oto moje drugie kłamstwo.

- Zadzwońisz, kiedy wrócisz do domu?

Zapewniłam, że tak. Uznałam, że to drobna cena za ucieczkę z jej gabinetu, wydostanie się z kliniki, byle dalej od uważnych spojrzeń i pytań. Odprowadziła mnie do recepcji, a ja wypisałam czek pokrywający koszt sesji. Pożegnałyśmy się. Musiałam zrobić siusiu, więc przed wyjściem z budynku skoczyłam do toalety. Usiadłam na plastikowej pokrywie muszli i napisałam

*Czemu bledniesz, mój ślimaku? Pójdź i zatańcz razem z nimi.*

A pod spodem narysowałam nawet ślimaka. O mało nie spóźniłam się na autobus. Ale tylko o mało. Wróciłam do domu przed czwartą, lecz Abalyn zabrała hondę i pojechała na targ. Zostawiła kartkę z informacją, że poszła kupić mleko, kawę, płatki, masło fistaszkowe, „damskie środki higieniczne”, małe baterie paluszki, Red Bulla i marchewkę. Zadzwoiłam do doktor Ogilvy, ale był u niej inny pacjent, i zostawiłam wiadomość na poczcie głosowej. Siedziałam na sofie, czekając, aż Abalyn wróci do domu. Cisnęłam pismo do kosza na papiery i nie trafiłam. Poprzedniego wieczoru zostawiłam na kanapie jeden z moich szkicowników i teraz zaczęłam w nim pisać kolejne linijki „Kadryla z homarami”. Kiedy skończył mi się wkład w długopisie, przerwałam tylko po to, by znaleźć następny.

## ZAWIĄZANIE AKCJI (2)

### AKT DRUGI: ZNALEŹĆ RZEKĘ

Siedzimy z Abalyn przy jednym z długich dębowych stołów w czytelni na parterze w Ateneum. Jak zwykle panuje tu gwar większy niż w innych bibliotekach, ale nigdy mi to nie przeszkadzało. Głosy bibliotekarzy zawsze dodawały mi otuchy, tak jak sam budynek, kamienie i zaprawa, złożone razem sto siedemdziesiąt lat temu, pięćdziesiąt osiem lat przed tym, nim Saltonstall zobaczył to, co zobaczył w jarze rzeki Blackstone. Sami policzcie. Nakreślcie równoległe linie i ostre kąty, potem zaznaczcie punkty, w których się krzyżują. Biblioteka dodaje mi otuchy. Spowija mnie aromat starych książek, kurzu, wszystko, co się zestarzało i wciąż się starzeje. Ateneum to całun, w którym się ukrywam. Siedzę naprzeciwko Abalyn. Przede mną leży otwarty liniowany notatnik. Kupiłam go wczoraj w Walgreens na Atwells Avenue i pierwsze siedemdziesiąt dwie strony zapełniłam od góry do dołu wersetami z „Kadryła z homarami” zapisanymi w przypadkowej kolejności. Liczba siedem pojawia się w czterech narożnikach każdej strony. Piszę w notesie, a Abalyn mówi, bynajmniej nie szepcząc:

- To zły pomysł.

Patrzy na mój notatnik. Boi się. Powiedziałyby, że potrafię wyczuć zapach jej strachu, ale nie. Może czuję sam strach, a może jedynie widzę go w jej zielonych oczach barwy łez syreny. Wciąż próbuje odebrać mi notatnik, choć to najgorsze, co może zrobić. Zeszłego wieczoru zadzwoniła na awaryjny numer doktor Ogilvy, lecz lekarka przeprosiła i odmówiła rozmowy o mnie. Nie podpisałam formularza zezwalającego psychiatrze na omawianie z kimkolwiek mojego przypadku.

- Może zadziała - odpowiadam, nie odrywając wzroku od notatnika. Docieram do ostatniej linii, potem starannie rozmieszczam cztery niezbędne siódemki i przewracam stronę. Siedem, siedem, siedem, siedem, dwadzieścia osiem.

- Nie wiesz tego, Imp. Równie dobrze możesz tylko pogorszyć sprawę. Tak może się stać, prawda?

- Niemal wszystko może się stać. Niemal wszystko. Nie musisz ze mną jechać. Wciąż ci powtarzam, że pójdę sama.

- Niech mnie diabli, jeśli ci pozwolę. Boję się spuścić cię z oka. Wtedy zerkam na nią i widok jej przerażenia sprawia mi ból.

- Nie mów rak. Proszę, nie. Nie sprawiaj, że czuję się uwięziona.

- Wiesz, że nie to próbuję powiedzieć.

Wracam do bazgrolenia, bo muszę, i nie muszę patrzeć na wyraz jej twarzy.

- Wiem. Ale to właśnie robisz.

Z Providence wyjeżdżamy koło pierwszej. Tego dnia jest gorąco, powyżej trzydziestu stopni. Wpadający przez otwarte okna wiatr wcale nas nie ochładza, a woń potu kojarzy mi się z morzem, które kojarzy mi się z Evą Canning. Piszę w notatniku, a Era Abalyn prowadzi, patrząc wprost przed siebie. Ani na moment nie odrywa oczu od drogi.

Zeszłego wieczoru Abalyn wygooglała Evę Canning. To dziwne, o istnieniu jak wielu słów nie miałam pojęcia, nim Abalyn ze mną nie zamieszkała, słów takich jak googlać. Powiedziałam, że to zdumiewające, jak wiele znalazła, a ona na to: „No cóż. Zamierzałam otworzyć agencję detektywistyczną, ale nazwa Google była już zastrzeżona”.

Znalazła czterysta siedemdziesiąt trzy trafienia, niemal wszystkie ewidentnie dotyczyły innych ludzi niż moja Eva Canning. Ale jedno nie. Mam obok siebie wydruki Abalyn. Artykuł z „Monterey County Herald” i kolejny z „San Francisco Chronicle” i kilka innych, wszystkie z kwietnia 1991. Łączą kobietę nazwiskiem Eva Canning z kobietą nazwiskiem Jacova Angevine. W jednym artykule zamieszczono nawet zdjęcie Ewy, stojącej obok Jacovy Angevine, przywódczyni kultu, kultu, który zakończył swe istnienie masowym utopieniem się członków, wspólnym samobójstwem wiosną 1991. Angevine poprowadziła ich do morza w miejscu zwanym Moss Landing w Kalifornii, niedaleko Monterey. Zacytuję krótki akapit z „Heralda” i kolejny z „Chronicie”.

„Po środowym samobójstwie nieopodal Moss Landing w Kalifornii odnaleziono ciała pięćdziesięciu trzech mężczyzn i kobiet, wszystkich należących do religijnej grupy zwanej Otwarte Drzwi Nocy. Pracownicy biura szeryfa opisali to wydarzenie jako masowe samobójstwo. Wszystkie ofiary miały od dwudziestu dwóch do trzydziestu sześciu lat. Władze obawiają się, że w tym niesamowitym akcie mogło zginąć jeszcze co najmniej czterdzieści osób. Poszukiwania wzdłuż wybrzeża w hrabstwie Monterey trwają” („Monterey County Herald”).

I:

„Protestujący domagają się, by Instytut Badawczy Akwarium w Zatoce Moncrey (MBARI) natychmiast zakończył trwające właśnie badania podmorskiego wąwozu. Twierdzą, że liczący sobie niecałe czterdzieści kilometrów długości wąwóz stanowi święte miejsce, które naukowcy zbezczeszili. Jacova Angevine, była profesor z Berkeley i przywódczyni kontrowersyjnego kultu Otwarte Drzwi Nocy porównuje wypuszczenie nowego pojazdu podmorskiego Tibóron II do splądrowania piramid egipskich przez rabusiów" („San Francisco Chronicle");

należy zauważyć, że *tiburón* po hiszpańsku oznacza rekina.

Oczywiście drugi artykuł został napisany przed pierwszym. W tekście ze strony poświęconej samobójczym kultom wymieniono nazwiska większości osób, które się utopiły. Jedną z nich jest trzydziestoletnia kobieta, Eva Canning z Newport w Rhode Island. Na stronie spekulują, że była kochanką Jacovy Angevine, i nazywają ją kapłanką Otwartych Drzwi Nocy (niektórzy dziennikarze nazywali je „kultem lemingów"). Nazwisko Ewy Canning pojawia się w podziękowaniach w książce „Przebudzenie Lewiatana", którą Jacova Angevine wydała kilka lat wcześniej. Ktoś gdzieś wspominał, że książka ta powstała, nim jeszcze założyła kult.

Siedziałam i słuchałam, pisząc w notatniku, a Abalyn czytała mi głośno artykuły. Kiedy skończyła, zapadła długa cisza, w końcu spytała:

- I co?

- Nie wiem, co to wszystko znaczy - odparłam. - To nie może być ta sama Eva Canning.

- Pokazałam ci zdjęcie, Imp.

- Zdjęcie nie było zbyt wyraźne. - (To prawda. Nie było). - To nie może być ta sama Eva Canning i dobrze o tym wiesz. A ja wiem, że ty wiesz.

Abalyn przypomniała, że w jednym z artykułów wspomniano, że zanim straż przybrzeżna znalazła wszystkie ciała, wiele z nich znajdowało się „w zaawansowanym stanie rozkładu". Niektóre częściowo pożarły rekiny (id est, *tibóron*).

- Może ona tam nie utonęła, Imp. Może podczas identyfikacji ciał popełnili błąd, a ona wróciła na wschód. Poprowadzenie tylu ludzi na pewną śmierć to morderstwo. Z pewnością by się ukrywała.

- I nie używała prawdziwego nazwiska - zauważyłam.

Abalyn wpatrywała się we mnie, a ja w okna bawialni, w księżyc i reflektory samochodów przejeżdżających Willow Street. Jednego pytania nie chciałam zadawać, ale w końcu i tak to zrobiłam.

- Czy kiedykolwiek słyszałaś o tym kulcie? To znaczy, przed dzisiejszym dniem? Bo ja nie, a to chyba musiała być strasznie głośna sprawa? Czy nie powinnyśmy słyszeć o tym wcześniej?

Abalyn otworzyła usta, a potem zamknęła je, nie mówiąc ani słowa.

- Nie wiem, co to wszystko znaczy — powtórzyłam — ale to nie może być ta sama Eva Canning. To w ogóle nie ma sensu. Nielogiczne, że żadna z nas wcześniej o tym nie słyszała.

- Byłyśmy tylko dziećmi — przypomniała.

- Kiedy Jim Jones i wszyscy ci ludzie się otruli, albo kiedy Charles Manson trafił do więzienia, w ogóle jeszcze się nie urodziłyśmy. Ale i tak o nich wiemy. A to brzmi niemal równie okropnie, jak obie tamte sprawy, lecz my nigdy o tym nie słyszałyśmy. Uważam, że to oszustwo.

- To nie jest oszustwo - odparła i zostawiła ten temat.

Wyrzuciła wydruki, ale później, kiedy nie patrzyła, wyłowila je z kuchennych śmieci i wytarłszy z nich kawowe fusy, dołożyłam do teczki poświęconej Syrenie z Millville, podpisanej także „Eva Canning”.

Słońce to biały diabeł, wrzące oko Boga, w którego nie wierzę, spoglądające z góry na cały świat. Opony hondy mruczą, trąc o asfalt. Jedziemy na północ i zachód, podążając za rozedrganą mgiełką tańczącą nad drogą 122, przez Berkeley, Ashton, Cumberland Hill, Woonsocket. Przekraczamy granicę stanu Massachusetts i rzekę Blackstone i przejeżdżamy powoli przez Millville. Na poboczu widzę czarnego psa. Z zapamiętaniem ogryza coś, co wydaje mi się świstakiem rozjechanym przez samochód, gdy próbował przebiec przez drogę.

- Będziesz musiała mi pokazać gdzie - mówi Abalyn. Sprawia wrażenie przegrzanej, przerażonej i zmęczonej. I wiem, że tak właśnie jest. Ja jestem tylko przegrzana i zmęczona. Moją głowę wypełnia Lewis Carroll, nie pozostawiając miejsca na strach. „Kadryl z homarami” dźwięczy w niej i łomocze niczym kościelne dzwony i grzmoty.

Pokazałam jej miejsce, gdzie znalazłam Evę, i to, gdzie zjechałam na bok tamtej nocy. Abalyn skręciła w czyjś podjazd, żebyśmy nie musiały przechodzić przez drogę. Zaparkowała mój wóz niemal dokładnie tam, gdzie stała Eva, naga, ociekająca wodą, kiedy pierwszy raz odezwałam się do niej. Jest tak gorąco, że ledwie oddycham. Mam wrażenie, że uduszę się w rym upale. Dopiero co minęła druga, lecz czasami zegar wbudowany



w deskę rozdzielczą późni się, a czasem śpieszy. Nie można ufać temu zegarowi. Jest kapryśny.

- To naprawdę zły pomysł - powtarza Abalyn, jeszcze w wozie.

Nie odpowiadam. Zabieram ze sobą notatnik. Okna zostawiamy otwarte.

Łatwo znaleźć ścieżkę wiodącą w dół ku rzece, choć częściowo jest zasłonięta przez krzaki. Maszeruję przed Abalyn, bardzo uważamy, by nie dotknąć trującego bluszczu. Kaleczę kostkę o chaszczę i kolce jeżyn. Ścieżka jest stroma, ma pół metra szerokości, tu i tam głęboko wyżłobiona przez deszcze. Im bardziej oddalamy się od drogi, tym bardziej powietrze pachnie rzeką Blackstone, a mniej szosą i roztapiającym się asfaltem. Wokół latają pазie królowej i niezdarne, brzęczące trzmiele.

Na końcu krętej ścieżki rośnie kilka drzew, ale w cieniu nie jest wcale chłodniej niż na słońcu. Od wyjścia z samochodu liczyłam kroki, zrobiłam ich pięćdziesiąt. Docieramy do dużej skalistej łąki. Między granitowymi głazami widać plamy mułu. Rzeka ma barwę zupy groszkowej, woda jest tak spokojna, że niemal wydaje się, że stoi w miejscu. Dostrzegam trzy żółwie wygrzewające się na pniu, pokazuję je Abalyn. Mieniające się zielenią i błękitem wązki śmigają nisko nad groszkową rzeką, powietrze wibruje od pieśni cykad i innych owadów. Od czasu do czasu jakaś ryba wywołuje zmarszczki na tafli wody. Kilka godzin później będę się zastanawiać, czy to to samo miejsce, w którym Saltonstall szkicował owego dnia, kiedy zobaczył kobietę wychodzącą z lasu na drugim brzegu.

Abalyn siada na jednym z głazów, przodem koszulki ociera pot z twarzy. Wyjmuje papierosy i zapala jednego, teraz w powietrzu czuć także zapach palonego tytoniu.

- To czego właściwie szukamy, Imp?

- Może niczego nie szukamy - odpowiadam. - Może po prostu patrzymy.

Abalyn kręci głową, spoglądając za rzekę.

-To bzdury. - Ostatnie słowo brzmi niemal jak syknięcie. Przypomina to głos zniecierpliwionego węża, gdyby zniecierpliwione węże umiały mówić. Syczący, jakby między kłami poruszał się szybko rozdwojony język. Siedzi na głazie, a ja stoję obok. Nie jestem pewna jak długo, lecz nie dłużej niż dwadzieścia minut. Tak, najwyżej dwadzieścia minut.

- Imp, tu nie ma niczego do oglądania - mówi Abalyn proszącym tonem, a ja słyszę także „czy możemy się stąd, kurwa, wynieść?”. Na głos dodaje: - Zaraz chyba będę mieć udar cieplny.

I wtedy dostrzegam ślady stóp w błocie. Musiały tam być cały czas, ale za bardzo skupiałam się na powierzchni rzeki i na drzewach po drugiej stronie, by je dostrzec. Są małe, smukłe, o długich palcach. Mogło zostawić je dziecko, które przyszło popływać. To właśnie mówi Abalyn, kiedy je jej pokazuje. Wychodzą z wody i zawracają, tworząc półokrąg na brzegu. Nie wydaje się, by wracały ścieżką w stronę szosy. Ale, mówię sobie, może ścieżka jest zbyt twarda i sucha, by bosa stopy odcisnęły się na niej.

— No chodź, Imp. Wracamy do domu. Musisz zejść z tego słońca -mówi Abalyn i ciska do rzeki niedopałek. Potem wstaje i bardzo delikatnie dotyka mojego lewego łokcia.

Przyciskam do piersi notatnik i jeszcze parę minut wpatruję się w ślady stóp, a „Kadryl z homarami” rozbrzmiewa głośniejsz niż cykady krzyczące wśród drzew. Myślę o tym, jak zobaczyłam Evę (albo tylko mi się zdawało, że ją widzę) tamtego dnia na Wayland Square i że nie miała wtedy na nogach butów.

— Przykro mi - mówi Abalyn. - Przykro mi, jeśli to ci nie pomogło.

— Mnie jest przykro, że zaciągnęłam cię aż tutaj - odpowiadam, a mój głos ma w sobie osobliwy rytm, efekt tego, że bardzo się staram, by wcisnąć każde słowo pomiędzy sylaby „Kadryla z homarami”.

— Obiecuj, że kiedy wrócimy do domu, zadzwonisz do swojej pani doktor, dobrze?

Nie robię tego. To znaczy, nie obiecuję. Ale pozwalam jej zaprowadzić się do samochodu.

## PUNKT KULMINACYJNY

### AKT TRZECI: 7 CHIŃSKICH BRACI

Po wycieczce nad rzekę wcale nie było lepiej. To znaczy, z moją szczypawką. Tak Caroline nazywała coś, co wchodziło ci do głowy - piosenkę, melodyjkę z telewizyjnej reklamy. Z pewnością nazwałaby szczypawką „Kadryla z homarami”, który przyczepił się do mnie. Pamiętam też odcinek programu telewizyjnego „Nocna galeria” - oglądałam go, kiedy mieszkałam z ciotką Elaine w Cranston. W tym odcinku pewien mężczyzna płaci drugiemu, by włożył szczypawkę do ucha trzeciego, rywała o względy pewnej pani. Ale tamten popełnia błąd, szczypawką omyłkowo trafia do ucha mężczyzny, który mu zapłacił, i składa jajeczka w jego mózgu. Tak naprawdę szczypawki tego nie robią, nie wgryzają się w ludzkie mózgi i nie składają im jajek w głowach. Ale i tak mnie to przeraziło; przez jakiś czas zatykałam sobie przed snem uszy watą. W odcinku „Nocnej galerii” mężczyzna ze szczypawką w głowie cierpiał niewypowiedziane katusze, gdy owad wwierał mu się w mózg. Niespecjalnie różni się to od tego, co zrobiła ze mną Eva Canning, gdy pochyliła się ku mnie tamtego dnia w muzeum RISD i wyszeptała mi do ucha.

Ta moja szczypawką, natrętne, odbijające się echem myśli, to jej dzieło. To ona wypowiedziała słowa, które zamieniły Aokigaharę w Las Samobójców. Złożyła jajeczka pomiędzy fałdami mojego płata potylicznego, podziurawiła żywe szare komórki, przekształcając je do swoich celów. Wiem o tym, choć nie odważyłam się powiedzieć doktor Ogilvy, Abalyn ani nikomu innemu. I tak byłam już dość szalona, nie musiałam opowiadać historii o syrenie, która mnie zakłęła, bo zabrakło mi rozsądku, by wzorem załogi Odyseusza zatkać sobie uszy woskiem. Ani nawet watą. Sprowadziłam ją do domu, a ona nagrodziła mnie kakofonią wiktoriańskich nonsensów.

Po powrocie nie zadzwoniłam do doktor Ogilvy. Abalyn wciąż mnie prosiła, ale tego nie zrobiłam. Wyjaśniłam, że to minie, bo zawsze mijało. Ale nie, nie tym razem, więc wiedziałam, że kłamię.

A potem nadszedł kolejny dzień i zappełniłam swój notatnik, po czym kupiłam następny. Zużyłam dwa długopisy i zaczęłam następny. Jeszcze nigdy, przenigdy nie byłam nawet w połowie w tak złym stanie. Niechciane,

ogłuszające myśli dźwięczały mi w głowie. Nawet kiedy nie brałam jeszcze leków, nie było tak źle. Nie cierpię na migreny, ale może tak właśnie wyglądają, jak te same szeregi słów krążące w nieskończonej pętli w naszej czaszce, dniami, nocami, a nawet gdy śpimy. Przymus przelania ich na papier, niezdolność powstrzymania się. Podwoiłam dawkę valium, potem potroiłam. Abalyn wciąż patrzyła, poza chwilami, gdy próbowała nie patrzeć. Usiłowała zachęcić mnie do jedzenia, ale od valium robiło mi się niedobrze w brzuchu, a poza tym trudno było jeść, kiedy pisałam w notesie.

W końcu, w dzień po dniu po dniu nad rzeką Blackstone tak bardzo przeraziła się i rozgniewała, że zagroziła, że wezwie karetkę. Ale nie wezwała. Zamiast tego rozplakała się i poszła na spacer. Powiedziałabym, że działo się to trzeciego sierpnia, nawet jeśli tak nie było. Słońce zaszło, w mieszkaniu panowała okropna duchota, choć pootwieraliśmy wszystkie okna i włączyliśmy wentylatory na najwyższy bieg.

Abalyn trzasnęła drzwiami i dosłownie sekundę później zadzwonił telefon. Nie moja komórka, lecz stary telefon barwy awokado przykręcony do ściany w kuchni. Ten, z którego prawie nie korzystam. Jest taki stary, że ma jeszcze tarczę. Niemal nikt nie dzwoni do mnie na ten numer i często zastanawiałam się, po co w ogóle za niego płacę i czemu go nie wyłączę. Drzwi trzasnęły; telefon zadzwonił. Siedziałam na sofie i przerwałam pisanie w połowie linijki o uciechach, które w sercach nam zabłysną, gdy nas razem z homarami wprost na pełne morze cisną. Telefon zadzwonił co najmniej dwadzieścia razy, nim wstałam, przeszłam przez bawialnię do kuchni i odebrałam. Może to mój szef dzwoniący z informacją, że mnie wylał. Może ciotka Elaine, albo nawet doktor Ogilvy, choć obie zawsze dzwoniły na komórkę.

Podniosłam słuchawkę, ale przez całą minutę niczego nie usłyszałam. Czasami wierzę, że jednak usłyszałam ten sam dźwięk, który słyszy się, przykładając do ucha spiralną muszlę. W słuchawce rozbrzmiała zatem albo cisza, albo też odgłos naśladowujący szum morza i wiatru. Kiedy Eva Canning przemówiła, nie zdziwiłam się ani trochę. Nie wiem, co powiedziała. Jestem prawie pewna, że zapomniałam, gdy tylko umilkła i odwiesiłam słuchawkę. Ale mam wrażenie, że mówiła bardzo długo. Wrażenie, że zdradzała mi wielkie i cudowne sekrety, a także inne, paskudne i wstrętne. Gdy skończyła, w zabudowanej przestrzeni pomiędzy moimi oczami nadal wibrował „Kadryl z homarami”; wciąż pulsował mi w skroniach i wił się w uszach. Ale nie potrzebowałam już go zapisywać i była

to chyba największa ulga, jakiej kiedykolwiek doświadczyłam (przynajmniej w lipcowej wersji mojego nawiedzenia).

Wróciłam do bawialni, podeszłam do okna i stanęłam, kontemplując Willow Street. Nad dachami nisko śmigały języki ganiające komary. Kilku nastoletnich Latynosów rozstawiło sobie stolik po drugiej stronie i grało w domino w blasku latarni, słuchając głośnego meksykańskiego popu. Nie wiał nawet najlżejszy wietrzyk. Daleko na północy rozległ się gwizd pociągu. To mogła być niemal każda letnia noc w Zbrojowni. Może czekałam, aż Abalyn wróci do domu. Może stałam tam i wypatrywałam jej.

*Pod wodami morza mrowie Tłum homarów co się zowie.*

Kiedy Abalyn nie wróciła, zamknęłam okno i przekręciłam zamek. Nie poszłam do innych okien, by zrobić to samo. Ważne było tylko, żeby zamknąć to jedno. Gest ten miał w sobie coś symbolicznego. Zamykając okno, zatrząskiwalam drzwi. Otwarte Drzwi Nocy. To była Caroline włączająca gaz i Rosemary Anne zmęczona walką z więzącymi ją pasami i znajdująca rozwiązanie w połknięciu własnego języka.

*Na ogonach i na głowie Mkną w tan, Łososiu!*

Pamiętam wszystkie te drobne szczegóły dotyczące tego, co widziałam za oknem, ale nie mogę sobie przypomnieć, kiedy poszłam do łazienki. Nie pamiętam niczego pomiędzy oknem i tym, że byłam w łazience, pstrykałam włącznikiem światła (siedem włączeń, siedem wyłączeń) i odkręcałam zimną wodę (siedem odkręceń, siedem zakręceń). Pamiętam, że w łazience pachniało miętowym mydłem Abalyn i że wciąż słyszałam dobiegającą z ulicy muzykę, pomimo śpiewnego buczenia „Kadryla z homarami”. Usiadłam na krawędzi żeliwnej wanny, patrząc, jak napełnia się powoli. Upał był nieznośny i wiedziałam, że w wodzie poczuję się rajsko. Nie potrafiłam pojąć, czemu wcześniej nie wpadłam na pomysł zimnej kąpeli. Winiłam za to notatnik, długopis i zdenerwowanie Abalyn.

Wsunęłam rękę pod kran: zupełnie jakbym zanurzyła palce w płynnym lodzie. Niemal za zimnym. Rozebrałam się, zrzucając ubranie tam,

gdzie stałam, na błękitno-białe kafelki. Kiedy wanna napełniła się tak bardzo, że lada moment mogła się przelać, zakręciłam kran i weszłam do wody. Była tak zimna, że aż zapiekło. Ale wiedziałam, że to minie, a potem odretwieję i nie będę już musiała znosić upału, nigdy więcej. Stałam w palącej wodzie, myśląc o tym, że przyplęnęła tu aż ze zbiornika Scituate, siedem czy osiem mil na zachodzie. W zimie zbiornik czasami zamarza i wtedy ściągają tam łyżwiarze. Latem ma barwę najciemniejszego błękitu. Myślałam o wielu strumieniach wpadających do zbiornika i wodzie wypływającej spod ziemi, o deszczach i o tym, jak w ostatecznym rozrachunku wszystko pochodzi z morza. I jak w ostatecznym rozrachunku wszystko do morza powraca, w taki czy inny sposób.

*Nie przeczuwasz nawet uciech, które w sercach nam rozbłysną, Gdy nas razem z homarami wprost na pełne morze cisną.*

Położyłam się w wodzie i sapnęłam, kurczowo zaciskając dłonie na krawędziach, póki pierwszy szok nie minął.

*Spójrz na żółwie i homary, które tłumami całymi Zbiegły się na skraju plaży...*

Włosy pływały mi wokół ramion, po piersiach i brzuchu, jak wodorosty w kałuży po przyplęwie. Zanurzałam się coraz głębiej i głębiej i woda zaczęła się przelewać, ściekając na podłogę.

*Za daleko? A to czemu?*

Nie zamknęłam oczu. Nie chciałam zamykać oczu i wiedziałam, że Eva by tego nie chciała. Zatonęłam w płyciźnie wanny. Wsunęłam głowę pod wodę, podziwiając srebrzyste lustro nade mną. Wyglądało jak rtęć rozlana po niebie, bo tak migotało.

*Przecież morze ma dwa brzegi; czeka na nas drugi brzeg.*

Pierwszy oddech był łatwy. Po prostu otworzyłam usta i odetchnęłam. Ale potem zaczęłam się krztusić, całe moje ciało walczyło z kaskadą wlewającą się w głąb gardła, do płuc i brzucha. Ja także walczyłam, lecz z najwyższym trudem zdołałam odetchnąć po raz drugi.

*Czemu bledniesz mój ślimaku? Pójdź i zatańcz razem z nimi.*

Wchłaniałam w siebie morze, choć nie czułam smaku soli. Wchłaniałam w siebie morze i gdy moje płuca zajęły się ogniem, a ciało walczyło ze mną, skorek w mojej głowie umarł. Umarł, albo może jedynie odpłynął i nie słyszałam już niczego prócz pluskania wody i uporczywego, namolnego bicia własnego serca. Rtęciowe morze falujące nade mną zaczynało czernieć. Zamknęłam oczy i zacisnęłam zęby.

## ROZWIĄZANIE AKCJI

### AKT CZWARTY: PRÓBUJ NIE ODDYCHAĆ

A potem silne ręce Abalyn chwyciły mnie za ramiona, szarpiąc w górę, wrywając z lodu, unosząc z wanny. Może tak naprawdę nie pamiętam tej części. Może byłam już nieprzytomna, ale jeśli to nie są autentyczne wspomnienia, to dawałam się im nabierać przez dwa i pół roku. Abalyn posadziła mnie na podłodze w łazience i obejmowała, a ja wykasływałam i wymiotowałam wodą i tym, co zjadłam na lunch, aż w końcu zaczęło mnie piec gardło i rozbolała klarka piersiowa. Abalyn przeklinała siebie i mnie i szlochała - nigdy wcześniej ani potem nie słyszałam, by ktoś tak płakał. Ja nigdy nie płakałam tak jak ona, nigdy nie czułam tak powalającego smutku, wściekłości i oszołomienia, by musieć tak płakać. Smutku, wściekłości i oszołomienia. Cóż za bezczelność z mojej strony zakładać, że wiem co czuła, gdy ja rzygałam i parskałam w jej ramionach.

Kiedy nie pozostało już we mnie nic, Abalyn znów mnie dźwignęła i zaniosiła do łóżka. Dotąd nie miałam pojęcia, że jest dość silna, by tak mnie ponieść. Ale owszem. Opatuliła mnie kołdrą i kapą i cały czas pytała, co ja, do diabła, zrobiłam. Nie mogłam jej odpowiedzieć, ale i tak mnie pytała. Imp, co ty, do diabła, próbowałaś zrobić?

Chciała zadzwonić po karetkę (znowu), ale zdołałam pokręcić głową, i to ją powstrzymało. Dziwię się, ale tak.

Dwa dni później Abalyn mnie zostawiła i już więcej nie wróciła.

„Przestań”, napisała Imp. Ja napisałam.

„Nie musisz już tego robić. Musisz przestać. Nieważne, co powiedziała. Więc przestań. Przestań, schowaj te kartki i daj sobie spokój z tymi bzdetami. Miej litość nad sobą”.

„Nie”, piszę. „Możesz je odłożyć tylko na trochę. Ale dasz radę to zrobić. Powiedziałaś wszystko co najważniejsze. Nie utonąłaś, skorek umarł, a Abalyn odeszła. Do reszty wrócisz jutro albo pojutrze”.

To naprawdę okropna, samolubna, wredna myśl, ale żałuję, że tamtego dnia nie pozwoliła mi odejść. Żałuję tego z całych sił, tak mocno, jak pragnę, by zadzwonił telefon i by tym razem to była Abalyn.

Stop. Dosyć. Na razie dosyć.

Dosyć na zawsze.



## POAKCJA

### AKT PIĄTY: WYBUCHOWE PRZEBUDZENIE

Nie miało być pięciu aktów. Ale myliłam się i oto są.

Cztery dni temu powiedziałam „dosyć na zawsze” i przez cztery dni nie usiadłam w tym krześle w błękitno-białym pokoju, pełnym zbyt wielu książek. A jednak znów tu jestem. Jestem tu, ponieważ, ponieważ, ponieważ... Podczas gdy próbowałam opowiedzieć moją historię o duchach, moją historię o syrenie i wilkołaku, jako coś, co wydarzyło mi się w przeszłości, inne rzeczy wciąż się działy. Następowaly uparcie nowe zdarzenia i wiedziałam, że stanowią część tej historii, która nadal rozwija się wokół mnie i podstępnie jeszcze bardziej plącze i tak beznadziejnie pogmatwane wątki. Od początku rozpaczliwie pragnęłam powiedzieć, że te dni minęły, że to już koniec, zgadza się? Ze tylko opisuję tę historię. Oddalam się od niej, próbując zostawić ją za sobą.

I owszem, ma ona swoje konsekwencje, ale przynajmniej już się skończyła. Pamiętamy ją, ale jej nie przeżywamy. Myślę, że w to właśnie wierzy większość ludzi i ja też pragnęłam w to wierzyć, bo może wierząc przestałabym żyć w mojej historii o duchach. Napisałabym KONIEC i odeszła, żegnając na zawsze smutek i strach. Żegnając myśli o Abalyn i Evie, i wilkach, i syrenach, i śnieżnych drogach, i zamulonych rzekach. O Saltonstallu. O Perrault.

Ale. W „Zmierzchu długiego dnia” Mary mówi: „Przeszłość to teraźniejszość, prawda? A także przyszłość. Wszyscy próbujemy się z tego wyłgać, ale życie nam nie pozwoli”. (Rosemary bardzo lubiła Eugene'a O'Neill'a). Wczoraj wieczorem po pracy przeszukałam cały zbiór jego dramatów, bo nie byłam pewna, czy dokładnie zapamiętałam ten cytat, ale owszem. Przeszłość to teraźniejszość. Przyszłość to też teraźniejszość. I hej, zobaczcie, jak próbuję udawać, że coś wiem, choć cała rzecz w tym, iż nie jestem już wcale pewna, czy kiedykolwiek wiedziałam to, co mi się zdawało. Bo to wciąż się dzieje, i przeszłość jest teraźniejszością, tak jak powiedziała Mary Cavan Tyrone. Zżywała morfinę i też była wariatką, poza tym żyje tylko kiedy ożywiają ją aktorki. Ale widziała to, widziała. A ja mogę jedynie pożyczyć sobie jej wizję.

Oto co się stało (staje) wczoraj (teraz):

Byłam w pracy i podczas przerwy nabrałam ochoty na spacer. Nic w tym nadzwyczajnego. Wyszłam ze sklepu z materiałami dla grafików, skręcając za róg, w Elm Street, a potem znów w Hospital Street. Mijałam właśnie parking przy Muzeum Dziecięcym w Providence, kiedy zobaczyłam Abalyn i inną kobietę, której nigdy nie spotkałam, oraz małą dziewczynkę, wysiadającą z czerwonego samochodu stojącego przy chodniku. Mogłam odwrócić się i pomaszerować do pracy. Gdybym tak zrobiła, wszystko potoczyłoby się inaczej i nie pisałabym tych słów. Ale „gdyby” nie ma znaczenia, bo nie zawróciłam. Jedynie się zatrzymałam i stałam tam, w nadziei, że Abalyn mnie nie zauważy, ale też tak bardzo ciesząc się, że znów ją widzę po tak długim czasie, że aż zakręciło mi się w głowie — nie tylko z radości, ale i z bólu, jakby wszystko to dopiero co się zdarzyło. Jakby ból był świeży. Jakbyśmy zerwali zaledwie tydzień wcześniej.

Zobaczyła mnie jednak i zerknęła na drugą kobietę. Może czekała na jakiś znak albo zezwolenie, albo może zamierzała błagać mnie o wybaczenie za coś, czego jeszcze nie zrobiła. A potem wymówiła słowa, których nie usłyszałam, toteż nie mogła zrobić tego głośno, i podeszła w miejsce, gdzie stałam.

- Hej, Imp - rzuciła. Jej włosy nie są już czarne. Odczekała, żeby odrosły, i są już prawie zupełnie jasne, lecz kolor jej oczu się nie zmienił.

- Cześć — odparłam, nie mając pojęcia, co powiedzieć dalej.

- Dawno się nie widziałyśmy - oznajmiła Abalyn, jakby stwierdzała coś, o czym nie miałam pojęcia. - U ciebie wszystko dobrze?

- Tak - odrzekłam. - U mnie wszystko dobrze. Kim są twoje przyjaciółki?

Obejrzała się przez ramię na drugą kobietę i dziewczynkę, czekającą na parkingu przy czerwonym wozie. Potem znów odwróciła się ku mnie. Gdy przemówiła, sprawiała wrażenie równie oszołomionej i nerwowej jak ja.

-A, tak. To Margot i jej siostrzenica, Chloe. Zabieramy Chloe do muzeum. Nigdy wcześniej tam nie była.

- Przecież nie lubisz muzeów.

- Ale to dla Chloe, nie dla mnie.

- Margot to twoja nowa dziewczyna? - spytałam, słysząc te słowa i wiedząc, że mówię wszystko, czego nie powinnam, ale i tak je wypowiadając.

- Tak, Imp - odpowiedziała Abalyn i kąciki jej ust wygięły się w leciutkim uśmiechu. - Margot to moja dziewczyna.

Na chwilę zapadła pełna skrępowania cisza, która zapewne wydawała się dłuższa, niż była w istocie, a potem oznajmiłam - nie, wypaliłam:

- Opisuję to wszystko.

Zapatrzyła się na mnie, wciąż omal nie marszcząc brwi.

- Co opisujesz?

Natychmiast pożałowałam, że nie mogę cofnąć swych nieostrożnych słów, że nie siedzę na zapleczu w pracy albo na podwórku, zamiast stać na chodniku naprzeciw Abalyn.

- No wiesz - rzekłam - to, co się wydarzyło. Co się stało, nim odeszłaś'. Rzeka i dwie Ewy. Na razie dotarłam do tego, jak próbowałam utopić się w wannie, ale chyba już więcej nie napiszę. Opowiedziałam lipcową historię i nie wydaje mi się, żebym musiała opisywać też listopadową.

Słowa sypały mi się z ust jak u chorego na syndrom Tourette'a, jakbym nie mogła się powstrzymać. Abalyn zerknęła przez ramię na Margot i Chloe, po czym znów obróciła się ku mnie.

- Dwie Ewy?

- Tak - odparłam - obydwie. Lipcowa i listopadowa.

Znów zapadła niezręczna cisza, jeszcze dłuższa niż poprzednia. Abalyn próbowała się uśmiechnąć, ale nieszczególnie jej to wyszło.

- Nie do końca rozumiem, co chcesz mi powiedzieć, Imp. Przecież była tylko jedna Eva Canning. Chyba się pogubiłam.

Umilkła, zerknęła na słońce i zmrużyła oczy. Miałam wrażenie, że zaraz zapyra, czy zapomniałam wziąć leki, czy opuściłam jakieś dawki. Bo taką miała minę. Nagle poczułam się, jakby brzuch wypełniały mi kamienie.

- Była lipcowa, a potem listopadowa - wyjaśniłam i słowa nadal sypały mi się z ust, brzmiąc natrętnie, choć chciałam jedynie sprawiać wrażenie pewnej siebie i nieco zaskoczonej. - Kiedy pierwszy raz odeszłaś, tak? A potem...

- Przepraszam, Imp - przerwała mi. - Miło cię widzieć, naprawdę, ale muszę już iść.

- Dlaczego zachowujesz się, jakbyś nie wiedziała, o czym mówię?

- Bo nie wiem. Ale nic nie szkodzi. To nie ma znaczenia. Poza tym muszę już uciekać.

- Tęsknię za tobą - powiedziałam. - Wiem, że nie powinnam, ale jednak.

- Kiedyś pogadamy - obiecała, wiedziałam jednak, że nie mówi serio. - Dbaj o siebie, dobrze?

A potem odeszła. Stałam na chodniku, patrząc, jak wraz z kobietą imieniem Margot i dziewczynką imieniem Chloe wchodzi do Muzeum Dziecięcego.

*Była tylko jedna Eva Canning.*

Tylko jedna.

Przez całą drogę powrotną do sklepu, resztę dnia i niemal całą zeszłą noc starałam się być tylko zła i tylko udawać, że to przypadkowe spotkanie jedynie ją wkurzyło i zawstydziło. Albo że wszystko to był okrutny żart. Może nie chciała, by tak wyglądało, ale tak to odebrałam, Phillip George Saltonstall nie chciał rozpowszechniać nawiedzenia, malując swój obraz. Podobnie Seicho Matsumoto, publikując „Kuroi Jukai”, gdy zmienił las w miejsce, do którego ludzie udają się, by umrzeć. Gdybym miała numer Abalyn, być może zadzwoniłabym do niej zeszłej nocy. Może zadzwoniłabym i zażądała, by mnie przeprosiła i się wytłumaczyła, powiedziałabym jej, że czułam się tak, jakby się ze mnie naśmiewała. Stałam przy telefonie w kuchni i siedziałam na sofie, trzymając w ręku komórkę. Pewnie, gdybym spróbowała, znalazłabym jej numer. Ale nie próbowałam. Zastanawiałam się, czy nie wysłać jej mejla, bo wątpiłam, by zmieniła adies, ale tego też nie zrobiłam.

Abalyn nigdy nie igrała z moimi uczuciami. Czemu miałyby zacząć teraz, nawet jeśli zawstydziła się, zmuszona rozmawiać ze mną w obecności swej nowej dziewczyny, stojącej dość blisko, by słyszeć każde słowo? A choć poczułabym się lepiej, gdyby skłamała, nie wierzę, że rak postąpiła. Co znaczy, że może po prostu coś jej się pomieszało i nie pamiętała jak należy, ale to śmieszne. To by znaczyło, że zapomniała całe miesiące i tak wiele okropieństw. Skoro uważa, że była tylko jedna Eva, nieważne, czy pierwsza, czy druga, musiałaby zapomnieć sprawy tak straszne, że nie da się wyprzeć ich z pamięci.

Zeszłej nocy nie spałam. Leżałam w łóżku do wschodu słońca, zmuszając się do zadania najgorszego pytania, najpierw w myślach, a potem głośno. Zmuszając się, by zabrzmiało twardo, namacalnie jak beton, bym nie mogła mu dłużej zaprzeczać. Ponieważ Eva nauczyła mnie, że nieznanne pozostaje odporne na podstęp ludzkiego rozsądku, że coś głodnego pod wodą, czego nie widzimy, jest straszniejsze niż wygłodniały, siedmiometrowy rekin. Ponieważ nieznanne jest jeszcze straszniejsze niż prawda tak koszmarna, że niszczy cały nasz świat.

Niemal dwieście stron temu napisałam: „i nie ma sensu w ogóle zabierać się do pracy, jeśli miałabym tworzyć tylko kłamstwa”. Jeśli nie byłam

wtedy szczerza, to wszystko to nic nie znaczy i równie dobrze mogłabym raz po raz wypisywać to samo zdanie. Albo nawet nie prawdziwe zdanie, tylko tę samą literę, setki tysięcy razy. Jeśli nie pisałam wtedy prawdy, w istocie to właśnie zrobiłam.

*Czy była tylko jedna Eva Canning, a jeśli tak, która jest prawdziwa?*

Po zapisaniu pytanie staje się twardsze od betonu. Zapisane jest twarde jak diament.

Ale pytania nie przychodzą wygodnie z dołączonymi odpowiedziami, a ja zawsze wiedziałam, że istnieje paradoks. Cząsteczka i fala. Niesamowite wydarzenia oglądane z daleka. Lipiec i listopad. Głośne zadanie mojego koszmarne pytania nie przynosi żadnego rozstrzygnięcia. Wiem jeszcze mniej niż sądziłam. Zadanie pytania oznacza tylko to, nic więcej.

Tyle że znaczy również, że nie mogę tu przerwać.

7/7/7/7  
7/7  
7  
SIEDEM  
7  
7/7  
7/7/7/7/7

Wszystkie nasze myśli to ziarna gorczycy. Och, tak wiele dni. Wiele dni. Wiele dni ziaren gorczycy, Indio Phelps, córko wariatek, wnuczko, która nie chce powiedzieć słowa ergo nie może przestać mówić. Oto smutna, ponura historia, nieszczęsna historia dziewczyny, która zatrzymała się przy dwóch nieznajomych, które nie zrobiłyby, nie mogłyby, nie mogłyby, nie zrobiłyby tego dla mnie. Ona, ona, będąca mną, i ja skradamy się po krawędzi mojego życia, bojąc się odkręcić wieczko słoika z majonezem i rozsypać gorczycę. Gorczycę jasną, gorczycę czarną, gorczycę sarepską. Rozsypuje je po podłodze w kuchni i musi przeliczyć siedem razy, siedem razy, nim znów wsypie je do swojej słoja swojej słoja. Zakręca go mocno, bo jeden raz w zupełności wystarczył, piękne dzięki. Przesadza, ale przecież policzyła je więcej niż raz i nie da się temu zaprzeczyć. Jedno ostrożne szturchnięcie i India Phelps traci całe pieprzone półtorej godziny, licząc ziarenka rozsypane po całej niespójnej podłodze, uwięzione w szczelinach między deskami, turlające się aż pod lodówkę i kuchenkę, a ona musi je stamtąd wyciągnąć, nieważne, ile to potrwa. Mój czas należy do mnie. Czarne wskazówki, wskazówka godzinowa, szybka wskazówka minutowa, prawa i lewa, prawica i lewica, sekundnik, linia życia, linia duszy, w prawo i w lewo, bratków bukiet. India Morgan

Phelps, Imp, chochlik, diablik, wszyscy nazywają ją demonem, przez całe życie wszyscy nazywają ją demonem, myśląc, że to takie urocze, serce ma przegniłe jak stare jabłka leżące na ziemi. Te czarne emaliowane klawisze nieźle udają ziarenka gorczycy, jeśli tylko przestanie do mnie docierać wydawany przez nie dźwięk.

Była tam z dziewczynką imieniem Chloe i kobietą, którą nazwała Margot, ale skąd mam wiedzieć, że nie kłamała? Przed samą sobą, przede mną, wyciągając imiona z kapelusza. Nie musiała pytać, czy przestałam brać leki, ale ujrzałam to w jej oczach, oczach zielonych jak turlane falami puszek coca-coli. Mówiła, że wydarzyła się tylko jedna historia, kiedy ja mam w głowie dwie, jak, jak. Jak. Nie podniosłam telefonu. Nie, podniosłam telefon, ale nie zadzwoniłam do ciebie Abalyn, ani do Ogilvy, ani do nikogo innego. Myśl, że mogłaby mieć rację, jest gorsza niż wiedza, ale nadal łatwiejsza niż sięgnięcie po telefon albo e-mail, by skierować mą demoniczną jaźń ku potwierdzeniu. Nieznane przeraża, ale pewność mnie pogrąża. Uderz, uderz, uderz w klawisze maszyny, uderz w tan, uderz w pięść, uderz w słój, a może w stół? Uderzające podobieństwo, uderzająca śmierć. Myśl o niej wiele razy przechodziła mi przez głowę, gdy przez ostatnie dni liczyłam rozsypane ziarenka gorczycy. To takie proste, choć ciała nie chcą zbyt łatwo oddawać ducha, lecz przy odrobinie szczęścia wszystko by się zakończyło i koniec z gramami tylko jedno z dwóch może być prawdą i jedynie wariatka z Willow Street śmiałyby się tak wygłupić by uznać je obie.

Co mnie sprowadza do Wolf Den Road, tak zwanej, tak zwanej, przezwaną Wilczą Jamą, nakreślonej błotem między brzegami śnieżnego lasu w północno-wschodnim Connecticut. W ową listopadową noc nie znałam etymologii tej nazwy, ale teraz ją znam. Wiem o zbrodni Israela Putnama z zimy 1742-1743, bo zimy siedzą okrakiem na dwóch latach. Jego tłumaczenia są niemal równie szalone i nieprawdopodobne jak legendy o Gevaudan, La Bete du Pomfret, która według historyków przez całą tę długą zimę mordowała owce, a ich liczba zmienia się w zależności od źródła. Żadnego z nich nie uważam za wiarygodne. Sądzę, że wilczycę wrobiono, a to każe mi myśleć o wilku i dziewczynce w czerwieni i o tym, kto tropił kogo? Siedemdziesiąt owiec i kóz w jedną noc. Nie kupuję tego, ale nie kupuję wielu innych rzeczy, które inni łykają gładko, choćby tego, że drwał wyciął je na wpół strawione z rozepchanych wilczych brzuchów. Poszarpane jagnięta i koźleta, te, które ocalały tak

bardzo okaleczone, że trzeba je było dobić niczym wściekłe psy, wściekłą, szaloną, demoniczną, niewierzącą Imp. Obrabowane pastwiska. Obrabowani pasterze z Connecticut. Zatem zjawiała się cała banda Israel Pasterze i Kompania przyjaciele owiec i kóz, a ona pozostawiła w świeżym śniegu nowe, obciążające odciski łap, więc bez żadnego problemu znów ją wytropili. Zastanawiam się, czy ona też pragnęła umrzeć, czy chciała, żeby ją znaleźli, nawet jeśli nie do końca ułatwiła zadanie owym mściwym sługom bożym. Psy wbiegły w ową kamienną gardziel i umknęły, skomląc, z ogonami podkulonymi między chude łapy. To hańba wysłać psy, by załatwiły za ludzi krwawą robotę, napuszczać je na ich przodków.

Evo Canning, ta z listopadowych wieczorów, zagubiona, bezradna i głodna, przycupnięta w ciemności, odganiająca ogary z powrotem do rozdrażnionych panów. Wyrznęli już tak wiele twoich dzieci, a teraz przesiadują całą długą zimową noc u wylotu twojej jamy wśród skał, irytując się coraz bardziej. Skał śliskich od śniegu, lodu i krwi jeszcze nieprzelanej w zemście za ich bydło. Putnam zrobił pochodnię z brzozy kory i przywiązany do liny kazał opuścić się do szczeliny, bo powiadają, że jeśli chcesz coś zrobić jak należy, zrób to sam. Nie zostawiaj tego psom, które same były kiedyś wilkami, uznajmy to zatem za spisek psowatych współkonspiratorów. Przypuśćmy, tak jak przypuszczamy, że niepoliczone ziarenka gorczycy oznaczają nieuniknioną, doskonale znaną zgubę. Poczciwy i pobożny jegomość Putnam, święty patron owiec i kóz, kozłat i jagniąt, baranich kotletów, spuszczone głową w dół w cuchnącą paszczę jakże nieznaną ciemności, by egzorcyzmować diablika z Pomfret, krążącego ostatnio po zamrożonych polach. Oto on, wybiera Drogę Igieł dla dobra poczciwych, pobożnych farmerów z Nowej Anglii. Wilki, które czynią zło gnane morderczym głodem w sercu zimy. Moje reflektory oświetlające boczne drogi, jadące naprzód bez celu, nie zważające na żółwicielskie bohaterskie czyny Israela Putnama i ducha, którego uwolnił owej nocy jakże dawno temu, gdy wedle moich badań w Piśmie Świętym można znaleźć trzynaście wzmianek o wilkach. Mam tu całą listę. Dzieje Apostolskie 10:29. Pomińcie tę wersję. Przypomnijcie mi później.

Canto I, *Inferno*, Dante Alighieri, który pisał, lecz zdecydowanie nie o Israelu Putnamie, zabójcy wilków z Pomfret, zagubionym na pradawnych łąkach i stawiającym czoła trzem dzikim bestiom. Jedną była wilczyca. Piątek Wielkanocny, 1300: *Ed una lupa, che di tutte branie, w ślad szła wilczyca z wpadłymi bokami; sembiava carca ne la sua magrezza,*



jakby żądz wszystkich wyschła suchotami; *e moltegentifegia vivergrame*, dla której nędzą część świata przymiera\*. Łupiestwa tak wielu nieszczęsnych, nieszczęśliwych suk, że można by sądzić, że w raju to była wilczyca, a nie wąż.

(tam płacz posłyszysz z rozpaczy wykrzykiem)

Z początku mnie nie dostrzegła. Nie jestem pewna, kiedy mnie zauważyła, ale nie wcześniej, niż gdy zatrzymałam się przy niej, panie Putnam. Wcale mnie nie śledziła tej nocy, by zrobić mi coś złego w lesie pełnym nagich gałęzi i zamarznętego śniegu kryjącego przyzwoicie przed mym wzrokiem miliard zrzuconych liści. Wcale nie polowała tej nocy. To ja natknęłam się na nią, Abalyn. To ja wyruszyłam na łowy, nie ona.

Zatytuuję tę część: „Wilk, który krzyczał dziewczyna”.

Siedząc zgarbiona, tu na krześle pod oknem przy Willow Street, nie daruję tak łatwo Israelowi Putnamowi, i nie zboczę ku drodze i Evie Canning (to Drugie Przyjście, nie pierwsze, ta pełznąca bestia)

(która, gdy mnie tropiła, krok za zawziętym krokiem)

Według tego, co czytałam, miała piętnaście stóp głębokości - ta jama, kryjówka wilczycy z Pomfret. Potem kolejne dziesięć stóp w poziomie, niecały metr z boku do boku i sklepienie tak nisko, że Święty Wilkobójca musiał się czołgać na brzuchu. Ta historia robi się coraz bardziej nieprawdopodobna, tak jak Margot to szczególnie sprytne *nom deguerre*. A jak się nazywało dziecko, Indio Imp możesz tylko zgadywać tak samo jak ja. Kurwa. Kurwa. Nasiona gorczycy wciąż powracają i nawet bez nich zapewne gubiłabym drogę, zbaczając ze ścieżki, lecz nasiona nie pomagają nawet tyci tyci. Pan Putnam twierdził, że wilczyca miała ogniste oczy. To do niego podobne. Zawsze trochę koloryzował, jak to mają w zwyczaju myśliwi i wędkarze. Oczy wszystkich moich Ev błyskały na czerwono. Nie, mówię serio. Zatem Israel Putnam naładował swój muszkiet czarnym prochem i dziewięcioma śmiercionośnymi ładunkami śrutu i zabił warcząca ognistooką wilczycę, po czym wywłókł ją na dwór, witany wiwatami zebranego tłumu. Jej martwe truchło zawleczono milę od schronienia i przybito żelaznym gwoździem do drzwi stodoły czy czegoś podobnego. Stanowiła dowód prymatu człowieka i winy Putnama, ale nie dostrzegam tu żadnych dowodów, nie słyszę żadnych zeznań (w tych fragmentach, które słyszę) poza zwykłymi poszlakami, które miałyby wskazywać, że popełniła jakąkolwiek zbrodnię. Przypomnijcie mi później.

\* Przeł. Julian Korsak.

Zatem drogę nazwano Wilczą Jamą, jednak, technicznie rzecz biorąc, kiedy znalazłam Evę wilczycę byłam na Valentine Road i znów to ubarwiam. Zapewne jednak wcześniej wędrowała po Wolf Den Road. Chyba musiała.

Zamordował wilczycę o dziesiątej wieczór, mówią że to ostatni wilk w Connecticut. Generał Israel Putnam, który miał wkrótce zostać bohaterem w nadchodzących wojnach - wyzwolenczej amerykańskiej, francuskiej i indiańskiej. Nadal jednak będę nazywać go mordercą, mordercą, który uwolnił ducha i właśnie tego ducha znalazłam owej mrocznej nocy, nagiego, zagubionego, przerażonego na zamarznętej drodze. Musiała przybyć do niego jak wampiryczne widmo Mercy Brown z Exeter odwiedzające siostry i braci. Musiała go nawiedzać, a on dręczony wyrzutami sumienia walczył w owych późniejszych wojnach, w beznadziejnej nadziei, że odkupi swą rolę w wydarzeniach zimy 1742 i 1743.

To straszliwe brzemie i nie obchodzi mnie, czy jesteś pobożnym świętym uzbrojonym w ołowiany śrut, to straszliwe brzemie, gdy odkrył, że to jego ręka doprowadziła do wytępienia rasy wilków w całym Connecticut. Och, jestem pewna, że nosił je niczym medal honorowy, ale przypuszczam, że była to tylko maska, by inni nie dostrzegli jego winy.

Znalazłaś mnie, przemówiła Eva. Lecz zabrzmiało to bardziej jak warknięcie niż angielski. Ale przecież nie, prawda? Nie powiedziała nic tej nocy ani wielu następnych, po tym jak sprowadziłam ją do domu, do mojej nory przy Willow Street i do Abalyn, która pełna zgrozy chciała ją odprawić, ale się nie zgodziłam. Abalyn nazwała ją słowem, którego tu nie powtórzę, strzaskana ofiara miłości na twych skałach.

Eva Canning była duchem ostatniej martwej wilczycy, to równie pewne jak to, że była także duchem Elizabeth Short, Czatnej Dalii, morderstwa wilkołaka, hen daleko stąd, tam gdzie nigdy nigdzie mnie nie było wśród Zagubionych Aniołów, Lost Angels, i działo się to zimą 1947. To było owej zimy na krańcu - przeciwległym krańcu - kontynentu. Myślę, że ona, będąca Elizabeth Short, będąca odwrotnym wcieleniem Evy Canning, będąca wcieleniem ducha ostatniej wilczycy z wielkiego stanu Connecticut... Myślę, że ONA wielkimi literami ONA musiała wybrać Drogę Szpilek. Musiała włożyć czerwony płaszczyk, skoro rozpruto ją na pół, wysączono z niej krew, twarz porżnięto jak halloweenową dynię, ozdobiono wyciętym od ucha do ucha Uśmiechem z Glasgow, uśmiechem wilkołaka. Chyba wymyślili to dziennikarze i dlatego nazwano to morderstwem wilkołaka, bo wilki mają takie szerokie uśmiechy, takie

wielkie zęby. Czasem myślę, że dziennikarze chcieli powiedzieć, że była zamordowanym wilkołakiem, czasem, że bez cienia wątpliwości uważali, że nie, zamordował ją wilk. Kazali jej jeść gówno, odchody, stwierdził koroner. Wszystkie zęby miała przegniłe jak jabłka leżące na ziemi późnym latem. Oni, policja, uznali, że zabił ją cios w głowę, nie przecięcie na pół. To chyba gest miłosierdzia. Jak przystąpienie pod lasem w śnieżny wieczór bo nie chciała nie mogła nie chciała stanąć i na mnie zaczekać. Raz. Nie dwa razy. Była tylko jedna Eva.

Imp, widzisz? Widzisz, co to, ten papier na wałku? Dynia. Dwanaście zaczarowanych myszy. Masz oczy i widzisz, jasne, widzisz co i jak i czego ci trzeba, więc proszę skończ z tymi bzdurami, nim zrobi się jeszcze gorzej, zgniłe jabłka i będziesz musiała zacząć od nowa liczyć te przekłete nasiona gorczycy. Słowa, których nie zdołasz pozbierać jak ziarenek gorczycy i schować z powrotem w miejscu, z którego przyszły. Widzisz to, prawda? O boże. O mój boże.

Jestem martwą kobietą. Martwą i szaloną.

7/7/7

7/7 7

Czy liczba siedem nie jest aby święta? Jest, prawda? To liczba Boga. A zatem kreślę tu siódemki do ochrony przed duchami tłoczącymi mi się w głowie, przed diablikiem, którym jestem, przed demonami, wilkołakami, syrenami, myśliwymi z muszkietami, zagubionymi kochankami, kobietami, które nie mogą przecież naprawdę nazywać się Margot i dziewczynkami niemającymi na imię Chloe, przed skutkami, konsekwencjami, efektami, ziarnami gorczycy. Przed gniewem i nieobecnością Messieurs Risperdala, Depakene i Valium, których zaniedbałam w najgorszy możliwy sposób, pozostawiając mych dżentelmenów w żałobie, porzuconych, bezużytecznych w bałtyckim bursztynie nakrapianym plamkami skamieniałych mrówek i gzów. Odkładam ich do szafki z lekami w łazience. Odkładam ich na bok. Przesłaniają prawdziwy obraz rzeczy. Doktor Ogilvy to wie, że potrzeba to nie szybka ulga, że szczury nie żyją na złej gwieździe. Sama mi to powiedziała, jeśli nie chcę skończyć jak Rosemary Anne. A nie chcę. Ale moje siódemki działają z równą mocą jak psychoaktywni gachowie. Chcę słyszeć prawdziwą siebie, nie fałszywą, niespójną mnie, która chowa swe co szersze myśli w pudełkach i ukrywa w walizce pod

łóżkiem, gdzie nikogo nie zranią zdania wyostrzone jak brzytwy. Tylko sobie podcinam nogi pod kolanami.

Stałam jednak, uprzejma. Kobieta czekała naga w śniegu na poboczu ~~Wolf Den Road~~ Valentine Road, Walentynkowej Drogi, Drogi Igieł, droga brukowana żółta siatka, Bray Road i szlak Coeur d'Aleñes. Przystanęłam i och jakie miała duże oczy, oczy barwy najgłębszego złocistego brązu, miodu, toffi, agatu i jakie wielkie kościane zęby, więc rozszarpuje mnie i radośnie rozrzuca kawałki na cztery wiatry i tak me głupie serce. I jakaż to długonoga bestia, ona, sidhe, Eva Drugie Przyjście, po mej nieudanej Ofelii. Jakież ostre szpony. Skrada się wzdłuż wiejskich dróg i torów kolejowych, a ja jestem dla niej wyłącznie mięsem. Jest zaledwie smuzką dymu, jeśli nie spojrzysz wprost na jej skradającą się taksydermię. Jednakże rozszarpuje mnie i rozrzuca owoce swych wysiłków, pestki granatu, pestki brzoskwiń, gorzkie migdały o smaku cyjankowych monsunów, pochylonej łodzi. Gdy otwieram drzwi mojej hondy, do środka wlewa się noc, bo noc należy do niej i wykonuje jej rozkazy. Israel Putnam nacisnął spust i ją uwolnił. Duchy trzeba uwolnić z więzień ciał i kości, autokratycznej władzy ścięgien i szarych komórek. Pełzła ku mnie między drzewami, a ja spytałam czy mogę jakoś pomóc i zadusiłam się w owych złocistych oczach barwy zachodzącego słońca, w tęczówkach pożerających niebo. Skup się, Imp. Skup się, inaczej przyjdzie, by przechwycić dług. Eva chwyciła mnie w sierpowate szpony i wyturlała kości w śnieżny wieczór.

Owszem, to właśnie wniosek, do którego doszłam bez mgły moich Messieurs. Umarłam, i to, co wróciło do domu, było zjawą tak samo jak ostatni wilk w Connecticut. Eva pogrzebała mojego gnijącego wdzięcznego trupa pod ~~szronem~~ liściastymi odpadkami zamarzniętymi na sztywno aż do wiosennych roztopów, lecz jej szpony szybko rozprawiły się z warstwą zmarzliny i gładko przecięły ziemię, kopiąc mi grób. Nad moim pogrążonym w pogrzebowym śnie ciałem odprawiła bluźnierczą wilczą mszę i gdyby działa się to nocą w innej porze roku, położyłaby na grobie obwiązane szpagatem wiązanki bergamotek, rudbekii, orlików i kaczeńców (dołożyłabym też fiołków, lecz powiędły wszystkie, gdy planowałam zgon mego niewiernego ojca). Zamiast tego tylko gnijące liście i dygoczące robaki. Kopanie wyrwało brutalnie ze snu śpiące dżdżownice i klikające karaluchy. Ale mi wybaczyły, a ja wprawnie władałam językami pierścienic i owadów. Chrząszcze posługują się osobliwym dialektem. Pędraki to przyjaciele zwarcia krtaniowego. Powiedziałam im, że jestem malarką, która pisuje opowiadania o malowaniu syren i martwych, zabitych na

motocyklach multimedialistów mających obsesję na punkcie zamordowanych kobiet i baśni. Nie wiem, czy mi uwierzyły, ale uprzejmię udały, że tak. Myślę, że to właśnie z całą pewnością wydarzyło się na Wolfs Valentine Den Road. Bądź moja. I wciąż czuję zapach Ewy kucającej nade mną na rozkopanej ziemi, sikającej, srającej, wilczej damy, a ona unosi głowę, odrzuca głowę w tył i żałując, że na niebie nie świeci księżyc w pełni, i tak wyje. Myślę, że wyje, bo nie ma księżycy, jej wiernego, brutalnego, słodkiego gwałciciela. Jej zachłannego satelity. Jej przeciągacza pływów. Miła moja, wspomnij duszko, jakże to tak niecznie uwieść nieszczęsną dziewczuszkę? Gdzie byłaś? Pod ziemią, na mym patykowym łożu, cierniowym łożu, modliłam się za nią pod pełnym żaglem. Tutejszy listopad to dobry miesiąc, aby wydać ducha, wyszeptać, a ja nie protestowałabym nawet gdyby nie uciszyła mych ust.

Wszystko to pięknie i ładnie, Indio, ale ni cholery nie umiesz opowiadać historii, prawda? Strasznie wszystko zamąciłaś i nikomu się na nic nie przyda.

Nie potrafisz narysować linii prostej.

Ale potrafię przewędrować krzywą milę.

Kiedy katechizm podziemnych owadów dobiegł końca i do świtu wciąż pozostało kilka godzin, ekshumowała to, co zostało. Wylizala do czysta moją czaszkę i pierś, aż w końcu kości lśniły niczym alabaster w promieniach zbląkanego, łotrowskiego księżycy. Wyraźnie i jasno jak słońce okazywała mi w ten sposób wdzięczność za to, że umarłam za jej grzechy. To znaczy, oczywiście, za grzechy Putnama, które wzięła na siebie, gdy on umknął, aby walczyć z Czerwonymi Kurtkami, Irokezami i Missysaugami podczas *La Guerre de la Conquête*, więc nie miał czasu dźwigać swego krzyża. Martwe wilki pożerają grzechy. Przybito ją żelaznymi ćwiekami do ściany wędzarni, a gapie zbiegali się ze wszystkich stron, by być świadkami złożenia Chrystusa wilczycy podczas jej parodii męczarni kalwaryjnych. Nie było Marii Magdaleny ani Królowej Niebios, która opłakiwałaby wilka, tylko sowy i wrony przybyły, by rozdziobać jej ciało i znów ją ożywić. Eva Canning zmartwychwstała w ciałach wron, czarnych ptaków, pewnej oznaki kłamstwa, wszystkich czarnych ptaków, nawet corvidów, niezwęglonych, i wszystkie czarne ptaki przyjęły ją w siebie, więc wleciała wysoko zwycięska ponad leżącymi odłogiem ugorami. Transsubstancjacja.

Znów rozorała łapami ziemię (przedwcześnie), abym mogła spojrzeć z podziwem na drzazgi jedynek prawdziwych świętych drzwi obory ściskane w zakrwawionym relikwiarzu dłoni.

Zacząła szeptać mi do ucha, a ja czułam słodkomdłą woń jej padlinowego oddechu. Szeptala, że dalej na drodze czekają mnie kłamstwa. Abalyn zaprze się mnie trzykrotnie i wzbudzi zwątpienie tak głębokie, że będę chwytać judaszowe brzytwy i zamykać pigułki za lustrzanymi drzwiami. Kiedy Eva mi to powiedziała, zapłakałam, a ona otarła mi łzy migoczącymi rękami, wyraźnie niemogącymi się zdecydować, czy lepiej pozostać łapami, czy dłońmi. Cała była jedną wielką wspaniałą przemianą, jak pędraki, które przemawiały do mnie we śnie. Na moich oczach stawała się najpierw jednym, a potem drugim, kalejdoskopowa poczwarka zmieniających się szkieletów, mięśni i szpiku, żółci i czterech bogato namaszczonych komór serca ssaka. Serce w piersi pompujące *aqua vitae tetragrammaton*, bo życie ciała zawiera się w jego krwi, krew to życie. Nawet przez moment nie pozostawała jedną istotą, bo nie przyjąłabym kłamstw, że kiedykolwiek istniała tylko jedna, że muszę wybrać pomiędzy lipcem a listopadem. Dlaczego ona, Abalyn, tego nie rozumie, choć przecież sama jak Terezjasz wykonała wilkołaczą sztuczkę ze swą płcią. Czyż to nie hipokryzja? Sama jest paradoksem, lecz pragnie odebrać mi mój, chce, żebym uwierzyła w niemożliwe. Zdjęła z siebie skórę, której nienawidziła, przywdziewając tę, której pragnęła, a zatem cząsteczka i fala i Eva i Eva, zgadza się?

~~Abalyn skrzywiłaby się w księżym grymasie i odparła, że nie.~~

Gdybym nie wzięła rozwodu z moimi Messieurs, pozostałabym głucha i ślepa na to wszystko i być może położyłabym się i umarła. Znów wybrała wannę, a może podcięła sobie żyły? To nie ma znaczenia, tak czy inaczej, uciszyłabym się. Pozbyła się niewygodnego problemu. Elegancko, szybko. Bezpiecznie jak w norce. Jeśli kogoś kochasz, nie pozwalasz, by się utopiła i nie mówisz jej, że jest większą wariatką niż wie sama.

Na parapecie siedzi kruk. Myśli, że nie widzę, jak na mnie patrzy. Pewnie nie powiedziano mu, że widziałam cztery osoby spacerujące razem po parku. Z daleka od jasnych latarni, pod drzewami, gdzie było najciemniej. Niezakonnice w ciężkich, falujących płaszczach, ale albo ludzkie kruki albo też (i przyznaję, że to najprawdopodobniejsze) lekarzy z czasów zarazy, lekarzy z dziobami, którzy wymknęli się ze swego prawdziwego stulecia, używając maści z mięty balsamicznej, bursztynowej kamfory, róży, laudanum, mirry, styraksu, woskowych skórzanych kapturów, dziobów z rządkiem przygotowanych antidotów, by morowe powietrze im nie zaszkodziło. Medico Della Peste, szklanooki, niepodobny do czarnookiego kruka na mym oknie. Jak wredna wersja rozkoszy ziemskich Hieronima Boscha. Może Abalyn miała przede mną sekrety

i potrafi zamienić się w kruka i siedzi teraz, szpiegując mnie przy pisaniu. Ale ja mam swe siedem czarów i kiedy zapisuję

7/7/7/7

7/7

7

siedem

7

7/7

7/7/7/7 VII

7

rozpościera hebanowe skrzydła i odlatuje do domu, do piekła z papierowymi laleczkami nie-Margot i nie-Chloe, które sama sobie wycięła. Ale zbaczam z tematu. Dygresja czarnego ptaka próbującego pogrążyć mnie w nowym wirze samozwątpienia przywołującego ostrzeżenie Caroline, że czarne ptaki przylatują do kłamców. Gdzie to ja byłam?

Ścigałam Evę Canning pod bezksiężycowym zimowym niebem.

Albo późnojesiennym niebem, lecz było kurewsko mroźno, jak w zimie. Pośpiesz się, dziecko. Ta chwila jasności nie będzie trwać wiecznie. Istnieją sposoby, by ci ją wykraść.

Nie potrzebowałam już mojej hondy, nie wtedy, gdy Eva Wilczyca Israela Putnama krzyczała na mnie, żebym biegła stąd na moich martwych nogach i dotrzymywała kroku, dotrzymywała kroku. Szalona, jakże szalona noc. Zasadziła trupa i wyhodowała chyzostopą martwą biegaczkę zombie, która mimo usilnych starań nie mogła nawet dotrzymać jej kroku. To nie ma znaczenia, bo nie miało też znaczenia owej nocy. Liczył się tylko wysiłek. Wiedziała, że biegnę najszybciej jak potrafię na grzechoczących, kościanych nogach. Rozumiała, że w odróżnieniu od niej nie mogę paść na czworaki, choć pragnęłam tej ziemskiej rozkoszy tak bardzo, że aż bolało. Była duchem wilka, a ja marzyłam, by do niej dołączyć. Duch wilka jest bardziej wolny niż wariatka z brzuchem pełnym narkotyków. To pigułki uczyniły mnie za bardzo niezmienną, bym mogła biec na czworakach, niedostępną morfologii sacrum, miednicy, piszczeli. Przeciwno ich truciznie nawet ona okazała się bezradna.

Na dwóch nogach, wyprostowana, biegłam, aż zaczęły mi krwawić dusze stopy. Duże stopy. Zanim złożyła mnie na spoczynek, zdarła ze mnie

rozszarpane jej głodem, podarte ubranie, więc po przywróceniu do życia byłam naga jak ona. Byłam jej kaleką siostrą, podobną w zamierzeniu, jeśli nie w grozie symetrii, płonąca jasno na Walentyńkowej Drodze Igieł, podczas gdy niczego niepodejrzewający farmerzy i żony farmerskie spali smacznie w swoich łóżkach. Słyszały nas jednak konie i krowy. Kozy też nas słyszały. Zboczyłam ze ścieżki mojego życia, porzucając złudzenia lekowej namiastki zdrowego umysłu. Zbłądziłam, a Eva pozwoliła mi tańczyć pod gwieździstym niebem z długonogą bestią, którą stała się naga kobieta na poboczu. Naprawdę nie macie pojęcia, jak cudowne będzie, było, nieuniknione złączenie owych dwóch dróg pod pełnymi żaglami. Tego właśnie chciała mnie pozbawić Abalyn - poznania wspaniałości owego tańca tarantelli, *danse macabre* derwiszów. I upadłam na te spokojne pola, białe jak obsypane cukrem pudrem, podzielone kamiennymi murkami od czasów Israela Putnama. Leżałam tam, a ona wspięła się na mnie. Spojrzała na mnie z góry gniewnie, cała roziskrzona błękitną zielenią, bibułkowym szkarłatem, blaskiem oczu, apetytem zachłannym i lubieżnym, a ja rozłożyłam nogi przed wilczycą, którą zawsze była. Jej mokry, czarny nos obwąchiwał moją gościnną pleć, długi, nakrapiany lodowy język rozlizywał mnie na dwoje, a potem brutalnie przekreśliła mnie na brzuch i poranione piersi i dosiadła na sposób wilków.

- Jesteś w Domu Wilków, *casa del lobo*, młoda damo, więc zachowasz się jak trzeba i jak to mamy w zwyczaju. Będiesz się pieprzyć, tak jak pieprzą wilki.

*Kobieta na polu — coś ją pochwyliło Fecunda ratis*

Orała mnie jak pola, gdy nadejdzie wiosna. I znów mnie obsadziła, siejąc późniejszą zazdrość, bo jestem pewna, że Abalyn poczuła ode mnie jej piżmowy zapach, kiedy tej nocy wróciłam do domu. To magiczna baśń, prawda? Tak, to wszystko magiczna baśń, choć nie ma w niej żadnej magii per se. Zwodzone przez chochliki, błędne ogniki, niemądre, nieposłuszne dziecko wędruje w samo serce nawiedzanej puszczy i spotyka żarłocznego wilczego diabła, który raz dwa trzy obiecuje będę się z tobą ścigać do domu Caroline i co więcej, będę cię kochać szczerze, pozwól, że cię obejmę i nie obchodzi mnie, że jesteś szalona. Będę cię kochać na wieki wieków. Odrzuć kołdrę, a ujrzysz, jak czeka na ciebie na leżących odłogiem ugorach, gotowa do orki.



(Abalyn znów siedzi na oknie, ale rym razem demonstracyjnie nie zwracam na nią uwagi).

Karminowa dziewczyna, która była mną, jest mną, zeszła z wydrażonych wzgórz, ręka w rękę z La Bête, myśląc, jak wielkie ma szczęście. Myśląc, że może urodzę jej szczenięta i nie będę już pusta. Pusta, muszlowa dziewczyna za kasą, a ludzie szepczą o niej za jej plecami i nie wiedzą, że wie, albo po prostu nic ich to, kurwa, nie obchodzi. Założę się, że to drugie. Pusta, ostrygowa dziewczyna, w końcu już nie tak pusta. Wróciłam do samochodu, reflektory wciąż płonęły bielą, przecinając smugami mrok, krzesząc w śniegu iskry. Eva usiadła ze mną, po mojej lewej, pozwoliła mi zapiąć swój pas. Drogi były śliskie i zdradzieckie, czasami przekraczałam limit prędkości. Zwiedzione przez chochliki dziewczyny, które zbaczają ze swych ścieżek, nie przejmują się raczej łamaniem przepisów drogowych. Mają własne ograniczenia, wypisane niezmywalnymi znakami na ich palimpsestowej skórze, lekturę dla wilków.

Oto moja historia o duchach, o wilku, który krzyczał dziewczyna. Duchu zamordowanej wilczycy, który krążył przez całe stulecia po strzale z muszkietu, pozbawiony towarzystwa innych wilków, poza duchami. A czasami zapominał, że w ogóle był wilkiem, bo z braku towarzystwa tracił perspektywę. Zapominała. Lecz oglądała tak wiele ludzkich istot, mężczyzn, kobiet i dzieci, że zapomniawszy się, przyjęła błędnie, że sama jest niczym więcej, jak tylko nagą kobietą na poboczu Valentine Road. A może to nie do końca kwestia zapomnienia. A co, jeśli zrozumiała udzieloną jej lekcję, że wilki nie są bezpieczne przed mężczyzną, natomiast kobiety odrobinę bezpieczniejsze, więc uszyła sobie kobiecą skórę i wczółgała się do środka? Pasowała całkiem ściśle i musiała bardzo uważać, by jej szpony nie rozdarły skórzanych rękawic i nikt nie dostrzegł klów.

Duch wilczycy w przebraniu.

Wariatki widzą podobne zjawy, nasz dotyk obleka je w ciało. To dlatego Abalyn ją ujrzała, gdy wróciłyśmy na Willow Street. Gdyby Abalyn spotkała to co ja, pozostałoby niewidzialne, a ona jechałaby dalej, dalej, dalej, nieświadoma istnienia cudu. Od 1742 bądź 1743 bądź 1947 to właśnie wszyscy przede mną, szaloną Indią Morgan Phelps Imp z Willow Street, która zjechała na bok i spytała, czy nic jej nie jest, czy nie potrzebuje pomocy. Wiedziałam, że brak jej głosu, że nie nauczyła się jeszcze posługiwać zagrabionym kobiecym językiem. W końcu go opanuje, co oznacza, że zagubiła się w kakofonii zderzających się rzeczowników, samogłosek, przysłówków, przymiotników, czasowników i tak dalej.

~~Częściowo winię się za to: wspumogłam ją w jej psychotycznej, bezpa-miętnej maskaradzie.~~

Gdy nie patrzyłam, kruk Abalyn znów odleciał. Chyba już nie wróci. Przynajmniej nie dziś wieczór. Czarny ptak oznacza kłamstwo, chyba że czarny ptak sam jest kłamstwem. Wędrując przez magiczne baśnie, trzeba przestrzegać magicznych praw. Wędrując przez opowieść o duchach, podlegamy prawom gotycko-wiktoriańskim. Ja zaś skradam się moją ścieżką przez obie naraz i nakazy są niejasne, splatające się razem w zielony gąszcz dzikiej róży; będę musiała ukłuć się w palec wrzecionem z kołowrotka, by zrozumieć. Dla Evy to musiało być znacznie gorsze. Ja przybyłam z zewnątrz, zaglądając do środka, ona tkwiła w kłamstwie, które opowiedziała sobie, by nie oszaleć jak India Morgan Phelps bądź jej matka.

Wszystkie moje telefony wciąż dzwonią, ale dobrze wiem, że nie mogę odebrać. Wiem, co przenika przez telefon. Wiem, że Messieurs kazaliby mi odebrać i wiem, że to kłamliwe dranie. Kłamcy zawsze liczą na to, że słysząc kłamstwo, nie rozpoznamy go. Nawet kiedy, jak zabłąkana wilczyca, okłamujemy sami siebie.

Przygotowałam biednej wilczycy Evie kąpiel z jodynową wodą, barwy puszek coca-coli, prosto ze Scituate, a zatem pochodzącej pośrednio z morza. Abalyn poszła przejść się i zapalić, była wściekła na to, co zrobiłam, bała się, a my nienawidzimy tego, co nas przeraża, tego czego nie rozumiemy, ona zaś nie mogła pojąć Evy, tak samo jak nie umiała pojąć mnie. Uważałam, by woda była dość ciepła, aby przegnać chłód z jej krystalicznych żył, nieskazitelnych żył z mlecznego kalcytu. Pomogłam jej wejść do wanny, a ona złożyła się równie łatwo jak japoński wachlarz: spod brudnej, pobielalej skóry sterczały kolana, łokcie i ksylofonowe żebra. Widok czegoś tak zagłodzonego sprawiał mi ból. Będę musiała sprawdzić, co jadają wilcze duchy. Wyszorowałam ją do czysta miętowym mydłem Abalyn, znalazłam zadrapania, skaleczenia, szramy, wątpia i gałązki wplecione w kasztanowe włosy. Zmyłam to wszystko, pozostawiając ją oczyszczoną, zupełnie jakbym użyła soli i święconej wody. Urządziłam jej chrzest w chlorowanej wodzie i szamponie. I tak oszukałam oszustów, odtąd ani anioły niebieskie, ani demony z dna morza nie zdołają już rozłączyć mojej duszy z duszą tego, co mam za prawdę. Nawet Abalyn, nieważne jak dobrze wie, że nadal ją kocham.

To wszystko. A przynajmniej wszystko, co na razie pozwalam sobie ujawnić. Historia wilka, który krzychał dziewczyna, gdy w pobliżu nie

było nikogo prócz mnie, kto mógłby go usłyszeć. Dawno, dawno temu upolowano ją i przybito do ściany, a ja wyrwałam z jej futra zimne, żelazne ćwieki i cierń ze stwardniałej poduszki zakrwawionej łapy. Jest jeszcze więcej, o tak. Nie ma porządnego zakończenia. Ale piszę na tej maszynie od tak wielu godzin, że sama nie umiem ich policzyć, bardzo, bardzo długo, bo słońce zachodziło, a teraz już wschodzi. Chce mi się spać. Nie mogę sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wcześniej choćby w połowie chciało mi się tak spać. I proszę, jestem tutaj, jestem tutaj i widzę, i w ten sposób odwracam wszystkie kłamstwa Abalyn, że była tylko jedna Eva Canning.

Odejdź, kuku stukający mi do okna. Jeden sprowadza smutek, do radości trzeba dtrc+r dwóch.

Nie sądz, że o tym nie wiem. Nie sądz, że cię nie widzę. Zanim pójde do łóżka, zapieczętuje okna siedmioma ziarnkami gorczycy i siedmioma kapslami od butelek, i siedmioma liśćmi laurowymi, i nie będę musiała nawet śnić o tobie, Abalyn.

7/7/7/7

7/7

7

siedem

7

7/7

7/7/7/7

## (KRÓTKIE ROZMOWY)

Wybrane wiadomości telefoniczne z ostatniego tygodnia października 2010 roku (zlekceważone oferty pomocy, zatroskane glosy):

„Imp, posłuchaj, [chwila ciszy] Wiem, że to dziwne, że dzwonię. Zwłaszcza po tamtej scenie na parkingu w zeszłym tygodniu. Wyszło niezręcznie i bardzo mi z tego powodu przykro. Może nie powinnam była mówić tego, co powiedziałam. W każdym razie hej, [chwila ciszy], martwię się o ciebie, Imp. Pogadajmy, dobrze? Myślę, że dobrze byłoby, gdybyśmy porozmawiały” - Abalyn Armitage.

„Indio, tu recepcjonistka z gabinetu doktor Ogilvy. Dzwonię, żeby ci przypomnieć o wizycie pojutrze, o piątej po południu. Proszę, daj nam znać, gdybyś nie mogła przyjść i musiała ją przełożyć. Dzięki”.

„Cześć, Imp. Nie możesz tak często opuszczać pracy. A ja nie mogę dłużej przymykać na to oka. Nie zadzwoniłaś nawet, żeby się zwolnić, i nie mogę ci na to pozwolić. Wiesz o tym. Zadzwonź do mnie, gdy tylko odsłuchasz tę wiadomość. Musimy porozmawiać” - Bill, mój były szef w pracy.

„Indio, tu doktor Ogilvy. Nie zjawiałaś się dziś na wizytę o piątej. Będziemy musiały obciążyć cię kosztem sesji, bo jej nie odwołałaś. Nigdy dotąd nie opuściłaś wizyty, nie dając nam znać z wyprzedzeniem, więc trochę się martwię, zwłaszcza po ostatniej sesji. Zadzwoń do mnie w wolnej chwili" - doktor Magdalenę Ogilvy.

„Tu znów Bill. Zostawiłem ci wiadomości na komórce i stacjonarnym, a ty nie oddzwoniłaś. Nie wiem, co się dzieje. Mam nadzieję, że wszystko w porządku, ale nie mam wyboru i muszę cię zwolnić. Naprawdę bardzo mi przykro. Musisz wiedzieć, że nie chciałem, żeby do tego doszło. Zawsze byłaś świetną pracownicą, ale nie zostawiłaś mi wyboru. Wpadnij, kiedy będziesz mogła, i odbierz ostatni czek. Dzięki" - Bill (czwarty telefon w ciągu czterech dni).

„Imp, tu znów Abalyn. Proszę, zadzwoń" (drugi telefon).

„Indio, tu twoja ciotka Elaine. Dziś rano zadzwoniła do mnie twoja doktor psychiatra. Mówi, że nie zgłosiłaś się na ostatnią wizytę i nawet nie zadzwoniłaś. To do ciebie niepodobne, ona też tak uważa. Martwi się, ja także. Zadzwoń do mnie, skarbie. Daj znać, że nic ci nie jest".

„Indio, tu znów doktor Ogilvy. Wczoraj rozmawiałam z twoją ciotką, mówi, że nie odzywałaś się do niej od paru tygodni. Wiem, że musisz uzupełnić dwie recepty. Jak dotąd, zawsze dawałaś mi znać, kiedy musiałaś przełożyć wizytę. Zadzwoń, proszę" (drugi telefon).

„Tu znów Abalyn. Najwyraźniej cię wkurzyłam. Nie będę więcej dzwonić. Czuję się głupio, zostawiając te wiadomości. Naprawdę nie chciałam cię wtedy zdenerwować. Jeśli jesteś wkurzona, to pewnie sobie zasłużyłam, [długa cisza] No więc tak, nie będę więcej dzwonić. Nienawidzę się narzucać, ale nadal chcę pogadać. Zadzwoń do mnie albo nie. Tak czy inaczej, mam nadzieję, że wszystko w potządku. I nie tylko tak mówię" (szósta wiadomość).

„Indio, chcę tylko przypomnieć, że w zeszłym tygodniu powinnam była otrzymać czek. Tylko przypominam. Bardzo nie chcielibyśmy obciążyć cię dopłatą za zwłokę" - Felicia, moja gospodyni.

„Kochanie, nadal się nie odezwałaś, a od mojego telefonu minęło kilka dni. Jeśli dzieje się coś złego, musisz dać nam znać. Dziś po południu znów rozmawiałam z doktor Ogilvy. Mówiła, że nadal do niej nie od-dzwoniłaś, i obie się martwimy. Może zajrzę do ciebie. Zadzwoń" - ciotka Elaine (drugi telefon).

„Indio, proszę, jeśli jesteś, odbierz. Godzinę temu znów rozmawiałam z twoją ciotką. Jeżeli przestałaś brać leki, musimy o tym wiedzieć" - doktor Ogilvy (trzeci telefon).

„Hej, wiem, że mówiłam, że już nie zadzwonię, ale zeszłej nocy miałam o tobie strasznie popieprzony sen" - Abalyn (siódma i ostatnia wiadomość)

„Indio, co do czynszu...".

\*\*\*

Jakaś część mnie zawsze sądziła, że gdybym kiedyś zniknęła z powierzchni ziemi, nikt nawet by się nie przejął. Najwyraźniej się myliłam. Ludzie wydzwaniali, aż w końcu zapelnili całą automatyczną sekretarkę i pocztę głosową. Jak przez mgłę słyszałam dzwonki telefonów. To było dwa i pół tygodnia temu. Halloween nadszedł i minął; wątpię czy w ogóle go zauważyłam. Teraz jest środek listopada, drzewa przy Willow Street straciły prawie wszystkie liście. A przy okazji, wbrew nazwie, przy Willow Street nie rosną wierzby. Przy Oak Street nie rosną dęby. Może kiedyś rosły. Jak mówiłam, mnóstwo rzeczy w Providence nosi nazwy, które już nie pasują.

Dwudziestego szóstego października, dzień po tym, jak wpadłam na Abalyn przed Muzeum Dziecięcym, przestałam zażywać leki. Najpierw po prostu zapomniałam. Rzadko zdarza się, że zapominam, bo łykam je co dzień od tak wielu lat. Ale po paru dniach uświadomiłam sobie, że ich nie biorę, bo nie chcę ich brać. Zaczynałam wpadać w paranoję. To dzieje się bardzo szybko i myślałam... Cóż, widać to wszystko w notatkach, które napisałam podczas załamania. Wbiłam sobie do głowy, że pigułki mieszają mi we wspomnieniach. Po tym, jak Abalyn powiedziała to, co powiedziała, wpadłam w panikę. Ktoś mi mówi, że nie mogę sobie przypomnieć czegoś, co z całą pewnością pamiętam, i czasami panikuję.

Nie przywykłam do tego, choć często udaję. Coś takiego nie zdarzyło się od bardzo dawna - pełny powrót z wykopem do najgorszego możliwego stanu. Usiłuję nie rozwódzić się nad tym, co mogło się wydarzyć, bo tak się nie stało, a nic dobrego nie przyjdzie z płaczu nad rozlanym mlekiem.

W każdym razie dotarłam tu, na drugi brzeg, zrobiłam świństwo wielu ludziom, straciłam pracę i czuję się jak idiotka. Może musiałam to zrobić. Kiedy czytam to, co napisałam, nie mogę powstrzymać myśli, że może to było konieczne, wyzwoliło coś, z czym w innym przypadku nigdy bym sobie nie poradziła. Ale nadal czuję się jak ostatnia świnia z powodu tego, co zrobiłam. Nie lubię straszyć ludzi, którym na mnie zależy, w dodatku straciłam pracę i jestem winna sto dwadzieścia pięć dolarów za opuszczoną wizytę i nie stać mnie na to jeszcze bardziej niż zwykle, bo Bill mnie wylał. Nie winię go, ale nie mam pojęcia, co pocznę, póki nie znajdę innej pracy. Fundusz nie fundusz, z pieniędzmi jest bardzo cienko.

Doktor Ogilvy przeprosiła, ale oznajmiła, że nie może robić wyjątków. To szpital ustala zasady, nie ona.

W końcu Abalyn przestała dzwonić i przyszła sprawdzić, co się dzieje. Ktoś wpuścił ją do domu, choć nie powinien tego robić. To znaczy, wpuszczać ludzi, którzy już tu nie mieszkają. Może ktokolwiek jej otworzył - studenci z góry albo matematyk od Browna, który mieszka na parterze - może nie zdawał sobie sprawy, że Abalyn się wyprowadziła. Mówi, że stała przed moimi drzwiami i stuknęła prawie pół godziny, aż w końcu użyła klucza. Nigdy nie prosiłam, by go zwróciła, a ona też tego nie zaproponowała. Przypuszczam, że żadnej z nas nie przyszło to do głowy. Mój samochód stał na podjeździe, a choć Abalyn doskonale wie, że często chodzę pieszo i jeżdżę autobusem, to jednak puknęła i czekała, aż wreszcie poddała się i otworzyła drzwi kluczem. Nie zamierzam się na nią gniewać. Wiem, że byłoby to z mojej strony naprawdę parszywe. Gdybym pogniewała się, że użyła klucza. Och, klucz do budynku zgubiła, ale nie ten do mojego mieszkania.

Abalyn weszła do środka i znalazła mnie skuloną w sypialni. Zamknęłam drzwi na klucz, więc musiała pokonać kolejną barykadę. Nie mam pojęcia, jak długo tam tkwiłam - kilka godzin czy może dni. Teraz to nie ma znaczenia. Mówiła, że płakałam, że słyszała, jak płaczę i gadam do siebie. Poszła do kuchni, znalazła nóż do masła i z jego pomocą zdołała podważyć zamek. Zastała mnie ubraną wyłącznie w majtki, ukrytą w kącie pod oknem. Nie mówiła, że się ukrywałam, ale tak musiało być. Kąty zawsze wydawały mi się najbezpieczniejsze. W kącie, nawet tym

pod oknem, nikt nie może podkraść się do nas od tyłu. Zastała mnie zwróconą plecami do dwóch ścian, wciśniętą w kąt, ale nie będę wdawać się w szczegóły. Są zbyt krępujące - to, jak mnie znalazła, co robiłam, stan, w którym byłam. Bardzo się odwodniłam. Nie jadłam od sama nie wiem ilu dni. Nie splukiwałam toalety. Z początku wpadła w złość, ale potem przytuliła mnie i rozplakała się. Nie wiem jak długo to trwało, ale pamiętam, że parę razy mówiłam jej, żeby przestała, nawet ją uderzyłam. Muszę się do tego przyznać. Uderzyłam ją kilka razy, a ona próbowała mnie uspokoić i dowiedzieć się, co się dzieje. Podbiłam jej prawe oko. Żałuję, że też mnie nie uderzyła, ale nie. Po prostu tuliła do siebie tam w kącie brudną, rozhisteryzowaną mnie, aż w końcu przestałam świrować. Później stała obok lodówki, milcząca, spokojna, przyciskając do twarzy torebkę mrożonego groszku. Za każdym razem, gdy przypominam sobie, jak tam stała, znów żałuję, że mnie nie uderzyła.

W każdym razie dalszy łańcuch wydarzeń wyglądał mniej więcej tak: Abalyn zadzwoniła na numer alarmowy doktor Ogilvy i ktoś, z kim rozmawiała, kazał jej spróbować wmusić we mnie valium i zadzwonić do ciotki. Ale ja nie chciałam, żeby ciotka Elaine kręciła się przy mnie, i najwyraźniej powiedziałam to Abalyn, która zadzwoniła do ciotki, ale przekonała ją, by nie przyjeżdżała do mnie, zmusiła ją, by się zgodziła, że tego nie robi, dopóki Abalyn będzie ją informować. W klinice powiedzieli, że jeśli ktoś ze mną zostanie i jeśli nie wygląda na to, że mogę zagrozić sama sobie, wezwanie karetki nie będzie konieczne (znowu, znowu). Zadzwoniła doktor Ogilvy. Powiedziałam coś do niej, ale za skarby świata nie umiem powtórzyć, co. Abalyn zgodziła się ze mną zostać, doktor Ogilvy poleciła jej odczekać dwadzieścia cztery godziny, a potem znów wprowadzić moje stałe leki. Poprosiła też Abalyn, by spróbowała ustalić, od jak dawna ich nie biorę. Ja sama albo nie mogłam sobie przypomnieć, albo też po prostu nie chciałam nikomu powiedzieć (znów ogarnęła mnie paranoja i nie życzyłam sobie, by Abalyn bądź ktokolwiek inny się do mnie zbliżał). Najlepsze, co zdołała osiągnąć, to znaleźć moje pudełko na pigułki, które mieści tygodniowy zapas leków, od niedzieli do soboty, zamkniętych w ich własnych, dysktetnych, plastikowych przegródkach -N, Pn, W, Ś, C, Pt, S. W pudełku było sześć porcji leków, co świadczyło jedynie o tym, że minęło co najmniej sześć dni. Wiedziała, że mogło być ich znacznie więcej.

Abalyn zadzwoniła do Margot, nowej dziewczyny, i okropnie się pokłóciły. Margot oznajmiła, że nic z tego - czyli mnie - nie jest jej sprawą



i że nią manipuluję. Klóciły się jeszcze trochę, w końcu Abalyn kazała jej się pierdolić i nie są już razem. A zatem przeraziłam Abalyn niemal na śmierć, przywaliłam jej w oko i przeze mnie straciła dziewczynę. Dobra robota, Imp. Prawdziwy z ciebie skarb.

Mieszka tutaj, bo nie miała dokąd pójść, i tyle przynajmniej mogłam zaproponować po tym, co dla mnie zrobiła i ile ją to kosztowało. Tylko u mnie mieszka, nie jest ze mną. Widzę, jak jej ciężko. Staramy się nie wchodzić sobie w drogę. Zdarza się, że bardzo nam na kimś zależy, ale nie jesteśmy w stanie z nim żyć. Patrzę na Abalyn i widzę, jakie to prawdziwe: przed załamaniem pewnie nie rozumiałabym aż tak dobrze. Zazartowałam nawet, że jest moim rycerzem w lśniącym zbroi, ale żart nie był zabawny i żadna z nas się nie zaśmiała.

Odkąd Abalyn znalazła mnie skuloną w kącie sypialni, rzadko się śmiejemy. Mieszkam w domu, w którym ludzie nad nami się śmieją, ludzie pod nami także. Słyszę ich przez podłogi - śmiech z góry, śmiech z dołu.

Parę dni po tym, jak Abalyn mnie znalazła, jadłyśmy płatki „Trix” i oglądałyśmy kreskówki, zupełnie jak za dawnych czasów. Tyle że „Ren i Stim-py” i „Bobry w akcji” nie były już tak nieodparcie śmieszne jak dawniej, a płatki smakowały niczym małe papierowe kulki o smaku owocowym. W połowie kreskówki powiedziałam, że nie chcę więcej oglądać, toteż Abalyn sięgnęła po pilota i ekran jej telewizora poczerniał (oczywiście musiała przywieźć z powrotem swoje rzeczy). Na wszystko się zgadza, co pomaga, ale też sprawia, że wstydzę się jeszcze bardziej. Siedziałyśmy tak przez kilka minut w milczeniu, skubiąc suche płatki, a gwałt ulicy wydawał się głośniejszy niż zwykle. Meksykańscy chłopcy, przejeżdżające samochody, jesienne ptaki. Abalyn przemówiła pierwsza i ulżyło mi, bo przegnała tę nie do końca ciszę wiszącą między nami. Nadal twierdzę, że mi ulżyło, mimo tego, co powiedziałyśmy sobie natychmiast potem.

— Przeczytałam to - oznajmiła, a ja skinęłam głową. Wcześniej dałam Abalyn kartki, które zapisałam podczas ataku obłądu, i poprosiłam, by je przeczytała. Nie chciała, ale wyjaśniłam, że to ważne.

— Dziękuję — powiedziałam.

- Czy to pomogło? - spytała, a ja wzruszyłam ramionami.

- Pewnie jeszcze za wcześnie, by stwierdzić, ale nie wydaje mi się. Myślę, że to jakiś początek i od czegoś musiałam zacząć, ale nadal się boję. - O mało nie powiedziałam czegoś, co mogłoby paść z ust doktor Ogilvy, na przykład „nadal w wysokim stopniu nie pozbyłam się

dysonansu poznawczego", lecz na szczęście uświadomiłam sobie, że to nie najlepszy pomysł, i zamiast tego powiedziałam to co wyżej.

- Ale to już początek — mruknęła i zauważyłam, że wybiera ze swej miski wszystkie cytrynowożółte płatki i układa je w rzędzie na podłodze przed sobą. Skojarzyło mi się to z czymś, co sama mogłabym zrobić. - Nie potrafię pozbyć się wrażenia, że nic z tego by się nie wydarzyło, gdybym tylko tamtego dnia zachowała się z nieco większym taktem.

- Nie musisz chodzić koło mnie na paluszkach — oświadczyłam. Kiedyś już jej to mówiłam. - Nie oczekuję, że będziesz się ze mną cackała.

- Mimo wszystko...

- Abalyn, nawet nie wiedziałaś, że mam w głowie te dwie wersje Ewy. W żaden sposób nie mogłaś o tym wiedzieć, nie, jeśli tylko jedna wydarzyła się naprawdę.

Wydłubała z miski kolejny żółty płatek i dołożyła do pozostałych.

- Teraz w to wierzysz?

Chciała, żebym powiedziała tak. Ale była dla mnie zbyt dobita i zasługiwała na coś więcej niż kłamstwo, zatem odparłam:

- Nie, ale pracuję nad tym. Za kilka dni spotkam się z doktor Ogilvy... I pracuję nad tym. Teraz wiem, że coś jest nie tak, i to już nieźle. Wiem, że coś w mojej głowie ułożyło się nie tak jak trzeba.

- Odważna z ciebie laska, Imp. Przysięgam, ja nie mogłabym żyć z takim syfem. Jesteś silniejsza ode mnie.

- Nie, nie jestem. Po prostu do tego przywykłam. Nigdy w życiu nie byłam inna. Naprawdę. Poza tym przeszłaś co najmniej tyle samo co ja. Nie umiem sobie wyobrazić odwagi niezbędnej do tego, co zrobiłaś. -Mówiłam o coming oucie i operacji korekcyjnej, ale wiedziała o tym i nie musiałam doprecyzowywać. - Ludzie robią to co konieczne. To wszystko.

- Posłuchaj nas tylko - rzekła i o mało się nie uśmiechnęła, o mało nie zaśmiała. - Imp i Abalyn, Samochwalcze Towarzystwo Wzajemnej Adoracji.

Uśmiechnęłam się, ale nie próbowałam się śmiać.

- Może gdybyś napisała - powiedziała wtedy Abalyn - nie tak jak wtedy, kiedy chorowałaś. To znaczy, gdybyś napisała to jako jedno z twoich opowiadań.

- Nie jestem pisarką, tylko malarką.

- Przecież wiem. Po prostu mówię, że to mogłoby pomóc.

- Od bardzo dawna nie pisałam opowiadań..

- Myślę, że to jak jazda na rowerze. - Podniosła jeden z cytrynowożółtych płatków i zjadła go.

- I tak się dziwię, że dałaś radę przeczytać to, co przeczytałaś.

- To był twój pomysł - przypomniała mi.

- Wiem, ale i tak jest dziwny.

- Wiesz, co mnie najbardziej zaskoczyło? Te kawałki o Czarnej Dalii. Ta część naprawdę do mnie przemówiła i czuję się też za nią odpowiedzialna, bo wyjście na wystawę Perrault to był mój pomysł.

- A zatem to się wydarzyło naprawdę?

- Chyba że obie zwariowałyśmy. Chuj jeden wie, moja matka i ojciec powiedzieliby ci, że jestem kompletną wariatką.

- Twoja matka i ojciec cię nie znają - oznajmiłam, starając się usilnie nie myśleć o tym, jakie to musi być uczucie, gdy nienawidzą nas rodzice.

Żałowałam w duchu, że Abalyn nie miała matki takiej jak Rosemary Anne, babki takiej jak Caroline. Gdybym kiedykolwiek powiedziała Rosemary, że jestem chłopcem, nie dziewczynką, z pewnością przede wszystkim byłaby zafascynowana. Może też nieco zmartwiona z powodu tego, jak świat traktuje ludzi transpłciowych, ale głównie zafascynowana. Pewnie upierałby się nawet, że to cudowne.

- W każdym razie tak. Poszłyśmy na wystawę Perrault i była tam rzeźba Czarnej Dalii. Nigdy nie zapomnę, jak bardzo tobą wstrząsnęła.

- Nie powinna była. Przesadziłam.

- Była cholernie upiorna. Nawet gorsza, jeśli uświadomisz sobie, że on musiał patrzeć na nią co dzień, cholera wie jak długo, by ją ukończyć. Może kilka miesięcy. Przez kilka miesięcy powracał do tego samego, groteskowego tematu, dzień za dniem. I wszystkie przygotowania, jakie musiał poczynić. Czytałam, że feministyczna grupa obrony ofiar przestępstw z Kalifornii próbowała zakazać otwarcia wystawy ze względu na tę rzeźbę. Do diabła, w sumie nawet im się nie dziwię.

- Nie jestem zwolenniczką cenzury - oznajmiłam. - Nieważne, jak okropnych dzieł dotyczy.

Abalyn zmarszczyła brwi i wbiła wzrok w cytrynowożółty płatek, tkwiący między kciukiem i palcem wskazującym, zatrzymany w połowie drogi do ust.

- Wiesz, że ja też jestem przeciw cenzurowaniu sztuki, Imp. Mówiłam tylko, że rozumiem, dlaczego ta rzeźba mogła wywołać tak silną reakcję.

Rozmawiałyśmy, rzecz jasna, o „Fazach 1-5”, groteskowym kole wykonanym przez Perrault za pomocą odlewów żywych ciał i wypchanych

zwierząt, ukazującym przemianę Elizabeth Short w wilkołaka. Było to ostatnie dzieło, które obejrzałyśmy, nim wyznałam, że więcej nie wytrzymam, i wyszłyśmy z galerii.

- Gdyby napisanie opowiadania pomogło ci uporządkować wydarzenia związane z drugą Evą, którą pamiętasz, byłoby super - rzekła. - Wiesz chyba, że chcę ci pomóc. Jeśli pragniesz, żebym pomogła. Nie chcę się narzucać.

- Wiem. I jestem pewna, że doktor Ogilvy także pomoże. Wyjaśniłam Abalyn, że nigdy nie rozmawiałam z doktor Ogilvy o Evie Canning, a ona słuchała oszołomiona.

- Imp, nieważne, co naprawdę się z nią stało, nie sądzisz, że to dość poważna sprawa, by powiedzieć o niej twojemu psychiatrze? Czy nie za to jej płacisz?

- Wątpię, by wierzyła w duchy. A z pewnością nie w wilkołaki ani syreny.

- A jakie ma znaczenie, w co wierzy? Z pewnością słyszała już w swojej karierze dziwniejsze rzeczy niż ta.

Odparłam, że bardzo poważnie wątpię.

- No dobrze, ale co najgorszego może zrobić? Zamknąć cię w szpitalu? Z tego, co widziałam i co mi mówiłaś, myślę, że gdyby chciała to zrobić, już by to zrobiła.

Pragnęłam poprosić, byśmy zakończyły tę rozmowę. Może zaczynałam się złościć, a może chciałam powiedzieć Abalyn, że po prostu nie rozumie, że istnieją szaleńcy i istnieją też szaleńcy, którzy wierzą w syreny i wilkołaki, i jednorożce, i wróżki, i inne syfy. Ale tego nie zrobiłam. Niewątpliwie zasłużyła sobie na prawo mówienia otwarcie. Gdyby nie znalazła mnie wtedy, byłabym teraz w szpitalu. Albo jeszcze gorzej. Gdyby nie to, że zależało jej dostatecznie mocno, żeby przyjść i sprawdzić, a potem zostać przy mnie. A poza tym, gdzieś w głębi wiedziałam, że pewnie nie myli się co do doktor Ogilvy.

- Dobrze - oznajmiłam.

- Co dobrze?

- Dobrze, porozmawiam z nią. I spróbuję zastanowić się nad napisaniem opowiadania.

- A gdybyś mnie potrzebowała, jestem tutaj.

- Bo nie masz dokąd pójść.

- Jezu, Imp. Nie, nie dlatego, że nie mam dokąd pójść.

- Ale przecież nie masz, prawda?

Nie odpowiedziała mi. Tu kończy się rozmowa. Abalyn pokręciła głową i westchnęła, potem zabrała miskę i pudełko płatków, wstała i poszła do kuchni. Ja siedziałam na podłodze przed zgaszonym telewizorem, próbując sobie wyobrazić co powiem mojej doktor psychiatrii, jeżeli w ogóle się na to zdecyduję. Jak mam jej powiedzieć to, co według Abalyn powinnam, bo pojęłam, że nie chodzi tu nawet o samą Evę, a o znalezienie koniecznych słów.

Przez resztę tego dnia niewiele się odzywałyśmy. Niedługo po zmroku zadzwoniła ciotka Elaine, a ja pracowałam nad obrazem, póki nie zmęczyłam się aż tak, by spróbować zasnąć.

\*\*\*

Piętrzę sprzeczność na sprzeczności, buduję domek z kart albo toporną stertę bierek. Powiedziałam Abalyn, że nigdy nie rozmawiałam z psychiatrą o Evie Canning, ale to nieprawda. Wystarczy zajrzeć na stronę siedemdziesiątą, gdzie napisałam: „Nie wspomniałam jej [Ogilvy], że zapisałam to wszystko, choć kilka razy rozmawiałyśmy o Evie Canning, zarówno tej lipcowej, jak i listopadowej, tak jak rozmawiałyśmy o Philli-pie George'u Saltonstallu i »Tonącej dziewczynie« (obrazie i legendach), a także »Małej syrence«. I o Albercie Perrault i »Podglądaczu całkowitego zniszczenia (z perspektywy czasu)« oraz »Czerwonym Kapturku«".

Kiedy mówiłam Abalyn, że ukryłam to przed doktor Ogilvy, czy się myliłam, czy też po prostu kłamałam? Po co miałabym kłamać? Czyżbym źle to zapamiętała? Napisałam też, że Abalyn powiedziała mi, że razem poszłyśmy na wystawę, ale nie. Moja przyjaciółka Ellen z antykwariatu książkowego namówiła mnie do tego, nie Abalyn, i działa się to pod koniec września, po tym, jak, według Abalyn, już odeszła.

Nie próbuję kłamać.

Kłamię.

Powiadam ci, Indio Morgan Phelps, córko Rosemary Anne i wnuczko Caroline, że nie potrafisz nawet rozgryźć kierujących tobą motywów. Zaciemniasz, zaprzeczasz, kreślisz fałszywe obrazy (świadomie bądź podświadomie) i nie umiesz wyjaśnić dlaczego. To obłąd, wszystko to obłąd. Nie, coś gorszego. Zaczynam tracić wątki mojej historii o duchach. Nie jestem już nawet pewna, czy to naprawdę historia o duchach, a jeśli nie, nie wiem, czym innym może być. Ani jak się posunąć dalej.

Odkładam na bok pytania, które zadałam ostatnim razem, gdy usiadłam przy maszynie mojej babci. Nie dlatego, że nie są ważne, lecz ponieważ... Ponieważ. Może uzyskały odpowiedź, i to dlatego. Decyduję się uznać, że tak właśnie wygląda prawda.

Wczoraj miałam wizytę u doktor Ogilvy, po raz pierwszy od czasu załamania, i chcę napisać o tym wieczorze, o naszym spotkaniu, o tym, co mówiłam i co odpowiadała. Co zostało powiedziane. Ale obudziłam się dziś rano z bólem głowy i od tej pory jeszcze się pogorszył. Mój zwykły koktajl z excedryny i aspiryny nie pomógł. W lewym oku tkwi mi ćwiek, a w czaszce biega w kółko stado gremlinów tłukących w garnki i patelnie. Czaszkowe gobliny. Abalyn ma fiołkę kodeiny, którą dostała od znajomej, zaproponowała mi jedną. Ale nie lubię zażywać cudzych leków na receptę (najwyraźniej Abalyn nie ma podobnych oporów), toteż powiedziałam dzięki, ale nie. Może by i pomogła, ale nie mam pojęcia, czy nie weszłaby w interakcję z moimi lekami, a nie miałam ochoty dzwonić do apteki i sprawdzać. Abalyn zaproponowała, że poszuka w sieci informacji o możliwych negatywnych interakcjach, ale nie ufam informacjom o lekach publikowanym w Internecie: skąd wiadomo, czy ten, kto je napisał, naprawdę wie, o czym mówi?

Doktor Ogilvy ma pięćdziesiąt kilka, może nawet sześćdziesiąt lat. Nigdy nie pytałam jej o wiek, ale zawsze świetnie sobie radziłam ze zgadywaniem, ile lat mają ludzie. Nosi długie włosy, zawsze wiąże je w koński ogon. Gdy się z niego wymykają, sterczą na bok, pofalowane, kędzierzawe. Niemal całkiem już posiwiały, prócz kilku upartych ciemnorudych pasemek. Te pasemka się nie kręcą. Jej oczy patrzą życzliwie i czujnie. Są zielonobrazowe, z przewagą zieleni. Owe łagodne, czujne, zielonobrazowe oczy otacza siateczka drobnych zmarszczek. Doktor Ogilvy często się uśmiecha, ale to łagodny uśmiech, nieodslaniający zębów. Nie wyszczerza ich, i to dobrze, bo szczerzący się w uśmiechu ludzie mnie niepokoją. Zwykle ma pomalowane paznokcie.

Wspominałam chyba o owadach w jej gabinecie? I o tym, że o mało nie poszła na studia, by zostać entomologiem? Ściany jej gabinetu pomalowano na ciemnoczerwono, sprawia to znacznie przyjemniejsze, cieplejsze wrażenie, niż można by się spodziewać. Ciemnoczerwono, nie karmazynowo. Karmazyn ma w sobie nieco fiołeru, a w czerwieni na jej

ścianach nie dostrzegam go ani odrobiny. Podczas pierwszej czy drugiej wizyty wypytywałam ją o wszystkie owady w ramkach, a ona opowiadała mi o nich. Jest tam bardzo dużo chrząszczy, twierdziła, że zawsze szczególnie przepadała za chrząszczami. Nazywa swoje upodobanie do chrząszczy „pozaprofesjonalnym zamiłowaniem koleopterologicznym”. Koleopterologia (ko-le-o-pte-ro-logia) to część entomologii zajmująca się studiami nad chrząszczami. Wyjaśniła, że dwadzieścia pięć procent wszystkich gatunków na ziemi to chrząszcze.

- Bóg - dodała - jeśli istnieje, żywi niepohamowane upodobanie do chrząszczy.

Dodała, że parafrazuje brytyjskiego biologa nazwiskiem Chaldane.

Szczególnie była dumna z olbrzymiego, ponad dziesięciocentymetrowego, czarno-białego żuka zwanego goliatem (*Goliathus goliatus*), którego schwytała sama w czasie wyprawy do Kamerunu, leżącego w Afryce Zachodniej.

- Nie było to zbyt bezpieczne miejsce - powiedziała. - Teraz jest jeszcze mniej bezpieczne. Zapewne lepiej w ogóle nie odwiedzać Kamerunu. To piękny kraj, mieszkają w nim piękni ludzie - i piękne żuki, ale zbyt wiele tam niepokojów politycznych. Nie jedź do Kamerunu, Imp.

Odparłam, że mało prawdopodobne, bym kiedykolwiek się tam wybrała, bo nawet gdybym chciała, nie byłoby mnie na to stać.

Potem pokazała mi dziesiątki motyli i modliszkę podobną do liścia.

-Większości z nich nie złapałam sama. W Nowym Jorku jest taki sklep - „Żuchwa i szczeka” na Columbus, kawałeczek od Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej - i większość okazów kupuję właśnie tam.

Spytałam, czemu na ścianach nie ma żadnych pajaków, i doktor Ogilvy przypomniała mi, że pająki to nie owady, tylko arachnidy, podobnie jak skorpiony i kleszcze.

- Nie kolekcjonuję arachnidów - dodała.

- Ma pani mnóstwo robaków.

- To jeszcze nic. Powinnaś zobaczyć mój dom.

Nie zamierzałam pisać o owadach doktor Ogilvy, więc znów zwłóczę.

„To przecież robisz”, napisała Imp. „Odwlekasz tę chwilę, jakby przez to miała stać się łatwiejsza. Jakbyś sądziła, że jeśli odczekasz dość długo, pójdzie ci jak z płatka. Lekko jak wietrzyk w letni dzień.

Ale nie. Nigdy tak się nie stanie. To będzie huragan”.

Oto, co „wiem” po wczorajszej sesji. Od grudnia 2008, z przerwami, rozmawiałam z doktor Ogilvy o Evie Canning - co oznacza ostatnie

dwadzieścia dwa miesiące. To wynika z jej notatek. Czyli już po lipcowej Evie i w trakcie listopadowej Evy (w którą zaczynam coraz bardziej wątpić jako w... Wrócimy do tego). Doktor Ogilvy doskonale wiedziała, że zmagam się z paradoksem dwóch Ev i tym, że Abalyn rzuciła mnie dwa razy. Na dowód pokazała mi swoje zapiski. Ma ich bardzo gruby plik. Czy wierzy w duchy, wilkołaki i/lub syreny? Oznajmiła, że to nie ma znaczenia, i chyba dostrzegam w tym pewną logikę.

Nie miała pojęcia natomiast, że piszę ten tekst. Kompletnie ją to zaskoczyło - widziałam, choć mam wrażenie, że dołożyła wszelkich starań, by nie pokazać po sobie zdumienia. Pierwszą rzeczą, jaką wczoraj zrobiłam, było pokazanie jej fragmentu, który nazywam „Stronami siódemek”, napisanego podczas załamania. Spytała, czy przeszkadzałoby mi, gdyby przeczytała je na głos, a ja odparłam, że nie (co z całą pewnością nie było prawdą). Kiedy skończyła, niemal dygotałam i chciałam już wyjść.

- To bardzo mocny tekst - powiedziała. - Czyta się go niemal jak zaklęcie.

- Chroniące przed czym?

- To zależy. Twoimi duchami, może też chorobą. Anomalią, z którą zmagasz się od tak dawna. Sprzecznościami. Ale też brzmi jak deklaracja. Śmiałe słowa, przelane na papier. Oczywiście nie powinnaś była przerywać zażywania leków, ale... - Tu urwała. Byłam niemal pewna, że wiem, jak zamierzała dokończyć to zdanie. - Wierzysz, że te sprawy rzeczywiście się wydarzyły? - Postukała palcem w stronicę. - Tak jak je opisałaś?

Zawahałam się.

- Nie - powiedziałam. - Odbiło mi, kiedy usłyszałam od Abalyn, że istniała tylko jedna Eva. Chwytałam się... sama nie wiem. Jeśli nawet w jakiś sposób wymyśliłam sobie drugą Evę, to nie widzę, jak miało mnie to pocieszyć.

- Może zatem to jest pytanie, na które musimy znaleźć odpowiedź - rzekła i poprawiła się: - Nie, ty musisz znaleźć odpowiedź. Ty sama, Imp. - A potem przywołała cytat z Josepha Campbella, który zapisałam wcześniej (a może nie?) o tym, że wolno nam trochę „oszaleć”, by znów odnaleźć własną drogę. - To twoja podróż i jeśli kiedykolwiek masz odnaleźć spokój, uważam, że sama powinnaś spróbować rozwiązać ten problem. Oczywiście, gdybyś mnie potrzebowała, będę tutaj. Może zdołam cię poprowadzić, ale odnoszę wrażenie, że sama zaczynasz już składać fragmenty w jedną całość. A Abalyn chyba pomaga.



- Chce, żebym napisała opowiadanie. O tej drugiej Evie, Albercie Perrault, wystawie i w ogóle.

- A myślisz, że mogłabyś?

Już wcześniej rozmawialiśmy o wystawie Perrault i o tym, jak wpasowuje się - albo i nie - w moją poplątaną chronologię wydarzeń pomiędzy końcem czerwca a zimą 2008-2009. Lipcem, listopadem i w ogóle. Powiedziałam jej, że według Abalyn, nie poszła ze mną na wystawę, ale z pewnością nie wybrałam się na nią sama. Nie odważyłabym się pójść sama.

- Od tego właśnie chciałabym zacząć - oznajmiła doktor Ogilvy. — Chciałabym, żebyś ty zaczęła. - Spojrzała na moją grubą, otwartą teczkę leżącą na kolanach. - Istnieje powód, dla którego sfabrykowałam tę drugą historię, zakładając, że ją sfabrykowałam, i nade wszystko musisz się dowiedzieć dlaczego.

- Nie wiem dlaczego.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale sądzę, że potrafisz to odkryć. Albo dowiedzieć się ponownie. To tkwi gdzieś w twoim umyśle. Nie straciłaś tego, choć skutecznie wyparłaś. Ukryłaś przed samą sobą. Może próbujesz się przed czymś chronić.

- Przed czymś gorszym niż dwie Evy, gorszym niż syreny i wilkołaki? - spytałam, nie starając się nawet ukryć sceptycznej nuty w głosie.

- To twoje pytanie - przypomniała. - Nie moje. Ale mam dla ciebie ćwiczenie. Chciałabym, żebyś spróbowała je wykonać. Chciałabym, żebyś sporządziła dla mnie listę. Wymieniła rzeczy, które wcześniej uważałaś za część prawdy, a teraz zaczynasz wierzyć, że są fałszywe. — (Miała na myśli fakty, nie prawdę, ale jej nie poprawiłam).

- O Evie Canning - dokończyłam.

- Tak. O niej i o wydarzeniach, które się z nią łączą. Dasz radę?

- Tak - mruknęłam, choć wcale nie byłam taka pewna.

Doktor Ogilvy wręczyła mi żółty notatnik i ołówek numer dwa (#2, przekrój sześcioboczny, Blackwing marki Palomino, grafit wysokiej jakości) i oznajmiła, że zostawi mnie samą na czas sporządzania listy.

- Będę na korytarzu. Daj mi znać, kiedy skończysz.

Oto co napisałam (skserowała sobie listę i pozwoliła mi zabrać do domu oryginał):

1. Eva Canning przybyła do mnie tylko raz.
2. Kiedy ją znalazłam, był lipiec, nie listopad.
3. Abalyn zostawiła mnie na początku sierpnia.

4. Być może nigdy nie zdołam ustalić ścisłej, dokładnej chronologii/ narracji owych wydarzeń.

5. Była tylko syrena. Nie było wilka.

6. Abalyn nie poszła ze mną na wystawę Perrault. To była Ellen. I stało się to już po tym, jak Abalyn odeszła.

7. Sama stworzyłam wilka/drugą Evę/wystawę Petrault w ramach mechanizmu obronnego przed wydarzeniami związanymi z lipcową Evą.

8. Była tylko jedna Eva Canning.

A potem wstałam i otworzyłam drzwi, znalazłam doktor Ogilvy na zewnątrz, rozmawiającą z pielęgniarką. Wróciła do gabinetu i znów usiadłam. Ona także i dwa, trzy razy przeczytała moją listę.

— Ostatni punkt - powiedziała. - Chcę, żebyś przed wyjściem skupiła się na ostatnim punkcie. - Zerknęła na zegarek. Zostało mi jeszcze pięć minut do końca sesji.

— Dobra - mruknęłam i sięgnęłam po bezkształtną torbę z materiału, jedną ze starych torebek Rosemary. Położyłam ją sobie na kolanach. Dzięki niej czułam się bezpieczna, a poza tym nie chciałam jej zapomnieć.

- To bardzo potężne wyznanie - oznajmiła doktor Ogilvy. -1 pokazuje głębokie zrozumienie tego, co mogło cię spotkać.

Najwyraźniej spodziewała się, że coś odpowiem, ale milczałam. -Jak myślisz, Imp, dlaczego podejrzewasz, że mogłaś potrzebować mechanizmu obronnego bądź strategii radzenia sobie z lipcową Evą?

- Czyż to nie oczywiste?

- Może, ale chciałabym to usłyszeć od ciebie.

Przez minutę wpatrywałam się w nią. Najprawdopodobniej dosłownie, patrzyłam na nią przez pełną minutę. Pewnie w moich oczach dostrzegła wahanie i niepokój.

— Syreny — rzekłam w końcu - śpiewem wabią nas, byśmy utonęli albo rozbili swój statek. Śpiewają, a jeśli słuchamy, ich pieśń nakazuje nam robić to, czego w przeciwnym razie byśmy nie zrobili. Manipulują nami, by osiągnąć własne cele. Nienawidzę myśli, że ktoś mógłby mną manipulować. Ale wilk, wilk był bezradny, to tylko duch, który mnie potrzebował, by przypomnieć sobie, że był kiedyś wilkiem, tak by zawsze już o tym pamiętał.

Uśmiechnęła się nieco szerzej niż zwykle, a ja wbiłam wzrok w swoją torbę.

- Jak myślisz, do czego zmusiła cię lipcowa Eva, Imp?

- Nie mogę tego powiedzieć. Może później, ale nie teraz. Proszę mnie więcej nie pytać.

- Przepraszam. Nie chciałam naciskać.

I wtedy przypomniałam, że mój czas dobiegł końca, a ona wklepała coś w komputer, ustaliła termin następnej wizyty i przygotowała recepty, pisząc w tajemnym języku, który potrafią odszyfrować tylko lekarze i farmaceuci.

- Zastanów się nad liczbą siedem - powiedziała tuż przed tym, nim wyszłam.

— Pomyśl o niej trochę. (7/7/7)

- Bez przerwy o niej myślę - odparłam.

Kiedy wyszłam, padało, deszcz kapiący na pryzmę brudnego śniegu był strasznie brzydki, toteż wolałam wpatrywać się w niebo.

\*\*\*

Autobusem jechała starsza Portugalka, miała źle dopasowaną protezę i wielki pieprzyk między oczami. Z pieprzyka wyrastały trzy grube, siwe włosy. Mimo zimna, miała na sobie jadownicie zielone klapki i podkoszulek. Tak jak ja, nie była normalna, tyle że wątpię, by zażywała jakiegokolwiek leki. Siedziała naprzeciwko mnie i gadała do siebie, irytując innych pasażerów, którzy cały czas gniewnie na nią zerkali.

- Nie zimno pani? - spytałam.

Wyraźnie zaskoczyło ją, że ktokolwiek zechciał się do niej odezwać.

- A czy wszystkim nie zimno o tej porze roku?

- Powinna pani włożyć płaszcz. I lepsze buty.

- Powinam - zgodziła się. - Ale wiesz, buty i płaszcze zasłaniają zbyt wiele skóry.

- Musi pani widzieć swoją skórę?

- A ty nie?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Spytałam jak się nazywa, a ona spojrzała na mnie, mrużąc oczy, jakby próbowała odgadnąć, jakież to niski, złowieszczy, podstępny powód kazał mi o to spytać.

-Teodora - odparła. - Kiedy miałam imię, brzmiało Teodora. Ale pewnego dnia odeszło, gdy zapomniałam o pilnowaniu skóry. Więc teraz nie wiem. Ale kiedyś miałam na imię Teodora.

-Ja mam na imię India - poinformowałam, a ona roześmiała się, przez co za luźne protezy przesunęły się odrobinę.

- To dziwne imię, panienko.

- Mama wzięła je z „Przeminęło z wiatrem”. To taka książka, jedna z bohaterek nazywa się India Wilkes.

- To książka - powtórzyła, potem dodała: — To twoje imię. Jesteś książką. - Przez chwilę wyglądała przez okno, na wystawy sklepów wzdłuż Westminster.

- Przepraszam, jeśli pani przeszkodziłam - rzekłam. A ona westchnęła, nie odrywając wzroku od okna.

- Nie przeszkodziłaś mi, Indio Wilkes. Ale pilnuj swojej skóry. Nie noś tak wielu ubrań. Nikt już nie wie, że trzeba pilnować skóry. Spójrz na nich. Nikt w tym autobusie nie pilnuje swojej skóry. Nic dziwnego, że w nocy ucieka. Pilnuj skóry, inaczej zaczniesz się poruszać.

Dałam jej pięć dolarów, choć mnie nie prosiła. Ścisnęła zwinięty w kulkę banknot w lewej, niezbyt czystej dłoni. Ostatnio na pewno się nie kąpała.

- Będę bardziej pilnować swojej skóry - zapewniłam ją. - A pani niech się ogrzeje i coś zje.

Nie odpowiedziała i wysiadłam na następnym przystanku. Kierowca chciał wiedzieć, czy Teodora mi się narzucała, czy żebrała.

- Nie - odparłam. - Tylko rozmawialiśmy. Wówczas spojrzał na mnie zabawnie.

- Tak mówisz - powiedział.

W domu na Willow Street Abalyn siedziała, krzyżując nogi, na podłodze przed telewizorem, i grała w „Fallout: New Vegas”. Znałam ten tytuł tylko dlatego, że podała mi go zeszłego wieczoru. Była postacią imieniem Courier i wędrowała po postapokaliptycznej pustyni Mojave, próbując znaleźć zgubioną paczkę, zawierającą platynowy żeton pokerowy. Dla mnie nie miało to większego sensu. Powiedziałam jej, że idę pisać opowiadanie i że będę w niebieskim pokoju, pełnym zbyt wielu regałów z książkami.

- Mam ci przypomnieć o obiedzie? - spytała.

Odparłam, że jeśli zgłodnieję - a wiedziałam, że zapewne tak się nie stanie - wyjdę i poszukam sobie czegoś do jedzenia. Ale i tak podziękowałam za propozycję.

I tak napisałam swoją historię o listopadowej Evie, której nie znalazłam na Valentine Road, tyle że okazała się bardziej historią o Albercie Perrault i Elizabeth Short. Wyszła tak, jak musiała. Ponieważ nie potrafiłam deklamować fałszywych faktów, zajęłam się deklamacją prawdy. Martwiłam się, że doktor Ogilvy może zakwestionować użyteczność napisania historii o wilku, tylko pośrednio łączącej się z moją historią o wilku. Ale nie zrobiła tego, nawet gdy zasugerowałam, że jedynie wstawiłam jedno pudełko w drugie, że udało mi się wyłącznie stworzyć fikcję zamykającą w sobie inną fikcję.

-Jeśli fikcja została zamknięta - odparła - to zyskałaś nad nią kontrolę.

A ja nie protestowałam. Potrzebowałam pięciu dni i (nocy), by napisać „Uśmiech wilkołaka” i nigdy nie spróbuję go sprzedać żadnemu pismu. Nie należy do nikogo oprócz mnie.

„UŚMIECH WILKOŁAKA”

### **AUTORSTWA INDII MORGAN PHELPS**

Nie wiem, czy to prawda, że Eva spała z Perrault. Prawdopodobnie tak. Wiem, że spała z mnóstwem innych mężczyzn — mężczyzn i kobiet - w owe noce, gdy wymykała się ode mnie, spowita w kokon dymu papierosowego, perfum i obojętnych półprawd. Kiedy ktoś odważył się określić ją jako wyznawczynię poliamorii, śmiała się. Chyba że oczywiście była w jednym ze swoich mrocznych nastrojów, wówczas mogła zrobić coś gorszego niż śmiech. Ja nigdy nie nazywałam jej poliamoryczką, bo wiedziałam, że nie kochała żadnego z nich, tak jak nie kochała mnie. W jej przygodach nie kryła się żadna amour.

— Po prostu lubię się puszczać - mówiła to, lub coś bardzo podobnego. - Nie potrzeba mi do tego bajeranckiej greckiej nazwy ani pieprzonej flagi na paradzie równości. Jestem rozpustnicą. Lubię to. - A potem mogła dodać: - Mnie raczej zastanawia, Winter, czemu ty tego nie robisz.

Niemal nigdy nie nazywała mnie prawdziwym imieniem, a ja nigdy nie pytałam dlaczego zaczęła mówić mi Winter. Ostatecznie poznałyśmy się w lipcu. W bardzo upalny lipcowy dzień. Ale zapewne przespała się z Albertem Perrault. Lubiała nazywać siebie jego uczennicą. Słyszałam, jak robiła to przy kilku okazjach. Uważała, że darzy ją szczególnymi względami.

Oczywiście, poza łóżkiem. Cieszyło ją, gdy wyobrażała sobie, że znaczy dla niego więcej niż zwykli studenci, jakby był czymś w rodzaju świętego proroka, jej własną *bete noire*, przybyłą, by poprowadzić ją w miejsca, które przez całe życie jedynie połowicznie sobie wyobrażała i nigdy nie śmiała marzyć, że kiedyś ujrzy je na własne oczy. Zakładała - z jego obrazów, z tego, co malował - że on je widział, z jego obrazów, z tego, co malował. Że ma jej do pokazania coś jeszcze, prócz obrazów. Eva wiele zakładała. Ale nie pytajcie mnie, co naprawdę o niej myślał. Ledwo z nim rozmawiałam, i to bardzo krótko. Wymieniliśmy w sumie zaledwie garść wyjątkowo powierzchownych uwag. To były szybkie, przelotne, płytkie wymiany zdań, choć nigdy nie krępujące. Nie wiem, co myślał o niej jako o artystce ani jako kochance, ani czy czerpał jakąkolwiek satysfakcję z moich podejrzeń co do ich dwojga. Czasami pragnęłam go ostrzec (często chciałam ostrzec innych przed Evą), ale zawsze brakowało mi odwagi albo zapału, a poza tym pewnie zadziałałoby to równie dobrze, jak ostrzeżenie Heroda przed Salome. Najpewniej udałoby mi się tylko sprawić, by wziął mnie za zazdrośnicę, wkurzoną, zieloną trzecią w tej pokawałkowanej *menage a trois*, próbującą wsadzić kij w szprychy. Rozumiem jednak, jak można źle zinterpretować moje uczucia do Evy. Bo ja jej nie nienawidzę. Kocham ją i kochałam od owego upalnego lipcowego dnia pięć lat temu, gdy się poznałyśmy. Wiem, że to dlatego jestem potępiona. Bo nie mogę się odsunąć. Nie potrafię się odsunąć. Mimo jej wszystkich kochanków, mimo Perrault i Dalii, i wszystkiego, co robiła i mówiła, potwornych rzeczy, które przez nią oglądałam, całego gówna, które na zawsze już pozostanie w mojej głowie, nadal ją kocham. Najwyraźniej nie mam w tej kwestii najmniejszego wyboru, bo owszem, usiłowałam znienawidzić Evę. Przekonałam się jednak, że próby niekochania jej są jak próby przywracania sobie zdrowia życzeniami, na przykład wiara, że samą siłą woli można przekonać zgangrenowaną ranę, by z martwicy zamieniła się w zdrowe, różowe ciało. Obumarłą tkankę trzeba wyciąć, inaczej się umrze, a mnie ewidentnie brak podstawowej determinacji, niezbędnej, by wyciąć z siebie Evę. I zastanawiam się, czy ją kiedykolwiek nawiedzały podobne myśli o mnie bądź Albercie Perrault? Obsadzam ją w roli, którą jej wyznaczyłam, którą sama sobie przypisuje - świadomej nosicielki zarazy, ale może Eva była zaledwie jedną z zarażonych? Możliwe, że to nie ona odegrała Tyfusową Mary umysłu i duszy. Nie wiem na pewno, a zmęczyły mnie już domysły. Lepiej zatem ograniczyć te dywagacje do spraw, o których przynajmniej wydaje mi się, że wiem,

prawda? A kiedy siadłam, by napisać o niej i Perrault, w moim umyśle tkwiła Dalia, nie wszelkie bezużyteczne (i ogólnie abstrakcyjne) pytania o miłość, wierność i zamiary. Jak miałabym udawać, że znam zamiary Evy? Nazywała siebie kłamczuchą równie często jak rozpustnicą i dziwką. Stanowiła fizyczne ucieleśnienie pseudomenonu, świadome, żywe wcielenie Paradoksu Kłamcy.

— Och, Winter, wszystko, co kiedykolwiek ci powiedziałam i powiem, to kłamstwo, ale to jedno jest prawdą.

A teraz zastanówcie się nad tym. I nie przemawiam tu metaforami, nie parafrazuję. W tym przypadku nie muszę polegać na nieuniknienie niepewnej pamięci, bo gdy wymówiła te słowa, tak bardzo mną wstrząsnęła, tak zaskoczyła swoją bezczelnością, że niecałą godzinę później zapisałam je w oprawnym w czarny moleskin notesie, który Eva podarowała mi z okazji moich trzydziestych piątych urodzin. Dokładnie tak powiedziała. A ja siedziałam bez ruchu i słuchałam, bo jak mogłam odmówić wysłuchania jedynej prawdy wypowiedzianej przez kobietę, której nigdy nie wolno rzec nawet jednej prawdy? Siedziałam na podłodze mojego mieszkania (nigdy nie myślałam o nim jako o naszym mieszkaniu) i słuchałam.

— Śmiertelnie mnie to wystraszyło - ciągnęła - i nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie pięknego. - Przypuszczam, że to właśnie była jej jedyna prawda, która siłą rzeczy także musiała być kłamstwem. Ona jednak ciągnęła dalej, i to bardzo długo, a ja siedziałam pod oknem, nie słuchając. W odtwarzaczu tkwił kompakt Smiths, puszczonej w pętlę, i mam wrażenie, że płyta zdążyła odtworzyć się dwukrotnie, nim Eva skończyła opisywać mi plany najnowszej instalacji Perrault.

— Paralele są oczywiste i przyznaje się do nich z góry. *Le Petit Chaperon Rouge*, Czerwony Kapturek. *Rotkappchen* i tak dalej. Geniusz zasadza się jednak nie na samym skojarzeniu, lecz na wykonaniu. Skumulowanym efekcie poszczególnych elementów, zarówno obrazów, jak i reprodukcji najróżniejszych artefaktów związanych z morderstwem Elizabeth Short.

Kiedy odparłam, że wszystko to brzmi strasznie pretensjonalnie i niewiarygodnie upiornie, Eva wyśmiała mnie. Śmiała się głośno, przypominając gry, w które się bawiliśmy, niezliczone sceny.

— Wiem, Winter, udajesz, że twoje serce nie jest tak przegniłe jak moje, ale spróbuj przynajmniej nie zachowywać się jak pieprzona hipokrytka.

I tu znów widać nasz uroczy paradoks, ponieważ oczywiście miała absolutną rację. Nie przypominam sobie, bym jeszcze raz przerwała jej

tej nocy. Nie pamiętam nawet, która płytę Smithsów puściłyśmy. Nawet jednej piosenki.

-Wiesz - rzekła - zanim przyjął się przydomek „Czarna Dalia”, gazety w Los Angeles nazywały to morderstwem wilkołaka. - Przez chwilę milczała, wpatrując się we mnie, i uświadomiłam sobie, że na coś czeka, że o mało nie zapomniałam, co powinnam powiedzieć.

- Dlaczego? - spytałam z opóźnieniem. - Dlaczego je tak nazwali? Zapaliła papierosa i wydmuchnęła dym ku wysokiemu, białemu sklepieniu. Wzruszyła ramionami.

- Albert próbował się dowiedzieć, ale najwyraźniej nikt nie ma pojęcia. W tamtych czasach dziennikarze z LA zawsze obdarzali morderstwa wymyślnymi, krzykliwymi nazwami. Bardzo często miały coś wspólnego z kwiatami. Morderstwo Białej Gardenii, Morderstwo Czerwonego Hibiskusa i tak dalej. Sądzi, że wilkołak być może miał coś wspólnego z uśmiechem, który zabójca wyciął jej na twarzy, praktycznie od ucha do ucha, że w pewnym sensie uśmiech ten upodabniał Short do wilka. Ale dla mnie to wciąż nie ma sensu. Ja założyłam, że gazety nazywały wilkołakiem mordercę, nie ofiarę. - Wówczas jedyny raz słyszałam, jak Eva nie zgadza się z Perrault. Znowu wzruszyła ramionami i ponownie zaciągnęła się papierosem. - Tak czy inaczej, to świetne otwarcie, a on zamierza wykorzystać je na wszelkie możliwe sposoby. Nie powiedział mi, jak, nie do końca. Ale wiem, że rozmawiał z wypychaczem zwierząt. Jakimś gościem, z którym już kiedyś pracował. - I tak dalej, i dalej, ona mówiła, a ja słuchałam. - To bardzo ekscytujące - ciągnęła - patrzeć jak się rozwija, wykorzystuje możliwości innych mediów. Podobnie zrobił z kamieniami w zeszłym roku w Nowym Jorku - tymi w klatkach. To właśnie pchnęło go na nowe tory. Sam tak twierdzi. Och, i nie mówiłam ci jeszcze, w zeszłym tygodniu zadzwonił do niego ktoś z Hollywood. Nie mówił, kto, ale to ktoś ważny.

Daję słowo, choć może mi nie uwierzycie, wcale nie staram się zrobić z niej większej, zadurzonej, lizusowatej idiotki - naprawdę tak brzmiała owej nocy. Wiedziała, że nie przepadam za pracami Perrault, że mnie konfundują, i pewnie dlatego tak często o nim gadała. Po zastanowieniu uważam, że pewnie też dlatego w ogóle zaczęła się z nim pieprzyć (zakładając, że się nie myłę w tej kwestii i że faktycznie się z nim pieprzyła). Ale chwileczkę.

Już zbyt wiele powiedziałam na temat tej nocy. Nie zamierzałam gadać o niej i gadać, jedynie przedstawić ją jako prolog do tego, co zaszło



później. Była zima, późna zima w Bostonie, i to wyjątkowo śnieżna zima. Właśnie zaczęłam pracować w księgarni, czasami brałam też dodatkową zmianę w kafejce przy Newbury Street. Wątpię, czy w tym czasie Eva pracowała, chociaż sama siebie nazywała osobistą asystentką Perrault, a on nawet jej na to pozwalał. Nie mam jednak pewności, czy w grę wchodziła jakakolwiek praca - bo na pewno nie pieniądze. Eva była tylko puszczałką dziwką. Brakowało jej niezbędnej motywacji, by stać się czymś tak lukratywnym i użytecznym jak kurwa. Odgrywając jednak rolę jego asystentki, brała udział we wszystkich świątwniach, w których babrał się tej zimy, planując wystawę w LA, Dalię. Perrault bardzo wcześnie postanowił nazwać swoją instalację Podglądaczem Całkowitego Zniszczenia, w nawiązaniu do jakiegoś numeru Davida Bowiego. Słyszałam od Ewy, że podpisał umowę książkową z wydawcą z Manhattanu na wielki, kolorowy album, choć niezbyt dużo mu zapłacili. Słyszałam od Ewy, że nie przejął się skromną zaliczką, bo zależało mu na kolorze. Szczerze mówiąc, większość z tego, co wiedziałam o Albercie Perrault, usłyszałam od Ewy, nie podczas własnych, wcześniej wspomnianych, przelotnych rozmów z nim samym. W każdym razie, tego samego dnia, gdy Eva poinformowała mnie o książce, oznajmiła też, że będzie mu pozować do kilku rzeźb stanowiących elementy instalacji. Wymagały odlewów, co oznaczało, że będzie musiała polecieć do LA, bo Perrault miał w jednym ze studiów zajmujących się efektami specjalnymi znajomego charakteryzatora, który zgodził się zrobić mu to za darmo. Z tego, co mi wiadomo, Perrault był specem od przekonywania ludzi, by robili coś dla niego za darmo. Weźmy na przykład Evę. Zatem podczas najgorszych lutowych śnieżyc zniknęła na tydzień i miałam całe mieszkanie i łóżko wyłącznie dla siebie. Kiedy nie pracowałam ani nie brnęłam do, lub z, pracy wśród czarnoszarej brei zalewającej ulice, ani nie jechałam pociągiem, spałam, oglądałam stare filmy i bez szczególnego zapału czytałam zbiór Nabokova „Krasawica i inne opowiadania”. Było to pierwsze wydanie, z autografem autora i tak naprawdę należało do Perrault. Pożyczył je Evie, zalecając, by przeczytała ten zbiór od deski do deski, lecz Eva rzadko cokolwiek czytywała, poza bzdetami o astrologii i poradnikami. Och, miała prenumeratę „New Yorkera” i „Wired” i „Interview”, bo uważała, że świetnie wyglądają na stoliku. Czy raczej sprawiają, że ona wygląda świetnie. Ale nigdy ich nie czytywała, nie przeczytała też nawet jednej stroniczki ze zbioru Nabokova. Ja natomiast, podczas jej pobytu w Kalifornii przeczytałam większość, ale pamiętam tylko jedno, o karle, niejakim Fredzie Dobsonie. Fred Dobson

zrobił komuś dziecko i na końcu umarł. To wszystko, co pamiętam. Eva wróciła do domu w piątek wieczorem, nietypowo małowówna. Głównie siedziała sama w maleńkiej kuchni, paląc i wypijając kolejne kubki parującej herbaty ziołowej. W sobotni wieczór pieprzyliśmy się pierwszy raz, odkąd zaczęła się spotykać z Perrault. Kazała mi użyć dwustronnego silikonowego dildo, a mnie to nie wadziło. Doszłam dwa razy. Nie jestem pewna, ile razy szczytowała Ewa, bo podczas seksu zawsze była bardzo cicha, spokojna i nieruchoma. Po wszystkim leżałyśmy razem, zupełnie jak na początku, tuż po tym, jak się poznałyśmy, nim zrozumiałam, czym jest martwica. Wpatrywałyśmy się w wielkie wykuszowe okno nad łóżkiem, na płatki śniegu opadające leniwymi spiralami z lodowego nieba.

- W Japonii nazywają je harigata - powiedziała i dopiero po chwili zrozumiałam, że mówi o dwustronnym dildo. - Tak przynajmniej twierdzi Albert - dodała, i złudzenie, że powróciłyśmy do początku, że nie znam jeszcze prawdy o niej, natychmiast się rozplynęło.

Leżałam nieruchomo, trzymając Evę w ramionach, patrząc, jak śnieg oblepia ramę okna. Część z niego stopniała, część nie. Spytałam, czy wszystko w porządku, czy podczas pobytu w Los Angeles nic się nie stało. Odparła, że nie, nic się nie stało, ale było to bardzo intensywne przeżycie, tak bliska współpraca z Perrault.

- Czasami czuję się tak, jakbym znalazła się w jego głowie, jakbym była tylko kolejnym płótnem lub paroma garściami gliny.

Wkrótce potem zasnęła, a ja wstałam, wysikałam się, sprawdziłam pocztę, a potem niemal do świtu oglądałam telewizję, choć następnego dnia musiałam pracować. Nie chciałam leżeć w tym samym łóżku z tym, o czym śniła tamtej nocy.

Potem nie widziałyśmy się dwa lub trzy dni. Pojechała pociągiem do Providence, załatwiając jakąś sprawę dla Perrault. Nie wdawała się w szczegóły, a ja nie pytałam. Gdy jednak wróciła do domu, zachowywała się jak dawna Eva. Zamówiłyśmy chińskie jedzenie na wynos, mu gu coś tam, gołębia kung pao, a ona opowiadała mi o odlewach, które z niej zrobili. Jej nagie ciało wysmarowano wazeliną, a potem pokryto grubą warstwą niebieskiej żywicy. Kiedy stężała, ją z kolei oklejono gipsowymi bandażami, tworząc z żywego ciała Evy formy do rzeźb Perrault. Spytałam, czy wsunęli jej słomki do nosa, by mogła oddychać. Ona roześmiała się i zmarszczyła brwi.

- Nie robią tego - wyjaśniła. - Po prostu uważają, by nie zatkać nozdrzy. To klaustrofobiczne przeżycie, ale całkiem przyjemne. - Wyjaśniła,

że każdej z form można użyć tylko raz, potem zostanie zniszczona i że w ciągu pięciu kolejnych dni wykonali pięć odrębnych odlewów.

- Kiedy to wszystko stwardniało, czy mogłaś się poruszać? - spytałam, a ona znów zmarszczyła brwi.

- Oczywiście, że nie można się ruszać - odparła. - Gdybym się poruszyła, to bym wszystko zniszczyła.

Nie pytałam, co dokładnie Perrault zamierzał zrobić z formami, a Eva mi nie powiedziała. Lecz następnego dnia wyciągnęła zdjęcie jednego z obrazów Alberta Perrault i poprosiła, żebym je obejrzała. Eva nigdy, przekurwa-nigdy o nic nie prosiła, toteż powinnam to była potraktować jako sygnał alarmowy. Mimo panującego w mieszkaniu chłodu - grzejnik znów kaprysił - cała się spociła. Spociła się i sprawiała wrażenie chorej. Spytałam, czy ma gorączkę. Eva pokręciła głową. Spytałam, czy jest pewna, bo może złapała coś w samolocie albo podczas pobytu w LA, a ona warknęła w odpowiedzi i wepchnęła mi do ręki zdjęcie. Było kolorowe, odbitka 8 x 10 cali na matowym papierze. Na nalepce na odwrocie, starannym, czarnym couriemerem na białym tle wypisano na maszynie tytuł obrazu. Brzmiał „Fecunda ratis”, była też data (której nie pamiętam). Obok, na samym zdjęciu, czymś, co wyglądało jak długopis, dodano słowa *Depuella a lupellis seruata*, o dziewczynce uratowanej spośród wilczych szczeniąt, około 1022-1024; Egbert z Liege.

- Kto to jest ten Egbert z Liege? — spytałam.

Posłała mi gniewne spojrzenie i przez parę sekund sądziłam, że mnie uderzy. Nie byłby to pierwszy raz.

- Skąd niby mam, do diabła, wiedzieć? - warknęła, odpowiadając na moje pytanie własnym. - Może, kurwa, popatrzysz na zdjęcie. Winter, na miłość boską, obejrzyj przednią stronę, nie cholerny tył.

Przytaknęłam i odwróciłam fotografię. Natychmiast rozpoznałam dzieło Perrault, choć tego akurat obrazu nigdy wcześniej nie widziałam. Jest coś charakterystycznego w łatwej przemocy, świadomej niestaranności pociągnięć pędzlem. Zupełnie jakby Edvard Munch spróbował sfalszować dzieło Van Gogha. No, prawie. Z początku z ciemnej, rozmazanej plątaniny olejów, niezliczonych odcieni szarości przełamanych jedynie najslabszymi pogłoskami zieleni i alabastru, w żaden sposób nie chciał się wyłonić żaden znaczący kształt, nawet sugestia kompozycji. Blisko środka fotografii ujrzałam samotną, szkarłatną smugę, barwny kontrast całej tej szarzyzny. Pomyślałam, że wygląda jak rana. Nie powiedziałam tego Evie, ale takie właśnie odniosłam wrażenie. Jakby ktoś, może sam

Perrault albo ktoś inny, rzucił się na płótno z nożem bądź parą nożyczek. Bóg jeden wie, że kilka razy sama miałam na to ochotę. Mogłabym nawet argumentować, że czasami jego sztuka najwyraźniej powstaje po to, by prowokować dokładnie taką reakcję. To sztuka zaprojektowana, zaplanowana tak, by pobudzić pierwotny instynkt „uciekaj albo walcz”, sięgać w głąb głowy i porządnie ścisnąć tylny płąt, oddzielając drapieżniki od ofiar.

- Co widzisz? - spytała Eva. A ja odpowiedziałam:

- Jeszcze jeden gówniany obraz Perrault.

- Nie bądź świnią - rzuciła. - Powiedz mi, co widzisz. Powiedziałam, że sądziłam, że chce usłyszeć moją szczerą opinię, a ona

pokazała mi palec; chyba faktycznie sobie zasłużyłam. Spojrzałam na nią - wciąż się pociła, a także zagryzała dolną wargę. Patrzenie jej w oczy było niemal równie przykre, jak próbowanie odnalezienia jakiegoś sensu w „Fecunda ratis”, toteż z powrotem skupiłam wzrok na ponurym chaosie zdjęcia.

- Czy to też część wystawy? - spytałam.

- Nie - odparła, a potem dodała: - Nie wiem. Może, ale nie wydaje mi się. To stary obraz, ale on twierdzi, że znaczący. Albert już go nie ma, sprzedał kolekcjonerowi po wystawie w Atlancie. Nie wiem, czy wciąż ma do niego dostęp.

Słuchałam, ale nie odpowiedziałam. Jej głos drżał, jakby słowa nie do końca łączyły się ze sobą, a ja jeszcze mocniej skupiłam się na poszukiwaniu sensu w „Fecunda ratis”. Pożałowałam, że nie mam drinka, i omal nie poprosiłam Evy, by poczęstowała mnie jednym ze swoich papierosów, „American Spirit”, które zaczęła palić, kiedy poznała Perrault; ja sama rzuciłam palenie wiele lat wcześniej. Strasznie zaschło mi w ustach; tak bardzo, że czułam się tak, jakbym wypchała policzki kulkami waty.

- Co widzisz? - spytała ponownie, desperacko, niemal szeptem, ja jednak puściłam to mimo uszu, bo nagle plama zaczęła nabierać wyraźniejszych kształtów, stając się cieniami i materialnymi obiektami rzucającymi cienie. Postaciami, krajobrazem i niebem. Szkarłatna plama stanowiła klucz.

- „Czerwonego Kapturka” - odparłam, a Eva roześmiała się bardzo cicho, jakby śmiała się tylko do siebie.

- „Czerwonego Kapturka” - powtórzyła, a ja ponownie skinęłam głową.

Czerwona smuga tworzyła nieruchomy punkt, nekus bądź oś w centrum wiru i zrozumiałam, że ma to być czapeczka bądź czepek, szkarłatna, wełniana czapka tkwiąca na głowie nagiej dziewczynki klęczącej na czworakach. Dziewczynka pochylała głowę, toteż nie widziałam jej twarzy - jedynie splątany gąszcz włosów i tę okrutną, nieprzystającą czerwoną czapkę.

Owszem, okrutną czerwoną czapkę, bo ani wtedy, ani teraz nie potrafię zinterpretować żadnego elementu tego obrazu w sposób inny, niż przypisując im złe zamiary. Nawet klęcząca dziewczynka, pełniąca rolę krwawej ofiary, wydała mi się współpiskowcem. Otaczały ją czarne jak węgiel, potężne postaci, przez moment wierzyłam, że to wysokie, kamienne menhiry, dolmeny, surowy, megalityczny krąg, pośrodku którego znalazła się dziewczynka. Ale potem pojęłam, że nie, to miały być bestie. Wielkie kudłate stwory, siedzące na tylnych łapach i obserwujące dziewczynkę. Obraz przedstawiał ostatnią długą chwilę przed śmiercią ofiary. Ale ja nie pomyślałam śmierć. Pomyślałam morderstwo, choć jak już wspominałam, postaci otaczające małą sprawiały wrażenie zwierząt. Zwierzęta nie mordują, ludzie owszem. Mężczyźni, kobiety, nawet dzieci, ale nie zwierzęta.

— Śni mi się niemal co noc - oznajmiła Eva, bliska łez, i zapragnęłam podrzeć zdjęcie na strzępy, poszarpać na maleńkie, bezsensowne kawałeczki.

Nie kłamię, kiedy mówię, że kochałam i wciąż kocham Evę, a „Fecunda ratis” wydał mi się chorą gierką, jaką Perrault prowadził z jej umysłem, gdy wręczył jej to ohydne zdjęcie i oznajmił, że wiąże się z obecną instalacją. Spodziewając się, że uważnie je przestudiuje. Że stanie się jej fiksacją, obsesją. Zawsze uważałam, że od artystów (malarzy, rzeźbiarzy, pisarzy, filmowców itd.) wymaga się w pewnym stopniu manipulacji, ale tylko nieliczni stają się (bądź są od początku) sadystami. Nie mam cienia wątpliwości, że Perrault to sadysta, niezależnie od tego, czy jego dewiacja ma też aspekt seksualny. Widać to niemal we wszystkim, co zrobił, i tej nocy dostrzegłam to także w jej oczach.

— Evo, to tylko „Czerwony Kapturek” — powiedziałam, odkładając zdjęcie wierzchem do dołu na stolik. - To tylko obraz i naprawdę nie powinnaś pozwolić, by do tego stopnia tobą zawładnął.

Odparłam, że nie rozumiem i że pełna imersja jest niezbędna, jeśli w ogóle ma mu się na coś przydać. Potem zabrała zdjęcie i siedziała, wpatrując się w nie. Nie odezwałam się więcej, bo nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym

rzec. W żaden sposób nie zdołałabym stanąć pomiędzy nią i jej *bete noire*, ani nawet pomiędzy nią i czarnymi bestiami, które stworzył na „Fecunda ratis”. Wstałam i poszłam do kuchni przygotować obiad, choć nie byłam głodna, a w tym czasie Eva prawie nic nie jadła. Znalazłam w kredensie puszkę rosołu z kury „Campbella” i spytałam, czy zje trochę, jeśli ją zagrzeję. Nie odpowiedziała. Nie odezwała się ani słowem, jedynie siedziała na kanapie, wbijając spojrzenie niebieskich oczu w fotografię, nie zaszczycając zerknięciem niczego ani nikogo innego. Było to jakieś trzy tygodnie przed tym, nim poleciała do Los Angeles po raz ostatni. Nigdy już nie wróciła do Bostonu. Nie wróciła do mnie. Nigdy więcej jej nie widziałam. Ale chyba uprzedzam wypadki, choć tylko odrobinę. Pod koniec kwietnia, gdy Perrault wciąż pracował nad elementami swojej instalacji, którą miał otworzyć pierwszego czerwca w galerii Subliminal Thinkspace Collective, zadzwoniła do mnie roztrzęsiona. Spoglądając wstecz, łatwo powiedzieć, że powinnam była poważniej potraktować ten telefon. Ale pracowałam wtedy na dwóch posadach i dochodziłam do siebie po grypie. Ledwie udawało mi się zapłacić czynsz. Nie mogłam tak po prostu wszystkiego rzucić i pojechać za nią. Kiepski ze mnie dzielny książę, nie nadaję się na błędnego rycerza. Zresztą, i tak nie jestem do końca pewna, czy tego by chciała. To znaczy, żebym ją ocaliła. Sama wizja Ewy jako dziewczęcia w tarapatach wygląda jeszcze bardziej absurdalnie niż obraz mnie w roli zbawczyni. Co pokazuje tylko, jak śmiertelnie groźne pułapki budujemy dla siebie, tworząc swoje persony. Oczekiwania same zaczynają się spełniać. Później płaczemy i narzekamy, uzalamy się nad sobą i tępo zdumiewamy z powodu tego, że nie zdołaliśmy nic zrobić. Terapeuta, którego odwiedzałam przez jakiś czas, mówił, że to „kompleks ocalałego”. Spytałam go owego dnia, czy sekretem lukratywnej kariery w zawodzie psychologa jest mówienie ludziom tego, od czego poczują się lepiej, uwalnianie ich od odpowiedzialności. Rozglądałam się dokoła i widzę tak wielu ludzi zajętych uwalnianiem się od odpowiedzialności. Przekazujących pałeczkę, zrzucających winę na innych. Ale to ja nic nie zrobiłam, a Perrault namieszał jej w głowie, a Eva potrzebowała tej jego inwazji tak bardzo, że była gotowa zapłacić za ów przywilej własnym życiem. Ja płaciłam terapię wyłącznie pieniędzmi, a i to nie do końca, bo zawsze używałam karty MasterCard, wiedząc od początku, że w żaden sposób nie zdołam jej spłacić. Mimo to, podczas naszej następnej sesji doktor Nazwisko Do Wiadomości Redakcji zasugerował, że niektórzy z nas poddają się terapii słabiej niż inni i być może wcale nie chcę, by mi się „polepszyło”,

przestałam więc go odwiedzać. Sama potrafię być dręczona kompleksami ocalałych, nie muszę do tego robić dodatkowych długów. Eva zadzwoniła pod koniec kwietnia. Płakała.

Nigdy wcześniej nie słyszałam jak płacze i dźwięk ów był równie nieoczekiwany, jak niepokojący.

Rozmawiałyśmy jakieś dziesięć, najwyżej piętnaście minut. Mogłybyśmy gadać znacznie dłużej, gdyby moja komórka miała tego popołudnia lepszy zasięg i gdybym mogła oddzwonić, gdy w końcu nas rozłączyło (próbowałam, ale numer był zablokowany). Eva nie wyjaśniła otwarcie, co tak bardzo nią wstrząsnęło. Powiedziała, że za mną tęskni. W istocie powtórzyła to kilka razy, a ja odparłam, że też za nią tęsknię. Raz po raz wspominała o bezsenności i złych snach, i o tym, jak bardzo nie cierpi Los Angeles i chce wrócić do Bostonu. Zaproponowałam, żeby w takim razie wróciła już do domu, ale ona odrzuciła ten pomysł.

- On mnie tu potrzebuje - oznajmiła. - To dla mnie najgorszy moment na wyjazd. Absolutnie najgorszy. Nie mogłabym tego zrobić, Winter. Nie po tym wszystkim, co Albert zrobił dla mnie. - Powiedziała to albo coś bardzo podobnego.

Jej głos brzmiał tak strasznie słabo, tak cienko i krucho pośród szumów, rozciągnięty na odległość tysięcy mil, które musiał pokonać, zanim do mnie dotarł. Miałam wrażenie, że rozmawiam z duchem Ewy. Nie uważam tak z dzisiejszej perspektywy. Naprawdę tak się czułam podczas naszej rozmowy i właśnie dlatego nie mogłam dać się namówić swojemu terapeutce (obecnie eks-terapeucie, bo już się nie widzimy) na obwinienie kogoś innego. Tego dnia wyraźnie słyszałam panikę w jej głosie. To było bardzo powolne samobójstwo, kobieta umierająca stopniowo, i zachowałabym się obrzydliwie, gdybym udąła, że nie zdaję sobie z tego sprawy i że nie zaczynam już czegoś podejrzewać tamtego kwietniowego dnia.

- Po zmroku - powiedziała - jeździmy tam i z powrotem autostradą nabrzeżną. Kurwa, tam i z powrotem, z Redondo Beach aż do Santa Barbara bądź Isla Vista. On prowadzi i opowiada o Gevaudan. Winter, mam już po dziurki w nosie tego pieprzonego kawałka drogi.

Nie spytałam jej o Gevaudan, choć po powrocie do domu wygooglałam tę nazwę. Kiedy nas rozłączyło, Eva wciąż szlochała i opowiadała o swoich koszmarach. Gdyby to była scena z hollywoodzkiego dramatu, z pewnością rzuciłabym wszystko i pojechała do niej. Ale moje życie to całkowite przeciwieństwo Hollywood. A ona już tam była.

Parę dni później poczta dostarczyła mi zaproszenie na otwarcie Podglądacza Całkowitego Zniszczenia. Jedna strona stanowiła kopię pocztówki, którą mężczyzna twierdzący, że zamordował Elizabeth Short, Czarną Dalię, wysłał do dziennikarzy i policji w 1947 roku. Pierwotną wiadomość ułożył z liter wyciętych z gazet. Brzmiała ona: „Oto zdjęcie zabójcy wilkołaka/widziałem jak ją zabijał/przyjaciel”. W lewym dolnym narożniku kartki widniało niewyraźne zdjęcie; później dowiedziałam się, że przedstawiało chłopca, niejakiego Armanda Roblesa. W 1947 miał siedemnaście lat i nigdy nie podejrzewano go o zabójstwo Dalii. Kolejne gierki. Na drugiej stronie pocztówki wydrukowano datę i godzinę otwarcia, prosimy o potwierdzenie przybycia i adres Subliminal Thinkspace Collective et cetera. A także dwa słowa wypisane czerwonym tuszem, charakterystycznym, pochyłym i koślawym pismem Evy: „Proszę, przyjeźdź”. Wiedziała, że nie mogę. Co więcej, wiedziała, że nawet gdyby było mnie stać na podróż, i tak bym nie przyjechała.

Jak mówiłam, wygooglałam „Gevaudan”. To nazwa dawnej prowincji w górach Margeride w centralnej Francji. Czytałam o jej historii sięgającej czasów Galów, a nawet plemion neolitycznych, o podboju rzymskim, roli odgrywanej w polityce średniowiecznej i przybyciu protestantów w połowie XVI wieku. Nudziarstwo. Ale szybko się uczę, toteż wkrótce zorientowałam się, że nic z tego nie dotyczyło obsesji Perrault na punkcie tego regionu. Nie, nie interesowało go nic tak przyziemnego, jak bunty przeciw biskupowi Mendę albo wpływ drugiej wojny światowej na ten region. Jednakże w latach 1764-1767 nieznana „bestia” zaatakowała tu niemal dwieście dziesięć osób. Ponad sto z nich zginęło. Być może był to jedynie wyjątkowo duży wilk, ale nigdy nie stwierdzono tego z całą pewnością. Wiele ofiar zostało częściowo pożartych. Warto też zauważyć, że do pierwszego ataku doszło pierwszego czerwca 1764. Od początku dostrzegłam znaczenie tej daty. Po telefonie Evy nie mogłam już zlekceważyć tego jako zwykłego przypadku. Perrault świadomie wybrał rocznicę początku łupieżczych ataków niesławnej Bete du Gevaudan na otwarcie swojej instalacji. Przez parę godzin czytałam różne strony i fora internetowe poświęcone atakom. Często przypisuje się je czarom i zmianom postaci, zarówno w dokumentach powstałych podczas i krótko po incydencie, jak i w książkach współczesnych. Okazuje się, że Gevaudan to jeden z owych zapoznanych tematów, które stada świrów utrzymują przy życiu, snując wokół nich barwne teorie spiskowe i pseudonaukowe życzeniowe wizje. Dodam, że w sumie to dość podobne do tego, jak



maniacy prawdziwych zbrodni od ponad pół wieku nie pozwalają opinii publicznej zapomnieć o nierozwiązanej sprawie zabójstwa Dalii. Teraz zaś Albert Perrault najwyraźniej postanowił doprowadzić do mariażu tych dwóch wydarzeń, dołączając do nich swoją odwieczną obsesję na punkcie baśni. Pomyślałam o odlewach ciała i zastanawiałam się, czy nie wybrał Evy na położną.

Przyczepiłam kartkę do lodówki magnesem i przez kilka dni stanowczo zbyt często rozmyślałam o Gevaudan. Zaskoczyło mnie, jak bardzo martwię się o Evę i jak często proszę w duchu, by znów zadzwoniła. Wysłałam parę mejli, ale nie odpowiedziała. Próbowałam nawet znaleźć jakiś kontakt do Perrault, lecz bez powodzenia. Rozmawiałam z kobietą z Subliminal Thinkspace Collective, mówiącą szorstkim głosem z mocnym rosyjskim akcentem, i przekazałam jej wiadomość dla Evy, prośbę, by odezwała się do mnie jak najszybciej. A potem, gdy kwiecień przeszedł w maj, codzienna monotonia życia zwyciężyła. Z każdym mijającym dniem coraz mniej zamartwiałam się Evą i zaczynałam wierzyć, że tym razem zniknęła na dobre. Pogodzenie się z tym, że związek osiągnął termin przydatności, jest znacznie łatwiejsze, kiedy od początku wiemy o jego istnieniu, że czeka gdzieś na nas, tuż za zakrętem. Tęskniłam za nią. Nie będę udawać, że nie. Ale nie był to cios, którego przez tak wielką część naszych czterech wspólnych lat oczekiwałam ze zgrozą. Raczej coś pewnego, co w końcu faktycznie nastąpiło. Przede wszystkim, zastanawiałam się, co zrobić z zostawionymi przez nią śmieciami. Ubraniami i książkami, płytami i włoską wazą - wszystkimi materialnymi efemerydami, które pozostawiła pod moją opieką kuratorki Muzeum Evy. Postanowiłam, że zaczekam do lata i jeśli do tego czasu się nie odezwie, spakuję wszystko do pudeł. Nie zastanawiałam się z wyprzedzeniem, co potem pocznę z pudłami, gdy już je zapakuję i zakleję taśmą. Może to jakaś odmiana wyparcia. Nie wiem. Nie obchodzi mnie to.

Pierwszy czerwca nadszedł i minął bez żadnych incydentów, a Eva się nie odezwała. Zazwyczaj nie przepadam za latem, lecz tym razem ucieszyłam się, że zima minęła. Z radością przyjęłam zazielenienie się bostońskich błoni, kwiaty, kaczki i parki, urządzające sobie pikniki. Ucieszył mnie nawet upał, choć w moim mieszkaniu nie ma klimatyzacji. Powitałam radośnie długie dni i krótkie noce. Zaczęłam przywykać do nowej rutyny i zdawało mi się, że może zdołam osiągnąć równowagę, a nawet spokój, gdy dostałam list od siostry Evy z Connecticut. Siedząc na łóżku, kilka razy odczytywałam krótką notkę, czekałam, by słowa stały

się czymś więcej niż tuszem na papierze. Siostra Evy przepraszała, że nie odezwała się wcześniej, ale znalazła mój adres dopiero tydzień po jej pogrzebie. Eva przedawkowała nortryptylinę, nie wiadomo dokładnie, czy zrobiła to rozmyślnie. Koroner, kierujący się źle pojętą życzliwością lub po prostu błędnie oceniający sytuację, uznał jej śmierć za przypadkową. Spierałabym się co do tej oceny, tyle że nie miałam z kim. „Wiem, że byliście blisko”, napisała jej siostra. „Wiem, że bardzo się ze sobą przyjaźniłyście”. Schowałam list gdzieś do szuflady, potem zdjęłam z lodówki pocztówkę i wyrzuciłam do śmieci. Nim usiadłam, by napisać to wszystko, przyrzekłam sobie, że nie będę się rozwodzić nad tą częścią historii, nad jej śmiercią ani moją reakcją na nią. I tej obietnicy zamierzam dotrzymać. Powiem tylko, że żałoba w żaden sposób nie osłabiła gniewu i goryczy, jakie zasiały we mnie i rozbudziły niestałości Evy. Nie odpisałam jej siostrze. Uznałam, że byłoby to niepotrzebne i niestosowne.

A teraz jest mroźny dzień pod koniec stycznia, wkrótce minie rok od czasu, gdy po raz ostatni kochałam się z Evą. Śnieg powrócił, grzejnik nie działa wcale lepiej niż wtedy. Biorąc pod uwagę wszystko, co się stało, stwierdzam, że trzymałam się całkiem dobrze, dopóki do sklepu, w którym (wciąż) pracuję, nie dostarczono książki Perrault. Zjawiła się w dniu, kiedy miałam wolne, i gdy ją ujrzałam, stała już na frontowych półkach, okładką do klientów. Obwoluta miała barwę krzykliwej czerwieni. Później zorientowałam się, że to niemal ten sam odcień szkarłatu, jak czapka dziewczynki na „Fecunda ratis”. Nie otworzyłam książki w sklepie, lecz kupiłam jedną, wykorzystując zniżkę dla pracowników (co uczyniło ten zakup jedynie odrobinę mniej szalonym). Zajrzałam do niej dopiero w domu, wcześniej dwukrotnie upewniwszy się, że drzwi są zamknięte na klucz. Potem nalałam sobie szklaneczkę szkockiej, usiadłam na podłodze między stolikiem i kanapą i zebrałam się na odwagę, by zajrzeć do środka. Książka nosi prosty tytuł „Uśmiech wilkołaka”. Otwiera ją motto oraz kilkanaście stron wstępu autorstwa profesora sztuki nowoczesnej z Berkeley (jest także posłowie profesora zajmującego się psychologią jungowską i imaginalną w Pacifica Graduate Institute). Niemal natychmiast dostrzegłam, że Perrault zadedykował tę książkę „Ewie, mojej utraconej czerwonej czapeczce”. Czytając to, poczułam, jak głęboko w brzuchu tworzy mi się twardy, lodowaty węzeł, węzeł, który wkrótce miał się zamienić w mdłości, gdy przewracałam kolejne strony, wpatrując się w błyszczące, barwne fotografie, trwałe zapis deprawacji, którą Albert Perrault sprzedawał jako natchnienie i geniusz. Nie cofnęłabym się

przed nazwaniem jej pornografią, ryle że pornografią niekoniecznie lub nie do końca związaną z seksem, lecz wylewnie przedstawiającą brutalne naruszenie anatomii, zarówno ludzkiej, jak i zwierzęcej. A zatrzymana na stop-klatkach przemoc nie ograniczyła się tylko do płótna mierzonego w trzech wymiarach, zakrzywiła także czas, naginając wieloznaczności historii do celów Perrault. Historii i legend, mitów i *Grand Guignol les comes de fees*.

Powinno chyba - choć sama nie wiem dlaczego - załączyć tu owo motto, które nadaje rytm książce. To dzieło poetki z Bostonu, o której nigdy nie słyszałam, ponieważ jednak w Bostonie mieszka mnóstwo poetów, o których nigdy nie słyszałam, samo w sobie to nic nie znaczy, prawda? Mieszkam tutaj i pracuję w księgarni, ale to nie ma znaczenia. Wcale nie chroni mnie przed ignorancją. Tekst motto pojawia się najpierw po łacinie, a potem przetłumaczony na angielski. Nosi tytuł „Magdalena z Gevaudan”:

*Mater luporum, mater moeniorum, Stella montana, ora pro nobis. Virgo arborum, virgo vastitatis, umbra corniculans, ora pro nobis. Regina mutatum, regina siderum, ficus aeterna, ora pro nobis. Domina omnium nocte dieque errantium, nunc et in hora mortis nostrae, ora pro nobis.*

*Matko wilków, matko murów, gwiazdo gór, módl się za nami. Dziewico drzew, dziewico pustyni, rogiaty cieniu księżycy, módl się za nami. Królowo zmian, królowo konstelacji, odwieczne drzewo figowe, módl się za nami. Pani wszystkiego, co wędruje nocą i za dnia, teraz i w godzinie śmierci naszej, módl się za nami.*

Tak naprawdę to nie przypomina wiersza. Bardziej inwokację. Jak coś z Aleistera Crowleya.

Zaczynam się gubić w tych zdaniach, w próbach przekazania samymi słowami tego, co Perrault osiągnęła za pomocą farby i gipsu, drutów, futra i kości. Coraz boleśniej odczuwam ciężar i niemoc mojej narracji. W pewnym sensie już i tak za dużo powiedziałam, a jednak wiem, że nigdy nie zdołam dokładnie, czy nawet w przybliżeniu, oddać mojej reakcji na obrazy utrwalone i uświęcone w odrażającej książce Perrault.

Jestem głupia, bo próbuję.

Jestem głupia.

Jestem.

Obwiesił ściany galerii girlandami czarno-białych zdjęć trupa Elizabeth Short, zrobionych, gdy znaleziono ją na zarośniętej, pustej parceli przy Trzydziestej Dziewiątej i Notton w Leimert Park, a także kilkoma ujęciami z kostnicy. Zdjęcia powiększył tak bardzo, że straciły znaczną część ostrości, wiele szczegółów okaleczeń zwłok zniknęło pośród ziarna. Wisiał tam też plakat nakręconego w 1946 roku filmu *noir* George'a Marshalla, „Błękitna Dalia”, według scenariusza Raymonda Chandlera, który być może (albo i nie) stanowił inspirację dla przydomka Short. W regularnych odstępach w całej galerii, na niewidzialnych drutach uczepionych sufitu, rozwieszono powiększone przez Perrault relacje gazetowe z morderstwa, a także zbiór pocztówek i listów wyśmiewających policję, podobnych do tego, który posłużył za zaproszenie dla mnie na otwarcie instalacji.

*Postanowiłem się nie ujawniać. Zbyt dobrze się bawię, oszukując policję.*

*Zabawiłem się z policją Nie Próbujcie mnie znaleźć. - złap mnie jeśli potrafisz*

Wokół tych ponurych artefaktów z zabójstwa Czarnej Dalii umieszczono najróżniejsze ilustracje towarzyszące przez stulecia kolejnym edycjom opowieści o Czerwonym Kapturku. Niektóre były barwne, inne oddane jedynie w odcieniach szarości - dzieła Gustave'a Dore, Fleury Francois Richarda, Waltera Crane'a i innych, wielu innych, nie przypominam sobie nazwisk, a nie mam ochoty szukać ich w książce. Mogłyby wydać się nie na miejscu jedynie komuś cudownie nieświadomemu prawdziwych zamiarów Perrault. A pośród fotokopii pocztówek i dzieci w czerwonych kapturkach widniały osiemnastowieczne podobizny stworzenia odpowiedzialnego ponoć za wszystkie ataki w górach Margeride. Z mojego opisu może się wydawać, że instalacja była przeładowana. A jednak w jakiś sposób, mimo obecności tak wielu przedmiotów konkurujących o uwagę widza, dzięki inteligentnej grze artysty dzieje się coś dokładnie przeciwnego. Osiągnął on ogólny efekt pustki, ponurej przestrzeni, w której tu i tam walają się skąpe szczątki rzezi, kłamstw i dziecięcych fantazji.

Jednakże całe to dziwaczne zbiorowisko, rozmaite pamiątki — każda co do jednej - stanowiły jedynie ramę skonstruowaną tak, by uwydatnić własne dzieło Perrault, pięć rzeźb, stworzonych z odlewów ciała Evy

i zapewne przy pomocy znajomego wypychacza zwierząt, o którym mi wspomniała. Główny element „Podglądacza Całkowitego Zniszczenia”, a później „Uśmiechu wilkołaka”, profanację zwłok Elizabeth Short, odkrytych na pustej parceli w Leimert Park o około 10.30 rano piątnastego stycznia, 1947. Leżały tu, nie jedne, lecz powtórzone pięć razy, ułożone w jakby pentagram wpisany w koło. Każdego „trupca” umieszczono stopami ku osi koła tak, że niemal stykały się palcami stóp. W książce zamieszczono około dwudziestu fotografii tego dzieła, zrobionych pod różnymi kątami. Perrault nazwał swą rzeźbę po prostu „Fazy 1-5”. Nie opiszę jej tutaj szczegółowo. Wątpię, bym to zniosła, choćby dlatego, że, aby się upewnić, że dobrze przedstawiłam każdy kolejny etap przemiany, musiałabym raz jeszcze sięgnąć po książkę Perrault. „To nie kwestia drobiazgów”, powiedziała mi kiedyś Eva, „lecz tego, na co się składają”. Stanowiłoby to doskonałe motto do „Uśmiechu wilkołaka”. Można by to wkleić tuż pod dedykacją autora (tak się przypadkiem składa, że prawdziwe motto jest autorstwa Mana Raya: „Maluję to, czego nie da się sfotografować, to, co pochodzi z wyobraźni, ze snów bądź co kreuje podświadomość”). Powiem tylko, że Faza 1 to próba bezpośredniego odtworzenia stanu, w jakim odkryto nagie zwłoki Elizabeth Short. Nie da się zaprzeczyć, że z punktu widzenia techniki dzieło jest genialne, tak samo, jak widać wyraźnie, że stworzył je zboczony umysł. Ale to nie jest ciało Elizabeth Short, tylko oczywiście model Ewy, poddany wszelkim okaleczeniom, jakie zadano Czarnej Dalii. Jej tułów rozcięto w pasie z chirurgiczną precyzją, bardzo starannie odtworzono odsłonięte narządy i kości. Odrąbane ręce wzniesione nad głowę ułożono w sposób, który w żadnym razie nie wydaje się przypadkowy. Szeroko rozłożone nogi ukazują obrażenia zadane genitaliom. Każda rana widoczna na zdjęciach z miejsca zbrodni i opisana w raportach została wiernie odwzorowana w Fazie 1. Kąciki ust rozcięto prawie od ucha do ucha, tworząc „uśmiech wilkołaka” Perrault. A teraz ruszcie naprzód, z lewej na prawo, wzdłuż koła, aż do Fazy 5. Znajdziemy tu wypchane truchło wielkiego kojota, okaleczone w identyczny sposób jak ciało Elizabeth Short i odlew Ewy. Przednie łapy ułożono nad głową, tak jak ręce Dalii, choć za życia nigdy nie zdołałyby przybrać podobnej pozycji. Zwierz leży wyciągnięty w sposób nienaturalny dla kojotów. Nie trzeba było rozcinać mu pyska. Co do Faz 2 do 4, wystarczy tylko wyobrazić sobie jakąkolwiek przemianę lykantropiczną, kolejne etapy transformacji okaleczonej kobiety w okaleczone zwierzę, osiągnięte w stylu przyzwoitych horrorów.

Tylko w pierwszej i drugiej fazie można rozpoznać twarz Ewy. Chyba powinnam to uznać za błogosławieństwo.

A pod koniec (choć to jeszcze nie on, mimo że w kolejnym akcie miłosierdzia udam, że tak jest) w moim umyśle pozostaje przede wszystkim jedno pytanie. Czy tego właśnie od początku szukała Eva? Nie oświecenia dzięki naukom swej *bete noire*, lecz tej upiornej nieśmiertelności, podobnego zredukowania (albo wyniesienia, w zależności od naszej opinii na temat Perrault). Stania się namiastką klęczącej na czworakach dziewczynki w czerwonej czapce z „Fecunda ratis” i kobiety torturowanej i zamordowanej dziesiątki lat przed tym, nim Eva została poczęta. Tego, by upaść, runąć i w końcu lec na wznak, patrząc w górę na błądy, zazdrosny księżyc, podczas gdy zgromadzone wokół bestie rzucają się na nią i robią to, co zwykle czynią bestie i co zawsze już będą czynić.

KONIEC

Jest taki słynny wiersz Matthew Arnolda (1822-1888), „Wybrzeże w Dover”. Zawsze go uwielbiałam i wiele razy czytałam na głos, zachwycając się przeplataniem słów i metafor. Ale do zeszłego tygodnia nie miał dla mnie znaczenia osobistego. Mojego własnego, prywatnego znaczenia. Był tylko pięknymi słowami, napisanymi w czasach, gdy cały świat wyglądał inaczej i podlegał szybkim zmianom:

*Ocean Wiary*

*W dawnych wiekach, wezbrany, brzegi kontynentów Otulał swym nadmiarem jak jedwabna szata; Dzisiaj słyszę jedynie*

*Smętny szum cofających się morskich odmętów, Fali, która to ślepo runie, to odpłynie W świcie nocnego wiatru przez nagie obszary Jałowych piasków i skał tego świata<sup>1</sup>.*

---

<sup>1</sup>Przeł. Stanisław Barańczak.

Ujrzałam Ocean Wiary, i nie mam już wyboru, muszę słuchać uważnie smętnego szumu cofających się morskich odmętów, pieśni syreny w spowitą mgłą noc, gdy fale tłuką o jałowe piaski i skały tego świata.

„Uwolniłam się od widm Perrault i Czarnej Dalii, wilka, który krzyczał dziewczyna i listopadowej Evy, która nigdy nie istniała i nigdy do mnie nie przyszła”, napisała Imp. „Zamknęłam je wewnątrz historii, z której nigdy nie zdołają uciec, by mnie skrzywdzić. Egzorcyzmowałam je”.

Ale nie pozbyłam się nawiedzenia. Pisałam już o ich trwałości. Napisałam: „Gdy Odyseusz już raz usłyszał syreny, wątpię, by kiedykolwiek zapomniał ich pieśń. Jej widmo dręczyło go do końca życia”.

Jednakże chyba zdołałam przekroczyć próg, za którym moja historia o duchach przestała być złowieszczymi bliźniakami. Teraz nosi już tylko jedną twarz.

„Może dzięki temu przynajmniej moja historia o duchach w pewnym sensie stanie się bardziej zrozumiała”, napisała Imp.

Zostawiłam jedną z Ev za sobą. Mam tylko lipiec, Caroline i Rosemary, „Tonącą Dziewczynę” i Philipa George'a Saltonstalla, „Małą syrenkę” i Syrenę z MilMile. To aż nadto duchów jak na jedną wariatkę.

*Dzisiaj słyszę jedynie*

*Smętny szum cofających się morskich odmętów, Fali, która to ślepo runie, to odpłynie W świcie nocnego wiatru przez nagie obszary Jałowych piasków i skał tego świata.*

Naprawdę powinnam zacząć szukać nowej pracy.

*Wędruję między światami obiema Martwym i rodzić się wciąż niegotowym, Miejsca, by głowę złożyć, tutaj nie ma Samotny czekam na ziemiach jałowych.*

Wszystko zupełnie się zmieniło, spirala wciąż się poszerza w mej nocy pierwszych wieków i w końcu pozostaję sama ze straszliwą pięknnością i pełzającą bestią. Potwór nie jest spętany ani pokonany, a ja spoglądam na bestię, straszliwą i wolną. A w mojej głowie pulsują Matthew Arnold, Yeats, Conrad, pulsują i płaczą się, pragnąc wydostać się z niej



jednocześnie. Pragnąc zakończyć opowieść o lipcowej Evie i moją syrenią historię o duchach:

*Podkrada się do okna, wygląda na piaski,*

*I ponad piaskami na morze;*

*A jej oczy spoglądają w dal;*

*Z ust wyrывa się ciche westchnienie,*

*Po policzku sływa zimna łza;*

*Ach, to smutkiem zamglone spojrzenie,*

*I serce, które robak smutku toczy.*

*Długie, długie westchnienie:*

*Jakże zimne, jak dziwne tej Syreniej Panny oczy...*

To był dziwny dzień, ale zamierzam dołożyć wszelkich starań, by opisać go spójnie, uciekając się do linearnej narracji, która dotąd tak często mi się wymykała. Sama nie myślę w liniach prostych, eleganckich szeregach liczbowych (0-9, 9-0), dawno, dawno temu, i długo i szczęśliwie, A do Z, nieważne. Ale tym razem zamierzam bardzo się postarać.

Cały ranek składałam swoje życiorysy w firmach, które nie szukały pracowników, lecz wcześniej czy później musiały się zainteresować. Bill dał mi dobre referencje, co bardzo mnie zaskoczyło. Dziwne? Pewnie, że tak. Ale powiedział, że rozumie, że to nie moja wina i gdyby nie właściciel, zatrudniłby mnie z powrotem. Nie chciał, żebym długo pozostawała bezrobotna. Wypełniłam aplikacje u Utrechta przy Wickenden Street, w innych sklepach na Wickenden, w sklepach i lokalach na Thayer, na Wayland Square (nawet w „Nerwie”, choć nie mam ani krztyny pojęcia o pracy baristy). Ellen powiedziała, że powinnam się zgłosić do Cellar Stories, więc tak zrobiłam. Cudownie byłoby tam pracować, naprawdę, ale wydaje się to mało prawdopodobne. W sumie wypełniłam piętnaście zgłoszeń. Może jutro ktoś zadzwoni i wyznaczy mi rozmowę.

Umówiliśmy się z Abalyn o czwartej na dole w Ateneum. Powiedziała, że chciała tam coś sprawdzić, co wydało mi się dziwne, bo rzadko czytuje cokolwiek poza grubasnymi tomami mangi (które, przyznaję, dla mnie nie mają najmniejszego sensu i kiedy próbuję je czytać, zawsze wydają mi się strasznie głupie). Siedziała przy jednym z długich stołów naprzeciwko wysokiego portretu George'a Washingtona. Wyjęła swój laptop, a także iPod'a i iPhone'a. Z żadnego z nich nie korzystała, ale podejrzewam, że dla niej to coś jak kocyk bezpieczeństwa Linusa van Pelta: talizmany

chroniące przed wrogim, nietolerancyjnym, nierozumiejącym jej światem. Czytała jednak książkę - niezbyt starą książkę, i kiedy odezwałam się do niej, zamknęła ją. Zamknęła i spojrzała na mnie. Celofanowa biblioteczna okładka lśniła w blasku słońca wpadającym przez okna.

- Poszczyło ci się z szukaniem pracy? - spytała i potarła dłonią oczy.

- Jeszcze nie wiem. Może. Pewnie nie.

Usiadłam na krześle obok niej i upuściłam na podłogę torbę, jedną ze starych, bezkształtnych toreb Rosemary Anne. Tę uszyła z groszkowozielonego sztruksu.

- A ty? Znalazłaś to, czego szukałaś?

Przez chwilę wpatrywała się w okładkę książki. Jak mówiłam, nie była bardzo stara, widniał na niej napis „Kult Lemingów: wzlot i upadek Otwartych Drzwi Nocy” Williama L. Westa. Przed nazwiskiem autora widniały literki dr. Odwróciłam się, wbijając wzrok w regały. Stając tak, nagle, niespodziewanie oko w oko z tą książką, tą szczególną książką, odkryciem Abalyn, poczułam się, jakbym ujrzała koszmarny wypadek. Nie, nie tak. Ale nie chcę tracić czasu, szukając lepszego porównania.

- Nie powiem ci, jeśli nie zechcesz wysłuchać.

- Nie chcę - odparłam, wciąż wbijając wzrok w regał pełen sztuk i książek o teatrze. — Ale to, czego nie wiem, jest gorsze od tego, co wiem.

Nieznane to *coś* pod wodą, pożerające, niewidoczne, kontra banalne zagrożenie polującego żarłacza białego (*Carcharodon carcharias*, Smith, 1838; greckie *karcharos*, zębaty i *odous*, zęby; kar-KAR-o-don kar-KAR-jas).

- Na pewno?

- Proszę - rzekłam, możliwe, że szeptem. Ale w bibliotece mój głos wydał mi się bardzo donośny (choć jak zauważyłam wcześniej, w tej akurat bywa czasami dość głośno).

Usłyszałam, jak Abalyn otwiera książkę, ale nie odwróciłam się do niej. Wpatrywałam się w postrzępione grzbiety starych wydań i słuchałam, a ona zaczęła cicho czytać fragment Rozdziału Czwartego:

- „Jedną z bardziej znanych i otwartych członkiń kultu była Eva Canning, pochodząca z Newport w Rhode Island. Canning przybyła do Kalifornii pod koniec lata 1981, po otrzymaniu stypendium Uniwersytetu Berkeley. Jeszcze na studiach zaczęła interesować się archeologią śródziemnomorską i w czerwcu 1985 roku zrobiła licencjat z antropologii; potem została w Berkeley, pracując nad doktoratem z archeologii socjokulturalnej. W tym okresie pracowała na wykopaliskach w Grecji,

Turcji i kilku wyspach na Morzu Egejskim. Jedną z jej dwóch promoterek była Jacova Angevine, i gdy w osiemdziesiątym ósmym odeszła z uniwersytetu, tak samo uczyniła Canning. Istnieją niepotwierdzone pogłoski, że w tym czasie zostały kochankami. Tak czy inaczej, Canning miała wkrótce stać się jedną z najbardziej zaufanych powierniczek Jacovy Angevine. Rozmowy z ocalałymi członkami kultu wskazują, że należała ona do czwórki kobiet, którym przyznano rangę najwyższych kapłanek Otwartych Drzwi Nocy. Canning ponoć zawsze uczestniczyła w ceremoniach w świątyni przy Pierce Street w Monterey i należała do grona osób odpowiedzialnych za inicjację nowych członków.

Wielu dziennikarzy przypisuje Canning ważną rolę w szybkim wzroście popularności kultu, rolę wykraczającą dalece poza rekrutację. Z łatwością można stwierdzić, że to dzięki jej wysiłkom promocyjnym i zdolnościom ODN przyciągnęły tak szybko licznych wyznawców. Nie tylko wykorzystywała będący dopiero w powijakach internet, lecz propagowała doktrynę w kampusach uniwersyteckich, podziemnych zinach wydawanych pod koniec lat osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych, i licznych wzmiankach, pojawiających się w „Factsheet Five” od roku 1988. W tym okresie artykuły o ODN i dwa wywiady z Canning ukazały się w zinach w USA, Wielkiej Brytanii, Kanadzie, Australii i Japonii (podsumowanie można znaleźć w Karaflogka, Anastasia: „Dyskuts okultystyczny i skuteczność zinów”, w „Religion” 32 [2002]: 279-91). Po wydarzeniach w Moss Landing jej list samobójczy (jeden z zaledwie czterech pozostawionych) ukazał się w wielu podziemnych publikacjach.

Podczas studiów w Berkeley, Canning zaaranżowała także powstanie grupy usenetowej alt.humanities.odn, która w latach 1988-1991 zanotowała sporą aktywność. Można sobie tylko wyobrazić, jak wiele szkód zdołałaby poczynić, gdyby miała do dyspozycji strony www”.

Abalyn przerwała, przez chwilę milczałam. Mówię „chwilę”, ale tak naprawdę nie wiem, jak długo to trwało. W końcu spytałam ją:

- Czy to wszystko?
- Nie. Nawet nie najważniejsze. Chcesz, żebym czytała dalej?
- Chcę - odparłam. - Chcę, żebyś czytała dalej. Ty to zaczęłaś. Nie możesz teraz przerwać.

I tak powróciła do Rozdziału Czwartego:

- „Zanim Eva Canning wyjechała z Nowej Anglii do Kalifornii, urodziła nieślubną córkę. Dziecko adoptowali ojciec i matka Canning. Zdecydowałem się nie podawać tu jej imienia, bo i tak wycierpiała już wiele

niechcianej i bolesnej uwagi z powodu zaangażowania matki w kult Ja-covy Angevine".

Abalyn umilkła. Słyszałam, jak przewraca parę kartek, potem znów zaczęła czytać:

— „Ciało Evy Canning odesłano na wschód, jej mocno pokaleczone i rozkładające się szczątki zostały skremowane. Popioły rozsypano w morzu z wysokiej skały na wschodnim skraju wyspy Aquidneck, niedaleko college'u Salve Regina, Alma Mater jej matki. Jednakże zorganizowano też skromną uroczystość żałobną na cmentarzu Middletown w Newport. Nagrobek w kwaterze rodziny Canningów upamiętnia pusty grób”.

I znów cisza. Nad głową słyszałam kroki, głosy czytelników i bibliotekarzy. Zerknęłam w stronę schodów wiodących na parter, błyszczącego drewna dębowego i wytartej czerwonej wykładziny.

— Chcę tam pojechać - oznajmiłam. - Abalyn, ja muszę tam pojechać. Muszę na własne oczy zobaczyć jej grób.

— Dziś już na to za późno.

— W takim razie pojedziemy jutro.

Nie należę do Ateneum, bo mnie na to nie stać, ale kazałam sobie skserować kilka stron „Kultu Lemingów: wznoszenia i upadku Otwartych Dzwoni Nocy” Williama L. Westa (Nowy Jork: The Overlook Press, 1994), by móc zachować je na później z powodu tego, co Rosemary Anne mówiła o zapamiętywaniu ważnych rzeczy.

Kiedy wyszliśmy z biblioteki na chłodny, listopadowy wieczór, Abalyn spytała, czy dobrze się czuję, a ja, kłamiąc, odparłam, że tak.

— Po drodze do domu musimy wstąpić na targ - dodałam.

A następnego dnia padał śnieg i następnego pojechałyśmy do Newport. Ba. Da. Ba-ba.

Nekrolog z „Newport Daily News” (11 kwietnia, 1991):

NEWPORT - EVA MAY CANNING

Lat 30, z Lighthouse Avenue, Monterey, CA. Utonęła 4 kwietnia przy Plaży Stanowej Moss Landing, Moss Landing, CA.

Urodzona w Newport, RI, 30 października 1960, była córką Isadory (Snow) i nieżyjącego Ellwooda Arthura Canninga.

W czerwcu 1985 roku panna Canning ukończyła studia licencjackie z antropologii na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley.

Przed śmiercią Eva pracowała nad doktoratem z archeologii. Dużo podróżowała, zwłaszcza na Bliski Wschód, opublikowała kilka

dobrze przyjętych prac w uznanych pismach naukowych. Jako młoda dziewczyna uwielbiała poezję, zbierała muszelki i zajmowała się obserwowaniem ptaków.

Pozostawiła po sobie córkę, E.L. Canning, i matkę, oraz kilkoro ciotek, wujów i kuzynów.

Uroczystość pogrzebowa odbędzie się w poniedziałek, 13 kwietnia 1991, o 11.00, w domu pogrzebowym Memorial, 375 Broadway, Newport, z mszą o 12.00 w Greckim Kościele Ortodoksyjnym Świętego Spirydiona przy Thames Street w Newport. Sam pogrzeb odbędzie się na cmentarzu Middletown w Middletown.

Ofiary można wysłać na adres: Grecki Kościół Ortodoksyjny Świętego Spirydiona, Fundusz darowizn, P.O. box 427, Newport, RI 02848.

Eva Canning miała córkę. Córkę, której inicjał brzmi E. Dlaczego nie podano pełnego imienia? Czy po to, by zachować jej anonimowość, uchronić przed powiązaniem Ewy z Otwartymi Drzwiami Nocy i wynikłym skandalem? I kto był ojcem? Córka musiała przyjść na świat... Kiedy? Gdy Eva wciąż jeszcze uczyła się w liceum? Czy wychowała ją matka Ewy? Zbyt wiele pytań, które wirują i kołyszają mi się w głowie. Abalyn znalazła tę klepsydrę wczoraj; dodałam ją do mojej teczki z podpisem Perishable Shippen; Eva Canning.

\*\*\*

Mówiąc, że dzisiejszy dzień nami wstrząsnął, nawet w połowie nie oddałabym mu sprawiedliwości. Tu India pisze: „Przeżywałaś dziwniejsze dni. Znacznie dziwniejsze, Indio Morgan Phelps”. I owszem, faktycznie. Ale mimo wszystko było to dziwne i wstrząsające. Oto słowo, które wciąż do mnie powraca. Wstrząsające. Drzwi otworzyły się i drzwi się zatrzasnęły. Prawdy (czy raczej fakty), których autentyczność niemal już sobie wmówiłam, znów spowił cień wątpliwości. Krok do tyłu, jak powiedziałyby Caroline.

Abalyn nie chciała, żebym tam jechała, choć to ona zapoczątkowała wszystko, pokazując mi książkę i klepsydrę.

- Co ci to da? - spytała. - Wszystko, co mogłabyś tam odkryć, jest przecież tu, w klepsydrze.

A potem przypomniała, że przeprawa przez most Newport kosztuje cztery dolary w jedną i w drugą stronę, a jako bezrobotna nie powinnam tak szastać pieniędzmi.

- Pojadę sama — oznajmiłam. - Jeśli nie pojedziesz ze mną, nie boję się zrobić tego sama. To coś, co muszę zobaczyć na własne oczy.

Stałam przy oknie, wyglądając na Willow Street. Czy wspomniałam, że poprzedniego wieczoru spadł śnieg? Nie, nie wspomniałam. Stałam przy oknie, patrząc w dół na dwa cale wczesnego śniegu, który spadł poprzedniej nocy. Pług śnieżny przejechał właśnie ulicą, piętząc pryzmy po obu stronach, do połowy zasypując chodniki. Zablokował też wylot wyjazdu i wiedziałam, że nim wyprowadzę hondę, będę musiała go odgarnąć. Nienawidzę odgarniania śniegu.

- Indio, jest już druga.

- To jeszcze nie tak późno - odparłam. - Na drogach nie będzie korków, a poza tym nie obchodzi mnie, która jest godzina.

Abalyn poprosiła, żebym przynajmniej zadzwoniła do doktor Ogilvy, powiedziała jej o wszystkim i spytała, czy wycieczka na cmentarz to aby nie jest zły pomysł. Dodała, że jeśli zadzwonię do mojej doktor psychiatry i jeśli doktor Ogilvy to zaaprobuje, pojedzie ze mną.

- Mówiła, że powinnam sama poszukać własnych odpowiedzi - powiedziałam. - Że muszę sama je znaleźć. Doktor Ogilvy nie jest moją niańką. Nie potrzebuję jej pozwolenia. Jestem dorosłą kobietą.

„Jesteś kruchą kobietą”, napisała Imp. „Dopiero co kuliłaś się naga, brudna i rozgorączkowana w kącie własnej sypialni, bredząc o wilku, który krzyczał dziewczyna w śnieżną noc w Connecticut”.

- Proszę - błagała Abalyn i po wszystkim, co dla mnie zrobiła, po wszystkim, co straciła z mojego powodu, naprawdę nie mogłam jej odmówić. Jej prośba była rozsądna. I nie mogłam udawać, że jest inaczej.

- Zgoda - powiedziałam. - Zadzwonię. Ale nieważne co powie, i tak pojadę.

- Po prostu zadzwoń - odparła Abalyn.

Zatem zadzwoniłam do doktor Ogilvy. Poszczyło mi się, bo miała kilka minut pomiędzy pacjentami, więc nie musiałam zostawiać wiadomości u recepcjonistki i czekać aż oddzwoni, co oznaczałoby kolejne opóźnienie i dalszą utratę światła (a dodam, że nie chciałam jechać na cmentarz po zachodzie słońca; nie lubię cmentarzy, a wiedziałam, że ten będzie znacznie gorszy niż inne).

Doktor Ogilvy spytała, czy uważam, że mam na to dość sił. Odparłam, że tak, i kazała mi jechać. Zgodziła się, że to dobry pomysł, by Abalyn mi towarzyszyła, a że to ona zaproponowała umowę, nie protestowała.

Ja prowadziłam. Jechałam powoli i ostrożnie ze względu na śnieg. Abalyn paliła, wydmuchując dym przez okno, które odrobinę opuściła. Około trzeciej wyjechałyśmy z Providence, zostawiając za sobą miasto, i mostem Jamestown przeprawiliśmy się przez Zachodnią Cieśninę Zatoki Narragansett. Woda przed nami migotała i lśniła oślepiająco w promieniach słońca, niczym rtęć rozlana na szarobłękitne łupki. Przecięłyśmy wyspę Conanicut, a potem most Newport z jasnozielonymi linami i poręczami, dwiema białymi, wysokimi wieżami ponad łupkowo-rtęciowymi wodami Cieśniny Wschodniej, czterysta stóp poniżej. Pomyślałam o fokach, wielorybach, rekinach, o tym, że zatoka była kiedyś serią rzecznych dolin, które piętnaście tysięcy lat temu zostały zalane po stopieniu lodowców. Nade wszystko starałam się nie myśleć o tym, co znajdziemy na cmentarzu. Na samochodzie przed nami zobaczyłyśmy nalepkę z napisem „The-saurus to NIE olbrzymi jaszczur”. Ja się roześmiałam, ale Abalyn nie.

A potem znalazłyśmy się na wyspie Aquidneck. Ominęłam Newport, kierując się wskazówkami, które Abalyn odczytywała z Map Questa. Miantonomi Avenue i Green End Avenue dotarłyśmy na wschód do skrzyżowania z Turner Road; tu skręciłam w lewo, na północ. Minęłam domy i szkołę, dziesiątki niskich szklarni. Mijałam też korty tenisowe, boiska do koszykówki i stadion, niemal całkiem zasypany śniegiem. Potem dotarłyśmy do miejsca, w którym Turner krzyżuje się z Wyatt Road. Cmentarz leży w północno-wschodnim narożniku skrzyżowania i pomyślałam sobie, że kiedyś na rozstajach grzebano samobójców. W nekrologu wspomniano, że cmentarz nazywa się Middletown, lecz na niestosownie pogodnym, błękitno-złocistym znaku przy wejściu napisano „Four Corners Cemetery”.

Abalyn zmierzyła cmentarz gniewnym wzrokiem.

- Co za kurewska głupota. To przecież bez sensu, Imp.

Nie odpowiedziałam.

A potem... to się zdarzyło naprawdę. Abalyn była tam i też to widziała. Kiedy skręciłyśmy z Turner na cmentarz, na nagrobku zaledwie parę stóp od drzwiczek od strony kierowcy wylądowała wielka wrona. Wiele lat temu Caroline oznajmiła: „Jeśli słuchasz czyjejs historii i, ot tak, pojawia się wrona, możemy się założyć, że opowiadający ją sobie wymyślił”. Nie wyjaśniłam Abalyn, co oznaczają wrony, i prawdę mówiąc, w tym kontekście sama nie wiem, co znaczyła. Ale to się wydarzyło naprawdę.

Na wyspie Aquindeck śnieg nie padał tak gęsto jak w Providence, ale wąskich asfaltowych drózek na cmentarzu nikt nie odśnieżył, toteż musiałam jechać bardzo powoli. Wiedziałam, jak znaleźć grób Evy Canning, bo poprosiłam, by Abalyn sprawdziła na paru stronach genealogicznych przed wyjazdem. Znalazła nawet plan cmentarza. Grób Evy znajdował się na samym północnym końcu, gdzie niski, kamienny murek odgradza cmentarz od winnicy, zbrązowiełej o tej porze roku. Ten sam mur okalał cały cmentarz.

Na Rhode Island jest wiele pięknych, fotogenicznych cmentarzy. Four Corners się do nich nie zalicza. Nie ma tam drzew, a większość nagrobków zrobiono z identycznego, zwiertzałego wapienia i marmuru; tylko nieliczne pochodzą sprzed końca dziewiętnastego wieku. Zaparkowałam obok czegoś w rodzaju wielkiego mauzoleum, tak naprawdę jedynie sztucznego kopca ziemnego, usypanego nad kryptą z granitowymi blokami i zardzewiałymi żelaznymi drzwiami z przodu. Pozostały na nim kępy siana i uschniętej darni, jakby dozorczy starali się go obsadzić trawnikiem. Wyglądał paskudnie i skojarzył mi się z wrózkami, wydrążonymi wzgórzami, kurhanami, Tolkienem, Mary Stewart. Zgasiłam silnik i obejrzałam się na Abalyn.

- Nie musisz wysiadać - powiedziałam. Ona odparła tylko:

- Owszem, Imp, muszę.

Wysiadłyśmy zatem. Obie wyszłyśmy z hondy. Przez chwilę stałam obok wozu, wodząc wzrokiem po ponurym cmentarzu. Zerknęłam w niebo, jakże błękitne i bezchmurne, tak jasne, że niemal białe, rozległe, mięsożerne niebo, jak powiedziała by Rosemary Anne. Nie było to miejsce, w którym pragnęłabym zostać na dłużej, a zmierzch zbliżał się bardzo szybko. Rzucane przez nagrobki cienie już się wydłużały. Abalyn zapaliła kolejnego papierosa, mroźny wiatr porwał dym.

- Miejmy to z głowy — powiedziała.

Nietrudno było znaleźć zaznaczony przez Abalyn grób Canningów. Leżał po lewej (na zachód) od kurhanu-mauzoleum, oddalony jakieś siedem metrów od dróżki, otoczony pomnikami z wyrytymi nazwiskami typu Cappucilli, Bowlet, Hoxsli, Greer, Ashcroft, Haywood, Church, i oczywiście sporo Canningów. To był skromny nagrobek z ceglasczerwonego granitu, wyróżniający się pośród nudnych rzędów szarobiałych sąsiadów. W obu narożnikach wyrzeźbiono bluszczowe girlandy. Głośno odczytałam napis na nim, a potem usiadłam na zaśnieżonej ziemi, już



rozmięklej od śniegu topniejącego w promieniach jasnego, listopadowego słońca.

— Kurwa — rzuciła Abalyn i nie powiedziała nic więcej, póki nie wróciliśmy do samochodu. Oto, co wyryto na owym kamieniu (zapisałam to co do słowa):

**CANNING MATKA**

**i960 EVA MAY CANNING I991 CÓRKA**

**I968 EVA LOUISE CANNING 2008 CI, KTÓRZY ODCHODZĄ W MORZE**

— W chwili śmierci miały trzydzieści lat - powiedziałam. - Obie miały trzydzieści lat. Obie były Evą Canning.

A Abalyn paliła papierosa i milczała. Odczytałam na głos epitafium: „Ci, którzy odchodzą w morze” i usłyszałam dobiegające z bliska głośne krakanie wrony. Tego też sobie nie wymyśliłam. To wszystko nie tylko prawda, ale i fakt.

— Nie wiem, co to znaczy - dodałam i usiadłam na rozmoczonej ziemi. Jakiś czas płakałam. Moje łzy były niczym lód na policzkach.

W końcu Abalyn pomogła mi wstać i poprowadziła mnie do hondy. Gdy znalazłyśmy się bezpiecznie w środku, ja za kierownicą, spytała z opóźnieniem, czy dam radę prowadzić. Odparłam, że tak. Tak, mogę prowadzić. Pragnęłam tylko oddalić się stąd jak najszybciej. Pragnęłam znaleźć się bardzo, bardzo daleko i nigdy, przenigdy nie wrócić. Znów usłyszałam wrony. Zmierzch zbliżał się z każdą chwilą.

— W takim razie ruszajmy - zaproponowała. - Później rozgryziemy to cholerstwo. Tu nie ma co próbować.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce. Odtworzyłam trasę do domu: Turner do Green End do Miantonomi Avenue, do Mostu Newport, przez Cieśninę Wschodnią, wyspę Conanicut, Jamestown, Cieśninę Zachodnią, Most Jamestown, drogę numer 4 do 1-95, z powrotem do Providence, do Zbrojowni i na Willow Street.

To jednak wiem na pewno. Sporządziłam listę dla doktor Ogilvy i ósmy punkt - „Była tylko jedna Eva Canning” - okazał się kłamstwem, które nieświadomie napisałam. Mylną epifanią, która w jakiś sposób okazała się błędna. Tego popołudnia zapisałam siedem prawd, nie osiem. Siedem (7).

\*\*\*

Po tym, jak zaciągnęłam Abalyn na cmentarz Middletown (albo Four Corners), chciałam - nie, musiałam - dać jej coś w zamian za to ustępstwo. Toteż zdradziłam jej sekret, tajemnicę tak tajemną, że przerażało mnie nawet przyznanie się do niej przed samą sobą, a co dopiero podzielenie z inną ludzką istotą. Nawet z kobietą, którą kochałam i nadal kocham. Jest wieczór po wyprawie na wyspę Aquindeck i po obiedzie złożonym z makaronu kokardek z pesto i zielonej sałaty z winegretem. Mnie wszystko smakuje jak kreda. Proszę, żeby przeszła do pokoju, w którym maluję, do mojego studia. Z początku patrzy niepewnie. *Qui vive*, jak powiedziałyby Caroline.

— To zajmie tylko parę minut - mówię. — Jest tam coś, co muszę ci pokazać.

— Musisz czy chcesz? - pyta i wyciera usta papierowym rek ręcznikiem (nigdy nie miałam serwetek z materiału).

— Muszę — mówię, toteż wzrusza ramionami, kiwa głową i podąża za mną do pokoju, w którym maluję. Zapalam światło. - Dzisiaj nie musiałaś ze mną jechać. Ostatnio zrobiłaś wiele rzeczy, których nie musiałaś.

— Imp, nic mi nie jesteś winna.

— To zajmie tylko chwilę - zapowiadam, uznawszy, że nie ma się co spierać o wagę niespłaconych długów. A potem podeszłam do starej szafy (znalezionej przy drodze, chyba pochodzi z lar dwudziestych, poobijana secesja, tania podróbka czegoś znacznie kosztowniejszego).

— Nie musisz znów tego robić — mówi Abalyn, w jej głosie dźwięczy zniecierpliwienie graniczące ze zgryźliwością.

Nie odpowiadam. Przekręcam mały, mosiężny klucz, który stale tkwi w zamku szafy, i otwieram oboje drzwi. Wewnątrz kryje się mnóstwo płócien, niektóre rozpięte na drewnianych blejtrach, inne zwinięte w rulony i ustawione pionowo, niczym zwoje papirusów. Z szafy wypływają zapachy kurzu, farb olejnych i drzewa cedrowego. Wyciągam najbliższe płótno (jedno z tych rozciągniętych i zamocowanych w blejtrach) i podaję Abalyn. Trzyma je przez chwilę, wpatrując się w obraz, potem patrzy na mnie, znów na obraz. Wyjmuję z szafy kolejne płótno, i następne, i jeszcze jedno, i znowu, aż w końcu na podłodze i przy ścianach wala się ich ze dwadzieścia.

— Namalowałaś je wszystkie? - pyta Abalyn tonem sugerującym, że nie uwierzyłaby mi, gdybym odparła, że tak.

Kiwam głową, nieszczerze przejmując się, czy uwierzy, czy nie. Nieprawda, przejmuję się. Ale chciałabym się nie przejmować.

- „Syrena z betonowego morza oceanu” - mówi. - Kaleka kobieta i malarz...

- Namalowałam je już po rym, jak napisałam to opowiadanie.

- I po Evie - prawie szepcze, a ja odpowiadam:

- Owszem, po Evie Canning.

- Przepraszam - mówi Abalyn i wybucha suchym, głuchym śmiechem. - Po prostu chwilowo trochę mną trzepnęło. Wymyśliłaś re obrazy, dzieła trawionego obsesją artysty, a potem, po przybyciu Evy, faktycznie je namalowałaś?

Przytakuje, po czym siadam na podłodze, ściskając w palcach klucz od szafy. Abalyn (wciąż trzymająca w rękach pierwsze wyjęte przeze mnie płótno) siada przede mną.

- Czy to ta sprawa z Evą cię do nich natchnęła?

- Tak, i opowiadanie, które napisałam. Przed przybyciem Evy czytałam książkę o rekinie, który wpłynął w strumień Matawan w New Jersey w tysiąc dziewięćset szesnastym i zaatakował trzech pływaków, wiele mil od morza. Dwóch z nich zginęło.

- I dlatego napisałaś historię o syrenach?

- I o tym, co znalazł malarz na brzegu w Atlantic City, i... - Milknę, bo nie wydaje mi się, bym zdołała wyjaśnić to tak, żeby Abalyn zrozumiała, a poza tym nagle wszystko miesza mi się głowie. To znaczy, chronologia.

Abalyn wciąż trzyma obraz, mój ulubiony ze wszystkich, choć jakaś część mnie ich nienawidzi - „Spoglądając na brzeg z Wielorybiej Rafy”. Obraz wiszący w opowiadaniu na ścianie u starej kobiety. Tak jak napisałam, syrena jest zwrócona plecami do widza. Unosząc się na wzburzonych falach, wyciąga ręce na boki, jej długie włosy pływają dokoła, niczym gęsta sieć wodorostów. Spogląda ku lądowi i bielonej latami morskiej, przycupniętej na granitowym cyplu. To skaliste, łupkowo-fyllitowe wybrzeże przy Beavertail Point na wyspie Connanicut. Zapłaciłam rybakowi dwadzieścia dolarów, żeby wywiózł mnie dość daleko, bym mogła zrobić zdjęcia krajobrazu (i pochorowałam się). Poza tym zmieniłam nazwę Wielorybiej Skały na Wielorybią Rafę. Nie pamiętam dlaczego.

W moim opowiadaniu napisałam: „Widz może się nabrać, sądząc, że to tylko obraz kobiety pływającej w morzu, bo ponad wodą widać jedynie niewielką część jej ciała. Można by ją uznać za samobójczynię po raz

ostatni spoglądającą na skalisty ląd, nim zatonie pod powierzchnią. Jeśli przyjrzeć się trochę uważniej, widać jednak charakterystyczne plamy czerwonopomarańczowych łusek pokrywające ramiona oraz żywe stworzenia zaplątane w gąszcz czarnych włosów: małe kraby i kruche rozgwiazdy, poskręcane sylwetki niezwykłych, oceanicznych robaków i chwytającą rozpaczliwie powietrze wielkooką rybę, duszącą się nad wodą".

— Pomyślałam, że może to pomoże - mówię. Na ulicy trzy razy trąbi klakson. - Tak jak wy z doktor Ogilvy sądziłyście, że mogłoby mi pomóc napisanie „Uśmiechu wilkołaka”.

— Ale... - zaczęła Abalyn, po czym umilkła na parę sekund. - Ale to było jedno opowiadanie. A ich jest ile? Trzydzieści, czterdzieści?

— Czterdzieści siedem - mówię - i kilka szkicowników wcześniejszych studiów. Czasami myślę, że powinnam zwalić je wszystkie na wielką kupę na podwórzu i spalić. Chyba powinnam zrobić taki stos. Może to zapewniłoby mi kathasis, którego nie doświadczyłam, gdy je malowałam? -(Czy nie to właśnie zrobił Saltonstall? I co tak naprawdę spalił?).

— Czterdzieści siedem - powtarza Abalyn i znów się śmieje, jakby sądziła, że wymyśliłam sobie tę liczbę. Z niedowierzaniem.

— Jeśli chcesz, możesz je policzyć.

— Imp, nie waż się ich spalić. Nie obchodzi mnie, dlaczego je namalowałam. Nie obchodzi mnie, czy to wpływ tej szalonej suki. - Jej wzrok wędruje po wszystkich obrazach, potem wbija się we mnie. - Po prostu nigdy ich nie pal. Są piękne.

Nie składam żadnych obietnic. Siedzimy tam bardzo długo, razem i osobno. Widywałam już ludzi, którzy zakochiwali się w dziełach sztuki, i mam wrażenie, że na moich oczach Abalyn zakochuje się w mojej syrenie. Przez co jeszcze bardziej mam ochotę spalić je wszystkie.

\*\*\*

A teraz muszę opowiedzieć część mojej historii o duchach, traktującą o syrenie, o tym, co się stało, gdy próbowałam się utopić w wannie, a Abalyn Armitage uratowała mnie i rzuciła. Muszę opowiedzieć o dniu, gdy Eva Canning, córka Evy Canning, wróciła po mnie, o tym dniu i wszystkich, które po nim nastąpiły, i jak to się skończyło.

Zawsze jest jakaś syrena, która śpiewem wabi nasz statek ku katastrofie. Wiedzmy *Sirenum scopuli*, trzy ostre skały smagane falami Morza Egejskiego, tuż przy wybrzeżu Capri. La Castelluccia, La Rotonda, Galio Lungo. Albo archipelag Wysp Syrenich czy Capo Peloro. Homer uczynił z nich Harpie, trzy skrzydlate kobiety śpiewające Ulissesowi śmiertcionośne pieśni. Eurypides i Eustatiusz, Serwiusz i Wergiliusz, i tak wielu innych, którzy chwyтали za pióro, by ostrzec przed syrenami. Homer nawet ich nie nazwał (albo może był zbyt mądry, by próbować), lecz niektórzy z owych uczonych owszem, na przykład: Peisinoe, Aglaope i Thelxiepeia. Gdzie indziej (w hiszpańskim, rumuńskim, francuskim i tak dalej), kiedy indziej, folklor wiąże je ściśle z wodą, Sirena, Sirene, Syrena, Sirena i Sereia, i tak dalej, i dalej, po to, by zwabić żeglarzy na skały, ku śmierci. Och, a zoologowie zaliczają manaty, diugonie i wymarłe krowy morskie *Stelletta* (*Hydrodamalis gigas*) do rzędu ssaków syrenowatych (Illinger, 1811), według herpetologów zaś pewne gatunki beznogich salamandek tworzą rodzaj syren i rodzinę syrenowatych. Wyglądają jak węgorze, ale nimi nie są. To znaczy, węgorzami. Sprawdziłam słowo, jakim określa się stworzenia podobne do węgorzy: *anguilliform*. Ani manaty, ani syrenowate nie żyją na północy na poziomie rzeki Blackstone. Niektórzy ludzie

twierdzą, że to manaty i diugonie są odpowiedzialne za powstanie historii o syrenach, tych żyjących w morzach. Choć manaty nie śpiewają, a przynajmniej mężczyźni i kobiety nie są w stanie usłyszeć ich pieśni. Nie są płazami, tylko ssakami, które wróciły do oceanu, jak wieloryby, delfiny i Eva Canning. Wieloryby śpiewają przejmujące pieśni, a my słyszemy je jasno jak słońce.

Moja syrena wyszła z rzeki Blackstone w Massachusetts, rzeki o tej samej nazwie, co ulica biegnąca obok szpitala, w którym zmarła moja matka. Syrena z Millville, Perishable Shippen, E.L. Canning, Eva Louise, córka Evy May, która weszła do zatoki Monterey przy plaży stanowej Moss Landing w Kalifornii, kiedy miałam zaledwie cztery lata. Która podążyła do morza za kobietą nazwiskiem Jacova Angevine i nigdy już z niego nie wyszła. Głębia morska to wieczna noc, a Jacova Angevine otworzyła te drzwi przed E.M. Canning, ta zaś posłuszenie przekroczyła próg wraz z tyloma innymi osobami, pozostawiając swą nieślubną córkę (taką jak Imp) jej własnemu losowi.

„Dość już przegadanego prologu, Imp. Znów zaczynasz zwłóczyć. Nadal pozostajesz zakotwiczona w *teraz*, a przecież usiadłaś, by pisać o *wtedy*”.

To prawda (i fakt). Usiadłam, żeby to wszystko zakończyć. Napisać resztę mojej historii o duchach, wszystko co mam do opowiedzenia, a przynajmniej ostatni fragment z sierpnia 2008. Nie da się znaleźć rozstrzygnięcia, zamknąć rozdziału. Nie da się zostać nienawiedzonym, nieważne iloma radosnymi samopomocowymi bajdami karmią nas sprzedawcy psychologii dla mas i mówcy motywacyjni. Wiem o tym. Ale przynajmniej nie będę już musiała wracać do błękitnego pokoju, w którym stoi zbyt wiele książek, i nadal próbować odnaleźć jakiś sens w mojej historii o duchach. Lepiej niż teraz już jej nie zrozumieję. Kiedy skończę, pokażę to Abalyn i doktor Ogilvy, a potem nikomu więcej. Już nigdy.

Syrena przyszła i zastukała do mych drzwi.

Działo się to zaledwie kilka dni po tym, jak ułożyłam się w wannie pełnej lodowatej wody i próbowałam wykończyć szczypawkę, wciągając w płuca zapomnienie. Abalyn odeszła, zabrała ze sobą wszystkie swoje rzeczy. Siedziałam na sofie, gdzie tak często przesiadywała ze swym laptopem. Kilka razy przeczytałam ten sam akapit powieści. Nie pamiętam, co to była za książka, zresztą nie ma to znaczenia. Nagle usłyszałam stukanie do drzwi. Nie było głośne, raczej, powiedziałabym, niemal ukradkowe, zupełnie jakbym nie miała go usłyszeć, choć oczywiście miałam. Nikt przecież nie puka tak, by go nie usłyszeć, prawda? Nikt nigdy nie zrobiłby

czegoś podobnego, bo stukanie do drzwi bądź okna mówi „Tu jestem. Wpuść mnie”.

Obróciłam głowę, wpatrując się w drzwi. Drzwi mojego mieszkania pomalowano na ten sam odcień błękitu, co pokój, w którym piszę. Odczekałam chwilę i po paru sekundach znów zabrzmiało ukradkowe pukanie. Trzy stuknięcia w drewno. Nie miałam pojęcia, kto to może być. Abalyn nie miała powodów, by wracać. Ciotka Elaine nigdy nie wpada bez zapowiedzi. Tak samo moi nieliczni przyjaciele - wszyscy mają instrukcje, by zawsze dzwonić, nim się zjawią. Może, pomyślałam, to ktoś z góry albo ktoś z dołu. Może to Felicia, moja gospodyni, albo Gravy, jej majster przy trzecim ukradkowym stuknięciu zawołałam:

- Już idę!

Wstałam i podeszłam do drzwi.

Jeszcze zanim je otworzyłam, poczułam zapach rzeki Blackstone, dokładnie taki, jak owego dnia, gdy pojechałyśmy tam z Abalyn tylko po to, by znaleźć jedynie kilka śladów stóp na błotnistym brzegu. Wiedziałam zatem, kto czeka za drzwiami. Wciągnęłam w płuca muł i mętną wodę, taki, karpie, węże i ważki, i wiedziałam dokładnie, kto się zjawił. Wymówiłam głośno jej imię, nim jeszcze nacisnęłam kłamekę.

- Eva - powiedziałam. A potem otworzyłam drzwi. Moje własne Otwarte Drzwi Nocy.

Stała na podeście, w tej samej prostej, czerwonej, letniej sukience, którą miała na sobie owego upalnego dnia przy Wayland Square i tego popołudnia w muzeum RISD. Była boso, paznokcie u nóg pomalowała na srebrzysty kolor, który skojarzył mi się z macicą perłową, przez większość ludzi nazywaną masą. Kiedy byłam mała, Rosemary Anne miała kolczyki z masy perłowej, ale zgubiła je, zanim poszła do Szpitala Butleta, a ja nigdy ich nie znalazłam. Eva stała przede mną z uśmiechem. W rękach trzymała zawiniątko, coś okręconego papierem pakowym i obwiązanego szpagatem.

- Twoje ubranie - oznajmiła, unosząc paczkę. - Oddałam je do pralni. Nie przywitała się. Podała mi paczkę, a ja ją wzięłam.

- Wiedziałam, że przyjdiesz - oznajmiłam. - Choć nie miałam pojęcia, że to wiem, i tak wiedziałam.

A ona uśmiechnęła się jak rekin albo może barrakuda.

- Czy mogę wejść, Indio Morgan Phelps? Przez chwilę przyglądałam się jej.

- Tego dnia w galerii - rzekłam w końcu - powiedziałaś, że dla nas obu czas wyboru już minął. Po co zatem w ogóle pytasz?

I przypomniałam sobie historie, w których wampiry i inne złowieszcze duchy trzeba zaprosić do swego domu (choć czy raz już jej nie zaprosiłam?).

- Jestem tylko uprzejma - odparła.

- Ale gdybym powiedziała, że nie, i tak nie odejdziesz, prawda?

- Nie, Imp. Za daleko już zaszliśmy.

O mało nie powiedziałam: *Tak wielkie oddalenie od mroku pierwszych wieków... Przywykliśmy patrzeć na spętany kształt pokonanego potwora, ale tam - tam się oglądało potworny stwór na swobodzie*<sup>2</sup>. Ale nie. Zabrakło mi odwagi, a poza tym wątpiłam, by miało to jakiegokolwiek znaczenie. Nie przegnałabym jej żadnym magicznym zaklęciem, nieważne - Josepha Conrada, Hermana Melville'a czy Matthew Arnolda. Żadnym cytatem ze świętej księgi bądź piekielnego grimoire'u. Wiedziałam to doskonale, tak samo jak wiedziałam, że istota stojąca na mym progu jest żywa i zamierza wejść, nieważne czy się zgodzę, czy nie.

Ale prawdę mówiąc, niczego bardziej nie pragnęłam.

- Tak, możesz wejść — rzuciłam. - Gdzie moje maniery?

- No cóż, nie spodziewałaś się mnie.

- Oczywiście, że się spodziewałam - oznajmiłam, a ona znów się uśmiechnęła.

W swym notatniku Leonardo da Vinci napisał: „Syrena śpiewa tak słodko, że jej głos usypia marynarzy. Wtedy wdrapuje się na pokład i morduje ich we śnie”. Tak przynajmniej napisał w przekładzie na angielski. Ci, którzy pisali o magicznym dworze Unseelie, opowiadali o Each-Uisge (Ek-uusz-kja), kelpie, która nawiedzała jeziora, zatoki i rzeki w Irlandii i Szkocji. Wynurzała się ze szlamu i sitowia, wodny koń, a każdy głupiec, który próbował jej dotrzeć, tonął i zostawał pożarty. Oprócz wątroby. Each-Uisge nie znosi wątroby. Ja też jej nie lubię.

„Znów zwłóczysz”, napisała Imp.

Statki - klipry, słupy, szkunery, trawlerzy, kecze, olbrzymie transportowce i toksyczne tankowce, statki wielorybnicze - dryfujące na zdradzieckich prądach i sztormowych wiatrach — roztrzaskują się w drzazgi na zębatych przylądkach.



„Dryfujące”, napisała Imp. „Ster lewo na burt. Kierunek wprost na północ, jeśli nie chcesz zboczyć”.

Eva Canning przekroczyła mój próg.

*A kogóż z tych, co umierają na morzu, składa się na marach?*

Zamknęła za sobą drzwi, zamek szczęknął głośno. Przekręciła zasuwę, a ja odkryłam, że nie widzę w tym niczego dziwnego. Absolutnie niczego dziwnego w tym, że zamyka się ze mną w moim własnym mieszkaniu. Zrozumiałam, że nie przybyła z tak daleka tylko po to, by jakiś intruz miał jej przeszkodzić. Wyobrażałam sobie, że tak wiele innych osób przede mną utonęło w głębi jej butelkowo-błękitnych oczu. Jest dokładnie, dokładnie, dokładnie taka, jaką ją zapamiętałam z lipcowej nocy nad rzeką Blackstone i z tamtego dnia w galerii. Włosy tak długie, barwy zupełnie niczego, barwy miejsca, w którym nigdy nie świeciło słońce.

Odwróciła się od zamkniętych drzwi. Zwróciła się ku mnie. Dotknęła mojego policzka i jej skóra wydała mi się gładka jak jedwab. W porównaniu z nią, moja skóra przypominała papier ścierny. Wrażenie było tak przejmujące, że zapragnęłam się odsunąć i ostrzec, by się nie pokaleczyła. Jej dłoni nie stworzono do tego, by dotykała mnie podobnych. Myślę o historiach, które czytałam w książkach, opowieściach o rekinach ocierających się o pływaków i o rym, jak żłobione łuski na ich skórze potrafią rozedrzeć nagie ciało do krwi. Tu jednak nasze role się odwracają, choćby na ten krótki zlepek ułamków sekund. To ja zadaję jej otarcia, albo przynajmniej się tego obawiam.

Nie widzę jednak na jedwabistej dłoni nawet kropli krwi.

- Zraniłaś mnie - mówię. - Umieściłaś słowa w mojej głowie i omal nie umarłam, próbując się ich pozbyć.

- Zwróciłam twoją uwagę.

- Zraniłaś Abalyn.

- Imp, gdyby nie odeszła, ucierpiałaby dużo bardziej. - I Eva cytuje Hamleta: „Miłość to moją tak zatwardza duszę; chcąc być łagodnym, okrutnym być muszę”<sup>3</sup>.

Wiem, że nie da się z nią dyskutować. Z tym melodyjnym głosem, który usłyszał niemądry Odys, dla którego kazał się przywiązać do masztu, by móc go wysłuchać. Eva zamienia każdą obiekcję w nieskrywany absurd.

- Jesteś złym stworzeniem. Obraża boską.

- Jestem tym, czym jestem. Podobnie jak ty.

Jedwabiste palce prześlizgują się po moich wargach, a potem grzbiecie nosa. Nikt nigdy nie dotykał mnie w tak doskonale intymny sposób.

- Przyszłaś mnie zabić - mówię bardzo cicho i zaskakuje mnie fakt, że się nie boję.

- Niczego takiego nie zamierzam - odpowiada, i to też mnie nie zaskakuje.

To znaczy, jej słowa. Łatwo jest zabić. Łatwo być drapieżcą. Rekinem, wilkiem. Niełatwo, nie. Ludzie polują na wilki i rekiny bez powodu, jedynie dlatego, że to rekiny i wilki. Próbuje powiedzieć, że zdaje sobie sprawę z tego, że czymkolwiek jest Eva Canning, to coś znacznie subtelniejszego niż drapieżnik. Przybyła na żer i może pożreć, ale nie zabić. Moją twarz gładzi bestia, która nie musi się karmić, by pożerać.

- Pozwoliłaś, by cię zobaczył. To znaczy, Saltonstall.

- Nigdy tego nie powiedziałam.

- „Tonąca Dziewczyna”. Nazwałaś ją „moim obrazem”.

- Czyżby? - pyta i uśmiecha się.

Jej dłoń zatrzymuje się przy mojej lewej małżowinie, na rękach mam gęsią skórę. Długie palce przeczesują mi włosy.

- Czym zatem jesteś?

- Zatrzymałaś się dla mnie. Nikt inny nigdy tego nie zrobił. Przyszłam, by ci zaśpiewać, jestem ci winna trochę łagodności.

- Nawet jeśli będzie okrutna.

- Nawet jeśli - powtarza, a teraz jej palce badają mój kark. - A w zamian poproszę cię o niewielką przysługę, Imp. Ale o tym pomówimy później. Nie bój się mnie. Jeszcze tego nie widzisz, ale przyszłam wyprowadzić cię z mrocznego miejsca, w którym dotąd żyłaś. Stąd nie potrafisz tego dostrzec, ale stamtąd zobaczysz. (Tam się ogląda potworny stwór na swobodzie).

I wtedy mnie pocałowała, a ja pomyślałam „nikt jeszcze nigdy mnie nie całował”.

(Och. Zmieniłam czasy, ale też nie ma właściwego czasu w tej Blake'owskiej krainie snów, mnemonicznym labiryncie, gdzie przeszłość i teraźniejszość zlewają się ze sobą. *Przeszłość to teraźniejszość, prawda? A także przyszłość.* Dokładnie tak, jak powiedziała Mary Cavan Tyrone).

Pocałowała mnie. Całuje mnie. Zawsze będzie mnie całować. Tak właśnie działają nawiedzenia. Myślę, że Eva Canning - chyba tylko mi się to wydało, ale odniosłam wrażenie, że Eva Canning smakowała jak

morze. Smak, zapach, widok, dźwięk, wrażenie dotyku... wszystkie zlewają się, tak samo jak czasy.

Jej język wdziera się do mych ust, bada, i przez moment ogarnia mnie panika, bo nie różni się to szczególnie od dnia, gdy próbowałam oddychać pod wodą, dnia, kiedy usiłowałam wchłonąć w płuca całą wannę lodowatej wody. Wlewa się we mnie. Tyle że tym razem moje ciało nie walczy. Wlewa mi się potokiem w gardło, a ja wdycham ją w siebie. Ale moje płuca nie próbują nawet oprzeć się tej inwazji.

Brzmi to jak pornografia. Przeczytałam ostatnią kartkę i wygląda to, jakbym pisała pornografię. Ale wcale tak nie było. Moje słowa nie wystarczą. Nie są w stanie wykonać powierzonego im zadania. Nie wiem, jak przekazać napiętność i pragnienie, wilgoć między moimi udami, pożądanie, pragnienie, by mieć ją w sobie i wokół siebie; nie zabrzmiało tak tanio i płasko. Kobieta zmaga się ze sobą, próbując opisać demony, anioły, i będąc tylko kobietą szkodzi, robi niedźwiedzią przysługę ich pięknu i grozie. Ja też robię Evie Canning, tej, która przybyła do mnie, tej, którą ujrzałam, straszliwą niedźwiedzią przysługę.

*Od lat najmłodszych, lat dziecinnych Żyć ani patrzeć tak jak inni Nie mogłem; 4*

Nasze wargi rozłączyły się i ów podział przyniósł ze sobą znacznie większą rozpacz, niż czułam nawet wtedy, gdy dowiedziałam się o śmierci Rosemary, i o Caroline, i wówczas, gdy Abalyn odeszła. Odsuwam się chwiejnie i zderzam z poręczą sofy. Gdyby nie ona, z pewnością bym upadła.

*Nie przeczuwasz nawet uciech, które w sercach nam... 5*

Eva stała pomiędzy mną i drzwiami. Dopiero zaczynałam ją widzieć -nie jako maskę kryjącą pod sobą to coś, potworne i wolne, kilka cali czarnej wody. Widziałam jeszcze wyraźniej niż owego dnia w muzeum. Jej policzki i ramiona migoczą, czerwono-zielono-cyjanowym blaskiem i dopiero teraz orientuję się, że nie ma na twarzy okularów przeciwsłonecznych, które nosiła owego dnia przy Wayland Square i tamtego, w RISD,

---

4Przeł. Roman Klewin.

5Przeł. Roman Klewin.

bo jej butelkowo-niebieskie oczy są czarne, i nie wiem, jakim cudem mogłam kiedykolwiek wziąć ten kolor za butelkowo-niebieski bądź jakikolwiek inny. Czerń to wszystkie kolory, wszystkie barwy wchłonięte. Żaden kolor nie umyka czerni. Żadne światło nie umyka z oczu Evy Canning, gdy nadal wierzę, że jest Syreną z Millville.

- Zaśpiewam dla ciebie, ~~Winter~~, Indio Morgan - mówi i uśmiecha się owym zmęczonym, smutnym, łapczywym, przeprasającym, współczującym uśmiechem. Uśmiech ów na zawsze wyrzył się na wewnętrznej stronie moich powiek, i kiedy umrę, zostanę zabalsamowana i spocznę w grobie, nadal będę go widziała. - Przyszłam, żeby dla ciebie zaśpiewać i by zaczerpnąć z ciebie twoją pieśń, A kiedy skończymy ze śpiewem, zabierzesz mnie do domu, a ja odejdę do mojej matki, która śni o mnie każdej nocy.

Podglądacz całkowitego zniszczenia. Z perspektywy czasu.

\*\*\*

Wróżba z ciasteczka szczęścia, którą znalazłam, gdy razem z Abalyn pierwszy raz zamówiliśmy posiłek na wynos: „Nie zatrzymuj się teraz”.

Ale chcę się zatrzymać, bo to, co nadchodzi, jest równie straszne jak ostatnie dni bez lekarstw, owe ostatnie dni spędzone w kącie bądź na szaleńczych szeptach w maszynę do pisania, dopóki Abalyn nie użyła klucza i mnie nie znalazła. Tego, co się zbliża, nie da się opisać, bo jest aż tak straszne, tak piękne, tak opuszczone i tak osobiste. Ale jestem już blisko, tak blisko Końca. Nie zatrzymuj się teraz.

Większość z tego, co nastąpi, jest niewyraźna, pomieszana. Zwłaszcza początek. Najpierw przestałam zażywać lekarstwa. A potem zjawiała się Eva i, cokolwiek to znaczyło, przekroczyła mój próg, a mówiąc to, mam na myśli znacznie więcej niż zwykle przejście przez drzwi. Mam na myśli mnóstwo innych szczegółów. Pamiętam, że zadzwoniła do pracy i powiedziała, że jest moją przyjaciółką, że złapałam grypę żołądkową i parę dni mnie nie będzie. Pamiętam też, że to Eva przekonała mnie, że poczuję się lepiej bez pigułek, bo w końcu teraz mam ją. I powiedziała coś takiego:

— Jedyne zakłócające twoje postrzeżenie mnie. Nie pozwolą ci zobaczyć, jakie dary ukazuje twoje szaleństwo i to, czego inni nigdy nie odgadną.

Na jej polecenie spuściłam je wszystkie do toalety. Lekarstwa. Siedziałam obok muszli, opróżniając kolejne fiolki, a ona stała w drzwiach

i przyglądała mi się z aprobatą. Potem spuściłam wodę i wir porwał moją sztuczną normalność.

Podąła mi rękę i pomogła wstać z podłogi, choć prawdę mówiąc, pragnęłam tam zostać. W mieszkaniu było tak strasznie gorąco, a kafelki pode mną przyjemnie chłodziły. Przyciągnęła mnie do siebie, a potem zaprowadziła...

Byłoby kłamstwem, gdybym ograniczyła się do: „przyciągnęła mnie do siebie, a potem zaprowadziła do łóżka”. Choć rzeczywiście to zrobiła. Gdybym jednak tak powiedziała i tylko tak, to byłoby kłamstwo. Może fakt, ale nie prawda.

— Weź mnie za rękę, Indio. Nauczę cię latać.

Latać, pływać, śpiewać. Zaprowadziła mnie do łóżka i rozebrała mnie. Znów mnie pocałowała. Całowała moje usta, i moje piersi, moją pleć. A potem powiodła mnie w samo setce zimy, nad rzekę Blackstone. Wplotła mnie w swoją pieśń, która stała się odległą białą krainą, później obrazem, a później morzem. Ale najpierw pieśń była tylko pieśnią, a jej wargi tylko jej wargami.

*Siuu, siuu, siuu la ruu, siuu la rak szak, siuu la baba buu, sally bally billcome dibb-a-linn a buu sza-lo-riii, aaa, kotki dwa, szarobure obydwu, nic nie będą robiły, do wojska poszedł Johnny. „Pójdźże ze mną, piękny chłopcze, pójdźże, spędź ze mną noc”, do wojska poszedł Johnny. I na mogiłach róży pęd, co z pędem wnet się splótł, i wiedzą ludzie odtąd, że, miłość złączyła ich po grób. Śniadą masz twarz, i oczy masz, czarne jak noc, do wojska poszedł Johnny. „W łódź go kazałam wsadzić i na przestwór puścić mój, Niech płynie albo tonie, lecz, nie wraca nigdy już”. I słyszę tylko świst, to wiatr przez miasto dmie, och, cóż to jest za świst? To wiatr przez miasto dmie, jęczy i w wirze lka, lka, lka. I o północy jego duch do łóżka podszedł Mar-i-Jane, a gdy odkryła, że w boju padł, to przeraziła się. Mój ukochany w boju padł, nie cieszy dłużej mnie ten świat, nigdy nie zaznam szczęścia nie, szaleństwo jeno czeka mnie. Do wojska poszedł Johnny. Hej, hej, chwytaj za fał, będzie nam dziś wiatr dobrze wiał. Szul szul szulagra, proste jak sznur, że kochać ma. Trzy pensy za herbaty funt, herbaty funt, herbaty funt. Siul, Siul, Siul a ghrd Nil leigheas ar fdil ach leigreas an bhdis O d'fhtag tu mise is bocht mo chds Is go dte tu mo mhuirnin sldn. Za górami, za lasami, mała owieczka się pasie, muchy i pszczoły tną ja pod oczami, a ona za mamą płacze. Aaa, kotki dwa, szarobure obydwu, pływ,*

*gdzie wieloryb tam, gdzie wypełnia żagiel szkwał, gdzie ocean ścina lód, gdzie na zębach ostrych skał, i na wodach śniegu w bród, a jeśli ptaszek nie zaśpiewa, mamusia da ci gwiazdkę z nieba, w wirze łka, łka, łka, do wojska poszedł Johnny. Z jej żeber harfę zrobił snadź, by zawsze już móc na niej grać. Do wojska poszedł Johnny. I trzy razy nasz statek obrócił się, trzy razy, ho ho ho, a po trzecim razie, gdy obrócił się, to poszedł wprost na dno. Łódź leży do góry dnem, czterech śmiałków wraz z nią na dnie, a wieloryb umknął hen. Dzielny chłop, a wieloryb umknął hen. W zimową mroczną noc, za trupem poszła w ślad. W wirze łka, łka, łka. Widziałem światłość z niebios, jak rozjaśniła noc, widziałem wielkie światło, które przegania mrok. A statek nasz powoli parł pod wiatr, na szczytach stromych fal. Siuu, siuu, siuu la ruu, siuu la rak szak, siuu la baba buu, sally bally bill come dibb-a-linn a buu sza-lo-riii, do wojska poszedł Johnny.*

Przez następne dni każda bez wyjątku pieśń i piosenka należała do niej, do jej gatunku. Nie musiała mi nawet tego mówić. Rozumiałam to bez słowa. Wisiało między nami niewypowiedzianą prawdą. Eva Canning położyła mnie na mym łóżku, wyfiletowała i ukryła twarz między moimi udami, a jej język wyśpiewywał we mnie niewypowiedziane pieśni.

Jest ich zbyt wiele, by zapisać wszystkie, toteż ograniczam się do pełnych grozy kęsków. Większości zresztą i tak nie zapamiętałam, a poza tym wiem teraz coś, czego nie wiedziałam wtedy. Widziałam grób w Middletown i już wiem, że moja historia o duchach nie jest historią o duchach, za którą ją miałam, tą, którą zamierzałam opowiedzieć. Moje historie zmieniają postać jak syreny i wilkołaki. Lykantropia rzeczowników, czasowników, przymiotników, podmiotów i orzeczeń, i tak dalej, i dalej

Chłęptała między moimi nogami, wypełniając mnie aż do rozpuku muzyką, którą niewielu udało się usłyszeć i przeżyć. Zrobiła ze mnie Ulissesa. Zrobiła ze mnie lirę i harfę, i flet. Grała mną i na mnie (podwójne znaczenie). A pieśni to historie, toteż w chwili, gdy stałam się pieśnią, uczyniła mnie książką. I nic już nie znaczy tego, co znaczyło jeszcze parę dni temu, ale opowiadam to tak, jakbym opowiedziała, zanim Abalyn pojechała ze mną na wyspę Aquidneck. Później przyjdzie czas na inne objawienia. Te rzeczy wciąż są prawdziwe, a uważam, że fakty umieją cierpliwie czekać. Fakty mają dla siebie cały czas, jaki daje im wszechświat.

Pewnej nocy obudziłam się po północy, ale na długo przed świtem, a ona stała przy oknie w sypialni, wyglądając na zarośnięte pokrzywami

i chaszczami podwórko, na domy stojące przy Wood Street, na niebo, i wszystko co widać z tego okna. To dość przygnębiający widok i rzadko w ogóle rozsuwam zasłony. Eva była naga, jej skóra mieniła się tęczami, jak benzyna rozlana na kałuży. Nawet w blasku księżyca przenikającym przez okno jej skóra migotała.

- Czy ja śniłam...? - zaczęłam.

- Śniłaś o mnie - odparła.

- Na co patrzysz? - spytałam głosem przepelnionym snem i smakiem sennych marzeń, którymi mnie obdarzyła i tych, które dopiero miały nadejść.

Spojrzała na mnie przez ramię i uśmiechnęła się. To był najsmutniejszy uśmiech, jaki widziałam. Uśmiech, który o mało nie złamał mi serca.

- Twoje serce jest bardzo kruche, ~~Winter~~ Indio Morgan. Twoje serce jest jak sklepik z porcelaną, a cały świat to ten słoń. Twoje serce wydmuchano ze szkła. Powinnaś spać.

- Coś mnie obudziło - odparłam. Spytałam, na co patrzy, a ona znów odwróciła się do okna.

- Coś mnie obudziło - powiedziała.

Znów zamknęłam oczy, pragnąc tylko zapaść się z powrotem w sen, tak bardzo zmęczona, tak szczęśliwie, boleśnie wykończona jej posługą i pieśniami i historiami, przepelniającymi mnie życiem. I wtedy powiedziała coś jeszcze. Nie jestem pewna, co właściwie usłyszałam. Prawie pewna, a to przecież nie to samo, prawda?

Myślę, że Eva Canning powiedziała:

-Jesteś duchem.

Ale nie mówiła do mnie. Patrzyła bowiem na własne odbicie w oknie sypialni i jestem tylko prawie pewna, że to właśnie do niego przemawiała.

\*\*\*

Tę następną piosenkę wybieram losowo. Ten sen. Chyba wybiorę ją, a potem jeszcze jedną historię. Albo dwie.

Maluję obraz dni, które zostały utracone, a jednak to najbardziej rzeczywiste i obecne dni, jakie kiedykolwiek przeżyłam. Próbuję przypomnieć sobie owe cudowne sny i historie, które wyśpiewywała i szeptała mi w usta, zęby, w głąb gardła.

Znała setki permutacji historii o tym, jak w 1898 Philip George Saltonstall namalował „Tonącą Dziewczynę”. Powtórzyła mi większość z nich. Wyśpiewała mi je. Niektóre brzmiały jak echo jego listu do Mary Farnum. Większość nie.

Pamiętam to, choć nie wiem, czy działo się na jawie, czy we śnie. Nieważne, czy to wyśniłam, czy słyszałam na jawie, czy może przebywałam wówczas w owej progowej przestrzeni, w której trzymała mnie przez większość czasu. Lunatykowałam przez całe dni.

Znalazłam się w lesie przy Tamie Rolling na rzece Blackstone, był środek zimy po obfitych opadach śniegu. Byłam naga, jak Eva stojąca w oknie sypialni, ale nie czułam zimna. W ogóle go nie czułam. Znajdowałam się na zachodnim brzegu, spoglądając ponad tamą na masy wody barwy marynowanych hiszpańskich oliwek, przelewające się przez wypukłą krawędź i spadające na skały w dole. Woda nad tamą była czarna, i kto wie jak głęboka, kto wie, co skrywała. (A teraz, pisząc to, przypominam sobie Natalie Wood, próbującą się utopić nad tamą w „Wiosennej bujności traw”, i Natalie Wood, która utonęła w 1981 roku obok przesmyku wyspy Catalina. Całe życie bała się, że utonie, bo w dzieciństwie o mało jej to nie spotkało. To znaczy utonięcie. W każdym razie, w „Wiosennej bujności traw” woda nad tamą także była ciemna, ale w kinie działo się to latem, nie zimą).

Wody pod tamą Rolling to bystrzyny, ryczące i bulgoczące między ośnieżonymi granitowymi głazami. Zeszłam na brzeg i przekonałam się, że na północ ode mnie, tam, gdzie rzeka skręca ostro na zachód, zupełnie zamarzła i lód ciągnął się jak daleko sięgałam wzrokiem. Pomiędzy pniami i oszronionymi gałęziami papierowych brzoź, sosen, klonów obsypanych mimo mrozu tysiącami maleńkich czerwonych kwiatków, dębów, wierzb, i gęstych zarośli rododendronów, głogów, dzikich róż i winorośli.

Mój oddech nie parował, podejrzewałam, że to dlatego, że nie żyję, zatem moje ciało jest niemal równie zimne jak otaczające je lasy.

„Co takiego zobaczyłaś przy tamie?” - piszę. „Tylko bez kłamstw. Co zobaczyłaś?”.

Bardzo przepraszam. Jeszcze nie skłamałam.

Z lewej strony dobiegł hałas, odwróciłam głowę i ujrzałam obserwującą mnie łanię. Była tak nieruchoma, że z początku sądziłam, że ona też nie żyje. Może ktoś znalazł ją zdechłą, wypchał i pozostawił tu w tamach dowcipu bądź jako upiorną ozdobę? Ale potem zamrugła i umknęła, uskakując między drzewa. Powinna bardzo hałasować, przedzierając się



tak przez las, ale nie towarzyszył temu żaden dźwięk. A może i towarzyszył, ale zagłuszył go ryk tamy. Tama była tak głośna jak fala, która stale się załamuje i nigdy nie cofa z nagich obszarów jałowych piasków i skał tego świata. Łania odbiegła, jej biały ogon błysnął ostrzegawczo, ale zdawało mi się, że jestem sama. Oprócz wron kraczących na drzewach.

„Wrony oznaczają kłamstwa”, napisała Imp. „Nie zapominaj o tym. Nie zapominaj o lekarzach zarazy, której nigdy nie widziałaś, lekarzach z dziobami”.

Wrony nie zawsze oznaczają kłamstwa. Czasami to tylko głodne, spłoszone, rozkrzyczane, złośliwe wrony przycupnięte na nagich gałęziach lutowych drzew. Tam w górze tkwi moja dusza. Czasami nie są niczym więcej.

„No dobrze”, napisała Imp. „Ale po łani, co takiego zobaczyłaś po łani? Kiedy spojrzełaś na drugi brzeg rzeki Blackstone, nad tamą, co takiego zobaczyłaś?”.

Zobaczyłam Jacovę Angevine. (Nie wiedziałam jak się nazywa; miałam się tego dowiedzieć dopiero za dwa lata i cztery miesiące). Zobaczyłam Jacovę Angevine, przywódczynię Otwartych Drzwi Nocy, prorokinię z Salinas, wiodącą dziesiątki dziesiątek kobiet i mężczyzn do rzeki. Wszyscy mieli na sobie szaty białe jak śnieg. Nikt z nich nawet nie próbował pływać. Weszli do wody, zanurzyli się i nikt już nie wypłynął. Nie widziałam bąbelków powietrza. Trwało to bardzo długo, a ja zaczynałam już myśleć, że ta procesja nigdy się nie skończy, gdy koniec nadszedł i na przeciwległym brzegu pozostała tylko jedna kobieta. Nie, nie kobieta. Bardzo mała dziewczynka. Nie miała na sobie białej szaty, tylko dzinsy i sweter oraz jaskrawobłękitny płaszczyk z niebieskim futrzanym kołnierzem. Stała na brzegu, wpatrując się w zabarwioną taniną rzekę. Tama Rolling ma najwyżej pięćdziesiąt metrów szerokości, toteż widziałam ją bardzo wyraźnie. W końcu dziewczynka uniosła wzrok i na moment nasze spojrzenia się spotkały. A potem się odwróciła i jak łania umknęła w głąb lasu.

- Jesteś duchem - powiedziała do swego odbicia.

Chciałam pójść za dziewczynką, ale nie odważyłam się wejść do rzeki, między tych wszystkich utopionych ludzi. Byłam pewna, że złapią mnie i wciągną za sobą. Przykucnęłam tylko w śniegu, dzika jak łania, ryś czy kojot. Przykucnęłam, obserwując rzekę. Wysikałam się, więc wiedziałam, że muszę być żywa, bo wątpię, by martwe kobiety sikały, prawda? Skuliłam się wśród drzew pod zachmurzonym niebem Mana Raya, niemal tak

białym jak śnieg. I nim zaszło słońce, zaczęłam czuć chłód, a moje ciało zamieniło się w lód. Byłam kryształem, księżyc przeświecał przeze mnie.

Imp pisze: „W »Uśmiechu wilkołaka« nadałaś sobie imię Winter. Zima”.

\*\*\*

Siedzimy razem w blasku księżyca, w całym mieszkaniu nie pali się żadna lampa. Siedzimy razem przed adapterem i głośnikami, a ja puszczam Evie jedną z płyt Rosemary Anne. Powiedziała mi, że zawsze fascynowała ją muzyka, której sama nie tworzy, muzyka ludzi, muzyka znad morza, muzyka świata w górze, choć bardzo niewiele jej słyszała. Puszczam jej zatem „Dreamboat Annie”, bo pamiętam, że ją właśnie Abalyn lubiła najbardziej. Eva słucha, od czasu do czasu coś mówi, muzyka rozbrzmiewa głośno (tak sobie życzyła), ale bez problemu słyszę wyraźnie jej słowa pośród dźwięku gitar, perkusji, pianin i syntezatorów oraz wokalu.

Właśnie znów ją spytałam, co miała na myśli, mówiąc tamtego dnia w muzeum, że „Tonąca Dziewczyna” to jej obraz. Jedna piosenka się kończy, druga zaczyna.

- Widzisz go - mówi w końcu Eva - i masz na jego punkcie obsesję. Ale czy kiedykolwiek sprawiłaś, że stał się twój? Czy kiedykolwiek znalazłaś się wewnątrz niego?

Przyznałam, że nie.

Pocałowała mnie, a muzyka umilkła. Po kilku chwilach znów znalazłam się na brzegu rzeki, tym razem ~~nie byłam Zimą~~, to nie była zima, ale koniec lata, drzewa mieniły się wszystkimi odcieniami zieleni. Prawie nie widziałam niczego, co nie byłoby odcieniem zielonego. Natychmiast jednak zauważyłam, że sięgam wzrokiem zaledwie kilka stóp w każdą stronę. Nie widziałam nieba, środka nurtu ani drugiego brzegu. Weszłam do chłodnej, gościnnej wody i kiedy oglądałam się przez prawe ramię, nie mogłam przeniknąć wzrokiem przestrzeni między drzewami. Nad sobą nie dostrzegam ani śladu nieba. Nie chodzi o to, że go nie widzę; po prostu go tam nie ma. I wtedy rozumiem, że tak naprawdę nie wróciłam nad rzekę. To pocałunek Evy, alchemiczny pocałunek sprawił, że znalazłam się w obrazie. Nie, jestem obrazem.

Uważniej oglądam wszystko dokoła i każda powierzchnia - rzeki, lasu, kory drzew, poszycia między nimi, nawet mej własnej skóry - ma w sobie charakterystyczną fakturę płótna naciągniętego na blejtram. I wtedy

czuję muśnięcie pędzla z wielbłądziego włosia i farbę olejną rozprowadzaną czule, starannie, w miejscu pod moim pępkiem.

- Widzisz? - pyta Eva.

I znów jestem z nią w blasku księżyca. Płyta już się skończyła i ramię gramofonu automatycznie się uniosło, wracając na miejsce.

-To przecież takie proste. Teraz to także twój obraz. Jedyne kolejny sposób śpiewania.

Dopiero po jakimś czasie dezorientacja minęła i mogłam się odezwać.

- Chciałabym, by istniało coś, co mogłabym ci dać. Ty dałaś mi tak wiele.

A ona uśmiechnęła się i pocałowała mnie w policzek.

- To się zjawi, skarbie. - Westchnęła. - Bądź cierpliwa. Zjawi się aż za szybko.

Jak już wspominałam, Eva wspiewała we mnie niezliczone inne pieśni i historie. Choć widzę teraz, że wszystkie to wariacje na jeden wspólny temat, a rozbieżności, które odróżniały je od siebie, obecnie wydają mi się znacznie mniej znaczące, mniej istotne niż wówczas.

- Jesteś duchem - powiedziała do siebie Eva.

I śpiewała we mnie przez wiele dni i nocy, czyniąc ze mnie naczynie, wypełnione wspomnieniami ducha. Ukrywała mnie, odizolowaną w jej ramionach i moim mieszkaniu, z dala od wszystkiego, co mogłoby mnie rozproszyć, by moje oczy i uszy, dotyk i smak skupiały się wyłącznie na niej i tylko na niej. Wdychałam ją w siebie. Wdychałam ducha, niematerialnego, utkanego z ektoplazmy, kobietę, która uważała się za ducha i syrenę, i która nie była wilkiem, nigdy nim nie była. W tym czasie znalazłyśmy też chwilę na rozmowę o Albercie Perrault i rzekła: „Moja matka...”, ale potem urwała.

Napisałam, że wybieram jedną historię, a potem kolejną. Ale jest ich zbyt wiele, a różnice są zbyt drobne. I wybrałam. Dziewczynkę, która stoi na brzegu, a potem się odwraca. Nie wchodzi za pozostałymi do wody i na zawsze traci szansę. Nie dołącza do nich, więc na zawsze pozostaje osobno. Potrafię to zrozumieć. Caroline odeszła w litościwych oparach wodorowęglowych, Rosemary Anne także odeszła i zostałam sama, banitka z własnego wyboru, z własnego strachu. Mogłam do nich dołączyć, ale nie. Nie mogę pójść za nimi. Eva też nie może pójść, jednakże niebo

na zawsze pochłoneło jej serce i duszę. „Mała syrenka”, nigdy „Czerwony Kapturek”. Nigdy Gaveudan. Zawsze „Tonąca Dziewczyna”, nigdy Elizabeth Short. Ale znów wyprzedzam bieg wypadków. Stop. Cofnij się o kilka kroków, Imp.

Eva mnie nie kochała. Wątpię, by kiedykolwiek kogoś kochała. Kochała ocean. Uwięziona w ciemnej rzece w Massachusetts szukała tylko drogi do domu, ścieżki wpadającej w przypływowe ramiona kochanka. W „Uśmiechu wilkołaka” napisałam o fikcyjnej Evie „...bo wiedziałam, że nie kochała żadnego z nich, tak jak nie kochała mnie”.

Mówiłam już o rzece w zimie i o tym, że stałam się obrazem, ale nie zamierzam zapisać tych wszystkich pieśni-historii, zmiennokształtnych, niezmiennych permutacji: dziecka na karuzeli, wirującej, pod czujnym okiem matki, zmierzającego donikąd; wychudzonego stwora o złotych oczach i zębach jak szpilki, przyczajonego w mule na dnie głębokiej wody za tamą Rolling; wraków niezliczonych statków z siedemnastego, osiemnastego i dziewiętnastego wieku; plaży wiodącej do podwodnego wąwozu Monterey, długiego na dziewięćdziesiąt pięć mil i głębszego, niż sięga sonda, niemal czterysta metrów stóp; pięknej, charyzmatycznej kobiety ze starożytną figurką boskiej istoty, którą nazwała Matką Hydrą; misternej mandali na posadzce świątyni, niegdyś będącej magazynem, i suplikantów modlących się tam o uwolnienie od ziemskiego potępienia; Phillipa George'a Saltonstalla, wskakującego w siodło; gwałtu na mojej matce, dokonanego przez mężczyznę, którego nazywałam ojcem; wszystkich tych mężczyzn i kobiet maszerujących w morze; krainy huraganowych demonów. Widzisz, Imp, to wszystko ta sama historia oglądana oczami ducha, którego nawiedzają, a ten duch to Eva i ten duch to ja.

Pokazała mi twarz, którą musiałam zobaczyć, a którą ona musiała mi pokazać, aby zamknąć krąg. To miało zakończyć jej nawiedzenie i pogłębić moje. W owym czasie tego nie wiedziałam, bo nie brałam leków i tkwiłam w niej, zagubiona.

Potwory nie istnieją. Nie ma wilkołaków. Nie ma syren.

Ale ona pokazała mi swe najprawdziwsze oblicze i nieważne, czy kiedykolwiek odpowiadało faktom.

Syrena z Millville skręcała się w swych wielobarwnych zwojach na moim łóżku, zamordowana, przekształcona dusza Perrishable Shippen, która utonęła jak statki z jej nazwiska, nawet jeśli nigdy nie istniała. Eva skręcała się w wielobarwnych zwojach węgorzy i morskich węży, śluzie i minogów. Przysała się zachłannymi, otoczonymi haczykami ustami do

fald mojej pochwy, a jej szorstkie zęby pracowały nad moją lechtaczką. Zwijała się i skręcała wokół mnie, owijając mnie w dławiący, ochronny kokon śluzu, gęstej, przezrystej mazi wydzielanej przez niewidoczne gruczoły bądź pory. Jej klatkę piersiową przecinały ukośne szczeliny reki-nich skrzeli, rząd czterech głębokich, szkarłatnych szram po obu stronach tułowia, poza wodą dyszących, rozchylających się i zamykających. Duszących się, lecz wciąż żywych. Jej piersi zniknęły, pozostawiając płaskie ciało, naruszone jedynie szczelinami skrzeli. Patrzyłam w czarne oczy, oczy będące wyłącznie czernią, a one spoglądały we mnie.

Rozkwitła i wykrwawiła mnie do sucha.

Odebrała mi głos i napełniła pieśnią.

Choć nie kochała, nie dała mi wyboru i zmusiła, bym pokochała ją.

W miejscu dawnej, czystej, bawełnianej pościeli pojawiła się warstwa polipów, setek różnych odmian morskich ukwiałów, kłujące objęcia ich parzących macek zasadzonych tu, by nas chronić. Byłyśmy odporne na ich neurotoksyny, rozumiałam to instynktownie, tak jak maleńkie błazenki, które zakładają gniazda wewnątrz ukwiałów, by umknąć szczękcom większych ryb. W moich oczach ukwiały nie różniły się od łąki pełnej polnych kwiatów. Ona też rozkwitała. A w kwiatkach tych przycupnęły maleńkie ośmiornice w błękitne paski i morskie węże, szcędzące nam śmiertcionośnych ukąszeń. Wezwała je wszystkie melodiami, których nigdy nie odtworzy gardło żadnej śmiertelniczki. Kraby przebiegały mi po brzuchu, ostra jak brzytwa wysypka pąkli porastała ręce i nogi. A ja niczego nie kwestionowałam. To wszystko było. Po prostu było. Pokój wypełniały rozdygotane węzowate cienie ryb.

Dochodziłam raz za razem, za razem. Orgazm to stanowczo zbyt słabe słowo. Obejmowała mnie mocno ramionami tej samej butelkowobłękitnej barwy, co kiedyś jej oczy, jej dłonie, połączone błoną palce i ręce porastały łuski i fotofory, jaśniejące innym odcieniem błękitu i oświetlające otchłanny mrok mojej sypialni, która musiała zatonać głębiej niż cokolwiek w dziejach. Chitynowe szpony pozostawiały szramy na moich piersiach i twarzy. Grzebień jak u skrzydlicy przebijały mi płuca i serce.

Pociągnęła mnie w dół.

- Obiecuj - wyszeptwała pozbawionymi warg ustami. - Obiecuj mi, kiedy już tu skończymy.

A ja obiecałam, ledwie w połowie rozumiejąc co przyrzekam. Obiecałabym jej, że przebiję się przez wszystkie piekła, w które nigdy nie wierzyłam. Obiecałabym jej każdy pozostały dzień mego życia, gdyby poprosiła.

- Jesteś moją zbawczynią - wyszeptała, zwijając się i rozwijając. - Ty położysz kres memu uwięzieniu.

- Kocham cię - powiedziałam.

- Jestem zła, pamiętasz?

- W takim razie kocham twoje zło i ja także stanę się zła. Stanę się obrażą boską.

- Nie ma w tobie ani krztyny zła, Indio Morgan Phelps, a ja go tam nie umieszczę.

- Jeśli mnie zostawisz - rzekłam - jeśli mnie zostawisz, umrę. - I tak bardzo starałam się nie rozplakać, ale po policzkach spływały mi łzy, łzy, które natychmiast porywał ocean wypełniający moją sypialnię. - Jeśli kiedykolwiek mnie zostawisz, utonę.

- Nie, Imp - odparła głosem z brunatnie i morszczyków. - Nie jesteś dziewczyną, która tonie. Nie w historii, którą piszesz. Jesteś dziewczyną, która uczy się pływać.

- Chcę ci wierzyć.

- Och, ~~Winter~~ Indio, wszystko, co kiedykolwiek ci powiedziałam i powiem, to kłamstwo, ale to, to jedno, jest prawdą.

(Nie mówię jej, że pewnego dnia zapiszę te słowa i włożę jej w usta w opowiadaniu zatytułowanym „Uśmiech wilkołaka”).

Znów mnie pocałowała, smakowała solą, a jej usta były ustami *l'Inconnue de la Seine*.

I wtedy zaczęłam śpiewać. To była moja pieśń, i tylko moja, wcześniej nigdy nie zabrzmiała od zarania dziejów. Stała się wszystkim, czym byłam wtedy i wcześniej, czym mogłam się stać. Nabrzmiałam tą pieśnią i śpiewałam.

„Tak jak przeczytałam w ciasteczku szczęścia, »Nie zatrzymuj się te-raz«, napisała Imp. „Dotarłaś już niemal do końca”. To prawda.

Nie zostało zbyt wiele do opowiedzenia, choć być może to, co pozostało, jest najważniejszą częścią mojej historii o duchach. Mogłabym chyba to przeciągnąć. Tak wielu spraw jeszcze nie opisałam, tak wielu chwil, które zaszły między mną i Evą Canning, że mogłabym jeszcze długo tu siedzieć i rejestrować wszystko, co pamiętam. To by zajęło jeszcze mnóstwo dni i mnóstwo stron. Choć nie zostało już zbyt dużo do opowiedzenia.

Mam chyba czas. Wciąż nie znalazłam pracy, więc mam do dyspozycji mnóstwo czasu. Zatem tak, mogłabym to przeciągać, opowiadać, jak zostałam uwiedziona i rozkochana przez moją syrenę (która nigdy nie była wilkiem), kochankę, która mogła być meluzyną, córką Forkisa, Syrenę z Millville uwięzioną wieki temu przez huragan, która była wszystkimi nimi i niezliczonymi innymi. Na swój sposób i na mój sposób oczarowała mnie równie skutecznie jak Kirke, choć jej mikstury działały na moje oczy i umysł. Sama doprowadziła do swoich przemian fizycznych.

Pewnego wczesnego ranka - nie potrafię ocenić, ile dni minęło, odkąd przekroczyła mój próg, odkąd Abalyn odeszła, wiem tylko, że cały czas pozostawałyśmy w mieszkaniu. Nie potrzebowałam jedzenia, w każdym razie poza tym, które już było w spiżarni i lodówce. A zatem, pewnego wczesnego sierpniowego ranka obudziłam się i odkryłam, że jestem sama w łóżku. Pościel była tylko pościelą. Wszystkie ukwiały znów się rozpląnęły, odeszły tak, jak przybyły, wedle jej woli, czy raczej na jej rozkaz i życzenie. Pozostała tylko pościel, pachnąca potem i seksem, a także bardzo słabo morzem. Śniłam o dniu, gdy razem z Abalyn udałyśmy się nad rzekę i nie zobaczyłyśmy niczego, tyle że we śnie coś widziałyśmy. Nie powiem, co. To nie ma znaczenia. Ocknęłam się ze snu i leżałam, mrugając, natychmiast świadoma faktu, że Evy nie ma obok mnie. Dotąd sypiałam w jej ramionach, albo ona w moich. Zwijaliśmy się jak płody, niezrodzone stworzenia w swoich objęciach. Splatałyśmy się razem, jakby od tych objęć zależało nasze życie.

- Evo? - wyszeptalam sennie.

- Dzień dobry, Indio Morgan - odparła.

Znów stała w oknie sypialni i spoglądała w niebo, które dopiero zaczynało jaśnieć. Tym razem nie była naga. Włożyła na siebie czerwoną, jedwabną sukienkę, ale została na bosaka. Blask świtu powlókł jej bladą twarz przytłumionym odcieniem oranżu. Oranżu bądź toffi. Wilcza Eva, która nigdy nie istniała, miała oczy barwy toffi. Przez chwilę zastanawiałam się, czy światło tylko odbija się od niej, czy także promieniuje z jej wnętrza. Stała bardzo prosto. Gdy mówiła, nie oglądała się na mnie przez ramię. Nie otaczał jej żaden blask i wyglądała tylko jak zwykła, szczupła, blada kobieta. Nie była już nieziemską i pomyślałam: czar prysł. Pomyślałam: może to, co się odtąd wydarzy, będzie moim wyborem i tylko moim.

Może istotnie tak było. Teraz jednak, wiedząc już to, co wiem, wolę myśleć inaczej.

- Powinnaś coś na siebie włożyć - powiedziała słowami miękkimi jak aksamit. - Musisz zawieźć mnie dzisiaj nad morze. Musimy wyruszyć jak najszybciej. I tak już zbyt długo to odwlekałam.

Nie znalazłam powodu, by wątpić w jej słowa. W każdym swym aspekcie wydawały się absolutnie rozsądne. Widziałam, jaką jest istotą, byłam świadkiem jej magii i oczywiście musiała znaleźć się blisko morza. Wstałam, znalazłam parę w miarę czystych majtek i niepasujące do siebie skarpetki (jedną w kratkę, jedną w czarno-białe paski), drelichowe szorty i podkoszulkę khaki, którą zostawiła Abalyn. Teraz wiem i wiedziałam wtedy, że na jej widok powinnam poczuć ukłucie... czegoś... Ale nie. Po prostu ją włożyłam.

Właśnie sznurowałam tenisówki, gdy spytała, czy jestem głodna, czy przed wyjazdem nie chcę zjeść śniadania. Odparłam, że nie, że nie jestem głodna, choć byłam.

- Czy znasz plażę Moonstone? - zapytała.

- Jasne. Byłam tam mnóstwo razy.

Latem można przejść tylko wąskim kawałkiem plaży Moonstone, bo kiedyś mieściła się tam plaża dla nudystów, aż w 1989 roku urzędnicy z Departamentu Zwierzyny i Rybołówstwa uznali ją za rezerwat zagrożonej sieweczki bladej. Od kwietnia do połowy września nie wolno zbliżać się do miejsc gniazdowania sieweczek. Te maleńkie szaro-białe ptaki mają czarne paski wokół szyi i między oczami. Śmigają po piasku, dziobiąc to, czym się żywią - robaki, żuki czy coś takiego.

- W takim fazie pojedziemy na plażę Moonstone.

A potem zaczęła opowiadać o styczniu sprzed dwunastu lat, kiedy tankowiec i holownik osiadły tam na mieliźnie. Z tankowca wylało się ponad osiemset tysięcy galonów toksycznego oleju grzewczego, który trafił do cieśniny Block Island i na plażę. Tankowiec nazywał się „North Cape”, a holownik „Scandia”; podczas sztormu wpadły na skały na przybrzeżnych płyciznach. Wyciek doprowadził do zanieczyszczenia Trustom i Card - dwóch słonych jezior graniczących z plażą - a samą Moonstone zasłały trupy dziesiątek milionów zatrutych morskich ptaków, homarów, małży i rozgwiazd. Morze wyrzucało na tę plażę wszystko, co tylko mogło się zatruć. Ludzie uratowali część ptaków. Nie da się uratować zatrutego homara.

*Nie przeczuwasz nawet uciech, które w sercach nam...*

- To była masakra - powiedziała Eva i w jej głosie usłyszałam przejmującą gorycz. - Ona nie zapomina takich rzeczy. Większość ludzi owszem.



Bo ptaki wracają, skorupiaki wracają i nikt nie opowiada turystom, co się tu zdarzyło. Ale morze pamięta. Pamięć morza obejmuje eony.

Opowiadam jej, jak w dzieciństwie na Conanicut Island znalazłam skamielinę trylobita.

- Ale był trochę zgnieciony, bo ił przekształcił się w łupek... - I wtedy zorientowałam się, że gadam od rzeczy, i urwałam.

- Śpiewałam dla mnie - powiedziała, a ja usiadłam na łóżku, obserwując odbijające się od jej twarzy światło barwy toffi. - Śpiewałam cię i czerpałam z cię twoją pieśń. Dotrzymałam obietnicy.

- Myślisz, że ona czeka? - spytałam. - To znaczy, twoja matka. A ona nie odpowiedziała.

Chciałam jej powiedzieć, że ją kocham. Chciałam błagać, by została ze mną na zawsze, by udusiła mnie w swoich hemipelagicznych fantasmagoriach, które pozwalała mi ujrzeć tylko przelotnie. Ubłagać, by nauczyła mnie metamorfozy, bym ja też mogła się zwijać i skręcać i spoglądać na świat czarnymi rekinimi oczami. Proszę, naucz mnie czarów, pomyślałam, bym mogła wzywać ukwiały i kraby, ośmiornice i rozgwiazdy. Zostań i już zawsze bądź moją siostrą, moją kochanką, nauczycielką, moją zgubą. Moje myśli były jasne jak wschodzące słońce, a ona usłyszała je wszystkie. Albo może tylko odgadła.

- Nie - wyszeptała. - Dałam ci tyle, ile mogłam.

I wtedy przypomniałam sobie moje lipcowe sny o plaży, o tym, jak tańczyliśmy ręką w rękę w rytm „Kadryla z homarami”, a Eva grała na skrzypkach. Zachowałam to jednak dla siebie. Poszłam do łazienki, umyłam zęby i wyczyściłam nitkę. Użyłam dezodorantu i wysikałam się. Moje odbicie - w lustrze szafki z lekami - moje odbicie mnie zaskoczyło, ale tylko odrobinę. Schudłam, skóra nabrała żółtawego odcienia, a pod oczami widniały czarne kręgi.

To drobna cena, rzekłam sobie w duchu.

- Jestem gotowa - oznajmiłam, wkraczając do sypialni.

Eva nadal stała przy oknie. W końcu odwróciła się od wstającego dnia. I myślę, jestem niemal pewna, że powiedziała coś o Aokigahara jukai, lecz mówiła tak cicho, a ja nie prosiłam, by powtórzyła.

Opuściliśmy dom i miasto, i zjazdem przy Broad Street wyjechałam na autostradę 1-95 w stronę South County. Musiałam znaleźć ciemne okulary, bo słońce świeciło mi w oczy z lewej strony. Dzień był pogodny, niebo najbłękitniejsze z błękitnych, bez jednej chmurki. Eva znalazła stację radiową puszczającą muzykę klasyczną i...

„Nie zatrzymuj się teraz”, napisała Imp.

*MATKĘ morskie tulą fale; Z kości JEJ są tu korale, Perła lśni, gdzie oko było; Każda cząsteczka JEJ ciała W drogi klejnot się przebrała Oceanu dziwną siłą.*

Potrzebujemy niecałej godziny, by dotrzeć do plaży Moonstone. Skręcam z autostrady międzystanowej w... Nie, nie ma sensu podawać szczegółowej trasy podróży, prawda? Skręciłam z autostrady i pojechałam na południe, nad morze. Pojechałam na południe, nad morze. Opuściłyśmy szyby, w powietrzu unosił się słodki zapach roślinności. Jechałam naprzód i mijałyśmy fotogeniczne wiejskie krajobrazy: młyn w Kenyon (około 1886, 1695) i pola wysokiej, suchej kukurydzy, lasy, zarośla i pastwiska, kamienne murki pokryte strupami mchów i porostów, konie, krowy i kozy, drzewa tak wielkie, że, jak sobie wyobrażałam, musiały zostać zasadzone i zapuścić korzenie przed Wojną o Niepodległość, garstkę domów, niektóre stare i wyniosłe, inne nowe i dość nędzne, oraz wielką łąkę pełną dzikiej marchwi, białych kwiatków szeleszczących leniwie w porannej bryzie. Stawy, strumienie, i niewielkie bagienka. Raz czy dwa miałam ochotę zatrzymać hondę, pokazać coś Evie. Ale tego nie zrobiłam. Jeszcze na Willow Street powiedziała: „Musimy wyruszyć jak najszybciej. I tak zbyt długo już to odwlekałam”... Z pewnością nie chciałaby, bym się zatrzymywała, więc nawet nie pytałam. Staralam się nie zadawać pytań, na które znałam już odpowiedź; nauczyła mnie tego Rosemary.

O siódmej rano (musiałam się zatrzymać, żeby zatankować, inaczej trwałoby to krócej) dotarłyśmy do piaskowego ślepego zaułka, nawrotki na końcu Moonstone Beach Road. Po jednej stronie, zachodniej, graniczy ona z jeziorem Card, po drugiej, wschodniej, z nieprzeniknionym gąszczem krzewów, w którym rosną nieliczne karłowate drzewa, a potem wodą. Zaparkowałam po stronie jeziora Card i ostrzegłam Evę, żeby, wysiadając, uważała na trujący bluszcz, który rośnie wszędzie przy plaży. Nie wiedziałam, czy jest na niego uczulona, czy nie. Ja jestem okropnie uczulona na trujący bluszcz, więc takie ostrzeżenie to dla mnie odruch.

Ostatecznie nie włożyła butów. Uśmiechnęła się, otworzyła drzwiczki i wysiadła.

Stałyśmy tam rozdzielone samochodem przez... niezbyt długo. Zauważyłam dwa łabędzie na jeziorze i pokazałam jej. Pokiwała głową.

- Przeszyty strzałą czasu biały łabędź stary życie z siebie wyrzuca w trelach słodkiej pieśni i, nucąc hymn żałobny, wodne składa mary.

*A kogóż z tych, co umierają na morzu, składa się na marach?*

- Wymyśliłaś to w tej chwili? - spytałam.

- Ależ skąd. - Wybuchnęła śmiechem. Nie był to jednak śmiech drwiący ani niemiły. - To słowa angielskiego poety, Phineasa Fletchera. On to napisał.

- W każdym razie to piękne - rzekłam.

- Nie tak piękne jak łabędzie — odparła.

- Nie - zgodziłam się. - Nie tak piękne.

Powiew wiatru zmarszczył herbacianą powierzchnię jeziora; jeden z łabędzi rozpostarł rozłożyste skrzydła.

- Nie powinniśmy zwlekać - oznajmiła wówczas i podążyłam za nią szarą piaszczystą ścieżką wiodącą na plażę.

Przecięłyśmy groblę łączącą oba jeziora. Zaczął się odpływ, toteż woda z bulgotem przelewała się do jeziora Card betonową rurą za naszymi plecami. Jedynie dwa czy trzy szeregi wydm oddzielają słone jeziora od plaży. Wydmy porastały dzikie róże i wspomniany wcześniej trujący bluszcz. Tego ranka delikatne różowo-białe róże rozkwitły. Pozostało też jeszcze kilka szkarłatnych owoców, które nie zaschły i nie opadły na ziemię.

„Streszczaj się”, napisała Imp. „Nie powinniśmy zwlekać”.

Ja piszę.

Powietrze pachniało morzem i dzikimi różami. Na przycupniętej za wydmami plaży Moonstone niemal zawsze bardzo mocno wieje. Dzikie porywy szaleńczo szarpały długimi włosami Evy. Wiatr okazał się chłodniejszy, niż oczekiwałam, i pożałowałam, że nie zabrałam swetra. Powietrze było tak czyste, że wyraźnie widziałam sylwetkę Block Island, dziesięć mil na południe. Plażę, jak zawsze, zaścielały wodorosty, kamyki i kamyczki, granit, łupek, kalcyt i matowobiałe kamienie księżycowe, od których wzięła nazwę. Morze było spokojne, jedynie bardzo niskie fale sięgające do kostek uderzały o brzeg. Powietrze wypełniały stada mew popielatych, kilka większych mew siodlatych i smukłych kormoranów.

Nie, Caroline. Nie było tam wron ani kruków, ani żadnych czarnych ptaków.

Eva pochyliła się i podniosła idealnie okrągły kamień księżycowy wielkości mniej więcej kasztana. Wsunęła mi go w dłoń i zacisnęła na nim moje palce.

- Teraz możesz śpiewać, Indio Morgan Phelps - powiedziała. - Chciałabym, by twoje pieśni nie sprawiały ci aż tak wielkiego bólu.

A potem położyła mi dłonie po obu stronach głowy i pocałowała. I smakowała tak samo, jak każda znana mi ludzka kobieta. Gdy nasze wargi się rozłączyły, szepnęłam:

- Wracajmy do domu.

Jej butelkowo-niebieskie oczy spojrzały wprost w moje. Nie uśmiechnęła się, nie zmarszczyła brwi. Nie znam słowa, którym mogłabym opisać wyraz jej twarzy. Może powinno brzmieć „spokój”.

- Nie, Imp. Nie tak kończy się twoja historia o duchach - rzekła tak cicho, że ledwie usłyszałam jej głos w szumie wiatru. - I nie tak kończy się moja.

A potem kobieta, którą znałam jako Evę Canning, córkę Ewy Canning, zrobiła to samo, co jej matka siedemnaście lat wcześniej. Eva odwróciła się ode mnie i weszła w morze. Z początku fale łamały jej się wokół kostek, potem wokół ud, mocząc sukienkę czerwoną jak owoc dzikiej róży. Później kawałek popłynęła. A potem zniknęła. A ja pomyślałam: kochać to patrzeć, jak ktoś umiera.

Usiadłam na plaży, ściskając w dłoni kamień księżycowy, który mi dała. Siedziałam tam bardzo bardzo długo, dygocząc i nasłuchując krzyków mew.

## TYLNE KARTKI

27 LISTOPADA 2010

„Cokolwiek to było, albo nie, to już skończone”, napisałam, „a ty zapisałeś to dla mnie. Zawsze będzie cię dręczyć, ale to koniec. Dziękuję. Możesz już odejść”.

Napisała Imp.

Ja napisałam.

18 STYCZNIA 2011 Zeszłej nocy wyjrzałam przez okno i zobaczyłam czerwoną kobietę brodzącą w śniegu. To znaczy, miała na sobie czerwoną sukienkę. Ale to nie była ona. Abalyn też widziała tę kobietę, i to nie była ona. Myślę, że czeka nas bardzo śnieżna zima.

27 STYCZNIA 2011 Dziś rano natrafiłam na to w Internecie. Nie szukałam specjalnie. No, może i szukałam. Wciąż mam swoje teczki i dołożyłam wydruk do reszty materiałów o Perrault. Ten kawałek przepiszę:

[N]iewątpliwie pojawiało się wiele znacznie dziwniejszych sugestii co do jego dzieł i życia. A biotąc pod uwagę szczegóły jego krótkiej kariery, zaangażowanie w okult i upodobanie do pretensjonalnych, tajemniczych wypowiedzi, nie wydaje się - przynajmniej niżej podpisanemu - zbytnim ryzykiem przypisywanie Albertowi Perrault czegoś w rodzaju upiornego talentu przewidywania przyszłości, bądź przekonanie, że publiczna prezentacja „Ostatniego Kielicha Ptasiej Głowy” w przeddzień nieszczęsnego wypadku motocyklowego malarza na rue Cuvier stanowiła starannie zaplanowane posunięcie, mające w założeniu zachować jego mistykę *adfinem*. W istocie rzekłbym, iż ryzykownie jest uważać inaczej.

A co do samego obrazu (obecnie wypożyczonego Musee national d'art moderne), „Ostatni Kielich Ptasiej Głowy” to jedno z największych i tematycznie najbardziej nieogarnialnych płócien artysty. Po rozczarowujących eskperymentach z rzeźbami i multimediami, Perrault odwołuje się do obrazów, które dziesięć lat wcześniej zwiastowały jego odkrycie. Oto raz jeszcze typowa dla niego wizja „retro-ekspresjonistyczno-impresjonistyczna”, a także wyraźny powrót do wcześniejszej obsesji na punkcie mitologii.

Samotna postać stoi na nagim wzgórzu, zarysowana na tle rozedrganego nocnego nieba. Jednakże to niebo, w odróżnieniu od „Gwiazdzistej nocy” Van Gogha, nie drga blaskiem gwiazd czy księżycą; tu dzieje się tak z samą jego materią. Mamy wrażenie, jakby płótnem wsttżasały konwulsje. Czerń firmamentu może odzwierciedlać wyznawaną przez Perrault koncepcję „antypatycznego kosmosu”; możemy też odczytać ją jako projekcję centralnej postaci obrazu, a zarazem, *per analogiam*, własnej psyche autora. Pośród całej tej czerni mrocznego, poskręcane nieba widać tylko jedną plamkę szkarłatu (co przywodzi na myśl wcześniejsze dzieło Perrault, „Fecunda ratis”), która bardziej przypomina złowrogie oko, niż zwykłe ciało niebieskie. Charakterystyczny kształt i grubość pociągnięć pędzla uczyniły z nieba gwałtowną istotę i trudno mi było nie uznać owych pociągnięć za korytarze w niezwykłym labiryncie szaleńca, wiążące w koło, i w koło, i ostatecznie donikąd.

A jeśli niebo „Ostatniego Kielicha Ptasiej Głowy” potraktujemy jako labirynt, to postać dominująca nad pierwszym planem może zostać z łatwością uznana za nieuniknionego „minotaura” - ro jest zdeformowaną chimere, na zawsze uwięzioną w jego zapętłonych

korytarzach. Pewien uznany krytyk opisał wcześniej tę postać jako symbolizującą egipskiego boga nieba, Horusa (bądź Nekheny'ego) o sokolej głowie. Mnie jednak wydaje się jasne, że awatara Ptasiej Głowy Perrault nie można wziąć za sokologłowego. Przedstawiony na obrazie profil — mała czaszka i długi, wąski, wygięty ku dołowi dziób - zdecydowanie bardziej kojarzy się z ibisem. To z kolei przywodzi na myśl zupełnie inne egipskie bóstwo - Thotha, boskiego skrybę i rozjemcę w wojnie sił dobra i zła.

W lewej dłoni postać ściska księgę, a na jej grzbiecie możemy z łatwością odczytać trzy litery, zapewne fragment tytułu - LEV. Muszę tu przywołać doniesienia, które ujrzały światło dzienne już po śmierci Perrault, wskazujące, że niewiele wcześniej nawiązał on korespondencję z ocalałą członkinią „samobójczego kultu” Otwarte Drzwi Nocy, nieżyjącej Jacovy Angevine, kobietą, którą w swych listach określał jedynie inicjałami EMC. A że w bibliotece Perrault znajdowała się niesławna książka Angevine „Przebudzenie Lewiatana”...

Urywek z „Gilded Thomas Art Review” (Vol. 31, Nr 7, Jesień 2006, Minneapolis, MN)

Obraz ten nie znalazł się na wystawie w Galerii Bella w 2008. Z początku myślałam, że może wyszłam, nim go zobaczyłam, bo opuszczałam galerię bardzo podenerwowana. Skontaktowałam się jednak z organizatorami i sprawdziłam katalog wystawy. Obrazu tam nie było. Zakładam, że nadal jest we Francji. Ale EMC, która ocalała z masowego utonięcia pod Moss Landing? Czy istnieją jakiegokolwiek wątpliwości, kim była owa korespondentka? On nie wiedział, prawda? Nie wiedział.

7 LUTEGO 2011 *Zrodziłem się, by mrzeć* By w ziemi legł mój trup A drżący duch niech wzięci gdzieś Do nienazwanych wrót Najgłębszych mroków tu Nie zgłębi ludzka myśl W strasznej krainie zmarły lud W niepamięć wrył się dziś.

„Idumea”, Charles Wesley, 1793



10 LUTEGO 2011 Wczoraj w Ateneum usłyszałam pytanie: „Czy nadal interesuje się pani Phillipem Saltonstalem?”. Zadała je bibliotekarka, ta sama, która dwa lata temu pytała, czy wiem, że część jego listów przechowują w bibliotece Johna Haya.

- Nie - odparłam. Ale potem powiedziałam: - Tak.

A ona spojrzała na mnie w ten szczególny sposób. Ale jej twarz szybko odzyskała normalny wyraz.

Bibliotekarka nachyliła się i wyszeptała, a szept ów zabzmiał konspiracyjnie:

- W takim razie nie uwierzy pani. Interesował panią zwłaszcza jeden obraz, zgadza się?

- „Tonąca dziewczyna” - przyznałam, choć nie chciałam w ogóle o tym rozmawiać, ale co innego mogłam rzec?

Wyciągnęła skądś wielką książkę, z tych, które ludzie nazywają często „wydaniami albumowymi”. Nosiła tytuł „Mistrzowie symbolizmu”. Bibliotekarka otworzyła ją na stronach 156-157 i tam, na 156 (po lewej), widniała „Tonąca dziewczyna”, a na stronie 157 reprodukcja kolejnego obrazu Saltonstalla. Każda z nich zapełniała niemal całą lśniąca kartkę. Drugi obraz nosił tytuł „Dziewczyna w rzece”. W książce piszą, że powstał w 1870, dwa lata po „Tonącej dziewczynie”. Obrazy są niemal identyczne prawie we wszystkich szczegółach. Jednocześnie jednak bardzo, ale to bardzo się różnią i z początku uznałam, że „Dziewczyna w rzece” jest z nich dwóch straszniejsza. Z początku o mało nie pozabierałam swoich rzeczy i nie uciekłam. To znaczy, kiedy ją zobaczyłam. Ta sama dziewczyna stoi w tym samym stawie, wyglądają mniej więcej identycznie. Tyle że ta nie ogląda się przez prawie ramię, lecz widać ją z lewego profilu. Patrzy na czarne coś podobne do olbrzymiego węża, do połowy wynurzone z wody. Ow wąż owinał się wokół jej łydek i wygląda jakby wypelzał na trawę. Dziewczyna nie sprawia wrażenia zaniepokojonej. Może tylko zaciekawionej, niemal otumanionej. Abalyn powiedziałyby, że nikt już nie używa tego słowa, ale tak właśnie wyglądała: na otumanioną. Stwót sprawia wrażenie śliskiego i jesr absolutnie czarny.

W 1897, Saltonstall napisał do Mary Farnum:

„I wtedy z rzeki wystrzelił smolisty kształt. Wiem, że to dość ogólnikowy opis, ale nie potrafię wyrazić tego lepiej. Ujrzałem go tylko na mgnienie oka, nigdy nie nabrał wyraźniejszych zarysów. Mimo to pozostawił mi niepokojące wrażenie, że nie oglądałem żadnego gatunku ryby, lecz być może wielkiego węża grubości słupa telegraficznego i rozmiarów większych niż jakikolwiek gad żyjący poza tropikami Afryki i Amazonii. Nie był to prawdziwy wąż, ale nie umiem znaleźć niczego bliższego, co mógłbym przywołać, gdybym próbował odnaleźć w nim coś bardziej konkretnego niż cienie pod klonami”.

Autor „Mistrzów symbolizmu” nazwał „Dziewczynę w rzece” „zaginionym obrazem”. Jeśli faktycznie kiedykolwiek zaginął, to trzy lata temu odnalazł się w zbiorach galerii Hartnell College w Salinas w Kalifornii. Autor dodaje też, że obraz był darem „spadkobierców Theodore’a Angevine’a”. Ojca Jacovy. Prorokini z Salinas. Jej ojciec uczył literaturoznawstwa porównawczego i pisał powieści kryminalne, które, z tego co mi wiadomo, nie cieszyły się zbytnim powodzeniem.

Poza tym, kiedy pisałam o samej postaci „Tonącej dziewczyny” napisałam: „Jej długie włosy mają niemal ten sam odcień zieleni, co woda”. To nieprawda. Wiedziałam, że nie, ale i tak to napisałam. Włosy kobiety są jasne. Żółte. Jaskrawożółte, jak słoneczniki.

Nie wspomnę o tym Abalyn. O zaginionych obrazach, córkach tajemnicy, tajemnicach i elementach układanki, które nigdy nie przestaną wskakiwać na miejsce. Albo przynajmniej wskakiwać. Jedna Eva, ale dwa obrazy.

11 LUTEGO 2011 Fragment wiersza Edgara Allana Poe „Miasto w morzu”, 1831:

*Patrz! — oto czarny śmierci tron Śród dziwnych — pustych, dzikich stron,  
Gdzie się zachodu krwawi skłon. Tam wielcy — mali — dobrzy — źli -W spokoju  
wiecznym każdy śni.*

*Tam gmachów tłum — tam wieżyc zrab, Które naruszył czasów ząb (Struktury takie nam nie znane) -A w krąg, przez wichry zapomniane, Drętwo, pod nieba tarczą siną, Melancholijne wody płyną7.*

„Na dworze Posejdona przygotowuje nam Ona sale z koralu, szkła i wielorybich kości. Pałace, świątynie w niezwykłym mieście. Powiedzie nas do domu”.

Jacova Angevine ( 1990)

8 MARCA 2011

Dzisiaj widziałam się z doktor Ogilvy. Jest bardzo zadowolona z moich postępów. Uśmiecha się do mnie i wiem, że to szczerzy ciepły uśmiech, nie „obowiązkowy uśmiech psychiatry”, lecz uczciwy i autentyczny.

- Teraz już wiesz, że nigdy nie będziesz pewna, co się wydarzyło? - spytała.

- Tak, teraz już wiem. Wiem o tym.

- I możesz z tym żyć.

Spojrzałam na dużego jeżowca na jednej z jej półek.

- Mogę — powiedziałam. — Mogę z tym żyć. I wtedy właśnie uśmiechnęła się do mnie.

18 MARCA 2011 Snujemy niezbędne fikcje i czasami one nas ratują. Nasze umysły, nasze ciała. Syrena nauczyła mnie śpiewać, była jednak kłamliwą manipulantką i wiedziała, że praktycznie ~~pomogłam~~ przytrzymałam

nóż, gdy podcinała sobie żyły. Opowiedziałam sobie zatem i inną historię, ładną historię, w której pomogłam zbląkanemu wilkowi, będącemu w istocie dziewczyną, odnaleźć siebie i znów stać się wilkiem. Ułożyłam jedną opowieść na drugiej i uczyniłam z siebie bohaterkę, nie głupca. Lecz mój mózg brzęczał i dźwięczał i powinnam była wiedzieć, że to się nigdy nie uda.

7 KWIETNIA 2011 „Zaprawdę, człowieku, obracani jesteśmy wkoło i wkoło na tym świecie, jak ów kabestan, a Los jest hanszpugiem. I ciągle - spójrz! -to roześmiane niebo i niezgruntowane morze!”.

Herman Melville, „Moby Dick” (1851)

10 KWIETNIA 2011 Dziś widziałam na ulicy czerwoną kobietę. Nie odwróciła się i nie spojrzała na mnie.

10 KWIETNIA 2011 W naszym świecie sen zabija sen.

20 KWIETNIA 2011 „Czy ludzki, nazwijmy go, umysł, może wpływać na ludzkie, nazwijmy je, ciało? Jeśli tak, mamy do czynienia z osobistymi czarami, albo czarami wewnętrznymi. A czy umysł mógłby wpływać na ciała innych ludzi i inne przedmioty poza nim? Jeśli tak, nazwę to czarami zewnętrznymi”.

Charles Fort, „Lo!” (1931)

Nic w niej nie jest ludzkie poza tym, że nie jest wilkiem; zupełnie jakby pokrywające ją - jak sama sądziła - futro wtopiło się w skórę i stało jej częścią, choć przecież nie istnieje.

Angela Carter, „Wolf Alice” (1978)

2 CZERWCA 2011 Dziś wróciłam na plażę Moonstone, Abalyn pojechała ze mną. Położyłam kwiaty na wodzie. Nie wiem, czy Eva lubiła kwiaty, ale rzuciłam na fale wianek z paproci i pierwiosnków, który sama uplotłam. W wiktoriańskiej mowie kwiatów pierwiosnek oznacza „wieczną miłość”, choć

wiem, że to niestosowne, bo ona nigdy nie kochała żadnego z nich, tak jak nie kochała mnie. Powiedziałabym, że to ironia.

4 CZERWCA 2011 Abalyn skończyła wczoraj czytać rękopis. No, dokładniej rzecz biorąc, dziś w nocy. Po wszystkim długi czas wbijała w niego wzrok, a potem w milczeniu wpatrywała się we mnie, aż w końcu poprosiłam, żeby przestała, bo zaczynałam się denerwować.

- To dość niesamowite - powiedziała wreszcie.

- Powinam była napisać więcej o moim malarstwie - odparłam i znów na mnie spojrzała.

- Imp, jak myślisz, o czym były te dwa opowiadania?

- Och - mruknęłam (albo coś podobnego do „och”). - Zaczynałam już sądzić, że może tak naprawdę nie stanowią części historii, że może powinienam je usunąć. To znaczy, obrazy.

Abalyn zmarszczyła brwi.

- Mylisz się - rzekła. - Nawet gdybyś się bardzo starała, nie mogłabyś się bardziej mylić.

10 CZERWCA 2011 Jeden z kuzynów Ewy, niejaki Jack Bowler, zgodził się spotkać ze mną w swym domu w Jamestown. Mieszka w dość nędznej ruderze, ale zaparzył mi herbaty i okazał się miłym człowiekiem, który ma zbyt wiele kotów. Przekroczył już czterdziestkę i całkiem posiwiiał. Zbiera pamiątki marynistyczne, jego maleńki dom pękał w szwach od koszy na homary, najróżniejszych drobiazgów z łodzi, zdjęć w ramkach i obrazów (oleodruków) statków wielorybicznych. Na samym wstępie uprzedziłam go, że jestem wariatką, bo pomyślałam, że lepiej mówić szczerze. Wpatrywał się we mnie przez chwilę, a potem roześmiał się.

- A co mi, do diabła - rzekł.

Palił papierosa za papierosem i nie pytał, czy mi to przeszkadza. Nie odpowiedziałam, że owszem.

Rozmawialiśmy ponad godzinę i powiedzieliśmy sobie mnóstwo rzeczy, istotnych i nieistotnych.

Ale zapiszę tylko jedną z nich.

Piłam właśnie drugą filiżankę herbaty, gdy mi powiedział:

-Tak, była dzieckiem, kiedy umarła jej matka. Potem już nigdy nie doszła do siebie. Może od początku było z nią coś nie tak. Nie znałem jej zbyt dobrze, ale nasze babcie były siostrami, więc słyszało się to i owo. W końcu rzuciła szkołę i dwa razy wylądowała w szpitalu. - (W szpitalu Rhode Island, gdzie spotykałam się z doktor Ogilvy, nie w Szpitalu Butlera). - Myślę, że miała jakieś dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat, kiedy zmieniła imię. Załatwiła to oficjalnie i w ogóle.

Na kolana wskoczył mi rudy kocur i spojrzał na mnie, mrużąc oczy, tak jak to czynią koty z intruzami, spodziewając się, że będą mieli choć ryle przyzwoitości, by je pogłaskać albo podrapać za uszami, skoro już się narzucili. Pogłaskałam go, a on zamruczał.

- Zmieniła imię?

-Tak. Oficjalnie. Nie urodziła się jako Eva. Nie tak nazwała ją matka. Matka nie zabawiła tu zbyt długo, ale zdążyła ochrzcić córkę. Dziecku nadano w centralnym kościele Baptistów imię Imogen. Imogen May Canning. Zmieniła je, jak mówiłem, wkrótce po śmierci matki. Często wspominała, że wybietze się do Kalifornii w to miejsce pod Monterey, gdzie umarła jej matka i ci wszyscy ludzie. Ale nigdy tego nie zrobiła.

Pogłaskałam rudego kocura na kolanach, nie przerywając Bowlerowi. Zresztą i tak nie wiedziałam, co mogłabym rzec.

- Kiedy ostatnio zabrali ją do szpitala, ktoś znalazł ją nagą na poboczu drogi gdzieś w Massachusettes. Zawieźli ją na policję, policja wezwała jej babcię i tak ttafiła do szpitala w Providence. Była chora. To znaczy, pochorowała się, pływając tej zimy w rzece. Ciężki przypadek zapalenia płuc. Trzymali ją tam kilka miesięcy, ale potem znów wypuścili. Później już o niej nie słyszałem.

Było jeszcze wiele więcej słów, więcej herbaty, więcej kotów. Pokazał mi ząb kaszalota z wyrzeźbionym na nim portretem kobiety. Mówił, że kupiłby więcej tych pamiątek, ale są bardzo drogie. Pokazał mi bryłkę ambry, którą znalazł w Mackerel Cove. Pokazał mi czaszkę foki.

Kiedy wyszłam z jego domu, już zmierzchało. Podziękowałam mu, a on odparł, że żałuje, że nie mógł powiedzieć nic więcej. Spytał, czy chciałabym kota, a ja powiedziałam, że tak, ale Abalyn ma alergię.

17 CZERWCA 2011 Dziś poszłam do sklepu (zawsze się cieszę na mój widok, mimo że dawno już tam nie pracuję). Rozmawiałam z Annunziata: właśnie miała przerwę,

więc poszliśmy do magazynu i jakiś czas gadałyśmy sobie. Głównie o... po prostu rozmawiałyśmy, ale kiedy zbierałam się już do wyjścia, bo Annunziata musiała wracać do pracy, powiedziała coś jeszcze.

— Parę dni temu zdarzyło się coś niesamowitego. Do sklepu weszła jakaś kobieta i na pierwszy rzut oka wyglądała jak sobowtórka twojej dawnej wielbicielki.

Spytałam, co ma na myśli, mówiąc o mojej „wielbicielce”. A ona przyglądała mi się chwilę, najpierw nic niepojmującym wzrokiem, potem wyraźnie zdumiona. W końcu uśmiechnęła się i roześmiała.

- Taka blondynka, zgadza się? Zawsze nosiła ciemne okulary? Ciągle dopytywała się o ciebie, kiedy cię nie było?

Nawet nie mrugnęłam okiem. Też się zaśmiałam. Nie, udałam, że się śmieję. Udałam, że wiem o czym ona mówi.

- To nie była ona - powiedziała Annunziata. - Stwierdziłam to bardzo szybko, ale na pierwszy rzut oka, no wiesz.

Teraz przypomniałam ją sobie z czasów przed Evą. Moją wielbicielkę.

A zatem trzy pytania: Od jak dawna Eva Canning mnie obserwowała? I dlaczego nie pamiętam, jak przychodziła do sklepu, skoro Annunziata upiera się, że śmiałyśmy się z tego razem, żartowałyśmy z mojej „wielbicielki”? I czy Eva w jakiś sposób dowiedziała się o moich nocnych przejażdżkach?

Nie, cztery pytania: Czy cokolwiek z tego było przypadkiem?

Chyba Annunziata zauważyła, że przeżyłam wstrząs, bo kiedy mnie podliczała, dała mi zniżkę pracowniczą, choć nie powinna tego robić.

Jack Bowler powiedział: To znaczy, pochorowała się, pływając tej zimy w rzece.

\*\*\*

-Teraz już wiesz, że nigdy nie będziesz pewna, co się wydarzyło? -spytała mnie dr Ogilvy.

— Tak, teraz już wiem. Wiem o tym. Wiem o tym.

21 CZERWCA 2011 Kolejny zgubny mem, albo może tylko legenda miejska zamaskowana tak, by wyglądała na nawiedzenie. Tak czy inaczej, żałuję, że nie

wiedziałam o niej, kiedy pisałam o Aokigahara Jukai, Seicho Matsumoto i jego powieści.

W 1933, węgierski pianista, Rezsó Seress, napisał piosenkę, którą zatytułował „Vege a vilagnak”, co można przetłumaczyć jako „Koniec świata”. Węgierski poeta, Laszló Javor, napisał do niej drugi tekst i piosenka stała się znana jako „Szomoni vasarnap” albo „Smutna niedziela”. Pierwotny tekst opłakiwał zniszczenie Europy po pierwszej wojnie światowej, drugi - utratę kochanki i obiecywał popełnienie samobójstwa w nadziei, że po śmierci znów spotkają się w zaświatach. A przynajmniej mam takie wrażenie.

W 1941, pod zmienionym tytułem „Ponura niedziela”, „Gloomy Sunday”, piosenka stała się przebojem dla Billie Holiday. Holiday nosiła przydomek „Lady Day”, choć nie mam pojęcia dlaczego. Dla wielu chrześcijan słowa te oznaczają święto zwiastowania Matii Panny i zupełnie nie wiem czemu ktoś miałby tak przezwać Billie Holiday. W każdym razie, piosenka stała się hitem. Ale wszystko, co się z nią działo, robi się bardzo skomplikowane. To całe morze nawiedzeń. W sieci znalazłam mnóstwo stron poświęconych „Gloomy Sunday” i nie będę zapisywać tu tego wszystkiego, tylko kilka punktów.

Do 1936 roku, piosenka ta stała się powszechnie znana jako „Węgierska Piosenka Samobójców”, po tym, jak obwiniano ją o spowodowanie licznych samobójstw (niektórzy mówią o siedemnastu, ale różne źródła podają zupełnie różne liczby). Według niektórych raportów, na Węgrzech zakazano jej wykonywania, ale nie mogę znaleźć żadnych dowodów, które by to potwierdziły. Niektórzy twierdzą też, że wielu ludzi - może nawet dwieście osób - popełniło samobójstwo w Ameryce, słysząc wersję Billie Holiday. Istnieją źródła mówiące, że amerykańskie stacje radiowe zakazały odtwarzania piosenki, ale i tego nic nie potwierdza. Czytałam relacje o samobójcach, których znaleziono z nutami piosenki w kieszeniach bądź ścisiskanymi w martwych dłoniach, albo też ją samą odtwarzaną z gramofonu.

Niektóre źródła upierają się, że wersja Javora została zainspirowana prawdziwą miłością do byłej dziewczyny i że usłyszawszy tę piosenkę, dziewczyna zabiła się, pozostawiając po sobie składający się z dwóch słów liścik: „Ponura niedziela”. I znów to najwytaźniej tylko legenda. Prawdą jest natomiast, że Rezsó Seress w 1968 roku odebrał sobie życie, skacząc z budynku w Budapeszcie. Upadek go nie zabił, ale w szpitalu zdołał się udusić kawałkiem kabla. Nie potrafię się powstrzymać przed



myślą o Rosemary Anne, skrępowanej pasami przy 345 Blackstone Boulevard, ale...

Według przypisów Michaela Brooksa do „Lady Day - the Complete Billie Holiday on Columbia, 1933-1944”, „Gloomy Sunday” dotarła do Ameryki w 1936 i dzięki błyskotliwej kampanii reklamowej stała się powszechnie znana jako „Węgierska piosenka samobójcza”. Ponoć, po jej usłyszeniu, poruszeni kochankowie jak zahipnotyzowani kierowali się w stronę najbliższego otwartego okna, dokładnie w ten sam sposób, jak inwestorzy po październiku 1929: obie historie to w głównej mierze miejska legenda.

Nie potrafię stwierdzić, co jest tu prawdą, a co nie jest. Mogę tylko zauważyć podobieństwa do japońskiego Lasu Samobójców, który zrodził się po wydaniu powieści. Powtórzę tylko to, co powiedziałam o nawiedzeniach: że są szczególnie zgubne, gdy stają się zakaźne.

Patrz też Death Cab for Cutie: i „I Will Follow You Into the Dark” (2006), które puściła mi Adalyn i Blue Oyster cult „(Don't Fear) the Reaper” (1976, Rosemary miała tę płytę). A także „Tonąca dziewczyna” Roya Lichtensteina (1963), przez oczy, nie uszy.

29 CZERWCA 2011 Trzy dni po tym, jak Eva odpłynęła ode mnie, student z Kingston znalazł jej ciało. Nie zostało z niego wiele. Czytałam o tym w artykule w „Providence Journal”. Zidentyfikowano ją dzięki rejstrum dentystycznym. Po zębach. Koroner twierdził, że dopadły ją rekiny. Rekiny, ryby i kraby. Jak dziewczynę, która ginie na początku „Szczęk”. Ale według koronera rekiny jej nie zabiły. Utonęła, a one rozszarpały ciało. Tydzień później niedaleko Watch Hill schwytano dwumetrowego ostronosa (*hums oxyrinchus*). W brzuchu miał dłoń kobiety i strzępy czerwonego jedwabiu.

2 LIPCA 2011

„Cokolwiek to było, lub nie było, dobiegło końca”, napisała dziewczyna nazywająca się India Morgan Phelps, „a ty to opisałaś. Twoją historię o duchach. Tak, zawsze pozostaniesz nawiedzona, ale to już koniec. Dziękuję. Możesz już odejść”.

**Dobranoc, Rosemary Anne. Dobranoc, Caroline. Dobranoc, Evo.  
Abalyn twierdzi, że zostanie już na dobre. Powiedziała, że mnie kocha.  
Kiedy to mówiła, nie zjawił się żaden kruk ani wrona.**

**KONIEC**

## POSŁOWIE AUTORKI

Pisanie powieści nigdy nie przychodziło mi łatwo, ale „Tonąca dziewczyna: Pamiętnik” okazała się wyjątkowo, niewiarygodnie trudna. Ósmego sierpnia 2008 roku siedziałam w bibliotece publicznej South Kensington (Peace Dale, RI) i czytałam książkę o morderstwie Czarnej Dalii, gdy w moim umyśle pierwszy raz zagnieździł się załazek tej historii. Przez następne dwadzieścia siedem miesięcy (by sparafrazować cudowny cytat z Kelly Link), wiele razy zmieniał kształt, i dopiero ostatniego dnia października 2010, po licznych falstartach oraz wymyślonych i odrzuconych wątkach, odnalazłam właściwą drogę, prowadzącą do tej książki. W końcu wszystko okazało się proste: wystarczyło pozwolić Imp przemówić jej własnym głosem.

Powinam wspomnieć tu o bardzo licznych źródłach natchnienia - bo tym właśnie się zajmujemy, my, pisarze i wariatki: rozbieramy coś na czynniki pierwsze, a potem składamy w inny sposób. Tytuły i aluzje do części z nich można znaleźć w tekście — inne pojawiają się tylko jako echa, sugestie czy złożone im hołdy. To między innymi (choć nie wyłącznie) „Przygody Alicji w Krainie Czarów” (1865) i „O tym, co Alicja odkryła po Drugiej Stronie Lustra” (1871) Lewisa Carrolla; baśnie Char-lesa Perrault, Braci Grimm i Hansa Christiana Andersena; „There there (The Boney King of Nowhere)” Radiohead (z płyty „Hail to the Chief,

2003); „With Mercy for the Greedy” Anne Sexton (z tomu „Ali My Pretty Ones”, 1962), „Przystając pod lasem w śnieżny wieczór” Roberta Frosta (z tomu „New Hampshire”, 1923), płyta Poe „Haunted” (2000); „Wiosenna bujność traw” Elii Kazana i Williama Inge’a (1961) i, stanowiący niejako jej przedłużenie, wiersz Williama Wordstwortha „Oda o przeczuciach nieśmiertelności, czerpanych ze wspomnień o wczesnym dzieciństwie” („Poems, in Two Volumes”, 1807); „Black Ships Ate the Sky” grupy David Tibet and Current 93 (2006); obrazy - „Zachód słońca w Arktyce” Williama Bradforda (1874), „Od zawietrznej” Winsława Homera (1900), „Brazylijski las” (1864) i „Słone bagna Newburyport, Massachusetts (1875-1878) Martina Johnsona Heade, wszystkie pochodzące ze zbiorów Rhode Island School of Design; „Boska komedia” Dantego Allighieri (1308-1321), „Upiorna opowieść” Petera Strauba (1979); „Śliczne potwory” Kelly Link (2008), „I Will Follow You Into the Dark” Death Cab For Cutie (z albumu „Plans”, 2006), muzyka R.E.M., zwłaszcza „Find the River” (1992, którą chętnie bym zacytowała, gdyby nie prawnicy, którzy są do dupy); „Wybrzeże w Dover” Matthew Arnolda (z tomu „New Poems, 1867), „Idumea” Charlesa Wesleya (1793), „Ku-roi Jukai” Seichó Matsumoto (1960); „Moby Dick” Hermana Melville’a (1851); „Wolf-Alice” Angeli Carter (1978); „Lo!” Charlesa Forta (1931), angielski przekład „Boskiej komedii” autorstwa Henry’ego Francisa Cary (1805-1814) i „Miasto w morzu” Edgara Allana Poe (1831,1845). A także dzieła Virginii Woolf, Emily Dickinson, Josepha Conrada, T.S. Eliota, i Sir Ernesta Henry’ego Shackletona. Co do prac i życiorysów Phillipa George’a Saltonstalla i Alberta Perrault, to wyłącznie owoce mojej wyobraźni, a pomogli mi przy nich Michael Zulli i Sonya Taaffe.

Ogólną strukturę narracyjną w pewnym stopniu podsunęła mi „Symfonia Nr. 3 Op. 36 (Symfonia pieśni żalonych)”, 1976) niezującego Henryka Góreckiego, pod dyrekcją Davida Zinmana. Widać też oczywiste wpływy Neila Jordana i Danielle Dax z „Towarzystwa wilków” (1984), choć ja jakimś cudem niczego nie zauważyłam, póki nie skończyłam pisać tej książki. To samo można powiedzieć o kolejnej oczywistej inspiracji, „Song to the Siren” Tima Buckleya (1970, w nowej interpretacji This Mortal Coil i Elizabeth Fraser na płycie „It’ll End in Tears”, 1984).

Muszę podziękować tak wielu ludziom (niektóre nazwiska się powtórzą), bo bez nich powieść ta naprawdę by nie powstała. Przede i nade wszystko Sonyi Taaffe (za całokształt i za to, że pozwoliła mi wykorzystać swoją „Magdalenę z Gevaudan”) i Geoffreyowi H. Goodwinowi, który

kilka razy przesiadywał ze mną nocami niemal do rana, omawiając, dokąd powinna zmierzać historia Imp. Ogromnie wiele zawdzięczam grupie pisarzy, którzy, podczas późnonocnych „warsztatów” w czasie Reader-Conu 21 nalegali, bym pisała dalej, i podsunęli mi mnóstwo pomysłów, mających z czasem wywrzeć kluczowy wpływ na zmieniający się zarys powieści. Byli to Michael Cisco, Greer Gilman, Gemma Files, Erik Amundsen, i ponownie Geoffrey H. Goodwin i Sonya Taaffe. Dziękuję Peterowi Straubowi, za jego geniusz i wsparcie, i mojej agentce, Merrilee Heifetz (Writers House) oraz redaktorce Anne Sowards, za ich cierpliwość, bo przekraczałam kolejne terminy i wciąż prosiłam o więcej czasu. Michele Alpern, która przywróciła mi wiarę w korektorów. Mojej matce, Susan Ramey Cleveland, Jeffowi VanderMeerowi, i wszystkim, którym podobało się „The Red Tree”. Dziękuję doktor Hilary Cerullo, która uspokoiła mnie tak, że mogłam wreszcie znów zacząć pisać, i Kristin Hersh - Szczur-ce - za to, że pokazała mi, że mogę pisać tak, jak myślę. Jestem wdzięczna pracownikom Ateneum w Providence, Harvardzkiego Muzeum Historii Naturalnej, rektorowi i wykładowcom Harvard College, Muzeum Rhode Island School of Design, S.T. Joshiemu, Andrew Fullerowi, Andrew Migliore i organizatorom Festiwalu Filmowego H.P. Lovecrafta 2010 (w Portland, w stanie Oregon), a także wszystkim w Bostonie, Nowym Jorku i Providence, którzy oferowali mi swe wsparcie, a są zbyt liczni, by ich tu wymienić. Dziękuję też Elizabeth Bear, Holly Black, Danowi Chaonowi, Brianowi Evansonowi, Neilowi Gaimanowi, Elizabeth Hand, Kathe Koja, Bradfordowi Morrowowi, Benjaminowi Percy'emu, Peterowi Straubowi, Cathrynne M. Valente i Jeffowi VanderMeerowi - wszyscy oni czytali tę powieść jeszcze w rękopisie; Jacobowi Garbe i Casondrze Brewster za słowa w idealnym porządku, i Melissie Bowman za idealną analogię. Oraz Radiohead i Philipowi Ridleyowi za to, że pozwolili mi zacytować swoje teksty. Dziękuję Vince'owi Locke'owi za ilustracje w tym wydaniu książki. Jestem wdzięczna Kyle'owi Cassidy, za jego wizję, i wszystkim, którzy pomogli nam zamienić książkę w zdjęcia i film (Brianowi, Sarah, Dani i Nicoli). Raz jeszcze wyrazy uwielbienia dla Michaela Zulli, który dosłownie stał się moim Saltonstalem, przenosząc go i jego dzieła do tego świata z pomocą gałązki wilczej jagody i czarnej serpentyny. Jednakże przede wszystkim dziękuję mojej partnerce, Kathryn A. Pollnac, za to, że zносиła wszystkie moje cyrki i czytała mi te słowa raz po raz, i znowu, i jeszcze raz.

Dokonujemy niemożliwego, i w tym się kryje nasza potęga.